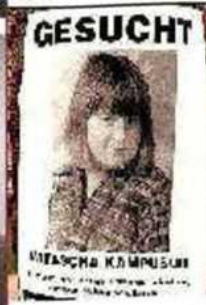





# SLYNNNE

Przemysław Słowiński

# PORWANIA



**WANTED**  
INFORMATION AS TO THE WHEREABOUTS OF  
  
**CHAS. A. LINDBERGH, JR.**  
SON OF COL. CHAS. A. LINDBERGH

2 DROGAT

**Przemysław Słowiński**

# SŁYNNNE PORWANIA

VIDEOGRAF

Redakcja:  
*Dariusz Pohl*  
*Anna Seweryn-Sakiewicz*

Źródła ilustracji:  
*Ze zbiorów Wikimedii Commons: Toni Schneiders, Csurla, Midi John,*  
*Engelbert Reineke, Ludwig Wegmann, Devilm25, Priwo*

Redakcja techniczna, skład i łamanie:  
*Damian Walasek*

Przygotowanie wersji elektronicznej:  
Grzegorz Bociak

Korekta:  
*Urszula Bańcerk*

Wydanie I, Chorzów 2013

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA

41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c

tel. 32-348-31-33, 32-348-31-35

fax 32-348-31-25

*office@videograf.pl*

[www.videograf.pl](http://www.videograf.pl)

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.  
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21  
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

[dystrybucja@dictum.pl](mailto:dystrybucja@dictum.pl)

[www.dictum.pl](http://www.dictum.pl)

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2013

**ISBN 978-83-7835-260-0**

# Spis treści

<u>Najbardziej szokująca zbrodnia dekady.</u> <u>CHARLES LINDBERGH JR.....</u>	<u>5</u>
<u>Operacja „Eiche”</u> <u>BENITO MUSSOLINI.....</u>	<u>36</u>
<u>Zaginiony bez śladu?</u> <u>RAOUL WALLENBERG.....</u>	<u>80</u>
<u>W styczniowy mroźny dzień.</u> <u>BOHDAN PIASECKI.....</u>	<u>108</u>
<u>Kontakt.</u> <u>ANTONIO VILLAS BOAS.....</u>	<u>140</u>
<u>Nie jestem potworem.</u> <u>ADOLF EICHMANN.....</u>	<u>161</u>
<u>Rzecz o praniu mózgu.</u> <u>PATRICIA HEARST.....</u>	<u>190</u>
<u>Podwójny nelson.</u> <u>HANNS-MARTIN SCHLEYER.</u> <u>SAMOLOT LUFTHANSY.....</u>	<u>213</u>
<u>Kolekcjoner.</u> <u>NATASCHA KAMPUSCH.....</u>	<u>246</u>
<u>Śmierć za 300 tysięcy euro.</u> <u>KRZYSZTOF OLEWNIK.....</u>	<u>286</u>
<u>Piekło kobiet.</u> <u>MICHELLE KNIGHT, AMANDA BERRY, GINA DEJESUS. .</u>	<u>317</u>
<u>Literatura.....</u>	<u>332</u>

# Najbardziej szokująca zbrodnia dekady.

**CHARLES LINDBERGH JR.**

(1932)

Dzisiejsza młodzież wariuje na punkcie długowłosych śpiewaków, ale w latach dwudziestych i trzydziestych XX stulecia największym wzięciem cieszyli się lotnicy. A co dopiero, kiedy jeszcze w dodatku byli tak przystojni, wytworni i inteligentni, jak Charles Augustus Lindbergh. Nie mówiąc już o podniebnych wyczynach, których dokonywał – zasłynął pierwszym w historii samotnym przelotem z Ameryki do Europy bez międzylądowań. Niezwykle popularny był nie tylko w USA, ale na całym świecie. Nazywany przez ówczesne media „idolem XX wieku”, rozpałał wyobraźnię głodnych podniebnych przygód Amerykanów. Relacje z jego kolejnych lotów przysparzały mu rzesz fanów. Niestety, Lindbergh wyjątkowo boleśnie odczuł także negatywne następstwa popularności.

Urodził się 4 lutego 1902 roku w Detroit. Rodzina Lindberghów była pochodzenia szwedzkiego, a ściślej mówiąc – skańskiego, co nie jest tożsame ze szwedzkim, gdyż Skania przed jej podbojem przez króla Karola X Gustawa należała przez sześćset lat do Danii, i lokalny dialekt używany na tamtejszych wsiach jest bardziej zbliżony do języka duńskiego niż do szwedzkiego. Dziadek Charlesa, August Lindbergh, a właściwie Ola Månsson, pochodził z niezamożnej rodziny chłopskiej z miejscowości Smedstorp koło Simirshamn w prowincji Kristianstad. Do dziś dnia żyje tam zresztą kilkunastu członków rodziny Månsson, z których część również przybrała nazwisko Lindberg (bez „h”).

Zaprzysięgły liberał Ola Månsson, walczący o prawa stanu włościańskiego, o prawa dla kobiet i równouprawnienie Żydów, w 1847 roku został wybrany na posła do szwedzkiego Sejmu stanowego – Ständriksdagen. Ożenił się z córką sąsiadów ze Smedstorpu, Ingar Jönsdotter, z którą miał ośmioro dzieci (pięć dziewczynek i trzech chłopców). Kilka lat później wdał się w romans ze sztokholmską kelnerką Lovisą Callén, a ta rok później urodziła mu syna, Karola (Charlesa) Augusta.

W 1947 roku Månsson został oskarżony o branie łapówek i sprzeniewierzenie funduszków. Musiał złożyć swój mandat poselski i oczekiwać na proces sądowy. Po przegranej w dwóch instancjach, skazany na utratę praw obywatelskich, nie czekając na ostateczny wyrok Sądu Najwyższego (Högsta Domstolen), przepisał gospodarstwo na najstarszego syna, załatwił sobie papiery na nowe nazwisko August Lindbergh i zwiął ze swą kochanką do Ameryki. Tam, na zakupionej niedaleko Melrose w stanie Minnesota fermie, rozpoczął trudne życie rolnika na tych niebezpiecznych terenach, narażonych na najazdy Indian z plemienia Siuksów, ulewne deszcze i ataki szarańczy.

Ale Ola Månsson, obecnie już August Lindbergh, był prawdziwym twardzielem. Musiał nim być, inaczej nie miałby czego szukać w Ameryce. Tutaj nie było miejsca dla ludzi słabych. W owych czasach często tylko lufa rewolweru potrafiła powstrzymać w przyzwyczajonej odległości przybyłych z całego świata włóczęgów, obszarpanych poszukiwaczy złota, rozmaitych niebieskich ptaków i *outlaws*<sup>[1]</sup>, którzy uważali cały kraj za swoją własność. August doskonale zdawał sobie sprawę, że w tej wściekle rywalizującej, bezwzględnej społeczności, każdy musi myśleć o sobie i rozpychać się łokciami. Skrupuły nie przynoszą w takich miejscach dywidend. Słabi, pechowi i dobrodusznicy od razu idą pod ścianę.

W Ameryce złoto wcale nie leżało na chodnikach, jak opowiadano często po drugiej stronie Atlantyku. Większość imigrantów, skuszona relatywnie wysokimi stawkami oferowanymi w fabry-

1 *Outlaws* – wyjęci spod prawa.

kach, kopalniach i innych zakładach przemysłowych, osiedlała się w miastach, które błyskawicznie rozrastały się w aglomeracje przemysłowe. Czekwały ich nie bezkresne pola, z których każdy mógł wykroić sobie tyle ziemi, ile zdołał uprawić, ale zbiorowa harówka przy budowie linii kolejowych, w smrodzie rzeźni, w niebezpiecznych czeluściach kopalń i żarze hut. Z pewnością istniała tu demokracja, ale z panującym królem, którym był jego wysokość dolar. Zresztą jedyną naprawdę demokratyczną rzeczą, którą wymyślono w Stanach Zjednoczonych, są dzinsy. Do dziś te same spodnie noszą i czarni, i biali, i żółci, bogaci i biedni, konserwatyści i liberałowie, republikanie i demokraci, kobiety i mężczyźni, bandyci i policjanci, wykształceni i analfabeci, kaci i ofiary, szefowie i podwładni, katolicy, protestanci i mahometanie.

Z Lovisą, w USA zwaną Louise, August dochował się sześciorga dzieci, z których troje przeżyło – w obu małżeństwach miał ich zatem piętnaścioro. Pod koniec życia zalegalizował swój związek, poślubiając ją w 1885 roku.

Najstarszy syn z tego związku, Charles August Lindbergh, prawnik i polityk, poślubił po śmierci pierwszej żony pannę Ewangelinę Lodge Land, córkę znanego stomatologa z Detroit nazwiskiem Charles Henry Land, wynalazcę, zwanego „ojcem porcelanowej koronki”. Na prawym brzegu Missisipi, niedaleko Little Falls zakupił farmę ze 120 morgami ziemi i lasem i osiedlił się tam wraz z żoną oraz dwiema córkami z pierwszego małżeństwa.

W 1901 roku Ewangelina zaszła w ciążę. Dziewczyna z wielkiego miasta nie przyzwyczaiła się nigdy do głębokiej prowincji. Gdy zbliżał się poród, przeniosła się więc do rodzinnego domu w Detroit, gdzie 4 lutego 1902 roku o godzinie 1:30 nad ranem urodziła syna, któremu nadano po ojcu imiona Charles Augustus – z dodatkiem „us” do Augusta.

\*

W roku 1906 Charles August Lindbergh uzyskał fotel w Kongre-

sie i od tej pory zaczęła się wędrówka rodziny między Little Falls, Detroit i Waszyngtonem. W związku z powyższym mały Charles Augustus nigdy nie uczęszczał dłużej niż trzy miesiące do tej samej szkoły, co oczywiście odbiło się ujemnie na jego świadectwach. Ponieważ ojciec brał udział w wielu kampaniach wyborczych w różnych miejscowościach i potrzebował szofera dla swego czarnego (a jakże!) Forda T, jedenastoletni Charles zasiadł za kierownicą, obwożąc ojca po całym kraju. W ciągu jednego roku przejechał wtedy ponad cztery tysiące mil. Kariera polityczna Charlesa Augusta, zdecydowanego izolacjonisty, skończyła się w roku 1917 wraz z przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny. Rodzina powróciła do Little Falls, gdzie Charles Augustus zajął się rolnictwem.

Po wycofaniu się z polityki Charles August Lindbergh zainwestował w hodowlę krów i owiec, a Charles Augustus zaczął pełnić na farmie rolę parobka, uczęszczając jednocześnie do najwyższej klasy High School, czyli liceum w Little Falls. Chociaż wyniki osiągał raczej mierne, w 1918 roku otrzymał dyplom ukończenia szkoły.

Zgodnie z obowiązującym wtedy prawem, dyplom taki umożliwiał wstęp na wyższe studia. Młody Charles Augustus marzył o szkole oficerskiej lotnictwa, ale wojna właśnie się skończyła, w związku z czym zredukowano liczbę miejsc i jego plany wzięły w łeb. Zapisał się więc na studia inżynieryjne na University of Wisconsin w Madison, ale w lutym 1922 roku oblał egzaminy z matematyki, fizyki oraz chemii, i wyleciał z uczelni z głośnym hukiem.

Chcąc spełnić marzenia syna, tato sięgnął do sakiewki i niecały miesiąc później Charles Augustus był już słuchaczem płatnego kursu mechaników samolotowych w Lincoln. Po dwóch miesiącach (i siedmiu godzinach nauki latania u boku nauczyciela) usiadł po raz pierwszy sam za sterem samolotu. Przez cały następny rok pracował jako kaskader i mechanik samolotowy w wędrownym „cyrku samolotowym”, prowadzonym przez Erola Bahla. Na wiosnę roku 1923 odłożył już tyle pieniędzy, że wystarczyło mu na kupno na



aukcji własnego samolotu. Był to pochodzący z demobilu armii USA ośmiocylindrowy dwupłatowiec Curtiss JN4-D, potocznie zwany „Jenny”, za który zapłacił równe pięćset „baksów”.

W 1924 roku wstąpił do szkoły kadetów lotnictwa w Broak Field, w pobliżu San Antonio. Spośród stu czterech przyjętych kadetów kurs ukończyło zaledwie osiemnastu, a Charles Augustus Lindbergh osiągnął wśród nich najlepszy wynik. Przy okazji niejako uzyskał stopień porucznika rezerwy US Air Force, ale o karierze wojskowej na razie nie myślał. W roku 1925, po nieudanej próbie zatrudnienia się jako jeden z trzech pilotów komandora Richarda Byrda, planującego przelot nad biegunem północnym, podjął pracę w zorganizowanej przez braci Williama i Franka Robertsonów firmie „Robertson Aircraft Corporation”, dostarczającej pocztę z Saint Louis w stanie Missouri do Chicago (Illinois).

Latał samolotem marki de Havilland DH-4, a loty na wspomnianej trasie należały ze względu na fatalne warunki atmosferyczne do najniebezpieczniejszych zadań amerykańskiego lotnictwa. Spośród zatrudnionych tam czterdziestu pilotów, w ciągu zaledwie kilku pierwszych miesięcy po uruchomieniu linii, życie straciło... trzydziestu jeden. Rozbiły się również dwa samoloty Lindbergha, ale z obu wypadków Charles Augustus wyszedł bez szwanku, ratując się za pomocą spadochronu. Nie bał się śmierci. Znał ją zresztą dobrze, niczym własne odbicie w lustrze przy goleniu. Była chuda, wysoka, o dużych silnych dłoniach. Siadywała często w ciasnym kokpicie jego samolotu, tak blisko, że czuł na karku jej oddech. Jeśli lot był długi, zabijał czas rozmowami z nią.

W roku 1927 nowojorski magnat hotelowy Raymond Orteig, wielki entuzjasta lotnictwa, ufundował nagrodę w wysokości 25 tysięcy dolarów za przelot bez lądowania między Nowym Jorkiem a Paryżem lub odwrotnie. Kilku śmiałków spróbowało, między innymi Rene Fonck, admirał Richard E. Byrd oraz Clarence Chamberlain, który później odbył samotnie przelot nad Atlantykiem jako drugi człowiek na świecie, dwa tygodnie po Lindberghu. Tragicznie zakończyła się próba francuskich weteranów I wojny świato-

wej, kapitana Charlesa Nungessera i jego nawigatora Raymonda Coli. 8 maja 1927 roku wystartowali samolotem Levasseur PL 8, nazwanym „L'Oiseau Blanc” (Biały Ptak), z lotniska Le Bourget pod Paryżem. Ostatni zanotowany kontakt nawiązano z nimi podczas przelotu nad Irlandią. Samolot nie dotarł do Nowego Jorku, nigdy nie ustalono miejsca ani przyczyny katastrofy.

Lindbergh również chciał podjąć wyzwanie, ale nie miał 15 tysięcy USD na zakup i przebudowę odpowiedniego samolotu. By zdobyć sponsorów, stroniący dotychczas od ludzi samotnik wstąpił w Saint Louis do loży masońskiej Keystone Lodge Nr 243, do której należało wielu zamożnych bankierów i przemysłowców. Konieczne fundusze zebrano i Lindbergh nabył za 6 tysięcy dolarów w firmie Ryan Aeronautical Company z San Diego lekką, jednoosobową maszynę drewnianej konstrukcji, z wielkim dodatkowym zbiornikiem na benzynę, mieszczącym 1705 litrów paliwa. Dołożył do niej dziewięciocylindrowy silnik Wrighta „Whirlwind J-5” za 4 580 \$, uchodzący w tamtym okresie za najbardziej niezawodny silnik lotniczy na świecie, i wykonał kilka koniecznych przeróbek, między innymi dodał ruchomy peryskop, ponieważ wbudowany bezpośrednio przed kokpitem zbiornik zasłaniał pilotowi widok. Gotowy samolot ważył z pełnymi zbiornikami 2230 kilogramy, osiągał prędkość ok. 200 km/h, a silnik miał moc 225 koni mechanicznych.

Próbną trasę z San Diego do Saint Louis (dwa tysiące kilometrów) Lindbergh przeleciał w czasie 14 godzin i 25 minut. Następnie udał się do Nowego Jorku, dokąd przybył po niecałych ośmiu godzinach. Pogoda sprzyjała, więc zdecydował się rozpocząć swój lot ponad Atlantykiem już następnego dnia o godzinie 7.40 rano, po nieprzespanych dwudziestu czterech godzinach. Zabrał ze sobą tylko minimalny bagaż: butelkę wody, parę tabliczek czekolady oraz kanapek z kiełbasą jako prowiant, nadmuchiwaną łożkę gumową, wędkę i parę rakiet sygnalizacyjnych na wypadek awaryjnego lądowania na falach. Nie wziął nawet czystej bielizny, aparatu do golenia i szczotki do zębów, ale – choć obojętny religijnie i

niepraktykujący – wziął również w podróż medalik z podobizną świętego Krzysztofa, patrona przewoźników, żeglarzy, podróżników, pielgrzymów i kierowców.

Wieczorem, 20 maja 1927 roku wystartował z Roosevelt Airfield w Garden City w stanie Nowy Jork. Zaledwie kilkanaście osób obserwowało, jak z trudem odrywa samolot od ziemi, tuż ponad stojącym w brzdach ciągnikiem. Po dwunastu godzinach lotu znalazł się nad Nową Fundlandią, po dwudziestu pięciu, gdy za oknem zobaczył rybacki kuter, wyłączył silnik i przeleciał nad nim lotem ślizgowym z otwartą kabiną, wrzeszcząc: „którędy do Irlandii?”. O godzinie 21 miejscowego czasu osiągnął brzeg Normandii.

Zawiadomiony telegraficznie o jego przybyciu rząd francuski, nakazał oświetlić całą drogę z Deauville do Paryża pochodniami, by ułatwić mu nawigację w ciemnościach.

Dwudziestego pierwszego maja o godzinie 22.24 samolot Lindbergha „Spirit of St. Louis” (Duch St. Louis) wylądował w stolicy Francji, po 33,5 godzinach lotu i sześćdziesięciu bezsennych godzinach pilota[2].

Prezydent Francji, Gaston Doumergue zawiesił na szyi lotnika najwyższe odznaczenie francuskie, Order Legii Honorowej"[3]. W

---

2 Pamięć lubi nam płatać często złośliwe figle. Kto był pierwszym człowiekiem, który przeleciał Atlantyk? Charles Lindbergh – odpowie większość adresatów takiego pytania. A tymczasem amerykański lotnik był dopiero dziewiętnastą osobą, która pokonała drogą powietrzną Ocean, aczkolwiek pierwszym, który uczynił to samotnie. Pierwszy lot przez Atlantyk bez międzylądowania wykonali prawie osiem lat wcześniej dwaj Brytyjczycy – John Alcock i Arthur Whitten Brown na zmodyfikowanym bombowcu Vickers Vimy IV pomiędzy 14 a 15 czerwca 1919 roku. Ich lot z Lester’s Field (Nowa Fundlandia) do Clifden (Irlandia) został jednak przyćmiony przez wyczyn Lindbergha. Warto jednak zauważyć, że wyczyn Brytyjczyków dotyczy przelotu pomiędzy wyspami na oceanie, natomiast Lindbergh przeleciał pomiędzy kontynentami.

3 Legia Honorowa (*L’Ordre national de la Légion d’honneur*) – najwyższe

drodze powrotnej bohater „zawadził” o Londyn, gdzie w Buckingham Palace przyjął go sam Jerzy V. W pewnym momencie król odprowadził pilota na stronę i konfidencjonalnym szeptem zapytał po cichu:

– Czy mogę zapytać, jak Pan właściwie dawał sobie radę z oddawaniem moczu przez tyle godzin?

– Używałem papierowych kubków, których zawartość wylewałem do Atlantyku – skłamał gładko Lindbergh.

W rzeczywistości – jak przyznał dużo później: – „Żał mi było tych Francuzów, którzy nieśli mnie na ramionach z lotniska Le Bourget... Miałem kompletnie przemoczone spodnie, siusiałem w nie...”.

W Londynie samolot rozebrano na części i razem z pilotem zapakowano na statek. Amerykańska flota wojenna eskortowała Lindbergha do Stanów, gdzie prezydent Calvin Coolidge odznaczył go Krzyżem Wybitnej Służby Lotniczej (Distinguished Flying Cross) i mianował pułkownikiem sił powietrznych USA.

W jednej chwili, a właściwie w ciągu 33,5 godziny Charles Lindbergh stał się znanym i bogatym człowiekiem. Dziennikarze uczynili z niego gwiazdę. Za przeprowadzenie z nim wywiadu czy sfotografowanie się z produktem jakiejś firmy oferowano mu bańskie sumy.

\*

W grudniu 1927 roku rząd USA wysłał Lindbergha w „misji dobrej woli” do Meksyku. Lot był nowym rekordem – odległość 3500 kilometrów pilot pokonał w ciągu 24 godzin, mając w zbiorniku 1425 litrów benzyny. Warunki atmosferyczne były bardzo trudne,

---

odznaczenie nadawane przez rząd francuski. Legia nadawana jest zarówno cywilom, jak i wojskowym, kobietom i mężczyznom, a także cudzoziemcom, za szczególne osiągnięcia w życiu wojskowym i cywilnym. Mottem orderu są słowa: *Honneur et Patrie* – Honor i Ojczyzna.

pogoda dżdżysta i mglista, tak że Lindbergh leciał na niewielkiej wysokości, orientując się według biegu torów kolejowych. Zastanowiło go przy tym, dlaczego jedna po drugiej ze stacji kolejowych nazywa się *Caballeros*... Dopiero później dowiedział się, że *caballeros* to męskie ubikacje na dworcach.

Miasto Meksyk nie wywarło na nim pozytywnego wrażenia. Na zewnątrz powietrze drżało aż do bólu źrenic. Wilgotne i lepkie, przypominało przezroczystą masę o nieokreślonej konsystencji. Ta lepkość i gęstość przenikała przez szczeliny opuszczonych żaluzji; właczał ją żar promieniujący od rozpalonej ziemi i bijący z nieba. Nagie i przeraźliwie czerwone słońce zawisło w zenicie nad miastem otępiałym od spiekoty. Kurz wciskał się wszędzie, bezczelnie i natrętnie, jak nachalny agent ubezpieczeniowy.

Niekontrolowane wyziewy niezliczonych, rzygających dymem kominów wisały nad otoczoną górami metropolią, sprawiając, że powietrzem w największym i najszybciej rozwijającym się mieście świata praktycznie nie dawało się oddychać. Przez cały okres pobytu Lindbergha nieustannie drapało w gardle. Kaszleć zaczął właściwie natychmiast po opuszczeniu hali lotniska. Oczy paliły go od smogu – tak gęstego, że gdyby nie jego kwaśny zapach i gryzący smak, można by pomyśleć, że to mgła. Mieszkańcy upodabniali się tu do skupiska much, które obsiadły wyrzucone na śmietnik wnętrzności kury.

Niedogodności osłodziły jednak zgromadzone na jego powitanie tłumy wiwatujących ludzi. Następnie Lindbergh został zaproszony na przyjęcie do amerykańskiej ambasady. Ambasadorem był wtedy bogaty biznesmen Dwight Morrow, ojciec trzech córek i jednego syna. Druga z córek, Anna, studiowała historię literatury w Nowym Jorku i przyjechała do rodziców na święta Bożego Narodzenia. Miała wielkie oczy i miękki uśmiech. Była cicha, radosna i... nieprzewidywalna jak wulkan.

Między obojgiem tych młodych ludzi wybuchło uczucie od pierwszego wejrzenia. Charles Augustus pozostał na kontynencie jeszcze przez dwa miesiące, odwiedzając szesnaście innych państw

Ameryki Łacińskiej, Anna zaś powróciła do USA. Po zakończeniu swej misji Lindbergh poleciał z powrotem do Waszyngtonu, gdzie rozstał się na zawsze ze swoim „Duchem Saint Louis”, darując samolot do muzeum. Można go tam oglądać do tej pory – w Narodowym Muzeum Lotnictwa i Kosmonautyki w Waszyngtonie.

We wrześniu roku 1928 Anna i Charles spotkali się w Nowym Jorku. W prasie zaczęły krążyć pogłoski o „romansie roku”, co oboje tych nieśmiałych młodych ludzi bardzo żenowało. Ambasador Morrow, którego różne insynuacje dziennikarzy zaczęły irytować, zwołał 12 lutego 1929 roku konferencję prasową. Ogłosił na niej oficjalnie „zaręczyny mej córki Anny Spencer Morrow z pułkownikiem Charlesem Lindberghiem”. Para pobrała się 27 maja tego samego roku, biorąc skromny ślub kościelny w letniej rezydencji Morrowów w stanie New Jersey. Charles miał 27 lat, Anna 23. Jak Lindbergh później dał dyskretnie do zrozumienia w swych wspomnieniach, oboje dotąd nie znali życia intymnego, co w owych czasach i protestanckiej, mieszczańskiej klasie społecznej nie było bynajmniej niczym wyjątkowym.

Nauczenie Anny trudnej sztuki nawigacji zabrało Charlesowi parę miesięcy. Na wiosnę roku 1930 zakupił za 20 000 dolarów nowy samolot, Lockheed-Sirius, z silnikiem o mocy 450 KM i z dwoma miejscami w kokpicie. W kwietniu tego roku pobił rekord szybkości w przelocie z wybrzeża zachodniego USA na wschodnie. Z Los Angeles do Nowego Jorku dotarł w ciągu 14,5 godzin – dotychczasowy rekord wynosił 17 godzin. Anna leciała z nim jako nawigator, będąc w zaawansowanej ciąży. Bardzo źle znosiła lot na wysokości 4500 metrów. Potem opisała ich wspólne przygody w książce *Z północy na wschód*, zaś od National Geographic Society otrzymała prestiżowy Medal Hubbarda, przyznawany za wybitne eksploracje, odkrycia i badania naukowe (Charles Lindbergh dostał to samo wyróżnienie siedem lat wcześniej, w roku 1927).

Dwudziestego drugiego czerwca 1930 roku urodził się pierwotny syn Lindberghów, Charles Augustus Junior, który ze względu na popularność ojca błyskawicznie awansował do roli „ulubio-

nego dziecka Ameryki”.

Jesienią tego samego roku rodzina postanowiła się przenieść do stanu New Jersey, gdzie, uciekając przed ciążącą mu sławą, Charles zakupił w górach Sourland leśną parcelę o powierzchni dwustu hektarów w pobliżu miasta Hopewell. Sourland Mountains rozciągają się od rzeki Delaware w Lambertville do zachodniego końca Hillsborough Township i poprzez Montgomery Township aż do Hopewell w hrabstwie Mercer (Mercer County). Wprawdzie najwyższy szczyt wznosi się zaledwie na wysokość 568 stóp (173 m) nad poziom morza, jednak Sourland Mountains to w sumie prawie 90 mil kwadratowych (233 km<sup>2</sup>) trudno dostępnych wzniesień i gęstych lasów, pozbawionych prawie zupełnie szlaków i ścieżek. Właśnie ze względu na izolację oraz niedostępność Lindbergh wybrał dla siebie i swojej rodziny to, a nie inne miejsce do życia.

Trzydzieści miesięcy po urodzeniu syna Lindberghowie oddali go pod opiekę mieszkających także w New Jersey rodziców Anny i wyruszyli na spotkanie nowej przygody – lot nad Pacyfikiem do Chin, dokąd nigdy jeszcze nie doleciał żaden amerykański pilot. Lindbergh przebudował swego Lockheeda na hydroplan i zamontował w nim nowy silnik o mocy 575 KM. Trasa prowadziła do Ottawy w Kanadzie, stamtąd – nad Alaską – na japońską wyspę Hokkaido i dalej do Tokio, gdzie powitało ich sto tysięcy entuzjastów awioniki.

Na koniec dolecieli do Nankinu, gdzie oczekiwał ich sam Czang Kaj-szek, aby nadać Lindberghowi wysokie odznaczenie Republiki Chińskiej – Order Wojskowy Niebieskiego Nieba i Białego Słońca. Dalsza podróż prowadziła do Szanghaju, ale tam samolot został uszkodzony w czasie holowania na wodzie. Jednocześnie nadszedł telegram o nagłej śmierci ojca Anny, tak że Lindberghowie polecieli rozmontować i zapakować maszynę na statek, sami zaś udali się do USA drogą morską.

Życie Lindberghów upływało jak w bajce. Zbyt pięknie. Zapomniana nieco śmierć poczuła się widocznie odtrącona i jak zazdrośna kochanka uznała, że czas odświeżyć znajomość z Charlesem...

Do swego nowego i obszernego, ale samotnie położonego na skraju lasu domu Charles i Anna przeprowadzili się w styczniu 1932 roku. 1 marca wieczorem Lindbergh pracował w swoim gabinecie, znajdującym się dokładnie pod pokojem syna. Był zimny, deszczowy wieczór. Wiatr zgarniał cirrusy zakrywające granatowe niebo, ukazując gwiazdy i księżyc w pełni. Za oknem rozciągał się zastygły, pomarszczony, górzysty teren, który nie miał granic. Patrząc przez okno na zewnątrz, doznawało się takiego poczucia zagubienia w przestrzeni, że można było zwariować.

Około godziny 21.30 Lindbergh usłyszał dziwny hałas z pierwszego piętra, gdzie spało dziecko, ale na dworze szalała wichura, założył więc, że to ona właśnie jest jego źródłem. Pół godziny później niania dwudziestomiesięcznego Charlesa, Betty Gow, udała się na górę, by sprawdzić, czy nie trzeba mu zmienić pieluszki. Zastała jedynie puste łóżeczko. Zaniepokojona pobiegła do matki dziecka, a gdy się okazało, że i przy niej go nie ma – do ojca. Małego Charlesa nie było przy żadnym z domowników. W pokoju na piętrze Lindbergh, oprócz pustego łóżeczka, znalazł zaklejoną białą kopertę. Gdy wybiegał z pokoju syna po sztucer, dostrzegł, że okno jest otwarte, a na podłodze znajdują się liczne ślady ubłoconych butów. Przeszukanie okolicznych zarośli nie przyniosło jednak efektu. W zimnych ciemnościach nie było nawet śladu dziecka.

\*

Pierwsze, co zrobił Lindbergh, to oczywiście zawiadomił policję, a właściwie zrobił to w jego imieniu dozorca posiadłości, Oliver Whately. Funkcjonariusze pojawili się w domu około 22.30, dowodzeni przez samego szefa Policji Stanowej New Jersey, Herberta Normana Schwarzkopfa, ojca Herberta Normana Schwarzkopfa Juniora, późniejszego (1991 r.) dowódcy międzynarodowych sił koalicji antyirackiej podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej (operacja „Desert Storm” – Pustynna Burza).

Natychmiast zablokowano wszystkie drogi wyjazdowe w okoli-



cy, jednak bez rezultatów. Pisany łamaną angielszczyzną z niemieckimi wstawkami list, którego zrozpaczony ojciec nie otwierał, aż do przybycia stróżów prawa, zawierał żądanie okupu w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów w niskich nominałach oraz standardowe niejako w tego rodzaju przypadkach ostrzeżenie, by o sprawie nie dowiedziała się policja:

*Dear Sir!*

*Have 50000\$ ready with 2500\$ in 20\$ bills 1500\$ in 10\$ bills and 1000\$ in 5\$ bills. After 2-4 days we will inform you were to deliver the Money. We warn you for making anyding public or for notify the polisę the child is in gute care. Indication for all letters are singnature and 3 holes.*

Na końcu listu, w prawym dolnym rogu, znajdował się dziwny rysunek złożony z kilku okręgów o średnicy mniej więcej jednego cala. Obszar, na którym okręgi się przecinały, został pomalowany na czerwono. Od tego momentu owo specyficzne malowidło stało się podpisem porywacza, dzięki czemu masę nieprawdziwych listów z instrukcjami dotyczącymi przekazania pieniędzy można było odrzucić jako działanie oszustów.

Z błędów gramatycznych i ortograficznych dało się wywnioskować, że porywacz nie zna dobrze języka angielskiego oraz że jest z pochodzenia Niemcem. Niewyrobiony charakter pisma świadczył z kolei, że jest to jakiś słabo wykształcony imigrant. Dalsze listy i inne błędy potwierdziły tezę, że nie była to „maska” mająca sprowadzić policję na fałszywy trop.

Porwanie potomka narodowego bohatera, „Orlątko” – jak ochrzciła go prasa, stało się największą sensacją 1932 roku, doniosły o nim wszystkie gazety i programy radiowe. Większość obywateli była oburzona, niektórzy jednak uznali sprawę za świetną okazję do promocji siebie i zapewnienia sobie sławy oraz wdzięczności całego społeczeństwa. Narodową histerię potęgowały dodatkowo wiadomości radiowe, zawierające apel do porywacza, by karmili dziecko według przygotowanej przez lekarza diety, chłopczyk miał

bowiem kłopoty z przewodem pokarmowym. Z pewnością jadłospis Charlesa Linbergha Juniora znała na pamięć cała Ameryka. Socjologowie oceniają, że od czasów zabójstwa Abrahama Lincolna Ameryka nie przeżyła większego niż ten szoku. Do rodziny przychodziły setki listów z wyrazami współczucia, w całym kraju odprawiano msze i nabożeństwa w intencji odnalezienia małego Karolka. W Sourland Mountains atmosfera przypominała tę sprzed wielu lat, zwaną „gorączką złota”. Poszukiwacze dziecka, wiedzeni swoją intuicją i chęcią pomocy, zatarli wszelkie ślady, które mogłyby doprowadzić policję do sprawcy.

Sprawa małego Charlesa Lindbergha Juniora, nazwana później „najbardziej szokującą zbrodnią dekady”, bądź też „największym wydarzeniem od czasu Zmartwychwstania”, przeszła do historii kryminalistyki ze względu na spore zainteresowanie opinii publicznej, zaangażowanie wielu zwykłych ludzi, masy oszustów zerujących na tragedii rodziców, błędy policji i agentów FBI, a przede wszystkim przez skazanie na śmierć najprawdopodobniej niewinnego człowieka...

Poszukiwaniami uprowadzonego chłopczyka zajął się sam John Edgar Hoover, wszechwładny szef FBI, rzucając do pracy sto tysięcy agentów w mundurach i cywilu. Jedynym rezultatem tych zabiegów było znalezienie drabiny z ułamanym szczeblem, której użył porywacz, by dostać się do pokoju dziecka. Za informacje, mogące pomóc w znalezieniu dziecka, władze New Jersey wyznaczyły dwadzieścia pięć tysięcy dolarów nagrody. Charles Augustus Lindbergh powiększył ją o dalsze pięćdziesiąt tysięcy, co na ówczesne czasy było ogromną sumą.

Kidnaper odezwał się ponownie dopiero 4 marca, przesyłając list z żądaniem zapłaty tym razem 70 000 \$. Podobnie jak pierwszy, także i ten list napisany był kulawą angielszczyzną, z licznymi błędami gramatycznymi i ortograficznymi. Zamiast podpisu figurowało kilka dziwnych okręgów. Po kilku dniach do rezydencji w Hopewell przyszedł trzeci list – jego autor „za karę” za zawiadomienie policji podwyższył okup do stu tysięcy. Pieniądze należało prze-

kazać na jednym z nowojorskich cmentarzy, Woodlawn Cemetery w Bronksie. W imieniu rodziny miał się tym zająć emerytowany nauczyciel, John F. Condon. Kilka dni wcześniej człowiek ów zgłosił się do Lindbergha, deklarując chęć pomocy, i z własnej kieszeni dołożył jeszcze tysiąc dolarów – wszystkie swoje oszczędności – do nagrody za wskazanie miejsca pobytu dziecka.

Nim doszło do przekazania okupu, Condon spotkał się na cmentarzu z porywaczem w celu ustalenia szczegółów wymiany. Mężczyzna – który prosił, by zwracać się do niego „John”, i oświadczył, że pochodzi ze Skandynawii – zapewniał również, że Charles Junior jest bezpieczny i obiecał przysłać dowód swojej prawdomówności. Porywacz nie był śledzony, ponieważ Lindbergh nie poinformował policji o spotkaniu.

Zgodnie z obietnicą, 16 marca Condon otrzymał paczkę ze śpioszkami, które Lindbergh bez trudu rozpoznał. Dwa tygodnie później przyszedł kolejny list – porywacze byli gotowi do przyjęcia okupu. Na innym nowojorskim cmentarzu, St Raymond’s, Condon spotkał się z mężczyzną, który mógł być „Johnem” z poprzedniego spotkania, chociaż siedemdziesięciodwuletni emeryt takiej pewności nie miał. Charles Lindbergh czekał na niego w zaparkowanym przed bramą nekropolii samochodzie, uzbrojony w gotową do strzału „czterdziestkę piątkę” – potężnego Colta typu „Government 1911 A1”.

Condon poinformował mężczyznę, że rodzina była w stanie zebrać tylko połowę kwoty ustalonego okupu. Oddawszy pieniądze (wycofywane już z obiegu banknoty wymienne na złote dolary, tzw. *gold certificates*, które bank lotnika skrzętnie ponumerował), pośrednik Lindbergha otrzymał list ze wskazówką, że dziecko ukryte jest na stateczku „Nelly” w pobliżu wybrzeża w Massachusetts. Policja wodna skontrolowała wszystkie statki, ale żadnej „Nelly” wśród nich nie było. Nie było – oczywiście – także dziecka. Rodzice odchodzili od zmysłów.

Zrozpaczone małżeństwo zamieściło w gazecie ogłoszenie skierowane do porywaczy, że nie obstaje przy ukaraniu kidnaperów,

okup zapłaci, i pragnie tylko powrotu swojego ukochanego syna, instrukcji dotyczących dostarczenia żądanych sum oraz jakiegokolwiek dowodu, że ich maluch żyje. Swoją pomoc Lindberghom zaoferowali nawet nowojorscy gangsterzy, oferując pośrednictwo w negocjacjach, przekazaniu pieniędzy oraz przywiezieniu chłopca do jego rodziców.

Jako pierwszy odezwał się notowany przez policję przemytnik alkoholu, Mickey Rosner, obiecując odnaleźć dziecko w ciągu tygodnia. Skasował od Lindbergha dwa i pół tysiąca dolarów tytułem zaliczki na koszt, lecz nie udało mu się odnaleźć malca ani w ciągu tygodnia, ani w ciągu dwóch. Nie udało mu się nigdy.

Z więzienia federalnego w Atlancie podobną propozycję wysunął skazany na 12 lat pobytu za kratkami Al Capone. Bo któż może szybciej złapać przestępcę, jeśli nie ich niekwestionowany król. Licząc na złagodzenie wyroku, „Człowiek z blizną” zasłaniał się tym, że sam ma dzieci, więc doskonale rozumie tragedię rodziny.

Kilka dni później w mieszkaniu Lindbergów zadzwonił telefon:

– Mam go, panie Lindbergh, mam go!

– Kto mówi i kogo pan ma? – zapytał spokojnie Charles. Funkcjonariusze FBI gwałtownie usiłowali namierzyć numer.

– No jak to kogo? Pańskiego syna przecież.

– Pan jest porywaczem?

– Diabła tam, porywaczem. Jestem szeryfem. Mówię panu przecież, że odnalazłem pańskiego syna. Jest cały i zdrowy. Słyszysz pan?

Serce nieustraszonego lotnika zabiło żywiej, z nadzieją. Wkrótce jednak okazało się, że jakiś małomiasteczkowy szeryf aresztował małżeństwo spacerujące z jasnowłosym chłopczykiem i nie chcąc się dzielić sławą, zadzwonił bezpośrednio do pułkownika. Powiadomiono miejscowego lekarza, żeby zidentyfikował chłopca. Charles Junior miał zdeformowane paluszki u stóp. Okazało się, że znalezione dziecko było synkiem aresztowanego małżeństwa, bo palce miało rozwinięte wzorcowo dla swojego wieku. Małżeństwo zrekompensowało sobie straty moralne, podróżując po całych Stanach

i pokazując za piętnaście centów sobowtóra porwanego Juniora.

Oczywiście, jak zawsze w tego typu przypadkach, pojawiły się całe zastępy hien i naciągaczy, usiłujących zarobić parę dolarów na czyimś nieszczęściu. Niejaki Gaston Bullock Means na przykład, były agent FBI, wyrzucony z firmy przez Hoovera w 1924 roku. Kreatura ta, zdobywszy zaufanie przyjaciółki Lindberghów, Evalyn Walsh McLean, dotkniętej wcześniej podobną tragedią, wyłudziła od niej ponad sto tysięcy dolarów, które miały jakoby zostać dostarczone porywaczom za uwolnienie chłopca. Pieniądze pochodziły z oszczędności i sprzedaży biżuterii pani McLean. Oszust mamił nieszczęśliwą kobietę perspektywą spotkania z porywaczami, na które wyjeżdżała wielokrotnie w różne części Stanów, do Teksasu i Południowej Kalifornii. W końcu, poradziwszy się najpierw znajomego adwokata, powiadomiła o sprawie policję. Pan Gaston B. Means został aresztowany i 13 czerwca 1932 roku skazany na piętnaście lat pozbawienia wolności, za to i kilka innych przestępstw, jednak z wyłudzonych pieniędzy nie udało się odzyskać nawet dolara.

Mijały dni i tygodnie. Śledztwo nie przynosiło żadnych rezultatów, porywacz przestał kontaktować się z rodziną. Cała Ameryka wstrzymała oddech, oczekując na najgorsze.

I to najgorsze wkrótce nastąpiło.

\*

Dwunastego maja zniekształcone i częściowo zjedzone przez dzikie zwierzęta zwłoki dziecka (bez lewej nogi i obu rąk), odkrył przypadkowo kierowca ciężarówki, który zatrzymał się za potrzebą. Przykryte niedbale ściółką ciało, przy którym brakowało odzyskanych wcześniej śpioszków, leżało w lesie, twarzą w dół, około dwustu metrów od posesji Lindberghów. Niewiele więcej niż szkielec, zarys ludzkiej formy w ciemności, w mrocznej stercie igliwia. Rozkład zwłok był tak daleko posunięty, że początkowo nie dało się nawet stwierdzić, czy to chłopiec czy dziewczynka.

Wezwany do kostnicy ojciec natychmiast rozpoznał swojego

synka po zniekształconych paluszkach u nóg, uzębieniu i charakterystycznym dołku na podbródku. Siedemdziesiąt trzy dni dramatycznego oczekiwania dobiegło końca. Gubernator stanu New Jersey, A. Harry Moore, oznajmił światu smutną dla całego kraju wiadomość, że porwane dziecko Lindberghów nie żyje.

Po dokonaniu sekcji Lindbergh kazał zwłoki natychmiast spalić, a prochy rozsypał nad morzem. Do końca życia nie chciał rozmawiać o tej sprawie.

Sekcja wykazała, że dziecko zostało zabite w noc porwania uderzeniem w głowę, które spowodowało złamanie podstawy czaszki oraz krwotok wewnętrzny. A porywacz (porywacze?) jakby zapadł się pod ziemię. Pomimo prowadzonego nadal intensywnie śledztwa ani policjanci, ani agenci Federalnego Biura Śledczego nie mogli natrafić na choćby jeden, najmniejszy ślad. Jedyną korzyścią stał się fakt otrzymania przez organy ścigania dodatkowych i stałych kompetencji w wypadku kidnapingu – porwanie stało się od-tąd zbrodnią o charakterze federalnym (tzw. *Casus Lindbergh*).

Śledztwem kierowało z ramienia policji i FBI dwóch doświadczonych funkcjonariuszy, James Finn i Frank McCartyhe. Z wielką energią (lepiej późno niż wcale) zabrali się za służbę Lindberghów. Podejrzanie padło na piękną pokojówkę, 28-letnią Violetę Sharp, służącą w domu bez zarzutu przeszło rok. Okazało się mianowicie, iż w dniu porwania Violetta wraz ze swoją siostrą, również pokojówką, wyszły na randkę z nieznajomymi, poznanymi w karczmie mężczyznami, których nazwisk nie znały do tej pory.

Przesłuchanie Violetty prowadził inspektor Harry W. Walsh z departamentu policji w New Jersey. Pokojówka zeznawała chętnie, rzeczowo i ze szczegółami, jednak po wielogodzinnym „maglowaniu” zaczęła się coraz bardziej denerwować. Jej odpowiedzi stały się dużo mniej precyzyjne i opryskliwe, co tylko utwierdziło Walshę w przekonaniu, że trafił na właściwy trop. Niegrzeczne, obcesowe pytania sugerowały, że nawet jeśli panna Sharp nie współpracowała z porywaczami, to jest niełojalna, plotkuje o rodzinie, dla której pracuje, a jej moralność jest wątpliwa.

Dla młodej kobiety było to zbyt wiele. Kilka godzin później popełniła w swoim pokoju samobójstwo, spożywając cyjanek zawarty w proszku używanym do czyszczenia srebra. Pozostał jednak jeszcze jej tajemniczy narzeczony, marynarz, w samochodzie którego znaleziono pustą butelkę po mleku. Ponadto mężczyzna ten był Norwegiem, co mogło tłumaczyć germanizmy w listach, oraz nie miał prawa pobytu w USA, był więc podwójnie podejrzany. Ale po dokładniejszym sprawdzeniu okazało się, że narzeczony ma niepodważalne alibi na tamten wieczór, więc tylko deportowano go do ojczyzny, jako nielegalnego imigranta.

Reszta służby była czysta jak łąza i FBI mogło liczyć jedynie na schwytanie mordercy dzięki zapisanym numerom banknotów. Jak wspomniano wcześniej, okup za małego Charlesa został przekazany w postaci dziesięciodolarowych *gold certificates* (mających pokrycie w złocie), które do 1 maja 1933 roku należało wymienić na zwykłe dolary. Policja miała nadzieję, że porywacze postanowią wymienić większą ilość pieniędzy za jednym razem, co dawałoby szansę ich zidentyfikowania. Ale banknoty, owszem, wypływały co jakiś czas w różnych miejscach, lecz płacono nimi za drobne zakupy w sklepach spożywczych, tak że sprzedawcy nie potrafili powiedzieć, kto się nimi posłużył.

Dopiero prawie trzydzieści miesięcy od porwania, dokładnie 15 września 1934 roku, na stacji benzynowej w Bronksie, północnej dzielnicy Nowego Jorku, właściciel niebieskiego Dodge'a uregulował rachunek dziesięciodolarowym *gold certificate*. Widząc ten jakże rzadki banknot, właściciel interesu, Walter Lyle, zanotował numer rejestracyjny samochodu płacącego. Bank, przyjmując od niego dzienny utarg, stwierdził, że banknot pochodzi z okupu Lindbergha i zaalarmował policję.

Ustalenie adresu posiadacza samochodu i dziesięciodolarowych „złotych certyfikatów” zajęło funkcjonariuszom niewiele czasu. Po kilkunastu minutach w jego domu przy 1279 East 222nd Street w Bronksie rozległo się głośne pukanie...

\*

Człowiekiem, który odwiedził stację benzynową w Bronksie, płacąc banknotami z okupu, okazał się Bruno Richard Hauptmann, 34-letni stolarz, nielegalny imigrant z Niemiec, który przybył do Stanów w roku 1923. Jako siedemnastolatek wziął udział w I wojnie światowej, zaś krótko po jej zakończeniu został skazany za kradzież pieniędzy z mieszkania, do którego dostał się po drabinie! Po czterech latach pobytu za kratkami udało mu się uciec i wyjechać do Ameryki. W 1925 roku ożenił się z niemiecką kelnerką, Anną Schoeffler, z którą miał syna o imieniu Manfred – na cześć niemieckiego lotnika Manfreda Albrechta von Richthofena, największego asa myśliwskiego okresu I wojny światowej, nazywanego „Czerwonym Baronem”, który odniósł osiemdziesiąt oficjalnie uznanych zwycięstw powietrznych.

Przeszukanie domu Hauptmanna ujawniło kolejnych piętnaście tysięcy dolarów, którymi zapłacono za wolność syna Lindbergha. Podejrzany zarzekał się wprawdzie, że pieniądze odnalazł przypadkowo w rzeczach swego zmarłego niedawno współnika, niemieckiego Żyda, Isidora Fischa, ale nie uchroniło go to od aresztowania. Wspomniany Fisch zmarł na białaczkę 29 marca 1934 roku w Lipsku, w Niemczech, dokąd wyjechał kilka tygodni wcześniej, ścigany w USA wyrokiem sądowym za liczne kradzieże.

Podczas przesłuchania okazało się, że na dzień porwania Hauptmann ma murowane alibi. Spędził go mianowicie ze znajomym małżeństwem piekarzy, którzy potwierdzili ten fakt w każdym szczególe. Śledczy jednak nie dali zbić się z pantaląku. Zbadali złamany szczebel drabiny odnalezionej na miejscu przestępstwa i odkryli, że strop chaty podejrzanego był wykonany z tego samego drewna! Poza tym biegli grafolodzy wykazali niezbiecie, że charakter jego pisma zgadza się z charakterem osoby piszącej listy z żądaniami okupu. Bruno Hauptmann stanął przed obliczem sądu oskarżony o zbrodnię pierwszego stopnia.

Z nieznanymi bliżej przyczyn na miejsce procesu wyznaczono



Flemington, małe miasteczko w New Jersey, gdzie podczas jego trwania liczebność przybyłych dziennikarzy i gapiów przekroczyła znacznie liczbę stałych mieszkańców. Rozprawie przewodniczył sędzia Thomas W. Trenchard, oskarżał David T. Willentz, 38-letni prawnik o uśmiechu filmowej gwiazdy i manierach portowego rzemieślnika, z nieodłącznym cygarem w ustach i czarnej fedorze<sup>[4]</sup> na głowie. Hauptmana bronił Edward J. Reilly, znany adwokat z Brooklynu, któremu asystował lokalny mecenas z Flemington, C. Lloyd Fischer, specjalizujący się jednak na co dzień raczej w sprawach cywilnych. Taktyka Reilly'ego polegała głównie na ataku na niedociągnięcia w śledztwie i nieudolność policji. Metoda ta okazała się wprawdzie skuteczna, ale... dopiero sześćdziesiąt lat później, w wykonaniu Johna Cohrana, obrońcy O.J. Simpсона. W przypadku Bruno Hauptmanna zawiodła na całej linii.

Chociaż w trakcie całego procesu niemiecki imigrant zaprzeczał, że to on porwał, a następnie zabił dziecko Lindberghów, to dowody i zeznania świadków wskazywały właśnie na niego. Dodatkowo, sam się pogrążył, nie potrafiąc wyjaśnić racjonalnie wielu faktów. Zapewne ciężąca nad procesem olbrzymia presja społeczna – chodziło przecież o porwanie i zabójstwo potomka największego supermana Ameryki – spowodowała, że sąd pominął zupełnie dowody wskazujące na niewinność oskarżonego. Opinia publiczna chciała kary, opinia publiczna chciała głowy winnego, więc troska o praworządność i realne dowody spadła na plan dalszy. Biorąc to wszystko pod uwagę, werdykt nie mógł być inny. Po odbyciu 29 sesji sądowych i przesłuchaniu 162 świadków, w środę, 13 lutego 1935 roku Bruno Hauptmann został skazany na śmierć na krześle

---

4 Fedora – model kapelusza z rondem, zwykle filcowego, z wklęsłą fałdą wzdłuż główki, powstały w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku. Nazwa pochodzi od imienia głównej bohaterki sztuki francuskiego dramaturga Victoriena Sardou z 1882 roku pod tytułem *Fedora* – księżniczki Fedory Romazowej, noszącej podobne nakrycie głowy. Brązowy kapelusz tego typu pojawiał się na głowie Harrisona Forda w filmach z cyklu *Indiana Jones*.

elektrycznym. Wydanie decyzji o winie oskarżonego zabrało sędziom przysięgłym jedenaście godzin.

Wyrok wykonano 3 kwietnia 1936 roku. Dźwignię włączającą prąd pociągnął Robert G. Elliott, ten sam kat, który dziewięć lat wcześniej usmażył na krześle elektrycznym Sacco i Vanzettiego[5].

Dziś mówi się o nim jako ofierze sądowego zabójstwa. Niemiecki stolarz do samego końca utrzymywał, że jest niewinny. Nie zmienił zdania nawet wtedy, gdy proponowano mu, że za przyznanie się do winy jego kara zostanie zamieniona na dożywocie. Gdy po latach zbadano sprawę ponownie (uczyniło to kilka niezależnych od siebie osób), okazało się, że Hauptmannowi udowodniono na dobrą sprawę tylko to, że posługiwał się pieniędzmi, którymi zapłacono okup. Pozostałe dowody bez trudu można by podważyć.

W przeprowadzonej na użytek postępowania ekspertyzie grafologicznej pominięto zupełnie możliwość, że pismo, jakim posługiwał się autor listów z żądaniami okupu, tylko naśladowało charakter pisma Hauptmanna. Jak stwierdzono niezbitie dużo później, pismo było nienaturalnie pogrubiane i zaokrąglane – dokładnie tak, jakby ktoś chciał się na kimś wzorować. Drabina użyta przy porwaniu zrobiona była z takiego samego drewna jak strop domu stolarza, co nie znaczy bynajmniej „tego samego”. Poza tym... miał on

---

5 Dwóch włoskich imigrantów, Nicola Sacco i Bartolomeo Vanzetti zostało oskarżonych o dokonanie 7 kwietnia 1920 roku napadu na firmę obuwniczą Slater & Morill w South Braintree (Massachusetts), podczas którego zginęli kasjer i strażnik. Mimo licznych wątpliwości, w roku 1927, siedem lat po morderstwie, sąd odrzucił ostatnią apelację, utrzymując w mocy wydany wyrok śmierci na obydwu anarchistów. Nocą, 22 sierpnia 1927 roku tych dwóch ludzi, którzy przez lata gromadzili wokół swej sprawy nadzieje i obawy milionów ludzi na całym świecie, posadzono na krześle elektrycznym. Czy naprawdę byli winni? Na podstawie dostępnych dzisiaj dowodów powszechnie uważa się, że Sacco tak, Vanzetti nie. Sacco, składając zeznanie, mógł oszczędzić kolegę, ale byłaby to według niego zdrada ruchu anarchistycznego. Vanzetti powinien był umrzeć – nie za zbrodnię, której nie popełnił, lecz za sprawę.

szopę pełną różnego drewna, jak to stolarz...

Zeznania świadków także w gruncie rzeczy były diabła warte i z łatwością można by je podważyć. Charles Lindbergh zeznał na przykład, że głos osoby, która odbierała okup, to głos Hauptmanna. Ale jedyne słowa, jakie usłyszał od mężczyzny odbierającego okup, to: „Hey, doctor” (Lindbergh przyglądał się Condonowi przekazującemu okup). Co więcej, od czasu wręczenia pieniędzy tajemniczemu mężczyźnie, do chwili, gdy po raz pierwszy Lindbergh usłyszał głos Hauptmanna, upłynęły dwa lata.

John F. Condon, który jako jedyny widział przestępcę, grzmiał w sądzie, że to właśnie stolarz uprowadził i zabił dziecko. Wcześniej jednak, podczas policyjnego okazania nie potwierdził bynajmniej, że Bruno Hauptmann i tajemniczy „John”, któremu wręczył na cmentarzu walizkę z pieniędzmi, to ta sama osoba.

– Niby posturą podobni, ale głos zupełnie nie ten – powiedział dokładnie emerytowany nauczyciel.

Inny świadek, który rzekomo widział Hauptmanna w pobliżu rezydencji Lindberghów, okazał się człowiekiem... od urodzenia niewidomym...

\*

Mając dość policji i dziennikarzy, Charles i Anna wyprowadzili się na pewien czas do Europy. Ona pisała, on planował kolejne wyprawy. Ona płakała, on wydawał się nieporuszony. Siedemdziesiąt lat później prasa zaczęła spekulować, że to właśnie wówczas w jego psychice coś pękło z tęsknoty. Coś, co zmuszało go do tego, żeby dzieci mieć jak najwięcej. Anna urodziła mu ich jeszcze sześcioro, do tego doszły nieślubne...

W roku 1936 przyjaciel Lindbergha, major Truman Smith otrzymał stanowisko attaché wojskowego przy ambasadzie amerykańskiej w Berlinie. Ten znakomity oficer wywiadu już od dłuższego czasu obserwował z niepokojem rosnącą potęgę militarną trzech europejskich dyktatur: niemieckiej, włoskiej i sowieckiej.

Doszedłszy do wniosku, że podziwiany na całym świecie i witany wszędzie z otwartymi ramionami as lotnictwa może być bardzo użyteczny dla jego służby, Smith zachęcił Charlesa – w tym czasie już pułkownika rezerwy armii USA – do odwiedzenia Berlina. Osobiste zaproszenie wystosował sam szef Luftwaffe, Hermann Göring.

Po uroczystym powitaniu na lotnisku Tempelhoff, Lindberghowi przedstawiono całą czołówkę niemieckich pilotów, z osławionym weteranem I wojny światowej, Ernstem Udetem na czele. Pozwolono mu wypróbować dumę Göringa, samolot Junkers Ju52, pokazano też najnowsze myśliwce i bombowce. Będący pod wrażeniem pokazu Amerykanin, natychmiast doniósł w tajnym raporcie rządowi USA, że jeśli nawet Niemcy nie są jeszcze pierwszą potęgą powietrzną Europy, to w każdym razie są już bardzo blisko osiągnięcia tej pozycji. Zaproszono go także jako gościa honorowego na otwarcie berlińskiej olimpiady – „Ten fanatyzm mnie mierzi – napisał potem – ale niewątpliwie Niemcy są najbardziej interesującym krajem świata”.

Podczas kolejnego pobytu w Niemczech, w roku 1937 Charles Lindbergh odwiedził zakłady produkcyjne Messerschmitta i Dorniera. O swoich spostrzeżeniach natychmiast poinformował Trumana Smitha: „Niemcy są znów potęgą światową w lotnictwie, prawie równą Anglii i o wiele przewyższającą Francję”. Podczas trzecich odwiedzin, w roku 1938 otrzymał od Göringa Order Orła Niemieckiego oraz szablę honorową niemieckich sił powietrznych, zaprojektowaną przez samego marszałka. Nie bardzo rozumiejąc, jakież to zasługi ma dla III Rzeszy, Lindbergh trochę się zawahał, w końcu jednak przyjął wyróżnienia, co z czasem stało się jedną z przyczyn oskarżania go przez koła lewicowe o sympatie nazistowskie.

Z Niemiec udał się w kolejnej misji wywiadowczej do ZSRR, odwiedzając po drodze Polskę i Czechosłowację. Przyjęty w Moskwie morzem wódki i kubłami kawioru, zdołał jednakowoż zachować umysł na tyle trzeźwy, żeby wysłać rządowi USA kolejny raport.

Stwierdził w nim, że flota powietrzna Sowiec jest o wiele słabsza od niemieckiej i że państwo Stalina odznacza się „azjatyckim despotyzmem”. Napisał też, że Niemcy są mimo wszystko bastionem Europy przeciwko bolszewickiej nawale i że w chwili decydującej wolałby jednak dyktaturę Hitlera od dyktatury proletariatu. W oczach niektórych stanowiło to poważną zbrodnię. Fragmenty raportu jakimś cudem wyciekły do amerykańskiej prasy, w dużej części lewicowej, wywołując prawdziwą burzę. Zaczęło się odsądzanie dotychczasowego bohatera od czci i wiary.

Po dwuletnim pobycie w Anglii, dokąd przenieśli się po śmierci syna, wiosną 1939 roku Lindberghowie powrócili do USA. Dowódcy amerykańskiej Air Force, generałowi Henry'emu H. Arnoldowi, Charles złożył raport, w którym podkreślił olbrzymią przewagę Luftwaffe nad siłami powietrznymi Anglii i Francji. Uzupełnił go o dwa swoje osobiste przekonania: konieczność szybkiej i masywnej rozbudowy amerykańskich sił powietrznych oraz utrzymanie za wszelką cenę neutralności Stanów Zjednoczonych w zbliżającym się konflikcie światowym. Tego ostatniego punktu widzenia nie zmienił nawet po osobistej rozmowie z Franklinem Delano Rooseveltem, który bezskutecznie usiłował go przekonać do zaprzestania antywojennej agitacji. W zamian prezydent zaproponował mu nowo utworzone stanowisko ministra lotnictwa w swym gabinecie, ale Lindbergh nie przyjął oferty. Z kolei znajdujący się początkowo w obozie izolacjonistów Republikanie chcieli wysunąć jego kandydaturę na prezydenta USA, lecz także spotkali się z odmową.

W jednym z przemówień Roosevelt nazwał Lindbergha defetystą, porównując go ze zdrajcami z czasów amerykańskiej wojny secesyjnej, a minister spraw wewnętrznych Harold L. Ickes zarzucił mu wprost współpracę z Niemcami (jako dowód przytoczył fakt, że Lindbergh nie odesłał do Berlina swego niemieckiego orderu po rozpoczęciu II wojny światowej). Wkurzony lotnik, czujący się zawsze amerykańskim patriotą, odesłał w odpowiedzi prezydentowi swój oficcerski patent, a 11 września 1941 roku stwierdził w Des

Moines, że głównymi podżegaczami wojennymi są rząd Roosevelta, brytyjskie Secret Service oraz wielki kapitał żydowski i jego potęga medialna, którzy dla swych interesów chcą poświęcić życie milionów młodych Amerykanów. Zaznaczył przy tym wyrażenie, że nie jest antysemitą i że potępią brutalny antysemityzm III Rzeszy.

Pośród większości amerykańskiego społeczeństwa jeszcze pod koniec 1941 roku istniała głęboka obawa przed wciągnięciem do wojny w obronie – jak uważało wielu – imperialnych interesów Wielkiej Brytanii. Znana była podejrzliwość i rezerwa, z jaką bardzo wielu ludzi odnosiło się do Roosevelta, widząc w nim człowieka, który za swe posłannictwo uważał poskromienie Hitlera i Mussoliniego. Amerykanie nie chcieli wojny i starali się pogodzić uczucie nienawiści do napastników z pragnieniem utrzymania własnego spokoju. Izba Reprezentantów zaledwie jednym głosem większości uchwaliła ustawę o przywróceniu obowiązkowej służby wojskowej. Tak jak dwa lata wcześniej Francuzi nie chcieli ginąć za Gdańsk, tak teraz Amerykanie nie mieli najmniejszego zamiaru umierać za Paryż czy Londyn.

Zorganizowaną opozycję wobec prezydenckiej polityki tworzył komitet o nazwie „Przede Wszystkim Ameryka” (America First Committee – CAM), który zawiązał się na dwa dni po podaniu do publicznej wiadomości informacji o podpisaniu układu „okręty za bazy”[6]. Wspomagany finansowo przez chicagowskich biznesme-

---

6 W dniu 10 czerwca 1940 r. Roosevelt ogłosił decyzję o wszechstronnej pomocy dla Wielkiej Brytanii. Wykorzystując w zręczny sposób istniejącą lukę prawną, prezydent obszedł ustawę o neutralności i nakazał przekazanie „nadwyżek” samolotów, karabinów i amunicji armii brytyjskiej, która straciwszy niemal cały sprzęt pod Dunkierką, stała w obliczu niemieckich bombardowań, blokady morskiej i inwazji na własne terytorium.

Kiedy jednak Churchill zwrócił się do Amerykanów z prośbą o przekazanie pięćdziesięciu starych niszczycieli, Roosevelt stanął przed dylematem. Zgoda, tak jaskrawo naruszająca politykę neutralności,

nów, kierowany był przez takie osobistości jak były prezydent Herbert Hoover, i znanych z izolacjonistycznych poglądów senatorów Geralda P. Nye oraz Burtona K. Wheelera. Jednym z przywódców Komitetu został również Charles Augustus Lindbergh. Ruch nie był związany z określoną partią polityczną czy klasą społeczną. Większość jego zwolenników pochodziła ze Środkowego Zachodu, gdzie ze względu na znaczną odległość od wybrzeża panowało poczucie bezpieczeństwa. Poza tym największe wpływy posiadała tam Partia Republikańska, krytycznie odnosząca się do polityki Roosevelta i to zarówno wewnętrznej, jak i zagranicznej.

Wierząc, że Hitler nie stanowi zagrożenia dla amerykańskiego bezpieczeństwa narodowego, Komitet zamierzał nie dopuścić do wciągnięcia Stanów Zjednoczonych do wojny i aby to osiągnąć, pragnął unieważnienia wszystkich umów dotyczących Wielkiej Brytanii. Na jego niekorzyść przemawiało jednak zdecydowane poparcie ze strony takich środowisk jak zwolennicy ojca Coughlina i inne antysemityczne ugrupowania, komuniści (tylko do momentu inwazji na Związek Radziecki), czy sympatycy nazizmu w rodzaju Związku Niemiecko-Amerykańskiego GAB (German-American Bund).

Wszystko zmieniło się 7 grudnia 1941 roku, kiedy to pod osłoną mgieł i burz japoński admirał Chuichi Nagumo zaatakował amerykańską bazę wojskową Pearl Harbor na wyspie Oahu na Hawajach, gdzie stacjonował główny trzon sławnej Floty Pacyfiku. Około godziny dziesiątej bitwa była już zakończona. Nad Pearl Harbor zamilkł ryk silników, świst i wybuchy bomb, serie karabinów maszynowych. Słychać było tylko wycie syren ambulansów, eksplozje

---

mogła napotkać na głośny i zdecydowany sprzeciw izolacjonistów. Znalazł jednak wyjście, polegające na udostępnieniu w zamian przez stronę brytyjską baz w jej posiadłościach na półkuli zachodniej, rozciągających się od Wysp Bahama aż do Gujany Brytyjskiej. Ponadto Churchill zgodził się na przekazanie na podobnych zasadach (dziewięćdziesięcioletnia dzierżawa) baz na Bermudach i Nowej Fundlandii.

pocisków w kadłubach płonących okrętów i łoskot załamujących się hangarów oraz magazynów. Nieprzyjaciel wycofał się, pozostawiając za sobą morze płomieni i chmury dymu. I jeszcze coś. Gorące uczucie zemsty Stanów Zjednoczonych, które zostały wystawione na pośmiewisko świata. Nawet najzagorzalsi krytycy Roosevelta nie kwestionowali konieczności odwetu.

Japońska agresja wybitnie ułatwiła Rooseveltowi sytuację i przyczyniła się do pełnego zjednoczenia narodu amerykańskiego w dążeniu do ukarania napastników i zapobieżenia zagrożeniu życiowych interesów Ameryki na przyszłość. Dzień po ataku prezydent zwrócił się do Kongresu z żądaniem wypowiedzenia wojny Japonii i nazwał dzień 7 grudnia 1941 roku „hańbą”. Kongres zatwierdził deklarację o rozpoczęciu działań wojennych zaledwie przy jednym głosie wstrzymującym się. Nie powiadomieni uprzednio o japońskich planach Niemcy i Włosi wypowiedzieli Ameryce wojnę 11 grudnia. W ten sposób Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny po stronie koalicji.

\*

Charles Lindbergh zgłosił się jako ochotnik do wojska, ale na osobisty rozkaz Roosevelta odmówiono mu przyjęcia do US Air Force. W tej sytuacji Henry Ford zatrudnił go w charakterze pilota – oblatywacza przy lotach próbnych bombowca B-24, produkowanych przez jego zakłady w Detroit. Później został doradcą przy konstrukcji kolejnej superfortecy, B-29.

Od lata roku 1944 Lindbergh – jako cywil – brał udział w nalotach US Air Force na pozycje japońskie na Pacyfiku. Latał na samolotach F4U Corsair w jednostkach VMF-222 oraz P-38 Lighting, był również doradcą w zakresie dalekich przelotów. W sumie wziął udział w pięćdziesięciu atakach bombowych i osobiście zestrzelił samolot zwiadowczy Mitsubishi Ki-51. Za duszę japońskiego pilota, który stracił przy tym życie, modlił się później przez wiele lat.

Śmierć Franklina D. Roosevelta (12 kwietnia 1945 r.) diametral-



nie odmieniła sytuację Charlesa Lindbergha. Już niespełna miesiąc później nowy prezydent Harry Truman wysłał go w tajnej misji do Niemiec w celu zbadania, jak daleko posunęły się prace uczonych III Rzeszy w dziedzinie rakiet i samolotów odrzutowych. Został również obarczony zadaniem zwerbowania do współpracy z USA jak największej liczby niemieckich specjalistów, spośród których wielu znalazł osobiście z lat przedwojennych. „Rosjanie nigdy się nie wahali mianować hitlerowskich specjalistów od rakiet antyfaszystami, jeśli to odpowiadało ich interesom – napisał kilka lat później. – Musieliśmy temu zapobiec”.

W roku 1947 Lindbergh został powołany do „Strategic Air Command”, gdzie pracował w sztabie ekspertów rozwijających broń raketową oraz testował wszystkie nowe myśliwce i bombowce amerykańskie. W roku 1948, w czasie blokady Berlina współorganizował most powietrzny do Berlina Zachodniego, biorąc jednocześnie udział w lotach jako pilot, pasażer i doradca. Pracował również jako główny doradca szefa linii lotniczych „Pan American”, Juana Trippe, przy zmianie floty przedsiębiorstwa ze śmigłowców na odrzutowce.

W kwietniu 1954 roku prezydent Dwight Eisenhower mianował Charlesa Lindbergha generałem brygady oraz swym osobistym konsultantem w sprawach dotyczących struktur NATO w Europie. W celu prowadzenia swej misji sławny lotnik otrzymał własne biuro z siedzibą w Rzymie, podporządkowane bezpośrednio Eisenhowerowi. Jako sekretarka pracowała tam pewna pruska arystokratka o imieniu Valeska...

W latach powojennych małżeństwo Charlesa z Anną Moro w zaczęło się rozpadać, choć Lindberghowie nigdy nie wnieśli o rozwód. Jeszcze podczas wojny Anna nawiązała romans z francuskim lotnikiem i pisarzem nazwiskiem Antoine de Saint-Exupéry, autorem *Małego Księcia*, *Twierdzy* i *Poczty na Południe*, który zaginął w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach 31 lipca 1944 roku podczas misji fotografowania niemieckich wojsk w okolicach Lyonu. Charles natomiast, który w związku ze swą misją wywiadownicą

przebywał przez większą część roku poza USA, założył w Niemczech i Szwajcarii aż trzy nieoficjalne rodziny.

W 1957 roku związał się z uciekinierką z Rumunii, Brigitte Heshaimer, którą wraz z trojgiem ich wspólnych dzieci umieścił w willi zakupionej pod Monachium. Jednocześnie kontynuował romans z siostrą Brigitte, Mariettą. Tę z kolei obdarzył dwoma synami i umieścił w Szwajcarii, w kantonie Valais. Trzecią rodzinę stworzył ze wspomnianą wcześniej pruską arystokratką, której nazwisko nigdy nie przedostało się do publicznej wiadomości. Valeska urodziła mu syna i córkę i mieszka do dzisiaj (2012 r.) w Baden-Baden.

Dużą sztuką ze strony Lindbergha było niewątpliwie utrzymanie każdej z wymienionych pań w przekonaniu, że to właśnie ona jest tą jedną jedyną. Utrzymanie całej czeredki pochłaniało jednak olbrzymie kwoty, w związku z czym bohaterki lotnika zmuszony został do prowadzenia bardzo oszczędnego trybu życia. W trakcie swych podróży po Niemczech i Szwajcarii nigdy na przykład nie spał w hotelach, spędzając noce zgięty w czworo we swym małym volkswagenie garbusie.

W latach sześćdziesiątych zaczął aktywnie działać w rozmaitych ruchach i towarzystwach ochrony środowiska oraz opieki nad zagrożonymi zwierzętami. W ostatnich latach życia podkreślał często konieczność zachowania równowagi między rozwojem techniki, do którego sam się przyczynił, a przyrodą i naturalnym otoczeniem człowieka – występował między innymi przeciwko używaniu przez linie lotnicze samolotów naddźwiękowych. Osiadł w miejscowości Kipahuluna na wyspie Maui na Hawajach, gdzie zmarł 26 sierpnia 1974 roku na raka naczyń limfatycznych.

Na nagrobku człowieka, który jako pierwszy w dziejach przeleciał samotnie Adantyk, wyryto cytat ze Starego Testamentu (Psalm CXXXIX, 9–10): *If I take the wings of the morning, and dwell in the uttermost parts of the sea, even there thy hand shall lead me and thy right hand shall hold me* (Jeśli wziąłbym skrzydła rannej zorzy i zamieszkał na końcu morza, nawet tam by mnie ręka Twoja prowa-

działa i dosięgła mnie prawica Twoja).

# WANTED

INFORMATION AS TO THE  
WHEREABOUTS OF



## CHAS. A. LINDBERGH, JR.

OF HOPEWELL, N. J.

### SON OF COL. CHAS. A. LINDBERGH

World-Famous Aviator

This child was kidnaped from his home  
in Hopewell, N. J., between 8 and 10 p. m.  
on Tuesday, March 1, 1932.

#### DESCRIPTION:

Age, 20 months	Hair, blond, curly
Weight, 27 to 30 lbs.	Eyes, dark blue
Height, 29 inches	Complexion, light
Deep dimple in center of chin	
Dressed in one-piece coverall night suit	

ADDRESS ALL COMMUNICATIONS TO

COL. H. N. SCHWARZKOPF, TRENTON, N. J., or  
COL. CHAS. A. LINDBERGH, HOPEWELL, N. J.

ALL COMMUNICATIONS WILL BE TREATED IN CONFIDENCE

March 11, 1932

COL. H. NORMAN SCHWARZKOPF  
Supt. New Jersey State Police, Trenton, N. J.







W 1932 r. porwaniem 20-miesięcznego synka słynnego lotnika Charlesa Lindbergha żyła cała Ameryka.

# **Operacja „Eiche”**

## **BENITO MUSSOLINI**

### **(1943)**

Był 26 lipca 1943 roku. Z Berlina, stolicy Wielkich Niemiec, których granice z woli führera rozciągały się od Ukrainy po Atlantyk, leciał ponad postrzępionymi chmurami samotny w pustce powietrznego oceanu pasażerski samolot Ju-52/3M. Zawieszony gdzieś w przestworzach, tonął w gęstej białej mgłę, prześwietlonej złotem promieni zachodzącego słońca. To złoto załamywało się i lśniło na skrzydle, które wydawało się wykonane nie z aluminium, lecz miedzi. Silnik pluł płomieniami, pilot wyciskał z niego resztki mocy.

Jedynym pasażerem był wysoki, prawie dwumetrowy mężczyzna o suchej twarzy bez uśmiechu i niebieskich, zimnych oczach. Sylwetka i uroda tego potężnego człowieka zachęcały raczej do trzymania się od niego jak najdalej. Twarz miał tak pokiereszowaną, jakby zetknął się ze wszystkim prócz pachołka do uwiązywania liny holowniczej – od czubka brody aż po ucho, przez cały lewy policzek biegła paskudna blizna. Była to twarz, która niczego już nie musiała się obawiać, ponieważ wszystko, co można by pomyśleć, już się jej przydarzyło.

Nazywał się Otto Skorzeny i przyszedł na świat 12 czerwca 1908 roku w Wiedniu, chociaż jego rodzina wywodziła się z Wielkopolski, konkretnie z miejscowości Skorzęcin w obecnym województwie wielkopolskim (powiat gnieźnieński). W 1926 roku rozpoczął studia inżynieryjne w Technische Hochschule (Wyższej Szkole Technicznej) w Wiedniu. W ich trakcie uprawiał wiele róż-



nych sportów, w tym szermierkę i właśnie po jednym z pojedynków na planszy została mu charakterystyczna blizna na policzku.

W 1931 roku wstąpił do austriackiego odłamu partii nazistowskiej, a następnie do SA, gdzie ujawniły się jego ogromne zdolności przywódcze. 12 marca 1938 roku, podczas *anschlusu* należał do ochrony ówczesnego prezydenta Austrii, Wilhelma Miklasa.

Po wybuchu II wojny światowej Skorzeny, pracujący jako mechanik, zgłosił się na ochotnika do służby w Luftwaffe. Odrzucono go z powodu wieku – miał już przekroczoną trzydziestkę. Wstąpił wówczas do oddziałów Waffen-SS i w składzie dywizji „Das Reich” wziął udział w kampanii na Bałkanach. Podczas operacji „Barbarossa” pojawił się na wschodzie Europy, przechodząc wraz ze swoją dywizją szlak bojowy od Brześcia po Moskwę. Walczył między innymi pod Jelnią i Możajskiem, służąc w dywizji SS „Totenkopf” (Trupia Czaszka). Oddział ten zdobył złowieszczą sławę, znacząc swój szlak bojowy trupami Rosjan.

Pod koniec 1941 roku został ranny w głowę. Po wyjściu ze szpitala przydzielono go do dywizji „Leibstandarte Adolf Hitler”. Za dokonania na froncie został odznaczony Krzyżem Walecznych oraz awansowany na stopień Hauptsturmführera[7]. Następnie skierowano go tam, gdzie najbardziej się nadawał, to znaczy do powstających akurat sił specjalnych.

Samolot leciał równo w spokojnym, wieczornym powietrzu. Chmury przetarły się na chwilę i Hauptsturmführer, odłożywszy na bok studiowane dokumenty, spojrział na przesuwaną się w dole ziemię. Był to okręg Warty – Warthegau, który przed czterema laty przywróciła Niemcom ich niezwyciężona armia. Dla wielu niemieckich oficerów ta właśnie ziemia była ziemią ojczystą, skąd ich ojców wypędziła słowiańska przemoc.

Po trzech godzinach podróży samolot obniżył znacznie pułap, zataczając koło nad drzewami, między którymi połyskiwała obrze-

7 Hauptsturmführer – w III Rzeszy stopień paramilitarny w Sturmabteilung (SA) i w Schutzstaffel (SS), odpowiadający stopniowi Hauptmanna (kapitana) w Wehrmachcie.

żona półkolem sosnowego boru tafla jeziora. Pasażer przywarł do okna, aby lepiej widzieć niewielkie lotnisko, które nagle wyłoniło się pośród drzew. Pomarańczowa kula słońca zawisła nad ścianą lasu, rozpalając na granatowym niebie krwistoczerwone płomienie. Męczący lot z Berlina do Wilczego Szańca w Rastenburgu (Kętrzynie) dobiegał właśnie końca.

W tym momencie Skorzeny wiedział tylko, że wzywa go do siebie sam Führer. W jakim celu jednak? – nie miał pojęcia. Zastanawiał się, co mogło być powodem nagłego wezwania, jednak żadna sensowna odpowiedź nie przychodziła mu do głowy.

– Hauptsturmführer Skorzeny? – stwierdził raczej niż zapytał stojący przy trapie sierżant, obrzucając uważnie wzrokiem potężną sylwetkę przybyłego.

– To ja.

Sierżant wyjął mu z ręki walizkę, wskazując jednocześnie na stojący obok samochód, ciemnowisniowy mercedes 170V Cabrio, wyposażony w czterocylindrowy silnik o pojemności 1697 cm<sup>3</sup>.

– Otrzymałem rozkaz natychmiastowego dostarczenia pana do kwatery głównej.

Skorzeny usadowił się na fotelu obok kierowcy i po chwili samochód ruszył z cichym warczeniem silnika. Kilka minut później drogę zagroził im pomalowany w biało-zielone pasy drewniany szlaban pierwszego posterunku. Obok wznosiła się wartownia, zbudowana z grubych nieociosanych bali. Sierżant zatrzymał samochód i udał się do środka budynku, by załatwić odpowiednie formalności. Wykorzystując okazję, Skorzeny przyjrzał się zabezpieczeniom. Wśród gęstwiny drzew, tam, gdzie teren opadał stromo w stronę jeziora, jego fachowe oko wyłowiło zamaskowany sterran betonowy bunkier. Z otworów strzelniczych wychylały się groźnie lufy karabinów maszynowych. Jeżeli ktoś chciałby ominąć posterunek, natychmiast natrafiłby na zasieki, za którymi rozpościerało się pole minowe.

W ostatnim okresie ochrona Führera znacznie się wzmożła.

Opowiadano sobie po cichu, że „Wolfschanze”[8] stał się ośrodkiem zainteresowania radzieckiego wywiadu i że znalazł się pewien śmiałek, który zdołał ujść uwagi patroli strefy zewnętrznej i przekroczyć pierwszy z trzech pasów zaporowych. Komendant ochrony, SS-Brigadenführer Johann Rattenhuber, nazywany przez niektórych po prostu *Rattenbube*[9], zrobił wszystko, co tylko leżało w jego mocy, aby osłony Wilczego Szańca nie przestąpił nawet najsprytniejszy kot. Wzmocniono też kontrolę zarówno osób przybywających do głównej kwatery wodza, jak i opuszczających ją, ograniczając poza tym liczbę odwiedzających do niezbędnego minimum. Specjalnie przeszkoleni esesmani czuwali nad tym bacznie.

Trzy ochronne kręgi „Wolfschanze” były – prawdę mówiąc – trzema pasmami śmierci. Każda żywa istota, której udało się w jakiś sposób dostać w strefę działania najbardziej wymyślnych sposobów zabijania, rozstawała się z życiem niemal natychmiast. Las otaczający główną kwaterę znany był z tego, że nie śpiewały w nim ptaki.

Trzydzieści milionów marek, które kosztowała budowa Wilczego Szańca, poszły nie tylko na zbudowanie potężnych, ukrytych w głębi ziemi bunkrów, zdolnych przeciwstawić się najpotężniejszym nawet atakom lotniczym. Wiele pieniędzy pochłonęło zamaskowanie obiektu oraz najprzeróżniejsze środki bezpieczeństwa, mające na celu zagwarantowanie Hitlerowi długiego życia: tysiące

---

8 Budowę Wilczego Szańca, 8 km od Kętrzyna, Hitler rozpoczął w 1940 roku. To właśnie stąd przez 800 dni dowodził Rzeszą. W zamaskowanym miasteczku w lesie mieściło się 200 budynków, schrony, baraki, dwa lotniska, dworzec kolejowy, wodociągi, ciepłownia, a nawet kino, sauna, herbaciarnia i stołówka. Wilczy Szaniec miał skomplikowany system bezpieczeństwa wewnętrznego, kilkukondygnacyjne podziemia i tunele, które łączyły z sąsiednimi bunkrami. Cały teren zajmował około 250 hektarów i obejmował trzy, koncentrycznie położone strefy bezpieczeństwa. W roku 1944 mieszkało tu ponad 2000 osób.

9 Ratte znaczy po niemiecku szczur. Połączenie słów Ratte i Bube odpowiada określeniu „szczurzy łotrzyk”.

przeróżnego rodzaju min, najnowocześniejsze karabiny maszynowe, rozsiane wszędzie fotokomórki i mikrofony rejestrujące każdy dźwięk i ruch...

Skorzeny podpisał się w zeszycie, który podsunął mu jeden z wartowników, i wrócił do auta. Dalej droga biegła przez brzozowy las, mijała przejazd kolejowy i prowadziła do drugiego szlabanu.

– *Halt!* – Kolejny esesman uważnie sprawdził jego książeczkę wojskową i przepustkę.

– Kto pana wezwał?

– Führer – odpowiedział zgodnie z prawdą niedawny pasażer Junkersa.

Na twarzy wartownika pojawił się wyraz niedowierzania. Nie mówiąc ani słowa, cofnął się kilka kroków do budki wartowniczej i podniósł słuchawkę telefonu. Lufa jego automatu wciąż wymierzona była w obydwu gości. Wrócił po chwili, znacznie uspokojony. Zapewne po drugiej stronie kabla ktoś wyjaśnił mu, na czym rozkaz Skorzeny pojawił się w Wilczym Szańcu, ponieważ urzędową arogancję zastąpił dużo przyjaźniejszy ton.

– Jest pan oczekiwany w herbaciarni, Herr Hauptmann. – Oddając dokumenty, wartownik zasalutował regulaminowo i trzasnął obcasami. – Rudi, dźwigaj belkę! – krzyknął w stronę stojącego przy szlabanie kolegi.

Zapadał już zmrok, kiedy samochód zatrzymał się przy herbaciarni, dwuskrzydłowym pawilonie wykonanym z sosnowych bali. Wielki przedpokój wyłożony był puszystym, tłumiącym kroki dywanem. Skorzeny zajął miejsce w jednym z kilkunastu stojących tam wygodnych skórzanych foteli. Za chwilę pojawił się kolejny esesman.

– Proszę za mną. – Pokazał w kierunku znajdujących się po drugiej stronie poczekalni tylnych drzwi. – Zaprowadzę pana do Führera.

Wyszli na zewnątrz i po kilkadziesiąciu metrach dotarli do innego budynku. Oczekujący tam adiutant wprowadził gości do du-

żego pokoju, pośrodku którego stał olbrzymi stół, zawalony mapami. Wszystkie okna zasłonięte były ciężkimi, nieprzepuszczającymi światła zasłonami, a wokół znajdującego się po prawej stronie kominka ustawiono kilka wygodnych krzesel. Otworzyły się drzwi w drugim końcu pokoju i do pomieszczenia wszedł wódz.

Hitler starzał się z każdym dniem. Był coraz bardziej przygarbiony; zniknęła gdzieś bezpowrotnie jego dawna dziarskość, którą starał się imponować otoczeniu. Przydługa mundurowa kurtka jeszcze bardziej kurczyła nieforemną postać. Spoglądał na swego gościa nieruchomym wzrokiem, jakby ośleplym. Na pozbawione wyrazu, uciekające w tył czoło spadał legendarny kosmyk tłustych włosów. Oblicze Führera było szarobiałe, nalane, niczym ulepione z rzadkiej, porowatej substancji. Co uderzało szczególnie niemiło, to widoczne już z daleka worki pod oczyma, odskakujące ustawicznie przy najmniejszym ruchu mięśni twarzy.

We wrześniu nękani przez zabójcze mazurskie komary mieszkańcy Wilczego Szańca mogli wreszcie trochę odetchnąć. Nadchodziła jesień – czas odpoczynku od insektów i wilgotnego upału, przed którym można było schronić się tylko w zimnych ścianach gigantycznych bunkrów. Hitler był podłamany, rozdrażniony nie komarami jednak, ale wściekły z powodu rozwoju sytuacji na frontach.

Rok 1943 przyniósł Niemcom klęskę pod Stalingradem i utratę całej 6. Armii. Straty wojsk Osi w rejonie Wołgi, Donu i Stalingradu wyniosły około półtora miliona ludzi, 3 500 czołgów i 3 000 samolotów. Ponad 140 000 żołnierzy poległo, reszta dostała się do niewoli, w tym 24 generałów, z feldmarszałkiem Friedrichem Paulusem na czele. Linia frontu przesunęła się na zachód o 200–250 kilometrów. Strategiczne, ale także psychologiczne znaczenie bitwy stalingradzkiej było olbrzymie. Morale narodu niemieckiego zaczęło się od tego czasu załamywać.

Straty w ludziach i sprzęcie rosły bardzo szybko, a przedłużająca się wojna z Rosją Sowiecką pochłaniała olbrzymie zasoby III Rzeszy. Zdecydowana większość niemieckich armii tkwiła na froncie o

długości około półtora tysiąca kilometrów, rozciągającym się od Leningradu na północy, po Rostów na południu. Wehrmacht znajdował się w swoistym impasie strategicznym i najwyższe dowództwo niemieckie zdawało sobie sprawę, że Rosjanie będą dalej coraz potężniej nacierać. Ponadto wojska na wschodzie zostały znacznie osłabione, ponieważ w pierwszych miesiącach 1943 roku część jednostek trzeba było przerzucić do Tunezji, by wspomóc wycofujące się resztki Afrika Korps.

W maju 1943 roku wojska angielsko-amerykańskie pokonały Włochów i Niemców w północnej Afryce. Sytuacja pod Kurskiem[10] również nie napawała optymizmem. 10 lipca Hitler otrzymał wiadomość, iż poprzedniego dnia wojska alianckie (jednostki brytyjskiej 8. Armii i amerykańskiej 7. Armii) wylądowały na Sycylii (operacja „Husky”). Żołnierze sił sprzymierzonych szybko opanowali wyspę, przymierzając się do kolejnej wielkiej ofensywy, której celem miał być Rzym. A nie dalej jak wczoraj (25 lipca) we Włoszech doszło do zamachu stanu, w wyniku którego od władzy odsunięty został i uprowadzony w nieznanne miejsce jeden z najwierniejszych sojuszników Adolfa, Benito Mussolini...

Adiutant przedstawił gościa Führerowi. Skorzeny wyprężył się na baczność, trzaskając głośno obcasami. Rachityczny, niski i niezbyt sprawny fizycznie wódz uwielbiał umiejętnionych herosów, których sławili w swoich obrazach niemieccy malarze i filmowcy,

---

10 Chociaż właściwie operacja na południowej flance występu kurskiego zaczęła się dopiero 3 sierpnia 1943 roku, to poprzedzające ją walki zaczęły się już 16 lipca. Po fiasku ataku na Prochorówkę, niemieckie oddziały rozpoczęły odwrót pod osłoną artylerii. Następnego dnia niektórym oddziałom sowieckim udało się posunąć 5–6 km do przodu. Kolejnego dnia dołączyły do nich oddziały 6. Armii Gwardii oraz 1. Armii Pancerniej, ale bez wsparcia piechoty czołgi posuwały się bardzo powoli i do 18 lipca front przesunął się zaledwie o 2–3 km. Dopiero 20 lipca pięć sowieckich armii wolno mszyło do boju, zajmując 5–7 km terenu. Ofensywa nabrała tempa i 22 lipca wojska frontów Woroneskiego i Stepowego przerwały niemieckie linie, osiągając do końca następnego dnia pozycje z 5 lipca.

tacy chociażby jak jego ulubiona artystka, Leni Riefenstahl. Skorzeny pasował do tego wizerunku jak ulał. Wysoki, barczysty, nieokrzesany, a jednak sprytny, a przede wszystkim oddany jak ulubiony owczarek niemiecki Hitlera, Blondie.

– Zna pan Włochy? – Hitler od razu przeszedł do rzeczy. Mówił cicho, oszczędzając głos.

– Byłem tam dwukrotnie, Mein Führer. Ale nie dalej, niż w Neapolu.

– Jakie ma pan zdanie o tym kraju?

– Jako Austriak nigdy nie wybaczę im zagarnięcia południowego Tyrolu. – Uśmiechnął się Skorzeny.

„Grofaz”<sup>[11]</sup>, jak ironicznie nazywali go wojskowi opozycjoniści, oparł się swoim zwyczajem obiema rękami o stół, zavalony mapami.

– Chciałbym panu powierzyć bardzo ważną misję, Otto – powiedział powoli i z namaszczeniem. – Jak pan już zapewne słyszał, Benito Mussolini, mój oddany przyjaciel i współpracownik, został wczoraj aresztowany przez tych zdradzieckich Włochów. Nie możemy zostawić bez pomocy człowieka, który jest wcieleniem starożytniej wielkości Rzymu. Rozumie pan?

– *Ja, Mein Führer.*

– Powołany właśnie do życia nowy włoski rząd z pewnością opuści naszą koalicję. Nie możemy do tego dopuścić. To mogłoby mieć zgubny wpływ na przebieg działań na Półwyspie Apenińskim. Nie możemy sobie pozwolić na utratę Rzymu. Trzeba szybko wyciągnąć Mussoliniego z łap tych zdrajców, zanim oddadzą go alianantom.

Tę misję chcę powierzyć właśnie panu, Otto. Jeśli zdoła pan tego dokonać, awans pana nie minie.

Skorzeny słuchał słów wodza jak urzeczony. Przejęty zaufaniem

---

11 Słowo *Grofaz* było skrótem od *Gröster Feldherr aller Zeiten* – największy wódz wszystkich czasów – tak określał Hitlera jego aparat propagandowy.

Führera, gotów był ruszyć do akcji choćby natychmiast.

– I jeszcze jedno, chyba najważniejsze... – kontynuował Hitler. – Wszystko musi pozostać w najgłębszej tajemnicy. Oprócz pana i mnie o naszych planach wiedzą tylko cztery osoby. I tak ma pozostać. Zostanie pan oddelegowany do Luftwaffe, pod komendę generała Studenta. Od niego otrzyma pan dalsze instrukcje.

\*

Właściwie Hitler mógł się tego spodziewać. Już w kwietniu 1943 roku rzymski rezydent SD, Wilhelm Hoettl, raportował ze stolicy Włoch, że coraz bardziej narasta tam opozycja przeciwko Mussoliniemu. W miarę, jak szala zwycięstwa w straszliwej wojnie zaczęła się przechylać na stronę aliantów, włoskie społeczeństwo coraz bardziej miało dość krwi, nędzy, znoju i upokorzeń. Od miesięcy ich wojska ponosiły ogromne straty. 13 maja w Tunezji skapitulowała włoska 1. Armia, dowodzona przez gen. płk. Giovanniego Messe. Tym samym zakończyły się ostatecznie ciężkie i krwawe walki w Afryce Północnej.

Jednocześnie miasta włoskie były celem coraz częstszych ataków alianckiego lotnictwa bombowego. W Rzymie nastroje społeczne uległy szczególnie gwałtownemu pogorszeniu po nalocie lotnictwa amerykańskiego 19 lipca, gdy bomby spustoszyły dzielnice Tiburtino, Prenestino, Nomentana i San Lorenzo, zabijając około 1500 cywili. Ciężkie było lato 1943 roku pod apenińskim niebem. Ciepłe miesiące tego roku rozwiały do reszty mit o zwycięskim faszystwie i mit o potędze Osi Berlin – Rzym. Nie można było wечно przekonywać narodu o potrzebie planowanych odwrótów.

Już nie tylko prości ludzie – chłopci, urzędnicy, robotnicy – mieli dość faszystwu i dość wojny. Również bankierzy, przemysłowcy i arystokracja gotowi byli zakończyć to samobójcze działanie, które od 1943 roku nie przynosiło już nic oprócz coraz większych i z każdym dniem rosnących strat.



Włosi „możni” zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że dalszy sojusz z Niemcami hitlerowskimi i udział w wojnie zamienia Italię w pustynię gruzu i cmentarzysko, lecz nie patriotyzm ani uczciwość powodowały nimi, kiedy buntowali się przeciw faszystowskiej dyktaturze. Po prostu nie mieli ochoty iść wraz z Duce do grobu.

Mussolini był kiedyś ich mężem opatrznosciowym, był tym, który uchronić miał Italię przed bardziej niebezpiecznymi wywrotowcami. Poza tym robili na faszyzmie dobre interesy, które jednak teraz najwyraźniej się skończyły. Realizm kupiecki nakazywał im w tej sytuacji jedyne wyjście: ratować własną skórę przed rachunkiem, jaki gotów przedstawić doprowadzony do rozpaczony naród.

Już z końcem 1942 roku otoczenie Mussoliniego zauważyło znaczną zmianę w jego zachowaniu i wyglądzie. Duce zawsze chciał sprawiać wrażenie obeznanego ze wszystkimi aspektami spraw politycznych i wojskowych, szczyił się swoją inteligencją i znakomitą pamięcią. Nagle jednak wszystko zostało wywrócone do góry nogami. Mussolini postarzał się jakby o kilka lat, na jego twarzy odmalował się wysiłek spowodowany prowadzeniem długotrwałej wojny, a jego umysł nie był już tak przenikliwy, jak kiedyś. Nawet Galeazzo Ciano, mąż Eddy Mussolini, ukochanej córki dyktatora, został odseparowany od teścia, choć do tej pory współdecydował wraz z nim o losach państwa. I choć Mussolini starał się wtrącać do wszystkiego jak dawniej i wymagał bezwzględnego posłuszeństwa od podwładnych, coraz częściej po prostu go oszukiwano. Odsuwając się we własny świat, tracił kontakt ze światem realnym.

Nic więc w tym dziwnego, że tuż pod boki Duce, dosłownie kilka metrów od Pallazzo Venezia – jego rzymskiej rezydencji, rozdziły się spiski, zmywy i bunty. Najwyżsi dowódcy wojskowi i wielu ministrów rządu Mussoliniego uważali, że ta wojna jest już przegrana i nie wolno dopuścić, aby toczyła się na Półwyspie Apenińskim, co groziło zniszczeniem kraju oraz zabytków jego pięknej historii.

Na terytorium Włoch działały jednocześnie agencje dwóch niemieckich wywiadów: wojskowego, podlegającego Wilhelmowi Canarisowi, i wywiadu SS – Sicherheitstdienst (SD), kierowanego przez Himmlera. Obydwie te organizacje, zwalczające się wzajemnie i nienawistne sobie, zgodne były jednak co do tego, że Włochom nie należy ufać. 19 lipca Himmler osobiście wręczył Führerowi raport wywiadowczy, ostrzegający przed spodziewanym w najbliższym czasie zamachem stanu we Włoszech i planami uwięzienia Duce oraz stworzenia nowego rządu, na czele którego miałyby stanąć marszałek Pietro Badoglio. Hitler nie potraktował tych ostrzeżeń poważnie. Po prostu nie uwierzył, że może dojść do przedstawionej w raporcie sytuacji, nawet gdy z Rzymu doniesiono mu, iż po raz pierwszy od wielu lat zebrała się tam Wielka Rada Faszystowska.

– To spotkanie nie przyniesie żadnych rezultatów – skomentował krótko. – Pogadają tylko, pokrzyczą, jak to Włosi, i rozjadą się do domów.

Tymczasem sprawy potoczyły się zgoła inaczej...

Nagabywany o pozbycie się Mussoliniego, król Wiktor Emanuel III początkowo wzdragał się przed podjęciem ostatecznej decyzji. Odejście Duce mogłoby wtrącić cały kraj w potworny chaos, którego bardzo się obawiał. Jeszcze bardziej bał się tego, do czego zdolni byłiby broniący Sycylii Niemcy i ich stacjonująca 50 kilometrów od Rzymu pancerna dywizja M. Ostatecznie jednak podjął tę decyzję podczas narady odbytej 19 lipca w małym miasteczku Feltre koło Wenecji, w której wzięli udział również niemieccy i włoscy szefowie sztabów generalnych, Adolf Hitler oraz sam Benito Mussolini.

– Musicie zmobilizować społeczeństwo! – wrzeszczał Hitler. – Musicie wzmocnić obronę i zastosować wszelkie dostępne środki, które mogą zatrzymać aliantów! Bądźcie pewni, że Niemcy wam w tym pomogą.

Nie podał jednak przy tym najmniejszego szczegółu dotyczącego rzeczy najważniejszej, a mianowicie rozmiarów pomocy, jakiej

Rzesza mogłaby udzielić swojemu zdruzgotanemu sojusznikowi. Mussolini do końca siedział cicho, jak mysz pod miotłą, nie zająkawszy się ani słowem na temat tego, w jak opłakanym stanie znajdują się włoskie wojska. Nie raczył również wspomnieć, na jakie konkretnie wsparcie liczy. Dopiero później, pożegnawszy już Adolfa, który z lotniska Treviso odleciał do siebie, Duce wyjaśnił towarzyszącemu mu generałowi Vittorio Ambrosio:

– Nie widziałem najmniejszej potrzeby mówienia tego Hitlerowi. Wystarczy, że przyrzekł solennie dać wszystko, czego nam potrzeba. I tego właśnie będziemy się domagali. Oczywiście, nasze żądania muszą mieścić się w granicach rozsądku...

Parę minut potem, siedząc już w samochodzie, generał Ambrosio mruknął do swego adiutanta:

– Duce chyba kompletnie oszalał! Ten człowiek po prostu jest obłąkany!

W sobotę 24 lipca o godzinie 17.00 w Palazzo Venezia rozpoczęło się posiedzenie Wielkiej Rady Faszystowskiej, głównego kolegialnego organu konsultacyjnego partii faszystowskiej, który nie zbierał się od wielu lat. Było niezwykle burzliwe i przeciągnęło się do późnej nocy. Minister spraw zagranicznych Dino Grandi wystąpił z ostrą krytyką polityki Mussoliniego, oświadczając wręcz:

– Pan, Duce, wprowadził nas w tę niszczycielską wojnę wbrew honorowi, uczuciom i interesom narodu. W czasie pierwszej wojny światowej poświęciliśmy sześćset tysięcy zabitych dla ocalenia ojczyzny. Dziś znowu mamy Niemców w naszym domu, a włoskie matki wołają: Mussolini zabił naszych synów!

Poparł go Galeazzo Ciano, były już wówczas minister spraw zagranicznych, który powiedział między innymi:

– W naszych stosunkach z Niemcami w żadnym momencie nie byliśmy zdrajcami, we wszystkich przypadkach zdradzili nas Niemcy.

Duce zlekceważył wszelkie ostrzeżenia. Na decydujące o jego losach posiedzenie przybył, nie wyobrażając sobie ani przez chwilę,

jaki będzie ono miało przebieg. Wygłosił długie przemówienie, pełne maksym, cytatów i epigramatów, przeświadczony, że jak zawsze ujarzmi nim słuchaczy. Szybko jednak zorientował się, że belcanto przestało ich urzekać. Tak więc pokonany i znużony przedłużającymi się obradami, zgodził się wreszcie, by poddano pod głosowanie wnioski przewodniczącego Rady, Dino Grandiego, przewidujący przywrócenie królowi władzy konstytucyjnej nad krajem i wzywający go do objęcia dowodzenia siłami zbrojnymi. Wynik tego głosowania sprawił go w osłupienie. Dziewiętnastu członków Wielkiej Rady Faszystowskiej głosowało za odwołaniem wodza, którego rządy sprowadziły tyle nieszczęść na Włochów i groziły unicestwieniem państwa. O trzeciej nad ranem ich głosy, przeciwko siedmiu, zdecydowały o pozbawieniu Mussoliniego urzędu.

Oparłszy zaciśnięte pięści o stół, dyktator podniósł się ciężko i powiedział gorzko:

– Podjęliście decyzję o daleko idących skutkach. Kryzys rządowy, spowodowany akurat w tym momencie, nie jest chyba najlepszym wyjściem z trudnej sytuacji. Zabiliście faszyzm!

Pozostało mu jednakże jeszcze jedno wyjście – audiencja u króla. Nie mieściło mu się w głowie, że „mały król”, jak sam pogardliwie nazywał Wiktora Emanuela III, zdobędzie się na jakiś samodzielny krok, wymierzony bezpośrednio przeciwko niemu. Wręcz przeciwnie. Sam nosił się z zamiarem ukarania zdrajców, jak nazywał tych, którzy odważyli się wystąpić z atakiem na niego i na jego politykę.

Na uzgodnioną audiencję do Villa Savoia przybył punktualnie co do minuty o godzinie 17.00. Król już na niego czekał. Miał na sobie mundur marszałkowski ze wszystkimi orderami. Jego drobna twarz zdradzała silne zdenerwowanie. Mała, wypiełgnowana dłoń, którą podał gościowi przy powitaniu, drżała wyraźnie.

– Drogi Duce – odezwał się trochę niepewnym głosem. – Muszę panu powiedzieć, że sytuacja jest niezwykle trudna. Włochy są rozdarłe. Morale wojska zagrożone. Żołnierze po prostu nie chcą się bić. Strzelcy alpejscy śpiewają, że nie chcą walczyć za Mussoliniego: *Abbasso Mussolini, assasino degli alpini* (Precz z Mussolinim, morder-

cą strzelców alpejskich) – zacytował refren piosenki śpiewanej przez niedobitków z frontu wschodniego.

Dyktator wzruszył tylko ramionami.

– Wotum nieufności Wielkiej Rady... – kontynuował Wiktor Emanuel – dziewiętnaście głosów za wnioskiem Grandiego... Zapewne nie ma pan już złudzeń na temat uczuć, jakimi obecnie darzą pana Włosi? Nie może pan już liczyć na nikogo, prócz mnie...

– No właśnie – ożywił się Benito. – Wielka Rada jest tylko ciałem doradczym i nie ma prawa podejmować takich decyzji. W tej sytuacji...

– Nie zgadzam się z tym – przerwał mu stanowczo król. – Wielka Rada jest organem państwa, ratyfikowanym przez dwie izby włoskiego parlamentu i dlatego każdy akt Rady jest wiążący.

– Wobec tego, według Waszej Wysokości muszę zrezygnować? – zapytał Mussolini z wyraźnym wysiłkiem.

– W tej sytuacji, drogi Duce, doszedłem do wniosku, że najodpowiedniejszym człowiekiem, zdolnym do objęcia władzy wykonawczej, będzie... marszałek Pietro Badoglio. Utworzy on gabinet złożony z urzędników, aby zapewnić funkcjonowanie administracji państwowej i kontynuowanie wojny.

Po tych słowach Mussolini pochylił się, jakby otrzymał cios w piersi:

– A więc to już koniec... – jęknął płacząco. – I co się stanie ze mną? I z moją rodziną?

– Nie potrzebuje pan żywić najmniejszych obaw o swoje osobiste bezpieczeństwo – zapewnił go król. – Sam zadbam o to, aby zapewniono panu należyta ochronę.

Rozmowa Mussoliniego z królem trwała zaledwie dwadzieścia minut. O 17.20 Wiktor Emanuel odprowadził swego gościa do drzwi. Według relacji członków straży pałacowej „mały król” po tej ciężkiej rozmowie zdawał się jeszcze mniejszy i bardziej drobny.

Gdy zamknęły się drzwi i Mussolini schodził zamyślony po schodach rezydencji, podszedł do niego kapitan karabinierów.

– Ekscelencjo, Jego Królewska Mość wydał mi rozkaz, abym panu towarzyszył dla ochrony przed tłumem.

– Nie widzę potrzeby – mruknął Duce z wyraźnym niezadowoleniem. – Ale jak chcecie, to możecie ze mną jechać.

Chciał skierować się do swojego samochodu, oczekującego przy bramie, ale kapitan zastąpił mu drogę, wskazując na stojącą obok wojskową sanitarkę.

– Przepraszam bardzo, ale musi pan wsiąść tutaj.

Mussolini spojrzał na swojego sekretarza, Nikolę de Cesare, który czekał nań w limuzynie i zawahał się przez chwilę.

„Kto wie, czy w tym właśnie niepozornym pojeździe rzeczywiście nie będę bezpieczniejszy” – pomyślał. – „Ostatecznie mój wóz jest w Rzymie zbyt znany, a taka popularność jest obecnie zupełnie niepożądana. Przecież król zapewnił mi ochronę... Może to i lepiej...”

Wzruszył ramionami i wsiadł do sanitarki. W tej samej chwili wskoczyło za nim do środka dwóch ubranych po cywilnemu agentów, trzech karabinierów oraz opiekujący się nim oficer. Ktoś zatrzasnął drzwiczki i ambulans szybko odjechał.

Nad miastem w szaleńczym pędzie mknęły chmury, jakby uciekały przed pogonią. Niektóre ich strzępki przelatowały tak nisko, że prawie zahaczały o drzewa, chylące się w tę samą stronę, i wyglądało to tak, jak gdyby ktoś zamiatał nimi niebo. Deszcz chłostał ściany stojących wzdłuż ulicy domów, które z szarych stawały się czarne.

Deszcz przestał padać, gdy pół godziny później ambulans zatrzymał się u wejścia do koszar oddziału karabinierów, stacjonującego na Zatybrzu. Przed bramą stali żołnierze w szyku bojowym, z bagnetami na karabinach.

Oficer poprowadził Mussoliniego do dyżurki. Tutaj dopiero, po zachowaniu się karabinierów Benito Mussolini wywnioskował wreszcie, na czym ma polegać owa „osobista opieka” króla. Stąd wieczorem przetransportowano go do gmachu szkoły kadetów po-

licji przy Via Legnano, gdzie przebywał do wieczora 27 lipca.

Około północy, po wielu godzinach nerwowego oczekiwania, wręczono mu odręczne pismo marszałka Badoglio, który w krótkich słowach zakomunikował, iż Duce znajduje się w „areszcie ochronnym, zarządzonym w trosce o jego osobiste bezpieczeństwo, wobec poważnych meldunków o przygotowywanym na życie dyktatora zamachu”.

Wczesnym rankiem na ulicach Rzymu i innych włoskich miast pojawiły się pospiesznie wydrukowane plakaty z odezwą:

*Włosi! W doniosłej godzinie, ciężącej na losach ojczyzny, obejmuję naczelne dowództwo nad wszystkimi rodzajami broni. Niechaj każdy zajmuje stanowisko, jakie wyznacza mu obowiązek, wiara i walka. (...) Niechaj każdy z Włochów pochyli głowę w obliczu głębokich ran, zadanych świętej ziemi ojczystej. Polegając na dzielności swych sił zbrojnych oraz na zdecydowanej woli wszystkich obywateli, Włochy wkraczają na drogę ponownego odrodzenia. Włosi! Bardziej niż kiedykolwiek łączą mnie dzisiaj z wami niewzruszona wiara w nieśmiertelność ojczyzny.*

*Wiktor Emanuel III*

Tuż obok widniało pierwsze orędzie nowo mianowanego szefa rządu, marszałka Piętro Badoglio:

*(...) Z rozkazu króla przejmuję nad krajem rządy o charakterze wojskowym, wraz ze wszystkimi pełnomocnictwami. (...) Mimo że Włochy otrzymały ciężkie ciosy, dotrzymają wierności danemu słowu, albowiem są czujnym strażnikiem tysiącletniej tradycji (...) Wojna trwa nadal! (...).*

\*

I wojna trwała nadal...

Gdy ambasador niemiecki przekazał z Rzymu piorunującą wiadomość o aresztowaniu Duce, Hitler wezwał na naradę najbliższych współpracowników.

– Bez wątpienia w swojej wiarołomności ogłoszą, że pozostaną

wobec nas lojalni, ale to jest zdrada – stwierdził. – Oczywiście nie pozostaną lojalni. W każdym razie ten, jak on tam się nazywa... Badoglio, stwierdził wprost, że wojna będzie kontynuowana, ale to nic nie znaczy. Musi tak mówić. My podejmiemy tę samą grę: wszystko ma być gotowe do błyskawicznego uderzenia w tę całą klikę i wyrzucenia ich! Jutro rano wyślę kogoś, aby przekazał dowódcy 3. Dywizji rozkaz wejścia do Rzymu, aresztowania króla, całej bandy oszustów, następcy tronu, schwywania tych wszystkich szumowin, zwłaszcza Badoglio i jego gangu. Zobaczycie, oni pękną jak przekłuty balon i w ciągu dwóch lub trzech dni będzie całkiem inna sytuacja!

Dwie godziny później, w czasie narady o północy, Hitler wydał następujące instrukcje:

– Rzym musi być okupowany! Nikt nie może opuścić Rzymu, a wtedy wejdzie tam 3. Dywizja Grenadierów Pancernych.

– Czy Watykan zostanie otoczony, a bramy tego państwa zablokowane? – zapytał nieśmiało Walter Hewel, przedstawiciel ministra spraw zagranicznych w kwaterze Hitlera.

– To nie ma znaczenia – odpowiedział Führer. – Ja wkroczę wprost do Watykanu. Sądźcie, że obawiam się Watykanu? Cały dyplomatyczny korpus się tam schroni. Nie popuszczę im. Jeżeli wszyscy tam się znajdują, my wyjmiemy stamtąd wiele świń – mówił o Żydach, którym Watykan dał schronienie. – Potem powiemy, że przepraszamy. Łatwo możemy to zrobić.

Hitler słyszał z tego, że w sytuacjach kryzysowych potrafił działać niezwykle szybko, a przy tym często brutalnie i przebiegle. Jeżeli coś postanowił, to przestawały dla niego istnieć jakiekolwiek bariery, moralne czy prawne. Po prostu dążył do wytyczonego celu, z wdziękiem i rozmachem taranu. Dzięki temu zwykle wyprzedzał przynajmniej o krok swoich przeciwników. Był dużo bardziej skuteczny niż oni i właśnie dzięki temu wygrywał. Tym razem także głęboko wierzył w możliwość zażegnania włoskiego kryzysu. Ba! Przekonany był nawet, że z całego zamieszania wyciągnie jeszcze korzyści. Nieprzypadkowo w czasie nocnej narady wspomniął o



możliwości zajęcia Watykanu. Aresztowanie Duce, konszachty włoskiego rządu z aliantami, możliwość inwazji wojsk wroga na Półwysep Apeniński – wszystko to stwarzało mu doskonały pretekst do uwięzienia papieża i przejęcia watykańskich skarbów.

Nowy rząd Włoch oficjalnie kontynuował wojnę z aliantami, jednocześnie jednak rozpoczął z nimi tajne negocjacje. Hitler nie ufał aktualnemu premierowi i wprowadził na terytorium Italii dużą jednostkę niemiecką pod pretekstem walk z inwazją. 8 września 1943 roku rząd Badoglio ogłosił zawieszenie broni z aliantami, ale nie wypowiedział wojny Niemcom, pozostawiając armię bez rozkazów. Premier i rodzina królewska przenieśli się do regionów kontrolowanych przez aliantów.

Wiadomość o podpisaniu przez Włochy zawieszenia broni znów spadła na Hitlera niespodziewanie. Był właśnie na Zaporozżu, na Ukrainie, zajęty wydarzeniami na południowym odcinku frontu wschodniego, i tuż przed nadejściem wspomnianej wiadomości powrócił do swej kwatery głównej. Jego wściekłość nie miała granic. Z chwilą kapitulacji Włoch „miękkie podbrzusze” III Rzeszy zostałyby całkowicie pozbawione obrony. Włosi aż do ostatniej chwili zachowali pozory, toteż udało im się całkowicie zaskoczyć Niemców; starczyło im tylko tyle czasu, ile trzeba było na wysłanie umówionego hasła marszałkowi Kesselringowi, zwanemu przez aliantów „Uśmiechniętym Albertem”, który dowodził w południowych Włoszech, bo komunikacja prawie natychmiast została przerwana i wiadomości rozchodziły się bardzo skąpo.

W szary, wilgotny poranek do Kętrzyna przyjechał wezwany tam przez Hitlera Heinrich Himmler. Führer był zgorzkniały, oburzony na Włochów, że zdołali go tak podstępnie podejść. „Duce przejdzie do historii jako ostatni Rzymianin – pisał Joseph Goebbels, niemiecki minister propagandy i oświecenia publicznego, członek ścisłego kierownictwa partii narodowosocjalistycznej, a później w ostatnich dniach życia kanclerz Rzeszy[12]. – Ale za jego

---

12 W kwietniu 1945 roku Goebbels postanowił się przenieść wraz z rodziną do bunkra Hitlera w Berlinie. W testamencie politycznym

spiżową postacią naród Cyganów doszedł do rozkładu”.

Goebbels wszystkimi siłami starał się namówić Hitlera do ogłoszenia przemówienia przez radio. Po raz ostatni Adolf przemawiał w marcu, z okazji Dnia Pamięci Poległych Bohaterów. Tak źle odczytał jednak przy tym swój tekst, że wywarł jak najgorsze wrażenie na słuchaczach. Od chwili aresztowania Mussoliniego nie chciał występować publicznie, toteż Goebbelsowi tylko z najwyższym trudem udało się przełamać jego opór.

Mowa nie zawierała niczego specjalnie ciekawego. Hitler w podniosłych słowach mówił o Mussolinim, nazywając go „największym synem włoskiej ziemi od czasu upadku Rzymu” i podkreślił lojalny do niego stosunek: „Nie nauczyłem się zmieniać własnych poglądów stosownie do okoliczności lub po prostu, by się ich zaprzeć”. Oświadczył również, że zdrada Włochów będzie powodem narodowego wstydu dla ich przyszłych pokoleń, ale nie wpłynie w żaden sposób na wynik wojny:

„Od miesięcy we Włoszech walczyły już tylko niemieckie wojska. Będziemy teraz walczyli dalej, wolni od uciążliwego balastu (...) W tych gigantycznych zmaganiach względy taktyczne mogą nas zmusić czasem do niewielkiego odstąpienia na jakimś froncie, ale nigdy nie wpłynie to na przełamanie stalowego pierścienia chroniącego Rzeszę”.

Mowa ta została nadana 10 września wieczorem i poprzedził ją specjalny biuletyn oznajmiający o uderzającym sukcesie Niemców we Włoszech. Hitler zdołał tam podnieść liczebność sił niemieckich

---

Führer nazaczył go jako swojego następcę, dlatego też przez kilka godzin po śmierci Hitlera zajmował formalnie urząd kanclerza Rzeszy. 1 maja 1945 roku jego żona, Magda, otruła cukierkami z cyjankiem potasu ich sześcioro dzieci. Minęła godzina 21.30, kiedy wraz z małżonkiem weszła po schodach do ogrodu Kancelarii Rzeszy. Tam według jednej z relacji Goebbels zastrzelił najpierw swoją żonę, a potem siebie, według innej zaś – obydwójce zażyli truciznę. Ciało obłano benzyną i podpalono. 2 maja 1945 roku zwęglone szczątki odnaleźli radzieccy żołnierze.

do szesnastu dywizji, które przystąpiły teraz do rozbrajania znacznie liczniejszych wojsk włoskich oraz do zajmowania kluczowych pozycji, łącznie z Rzymem, nie napotykając przy tym poważniejszego oporu. Król i Badoglio uciekli ze stolicy, chroniąc się pod skrzydła aliantów. W ciągu paru godzin Niemcy zdołali opanować większą część Półwyspu Apenińskiego.

\*

Tymczasem Otto Skorzeny przygotowywał się do zleconej mu przez Hitlera operacji porwania Mussoliniego. W tym celu został oddelegowany do Luftwaffe i oddany pod dowództwo generała Kurta Studenta, któremu powierzono dowodzenie całą operacją.

Generaloberst Kurt Arthur Benno Student urodził się 12 maja 1890 roku w Birkholz, w Brandenburgii. W czasie 1 wojny światowej był asem niemieckiego lotnictwa myśliwskiego, z łączną liczbą sześciu powietrznych zwycięstw. 1 lipca 1938 roku, już jako generał major otrzymał zadanie rozbudowania utworzonego trzy lata wcześniej Batalionu Spadochronowego „Hermann Göring” w 7. Dywizję Lotniczą. 10 maja 1940 roku został zrzucony wraz z żołnierzami 7. Dywizji w okolicach Rotterdamu. 14 maja odniósł ciężką ranę kolana, kiedy spadochroniarze zostali omyłkowo ostrzelani przez straż przednią jednostki pancерnej Waffen-SS. W 1941 roku opracował plan zdobycia Krety przez wojska powietrznodesantowe. Podczas ataku dowodził osobiście XI korpusem lotniczym (7. Dywizja Spadochronowa i 5. Dywizja Górská). Kreta została zajęta, ale straty spadochroniarzy były tak duże, że wydano zakaz przeprowadzania dużych operacji powietrznodesantowych. Pomimo zakazu, Student – za zgodą Oberkommando der Wehrmacht (OKW) – Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu oraz samego Adolfa Hitlera – opracował plan desantu na Malte, który jednak nie został zrealizowany. W 1943 roku powierzono mu dowództwo niemieckich jednostek spadochronowych we Włoszech.

Obaj panowie S, Student i Skorzeny, byli doświadczonymi żoł-

nierzami i obaj dobrze wiedzieli, iż w przypadku powodzenia operacji „Eiche” – Dąb – bo taki nadano jej kryptonim – zaszczyty i wyróżnienia, jakie otrzymają, będą ogromne. Kiedy był zadowolony, Hitler potrafił naprawdę szczerze się odplacić. Skorzeny szybko zorientował się, że wielka akcja wymyka mu się z rąk, a dowódca spadochroniarzy zamierza przeprowadzić ją tylko przy pomocy swoich ludzi, wyznaczając esesmanowi rolę ochroniarza uwolnionego Mussoliniego. Późnym wieczorem zadzwonił więc do Berlina, do swojego zastępcy, Karla Radla.

– Mamy rozkaz wyruszyć jutro rano – rzucił do słuchawki. – Na razie nie mogę dodać nic więcej, muszę to wszystko jeszcze prze-myśleć. Powiem ci tylko jedno, że tej nocy nie będziecie spokojnie spali. Przygotuj transport, gdybyśmy mieli zabrać nasz ekwipunek. Wybierz pięćdziesięciu ludzi, tylko najlepszych, którzy znają włoski. Przekaż mi, których oficerów masz zamiar wybrać, a ja powiem ci o moim wyborze. Będziemy musieli skakać i mieć żelazne racje.

Wszystko musi być gotowe na piątą rano.

Celem Skorzenego było postawienie Kurta Studenta przed faktem. Liczył przy tym na to, że generał nie odważy się przeciwsta-wić człowiekowi wykonującemu rozkaz samego Führera. I rzeczy-wiście, Student – choć niechętnie – jednak wyraził zgodę na udział w akcji jego ludzi. Drużyna Skorzenego wylądowała 28 lipca na lot-nisku w Pratica di Mare, na południowy zachód od Rzymu.

Napływały wciąż nowe, często jednak sprzeczne ze sobą infor-macje. A to widziano Mussoliniego na wyspie Ponza, później w San-ta Maddalena na Sardynii. Wbrew pozorom obie wiadomości były prawdziwe, ponieważ dyktatora często przewożono w różne miej-sca. Włosi słusznie podejrzewali, że ich dotychczasowi koalicjanci mogą wpaść na pomysł odbicia Duce. Przebrany za żeglarza Skorze-ny wybrał się do portu La Maddalena, gdzie również przez jakiś czas przetrzymywano więźnia, jednak plan ataku drogą morską pokrzyżowało ponowne przeniesienie go w inne miejsce.

Wreszcie na początku września niemiecki nasłuch radiowy wy-

krył wzmożoną pracę włoskiej radiostacji w rejonie Gran Sasso. To mogło świadczyć, że właśnie tam Włosi przetrzymywali aresztowanego dyktatora. Dodatkowe informacje, które napłynęły od wywiadu, zdawały się ten fakt potwierdzać. Mussolini więziony był najprawdopodobniej w hotelu Albergo-Rifugio, znajdującym się na terenie ośrodka narciarskiego Campo Imperatore, 120 kilometrów na północny wschód od Rzymu.

Miejsce wybrano znakomicie. Gran Sasso d'Italia jest najwyższym masywem Apeninów, o maksymalnej wysokości 2912 m n.p.m (Corno Grande). Hotel usytuowany był na stromym zboczu góry, na poziomie 2112 metrów. Wybudowano go w roku 1938, w ramach programu rozwoju kultury fizycznej włoskiej młodzieży faszystowskiej. Dostęp do niego zapewniała jedynie kolejka linowa z pobliskiej doliny. Dolna stacja wyciągu, Fonte Cerreto, znajdowała się na wysokości 1120 metrów.

Mussolini otrzymał wygodny apartament nr 201, ulokowany na drugim piętrze kompleksu. Nie bez ironii określił go jako „najwyższe więzienie świata”. Znał je dobrze, gdyż parę lat temu osobiście dokonał otwarcia tego nowoczesnego obiektu wysokogórskiej turystyki.

Pilnujące go oddziały, dowodzone przez generała Giuseppe Guli, liczące około 200 żołnierzy, wystawiły dziesięć posterunków przy wejściach i wokół hotelu oraz obsadziły dolną stację kolejki. Rygor więzienia zaostrzono, gdy do Gran Sasso dotarła informacja o kapitulacji Włoch. Zgromadzone wcześniej siły wzmocniono 43 karabinierami porucznika Alberto Faioli i dosłano jeszcze około 40–50 ludzi z różnych oddziałów. Przy drzwiach apartamentu Mussoliniego ustawiono wartę, przed hotelem pojawiły się karabiny maszynowe. Ustanowiono też łączność z pobliskim lotniskiem Aquila i przygotowano cztery muły, umożliwiające w razie potrzeby wywiezienie jeńca w głąb masywu górskiego.

Zupełnie odcięty od świata były dyktator nie miał do dyspozycji ani książek, ani gazet, poza paroma starymi numerami „Lavoro Italiano”. Spędzał czas, słuchając radia, czasami grywał w karty z Gu-

elim i Faiolą. Mógł też spacerować w pobliżu hotelu. Pewnego dnia spotkał niespodziewanie pasterza owiec.

– Ekscelencjo – powiedział mu wieśniak. – Niemcy są już pod bramami Rzymu. Jeżeli rząd jeszcze nie uciekł, uczyni to niedługo. My wszyscy jesteśmy nadal faszystami. Nikt nas w wiosce nie ruszał. Zamknięto tylko lokale partyjne. Ciągłe mówią o tobie. Jedni, że uciekłeś do Hiszpanii, inni, że cię zabito lub że umarłeś w czasie operacji w jednym ze szpitali rzymskich. Mówią także, że cię rozstrzelano w Forte Boccea. Sądzę, że Niemcy cię uwolnią, gdy dowiedzą się, gdzie się znajdujesz. Teraz wracam z moimi owcami w doliny i powiem Niemcom, gdzie cię trzymają. Będę szybko wśród nich, bo owce będą odtransportowane koleją. Gdy powiem żonie, że cię widziałem, pomyśli, że zwariowałem. Podoficer nadchodzi. Do szczęśliwego zobaczenia.

W pierwszych dniach sierpnia Duce wysłał list do żony:

„Droga Rachelo, byłaś godna człowieka innego niż ja. Przyczyniałem ci zawsze goryczy i zmartwień. Proszę cię, przyślij mi cieplejsze odzienie, ponieważ mam tylko to, w którym udałem się na dwór królewski. Także buty, które mam, są już zbyt zniszczone i cieszyłbym się, gdybym miał parę o mocniejszych podszewkach. Powiedz Romano i Annie Marii, by nie martwili się szkołą: mają czas, by nadrobić, co stracą. Powiedz też Vittorio, by zgłosił się do ambasadora niemieckiego, ekscelencji von Mackensena, prosząc o przyjęcie do Luftwaffe. Ściskam cię i wszystkich naszych drogich – Twój Benito”.

Gdy przyszła wiadomość o upadku Rzymu, Mussolini zaobserwował „dziwną atmosferę niepewności i oczekiwania”, jaka zapanaowała na Gran Sasso. Wiadomość o ucieczce króla i Badoglio pogorszyła jeszcze nastroje ludzi pilnujących Duce. 11 września 1943 roku w Radiu Berlin więzień usłyszał niepokojącą wiadomość: „Sztab aliantów wydał oficjalny komunikat, że warunki rozejmu obejmują oddanie Mussoliniego aliantom”. Mussolini poprzysiągł sobie wtedy, iż nigdy nie pozwoli oddać się w ręce aliantów. Próbował ponoć nawet podciąć sobie żyły żyłką. Po tym incydencie po-

rucznik Faiola kazał usunąć wszystkie ostre przedmioty z pokoju aresztanta.

Faktycznie, wśród warunków zawieszenia broni znalazł się artykuł 29 o treści następującej: „Benito Mussolini, jego główni, faszystowscy współpracownicy oraz wszystkie osoby podejrzane o popełnienie zbrodni wojennych lub analogicznych wykroczeń, których nazwiska znajdują się na liście podanej przez Narody Zjednoczone, zostaną niezwłocznie zatrzymane i wydane Narodom Zjednoczonym”.

Jak wspominał później sam Mussolini, komendant karabinierów Faiola obiecał mu wtedy ze łzami w oczach:

– Na godzinę, zanim się to stanie, będzie pan ostrzeżony i dana panu będzie wszelka możliwość ucieczki. Przysięgam to na życie mojego jedyne go syna.

Chcąc dokonać rozpoznania, Skorzeny i Radl przelecieli 8 września bombowcem na wysokości pięciu tysięcy metrów nad Gran Sasso. Ich Heinkel He 111 wyposażony był w kamerę z potężnymi obiektywami, pozwalającą na robienie zdjęć z dużej odległości. Tuż przed celem okazało się, że kamera jest zepsuta. Być może przyczyną awarii sprzętu była panująca w samolocie zbyt niska temperatura. Powodzenie całej akcji wywiadowczej stanęło pod wielkim znakiem zapytania. Na szczęście Skorzeny miał ze sobą również zwykły, amatorski aparat fotograficzny, którym udało mu się zrobić potrzebne zdjęcia, po wypchnięciu okienka w podłodze kadłuba. Wpadający do środka lodowaty wicher powodował, że skostniałe z zimna dłonie odmawiały mu posłuszeństwa. Przy okazji przeżyli dodatkowe chwile grozy, gdy w niewielkiej odległości pojawiła się eskadra wrogich myśliwców.

Hauptsturmführer przyglądał się górze z ogromnym sceptycyzmem. Sforsowanie urwistych ścian przez komandosów graniczyło z nieprawdopodobieństwem. Poza tym podczas wielogodzinnej wspinaczki po nagich skałach intruzów mógłby dostrzec każdy wartownik, który nie byłby ślepy. Spadochrony? Też niewykonalne. Skok musiałby nastąpić z wysokości sześćdziesięciu metrów,

na teren wielkości boiska piłkarskiego. Raczej niewielu śmiazków przeżyłoby taką zabawę. W pewnej chwili, patrząc przez obiektyw aparatu, Skorzeny dostrzegł w pobliżu budynku niewielką łąkę, łagodnie opadającą w stronę skalnej krawędzi. To była jedyna szansa! Na takim płachetku ziemi, z trudem, bo z trudem, ale mogłoby wylądować kilka szybowców...

Zaafierowany odkryciem esesman nie zauważył jednak, że łąka kończy się na urwistej grani. „Wyglądało to jak zeskok z wielkiej skoczni narciarskiej” – opisał później to miejsce. Wobec skalistego podłoża szacowano możliwe straty na 80%!

\*

12 września o świcie, z bazy Pratica di Marę wyruszyły w stronę Gran Sasso ciężarówki z żołnierzami, którymi dowodził major Otto Harald Mors. Zadaniem jego ludzi było zajęcie pobliskiego lotniska Aquila oraz prowadzącej do Campo Imperatore kolejki górskiej, która umożliwiała bezpieczny powrót żołnierzy Skorzenego i Studenta.

Dziewięć szybowców DFS 230 w wersji CI, umożliwiającej wylądowanie na bardzo krótkim odcinku trójkątnej polany, którymi dowodził Oberleutnant Georg Freiherr von Berlepsch, wystartowało z lotniska Pratica di Mare o godzinie 13.00. Wszystkie należały do 12. eskadry 1. pułku szybowcowego porucznika Heidenreicha. Zgodnie z planem miało ich być dwanaście, lecz tuż przed planowanym startem lotnisko Pratica de Marę zostało zbombardowane przez alianckie lotnictwo. Nie wyrządziło ono wprawdzie szkód niemieckim samolotom ani szybowcom, ale bomby zryły pas startowy i nie było już czasu, aby wypełnić betonem leje. Dwa szybowce wpadły w nie podczas startu, zmuszone w ten sposób do wyczepienia lin holujących i przerwania operacji. Kolejny wyczepił się już w powietrzu, na skutek samoczynnego zadziałania spustu zamka.

Szybowce podzielono na trzy sekcje. Dwa miały zabezpieczyć



strefę lądowania, cztery wiozły grupę przeznaczoną do szturm na hotel, a żołnierze pozostałych sześciu mieli otoczyć hotel i odciąć dopływ ewentualnych posiłków od strony stacji kolejki linowej. Spadochroniarze generała Kurta Studenta lecieli w szybowcach grupy pierwszej i trzeciej, zaś esesmani Skorzenego – drugiej. Tego rodzaju szyk uformowany został na rozkaz generała, Student pragnął bowiem, aby to jego żołnierze wylądowali wcześniej i żeby to oni uwolnili Mussoliniego. Nie przewidział jednak, że Skorzeny i tym razem go przechytrzy.

Pierwszy szybowiec holowany był przez samolot marki Junkers 52/3m. Jego pilot, kapitan Horst Langguth, z wielką obawą patrzył na wznoszące się wokół lotniska góry. Maszyna nabierała wysokości bardzo powoli i pilot obawiał się roztrzaskania o skały. Zdecydował się więc zatoczyć kilka kręgów, dopóki nie wzbije się na bezpieczny pułap. Wprawdzie z powodu obowiązującej ciszy radiowej nie mógł przekazać tej informacji pozostałym kolegom, jednak przekonany był, że ci doświadczeni lotnicy, sami zorientują się, iż tak właśnie czynić należy. W tym momencie ze zdumieniem spostrzegł jednak, że lecący za nim samolot, holujący szybowiec z komandosami Skorzenego, kieruje się najkrótszą drogą w stronę zdradliwych gór. W ten sposób głodny sławy i zaszczytów Otto, ryzykując życiem, postanowił ubiec ludzi Studenta.

Dopiero gdy znalazł się tuż nad leżącą przy szczycie Gran Sasso łąką, zorientował się, że jest ona znacznie mniejsza, niż przypuszczał i w dodatku jeszcze kończy się urwistą granią. Nie miał już jednak żadnego wyboru.

&–Lądowanie awaryjne, jak najbliżej hotelu! – krzyknął do pilota, porucznika Elimara Meyer-Wehnera, któremu w tej sytuacji nie pozostał na myślenie nawet ułamek sekundy.

Instynktownie przechylił samolot na prawe skrzydło, gwałtownie opadając w kierunku łąki, która zdawała się nie większa od pocztowego znaczka. Tuż przed dotknięciem ziemi wypuścił spadochrony hamujące szybowiec. Gwałtowny wstrząs rzucił wszystkich na bok. Podskakując na nierównościach gruntu, szybowiec

przez kilkanaście sekund przesuwał się coraz bliżej i bliżej przepaści, aż wreszcie, dosłownie kilka metrów przed końcem urwiska, przechylił się na skrzydło i zamarł.

Udało im się wylądować na tyłach hotelu. Chroniący dotychczas głowy w ramionach przed uderzeniem komandosi, zerwali się z biegnącej przez środek szybowca drewnianej ławki i wyskoczyli na zewnątrz. Po kilkunastu krokach padli na ziemię, spodziewając się ulewy ognia, lecz od strony budynku nie padł ani jeden strzał. Wymierzając lufy automatów w kierunku wroga, zajęli się osłanianiem lądowania pozostałych szybowców. Pionowe skały nagiego łańcucha gór przypominały kły potwora czającego się, by dopaść swe ofiary i wciągnąć je w paszczę głębokiej doliny.

Radiotelegrafista zameldował, że zgłosił się major Mors, informując, że jego żołnierze opanowali stację kolejki i kierują się na szczyt. W wyniku krótkiej, lecz gwałtownej wymiany ognia jeden włoski policjant zginął, a dwóch żołnierzy odniosło rany.

Nie czekając na wydostanie się z lądujących szybowców spadochroniarzy Studenta, uzbrojeni w pistolety maszynowe MP 40[13] komandosi Skorzenego ruszyli biegiem w stronę hotelu Albergo-Rifugio, wrzeszcząc przy tym co sił w płucach:

– *Mani in alto!*

– Alarm! – krzyknął zaskoczony wartownik, ale nikt nie zareagował.

Przerażeni niespodziewanym atakiem karabinierzy stali przed wejściem do budynku z opuszczoną bronią, nie mając pojęcia, czy strzelać, czy zastosować się do wezwania i podnieść ręce do góry.

---

13 Produkcję pistoletów maszynowych MP 40 uruchomiono w 1940 roku. Nazywano je popularnie „schmeisserami” – od nazwiska konstruktora Hugo Schmeissera (1884–1953), chociaż ten akurat pistolet został zaprojektowany przez Heinricha Vollmera. Poza zakładami wcześniej produkującymi MP 38, czyli Erfurter Maschinenfabrik B. Geipel GmbH i Waffen und Fahrradfabrik C.G. Haenel, produkcję MP 40 uruchomiono także w austriackich zakładach Steyr (wcześniej produkujących MP 34).

Na czele biegnących w ich kierunku ludzi zobaczyli wysokiego Włocha w generalskim mundurze. Swój czy obcy? Porucznik Faiola nie wiedział, co robić.

– Niech pan się natychmiast schowa – krzyknął tylko do Mussoliniego, który zaciekawiony hałasem wychylił się ze swego okna.

Ale Duce ani myślał usłuchać. Wychylił się jeszcze bardziej.

– Żołnierze! Co wy robicie? – zawołał do stojących na dole karabinierów, z których kilku wyraźnie szykowało się do obrony. – Do kogo chcecie strzelać? Czy nie widzicie, że tam jest włoski generał?

Dopiero później okazało się, że grupie niemieckich żołnierzy towarzyszył namówiony przez Skorzenego włoski generał Fernando Soletti z Korpusu Policji Metropolitalnej, który miał „pośredniczyć” pomiędzy napastnikami a obroną. Na widok środka transportu przewidzianego do operacji zaczął trząść się ze strachu jak osika. Załadowano go na pokład pod groźbą użycia broni. Próbował się nawet zastrzelić, zanim wsiadł do szybowca, ale udało się go obezwładnić. To, w jakiej misji ma wziąć udział i jak ma ona przebiegać, powiedziano mu dopiero w dniu operacji. Oczywiście był jedynym członkiem zespołu, który nigdy nie leciał wcześniej szybowcem.

Dopadnięcie oniemiałych Włochów zabrało napastnikom kilkanaście sekund. Zabrali im broń i kazali położyć się na podłodze. Któryś z komandosów wysadził kilkoma silnymi kopniakami drzwi z futryny i cała grupa wpadła do holu. Pierwszym człowiekiem, którego tam zobaczyli, był trzęsący się ze strachu radiotelegrafista, wykonujący jakieś manipulacje przy nadajniku. Skorzeny wykopał spod niego krzesło, w wyniku czego Włoch z ogłupiałą miną wylądował na podłodze. Wypuszczona z automatu krótka seria rozbiła nadajnik w drzazgi.

Tymczasem na polance lądowały kolejne szybowce. Jeden z nich, który pilot zbyt gwałtownie posadził na ziemi, uległ całkowitemu rozbiciu, nikt jednak przy tym nie zginął.

Wrzaski generała Solettiego pogłębiały jeszcze panujące zamieszanie. W normalnej sytuacji, z ukrytych w solidnym budynku sta-

nowisk ogniowych można było wystrzelać lądujących spadochroniarzy jak kaczki. Ale nikt nie zdecydował się na otwarcie ognia.

Niebo po północnej stronie gór było szaroczarne i skłębione. Tutaj, w samym sercu Gran Sasso, przypominało oko Cyklopa zasnuwane mleczną kataraktą. Nie czekając na innych, Skorzeny pobiegł w kierunku wejścia do hotelu, które według jego oceny znajdowało się za rogiem budynku. Tam natrafił jednak na piętrzący się przed nim, wysoki na kilka metrów mur tarasu. Jeden z komandosów, SS-Scharführer[14] Otto Himmel, pochylił się i oparł rękami o ścianę. Skorzeny wskoczył mu na plecy, dzięki czemu zdołał dosięgnąć balustrady. Podciągnąwszy się na rękach, przełożył nogę na drugą stronę i po chwili stał już na tarasie, gotowy do dalszej akcji. Na jego szczęście Włosi byli zbyt zaskoczeni, by podjąć jakąkolwiek próbę obrony. Nikt nie pojawił się w szeroko otwartych drzwiach. Wokół panowała głucha cisza, zakłócona jedynie dobiegającymi z oddali komendami dowódców lądujących spadochroniarzy.

W ślad za swoim dowódcą na tarasie pojawiło się tą samą drogą paru innych spadochroniarzy. W tym momencie w otwartych drzwiach pojawiła się grupa włoskich żołnierzy. Zapachniało masakrą. Wystarczyła jednak krótka, puszczone przez kogoś z niemieckich komandosów w powietrze seria, by wszyscy rozpięchli się w popłochu. Skorzeny pobiegł w kierunku wiodących na piętro krętych schodów. Przeszedł się przez zatłoczony spanikowanymi Włochami ciemny korytarz, docierając na koniec do pokoju, w którym przebywał uwięziony dyktator.

– Duce, przysłał mnie Führer – zameldował. – Jest pan wolny.

Mussolini ścisnął mu wylewnie dłoń. Dawno już nikt nie stał przed nim na baczność i nie meldował się tak sprężyście.

---

14 Scharführer – podoficerski stopień paramilitarny w SS i SA (nierównoważny), który w SS odpowiadał stopniowi Unterfeldfebl (plutonowego) w Wehrmachcie, w SA zaś Unteroffiziera (kaprała). Na patkach Scharführern znajdowała się jedna gwiazdka z belką, natomiast pagon był obwiedziony białym pasmem. Ranga SS-Scharführer była równoważna w SA z Oberscharführerem.

– Przewidziałem to – powiedział. – Ani przez chwilę nie zwątpiłem, że mój przyjaciel Adolf Hitler uczyni wszystko, aby mnie wydestać. Dziękuję panu, kapitanie Skorzeny, jak i pana towarzyszom, którzy podjęli to ryzyko.

„Był nieogolony i wyglądał na chorego – wspominał spotkanie z dyktatorem major Mors. – Mówił, że cieszy się, że wyzwolili go Niemcy, nie Anglicy. Powiedział też, żebyśmy nikogo nie rozstrzelali”.

Zaskoczenie było całkowite, sytuacja została błyskawicznie opanowana. Cała akcja rozegrała się w trakcie niecałych czterech minut. Jedyne rany odnieśli niemieccy żołnierze w rozbitym szybowcu. Włosi nie oddali ani jednego strzału.

\*

Pozostał jeszcze odwrót, co mogło być trudniejsze niż atak. Skorzeny i Student opracowali kilka wersji ucieczki. Pierwsza przewidywała, że z uwolnionym Mussolinim zjadą na dół kolejką opanowaną przez żołnierzy majora Morsa i ruszą w stronę pobliskiego lotniska w Aquila de Abruzzi, które wcześniej zostanie zajęte i utrzymane do momentu, aż wylądują tam trzy samoloty He 111. Jeden zabralby Duce i żołnierzy, zaś pozostałe, krążąc w powietrzu, osłaniałyby odwrót i utrzymywały wojska włoskie w odpowiedniej odległości od pasa startowego.

Kolejkę udało się zdobyć, lotniska – nie. Jedna droga odwrotu została odcięta. Pozostawały jeszcze dwie ewentualności.

Drugi wariant przewidywał, że na polu przy dolnej stacji kolejki linowej wyląduje niewielki samolot Fieseler Fi 156 Storch, do którego wsiądzie uwolniony Duce. Było to najbezpieczniejsze rozwiązanie, lecz Skorzeny, rozmawiając przez telefon z żołnierzami obsadzającymi dolną stację, dowiedział się, że samolot, który tam wylądował, uległ uszkodzeniu. Kolejna z branych pod uwagę opcji została stracona. Pozostał więc wariant trzeci i ostatni, najbardziej ryzykowny.

Na niewielkiej łączce wylądował tymczasem drugi fieseler storch, za sterami którego siedział prawdziwy as lotnictwa. Nazywał się Heinrich Gerlach i był osobistym pilotem generała Studenta. Zadanie, które powierzono mu do wykonania, wydawało się jednak niewykonalne. Z zasłanego wrakami szybowców terenu trzeba było jeszcze wystartować i odlecieć. Z pomocą Włochów, drżących o własne życie, w ciągu niecałej godziny oczyszczono teren z kamieni i wraków dla bezpiecznego startu obciążonego samolotu. Dodatkowy problem stanowiła długość wyboistej powierzchni, przymusowo zamienionej na pas startowy. Lądowisko stromo opadało w przepaść, a droga startu była bardzo krótka. Tego już zmieścić się nie dało.

Nie mając właściwie innego wyboru, Gerlach zaczął przygotowywać się do odlotu. Kiedy zwolnił już hamulce, ku jego nieopisanemu zdziwieniu, do niewielkiego samolotu wgramolił się jeszcze dodatkowy „bagaż” w postaci olbrzymiego Skorzenego. Jego sto kilogramów żywej wagi zwiększyło do maksimum i tak już wielkie ryzyko. Dowódca komandosów nie miał najmniejszego zamiaru zrezygnować z osobistego przekazania uwolnionego dyktatora Führerowi. Doskonale bowiem zdawał sobie sprawę, że albo poleci z Mussolinim i wszelkie zaszczyty związane z udaną akcją przypadną jemu, albo też straci je na rzecz generała Studenta.

„Rozważyłem każdy aspekt tej sprawy najbardziej starannie i w pełni zdawałem sobie sprawę z wielkiej odpowiedzialności, jaką niosło dołączenie do pozostałych dwóch – wspominał w pamiętniku. – Ale jak mógłbym wytłumaczyć, że pozwoliłem Duce wylecieć samotnie z Gerlachem? Gdyby wydarzyło się nieszczęście, wszystko, co by mi pozostało, to kula z mojego własnego rewolweru; Adolf Hitler nigdy by mi nie wybaczył takiego zakończenia całego przedsięwzięcia. Jeśli nie było innej możliwości dostarczenia Duce bezpiecznie do Rzymu, to lepiej było dzielić z nim niebezpieczeństwo, nawet jeżeli moja obecność je zwiększała. Gdyby się nie udało, spotkałby nas ten sam los”.

– Niech pan wsiądzie – zaprotestował energicznie pilot.

- Ani mi się śni – warknął krótko Skorzeny.
- Nie uda nam się wystartować z dodatkowym obciążeniem.
- Uda.

– Ja jestem dowódcą tego samolotu, Hauptsturmführer, i twierdzę, że to zbyt duże ryzyko – nie ustępował Gerlach.

– A ja otrzymałem rozkaz od samego Führera, który kazał mi osobiście odeskortować Mussoliniego.

Powołanie się przez kapitana na najwyższy autorytet ucięło dalszą dyskusję. Tuż po godzinie 15.00 dwunastu żołnierzy przytrzymało samolot, by uzyskać efekt katapulty, a pilot zwiększył obroty silnika do maksymalnych, po czym na dany ręką znak uwolniona maszyna szybko rozpedziła się na stromym zboczach o długości 80 metrów. Storch przetoczył się przez całą długość pochyłej łąki, szybko zbliżając się do przepaści. Zbyt szybko. Nie zdążył jeszcze nabrać dostatecznej prędkości, która umożliwiłaby mu wzbicie się w powietrze. Silnik ryczał na pełnych obrotach, wydając przeraźliwe jęki, jakby kto otworzył wrota piekieł i wszyscy diabli wychodzili na zewnątrz.

Pas startowy skończył się i samolot zaczął gwałtownie opadać. Skorzeny mógłby przysiąc, że poczuł w nozdrzach zapach świeżo rozkopanej ziemi, zupełnie jak na cmentarzu. Mussolini zamknął oczy, drżąc na całym ciele. Strach rozdarł mu umysł i spłynął niżej. Wnętrznosci zamieniły się w wodę, lodowaty pot sączył się wszystkimi porami. Wydawało się przez chwilę, że śmierć zacisnęła na nich swą kościstą dłoń.

Po kilku sekundach jednak, które zdawały się trwać wieki, jakiś zbawienny podmuch wiatru czy też prąd powietrza uniósł samolot w górę. Nie na długo. Po chwili maszyna opadła o parę metrów, a lewe koło uderzyło o skałę. Dziób pochylił się gwałtownie i wydawało się, że samolot jak ptak z przetrąconym skrzydłem zwali się w przepaść. Nikt nie wie, jakim cudem udało im się ponownie wznieść. Kolejny szczęśliwy prąd powietrza wywindował ich na bezpieczny pułap.

„Słysząc było jeszcze jakieś krzyki, widać było machające dłonie, a potem otoczyła nas cisza – wspominał ten start Benito Mussolini. – Kiedy otworzyłem oczy, Gerlach panował nad maszyną i powoli ustawiał ją w poziomie”.

„Nie mogłem się powstrzymać i położyłem rękę na ramieniu Duce, który był równie blady, jak Gerlach i ja” – opowiadał z kolei Skorzeny.

Na ziemi, z ust Niemców i karabinierów wydobył się gromki okrzyk „Hurra!”. Żołnierze machali z radości czapkami.

Lecąc na wysokości 30 metrów na południowy wschód doliną Avezzano, około godziny 17.00 dotarli do lotniska Pratica di Mare, gdzie przeżyli jeszcze jeden moment grozy, lądując z uszkodzonym podwoziem. Tam pasażerowie przesiedli się do transportowego Heinkla He 111, którym udali się do Wiednia. Ich samolot wylądował na lotnisku Aspern około godziny 23.00.

Tymczasem wieczorem jednostka atakująca hotel, po wymontowaniu cennych instrumentów i wyposażenia radiowego, zniszczyła wszystkie szybowce materiałami wybuchowymi, zabrała rannych z rozbitego szybowca i zjechała na dół kolejką górską. Podstawionymi samochodami wszyscy wrócili na lotnisko wyjściowe.

Tego samego dnia, 12 września 1943 roku, równoległe z akcją porwania Duce z Gran Sasso grupa esesmanów dowodzona przez SS-Untersturmführera Hansa Mandela uwolniła też jego żonę Rachelę oraz ich dwoje najmłodszych dzieci, przetrzymywanych przez funkcjonariuszy włoskiej policji w miejscowości Rocca delle Caminate. Rodzinę Mussoliniego przewieziono na lotnisko w Rimini, a stąd do Wiednia, gdzie Duce spędził z nią cały następny dzień. Jego dyktatura została uratowana. Jak się później okazało – na krótko.

W swoim dzienniku zanotował, jakie znaczenie miała dla niego akcja w Gran Sasso: „Grecki filozof Tales dziękował bogom za to, że uczynili go człowiekiem, a nie zwierzęciem, mężczyzną, a nie kobietą, Grekiem, a nie barbarzyńcą. Ja dziękuję bogom, że oszczędził mi farsy procesu w Madison Square w Nowym Jorku, od którego



wolałbym po stokroć, żeby mnie po prostu powieszono w londyńskim Tower”.

Przeprowadzona w wysokich górach, z wykorzystaniem szybowców desantowych akcja zaskakuje do dnia dzisiejszego swoją śmiałością i działa na wyobraźnię, przypominając momentami scenariusz filmu sensacyjnego. Operacja „Eiche” przyciąga jednak uwagę nie tylko ze względu na swój przebieg, ale przede wszystkim z powodu jej dalekosiężnych skutków. Gdyby spadochroniarze i esesmani nie uwolnili Duce, to z pewnością na kontrolowanym przez wojska niemieckie obszarze środkowych i północnych Włoch nie powstałoby nowe państwo faszystowskie, Włoska Republika Socjalna, ze wszystkimi tego tragicznymi konsekwencjami, prześladowaniami, terrorem i wreszcie bratobójczymi walkami pomiędzy Włochami...

\*

Ledwo Skorzeny wszedł do hotelu Imperial w Wiedniu, gdzie wraz z Mussolinim mieli spędzić noc przed podróżą do Rastenburga, zadzwonił z gratulacjami Heinrich Himmler. Potem przyszedł dowódca miejscowego garnizonu i oznajmiając, że działa na rozkaz Führera, zawiesił mu na szyi Krzyż Rycerski Krzyża Żelaznego (*Ritterkreuz des Eisernen Kreuzes*), najwyższe odznaczenie wojskowe III Rzeszy nadawane w praktyce, gdyż wyższym odznaczeniem był Krzyż Wielki Krzyża Żelaznego, nadany jedynie słynącemu z zamiłowania do orderów Hermannowi Göringowi. Porucznik Elimar Meyer-Wehner i kapitan Heinrich Gerlach otrzymali Krzyże Rycerskie Krzyża Żelaznego, major Mors i porucznik von Berlepsch – Złote Krzyże Niemieckie, generała Studenta zaś udekorowano Liśćmi Dębowymi do Krzyża Rycerskiego.

Całość akcji nakręcał na taśmie filmową specjalny korespondent Waffen SS. Było to potrzebne nie tyle, aby pochwalić się przed Hitlerem, co dla Goebbelsa. Po obejrzeniu filmu minister propagandy III Rzeszy natychmiast pojął, jaka trafiła mu się gratka. Każda oka-

zja do podnoszenia upadającego ducha wymęczonego wojną społeczeństwa była dobra. Wszystkie środki goebbelsowskiej propagandy otrzymały zadanie szerokiego przedstawienia „bohaterskiego czynu”. Prasa rozpoczęła przedrukowywanie artykułów opisujących „niesłychanie brawurową akcję”. Rysownicy dokonywali cudów, przedstawiając na planszach i afiszach muskularne sylwetki niemieckich spadochroniarzy, pokonujących „morderczy ogień skalnej fortecy”.

Wreszcie do przebywającego w hotelu Imperial Otto Skorzenego zatelefonował sam Führer.

– Wykonał pan wojskowe przedsięwzięcie, które stanie się częścią historii – powiedział. – Zwrócił mi pan mojego przyjaciela Mussoliniego. Odznaczyłem pana Krzyżem Rycerskim i promuję pana do stopnia SS-Sturmbahnführera. Najserdeczniejsze gratulacje.

Wydawało się, że Hitler odzyskuje kontrolę nad sytuacją we Włoszech. Jego wojska opanowały stolicę, główne miasta i najważniejsze punkty strategiczne kraju. Mussolini miał poprowadzić do walki swoich zwolenników, których posiadał jeszcze wielu. Górzysty teren i silnie rozbudowane linie obronne przecinające Półwysep Apeniński sprawiały, że dla wojsk alianckich droga na północ mogła się okazać bardzo krwawa. Kto chciał przekroczyć owe linie, musiał zdobyć Monte Cassino...

Następnego dnia Mussolini spotkał się z Hitlerem. Uściskał swego wybawiciela ze łzami w oczach. Ten jednak nie miał ochoty na czułości. Nakazał mu wracać do Włoch i poderwać rodaków do walki. Nie mając wyjścia, Duce zrobił, co mu kazano. Przez kolejne półtora roku próbował zmagać się z tym, co było nieuchronne – widmem klęski. Dwudziestego trzeciego września utworzył na okupowanych przez Niemców terytoriach Włoch nowe państwo faszystowskie, Repubblica Sociale Italiana (RSI), nazywane też „republiką Salò”, tam bowiem znajdowała się siedziba władz tego operetkowego tworu.

W marionetkowym państewku Mussolini otoczył się ostatnimi zwolennikami, z resztek wiernych mu oddziałów utworzył *Guardia*

*Nazionale Repubblicana* i Czarne Brygady (Brigate Nere). Przez przełęcz Brenner w Alpach pędzono kolumny aresztantów na zagładę do obozów koncentracyjnych. Watahy czarnych koszul znowu panoszyły się na ulicach włoskich miast i miasteczek. Specjalny trybunał osądził też tych, którzy w lipcu 1943 roku głosowali za odsunięciem go od władzy. Większość skazano na karę śmierci, w tym zięcia Duce, Galeazzo Ciano. Warto wspomnieć, iż egzekucja piątki wrogów politycznych Mussoliniego przeprowadzona została 11 stycznia 1944 roku. Wszystko sfilmowano, a Duce miał zapewne okazję do niejednokrotnego obejrzenia makabrycznego widowiska. Makabrycznego tym bardziej, iż trzeba było aż trzech salw, aby uśmiercić więźniów.

W tym samym czasie włoskie społeczeństwo płaciło własną krwią za powrót Mussoliniego. Z rezydencji Rocca nad jeziorem Garda wychodziły polecenia nowego rządu Duce, w rzeczywistości przygotowywane przez Obergruppenführera Karla Wolffa – byłego adiutanta Himmlera – naznaczonego na stanowisko wyższego dowódcy Waffen SS i policji we Włoszech.

Tymczasem wojna zbliżała się do końca – wokół Berlina zaciskały się radzieckie kleszcze. Sprzeciw większości ludności wobec niemieckiej okupacji doprowadził do powstania ruchu oporu i wybuchu wojny domowej na terenie Włoskiej Republiki Socjalnej. Mussolini coraz bardziej tracił grunt pod nogami. Odrzucił jednak propozycję ucieczki do Ameryki Południowej, swojej kochance, Clarze Petacci, zasugerował natomiast, aby uciekła do Hiszpanii. Z propozycji tej skorzystała skwapliwie większa część jej rodziny, lecz ona sama zdecydowała się do końca dzielić swój los z ukochanym Duce.

Ostatecznie Mussolini spróbował przekroczyć szwajcarską granicę przebrany za niemieckiego żołnierza – żołnierzom Wehrmachtu komunistyczni partyzanci pozwalali opuścić kraj. Pierwszy posterunek udało się oszukać, na jednym z kolejnych dyktator został aresztowany. Podążająca za nim jak cień Clara, na własne życzenie została wraz z Mussolinim zatrzymana.

– Jeśli zabijecie jego, zabijcie mnie także – błagała.

Jej życzeniu stało się zadość. Rozstrzelano ich 28 kwietnia 1945 roku w miejscowości Giulino di Mezzegra, 29 kilometrów od granicy szwajcarskiej. Podobno Claretta, stojąc przed plutonem egzekucyjnym, wyszeptała: „Jesteś zadowolony, że zostałam z tobą do końca?”. 29 kwietnia ciała Mussoliniego i Petacci zostały powieszzone głowami w dół i wystawione na widok publiczny na Piazzale Loreto w Mediolanie.

Zaczęły się krwawe igrzyska: ktoś oddał do martwych strzały, tłum pluł na wiszące ciała, niektórzy nawet oddawali na nie mocz. Na martwym ciele Clary Petacci spódnica opadła na głowę, odsłaniając bieliznę. Jeden z partyzantów podniósł spódnicę i obwiązał ją wokół kolan martwej kobiety. Trzydzieści lat wcześniej Duce stwierdził:

&–Każdy umiera taką śmiercią, jaka odpowiada jego naturze...

Tego samego dnia, 29 kwietnia, milionowa armia hitlerowska we Włoszech bezwarunkowo skapitulowała.

Podobnie jak śmierć Adolfa Hitlera, również rozstrzelanie włoskiego dyktatora wzbudza sporo kontrowersji. Oprócz oficjalnej, opisanej powyżej, istnieje jeszcze inna wersja, która głosi, że zabójstwo Mussoliniego zostało przygotowane i wykonane (lub współwykonane razem z partyzantami) przez brytyjski wywiad. Według tej wersji Mussolini posiadał kompromitującą dla Winstona Churchilla korespondencję i sporą ilość pieniędzy, za które chciał kupić sobie wolność. Aby listy nie wyszły na jaw, wywiad brytyjski przygotował zamach lub nadzorował egzekucję Mussoliniego. Wersję tę potwierdził w 1990 roku Bruno Giovanni Lonati – były partyzant z oddziału, który pochwycił Duce. Według niego Mussolini został zabity przez niego i pewnego oficera brytyjskich służb specjalnych o pseudonimie „John”. Wersja Lonatego nigdy jednak nie została potwierdzona, nie można też jej zweryfikować, ponieważ nie są znane żadne dokumenty świadczące o takim przebiegu wydarzeń.

Benito Mussolini stworzył faszystowskie państwo, rzucając je w wir światowej wojny. I ta wojna go pochłonęła. Po wkroczeniu aliantów do Mediolanu jego ciało zostało pochowane w nieozna-

czonym grobie na mediolańskim cmentarzu. W 1950 roku przeniesiono je i pochowano w miejscu urodzin Duce, Predappio. Wcześniej nie było to możliwe ze względu na emocje, jakie jego nazwisko wciąż wywoływało w powojennych Włoszech. Wielu starszych Włochów do dziś wspomina z sentymentem czasy Mussoliniego, kiedy, jak mówią, „pociągi jeździły punktualnie”.

Na nagrobku dyktatora można znaleźć zarówno napisy pełne uwielbienia, jak i nienawiści. Jeszcze w roku 1971 doszło w Predappio do zamieszek wywołanych przez zwolenników i przeciwników dyktatora. Jedni widzieli w nim sprawcę włoskiego dramatu z lat II wojny światowej, inni traktowali go jako synonim ładu i dyscypliny, silnego człowieka na trudne czasy. Po prostu Duce, czyli wodza.

\*

Kurt Student we wrześniu 1944 roku, już w stopniu generała pułkownika, uczestniczył w likwidacji alianckiego desantu pod Arnhem w Holandii (operacja „Market-Garden”). Od 29 kwietnia 1945 roku dowodził niemieckimi wojskami broniącymi Meklemburgii.

W maju roku 1947 stanął przed brytyjskim sądem wojskowym, oskarżony o zbrodnie wojenne. Został skazany na pięć lat więzienia. Po zwolnieniu w 1948 roku z powodów zdrowotnych, poświęcił się pisaniu książek na tematy wojskowe. W roku 1952 wybrano go prezesem Związku Niemieckich Spadochroniarzy. Zmarł 1 lipca 1978 roku w Lemgo.

A główny bohater tej historii, Otto Skorzeny? Jego wielka kariera dopiero się rozpoczynała, akcje mknęły w górę jak strzała teutońskiego wojownika. Obok Krzyża Rycerskiego, awansu i złotej odznaki honorowej pilota, odebrał pochwały i wyrazy najwyższego uznania od całej plejady brunatnych władców. Szczęśliwy Mussolini obiecał mu order „Stu Muszkieterów”, lecz na obietnicy się skończyło, gdyż ordery były w Rzymie, a Duce nigdy już tam nie zdołał powrócić. Nawet były dowódca Skorzenego, generał SS, Paul Haus-

ser podlizał się robiącemu błyskawiczną karierę podwładnemu, przesyłając mu telegram z gratulacjami i... ukradziony w jakimś włoskim dworze sportowy biały kabriolet.

Po raz pierwszy Skorzeny na fali euforii propagandowej został przedstawiony szerokiemu ogółowi. Dotychczas nie był znany z racji wykonywanych funkcji szpiegowsko-dywersyjnych, jak również ze względu na... konkurencję. Jeszcze działał admirał Wilhelm Canaris, szef wywiadu wojskowego. Sztab wojsk lądowych starał się jak mógł, aby do uszu Führera docierały raczej wyczyny jemu podległych jednostek. Himmler dopiero robił wstępne przymiarki do pacyfikacji organów wywiadowczych armii, którą przyspieszył dokonany na Hitlera zamach.

Teraz Skorzeny szeroko uśmiechał się z ekranów kin, afiszy i rysunków w prasie. Na zebraniach hitlerowskich organizacji młodzieżowych oblekano postać „bohatera” w coraz bardziej zmyślane historyjki. Kiedy fala euforii minęła, powrócił do swojej „pracy”. Zanim II wojna światowa dobiegła końca, zdążył jeszcze przyczynić się do zdławienia w Berlinie tak zwanego zamachu 22 lipca hrabiego Stauffenberga oraz uczestniczyć w koordynowaniu niemieckich grup dywersyjnych, działających na tyłach alianckich wojsk w Europie. Wkrótce dał o sobie znać aliantom obradującym w Teheranie, gdzie planował porwanie prezydenta Franklina Delano Roosevelta.

15 października 1944 roku dowodził specjalnym oddziałem spadochroniarzy przeprowadzających w Budapeszcie operację o kryptonimie „Mickey Mouse”, której celem było porwanie syna admirała Horthy’ego, regenta i faktycznego dyktatora Węgier. (Kryptonim pochodził od imienia syna regenta, Mikłósa, nazywanego zdrobniale „Miki”).

Akcja ta miała na celu powstrzymanie dążeń admirała Horthy’ego, który w obliczu sytuacji kryzysowej, jaka panowała wówczas na wszystkich frontach, usiłował nawiązać kontakty ze Związkiem Radzieckim, w celu zawarcia separatystycznego pokoju. Było to bardzo groźne dla Niemiec, jako że przejście Węgier na drugą stro-

nę konfliktu mogło odciąć dostawy ropy z rumuńskich pól naftowych.

Operacja udała się, syn Horthy'ego został uwięziony i wywieziony z Budapesztu, a komandosi nie ponieśli żadnych strat własnych. Nie udał się jednak szantaż, Horthy w wystąpieniu radiowym zaproponował Związkowi Radzieckiemu zawieszenie broni, ale do węgierskiej armii nie dotarły oficjalne rozkazy, przez co nie prze-rwała walki. Wkrótce potem, w ramach dowodzonej również przez Skorzenego operacji „Panzerfaust”, admirał Horthy został odsunięty od władzy, którą w wyniku zorganizowanego puczu przejęli tak zwani strzałokrzyżowcy pod wodzą Ferencza Szalasięgo. Nowy rząd ogłosił plan „wojny totalnej”, w ramach której zamierzał zmobilizować społeczeństwo do walki z Sowietami oraz wprowadził politykę terroru polegającą między innymi na wydawaniu więźniów politycznych gestapo. Admirał Horthy został aresztowany, a następnie wywieziony w głąb Niemiec, gdzie pozostał do końca wojny.

Na przełomie 1944/1945 roku Skorzeny zasłynął serią brawurowych akcji sabotażowych przeprowadzonych w trakcie niemieckiej kontrofensywy w Ardenach. Dowodził tam sławną 150. Brygadą Pancerną, która miała być wyposażona w aliancki sprzęt i składać się w znacznej mierze z ludzi mówiących po angielsku. Jej zadaniem było przeprowadzanie ataków dywersyjnych na dużą skalę, z wykorzystaniem tych właśnie specjalnych zdolności.

Mit 150. Brygady utrwały filmy o Ardenach, w rzeczywistości do jej wyekwipowania udało się Niemcom wygospodarować tylko jeden czołg typu Sherman. Ponadto sprzęt pancerny tworzyło pięć Panter i pięć dział szturmowych, zamaskowanych tak, by przypominały sprzęt aliancki. Ponadto, jak się okazało, były poważne trudności ze znalezieniem choćby tej garstki ludzi mówiących płynnie po angielsku. Od strony ilościowej brygady również nie udało się w pełni skompletować, tak że brygadą była tylko z nazwy.

W działaniach konwencjonalnych, do których weszła ostatecznie 21 grudnia, też nie okazała się ona efektywna, inna sprawa, że trafiła na wyjątkowo trudny rejon koło Malmedy i Stavelot. Do ata-

ku tego dnia przystąpiły jedynie dwie z trzech grup brygady, gdyż trzecia nie dotarła na miejsce. Przyczyną klęski było słabe rozpoznanie pola walki przez Skorzenego. Z kolei Amerykanom udało się dzień wcześniej schwycić jednego z jego ludzi, przez co znali plan działań strony przeciwnej i zdołali się na niego przygotować. W walkach tego dnia, m.in. wskutek silnego ognia amerykańskiej artylerii, Niemcy stracili większość sprzętu pancernego brygady, w tym cztery z pięciu Panter.

30 stycznia 1945 roku Skorzeny był już ze swoimi chłopcami na froncie wschodnim, na Pomorzu, dowodząc zgrupowaniem broniącym miasta Schwedt nad Odrą. Przewodził tam „latającemu sądowi specjalnemu”, który skazał na śmierć przez powieszenie wielu oficerów armii niemieckiej niewierzących już w zwycięstwo III Rzeszy. 19 kwietnia 1945 roku Skorzeny wraz z dowódcą specjalnego batalionu SS Sued-Ost i dwiema setkami dywersantów uczestniczył w akcji pacyfikacyjnej czechosłowackiej miejscowości Plostina, podczas której zginęło 27 jej mieszkańców. Jednak nawet hitlerowski „Terminator” nie był w stanie uratować „nieśmiertelnej” Rzeszy...

Na krótko przed ogłoszeniem kapitulacji Niemiec doczekał się nominacji na szefa wojskowego zarządu służby bezpieczeństwa Rzeszy, tyle tylko, że owej Rzeszy już nie było...

Po wojnie walenie przyczynił się do budowania legendy pierwszego zawiadki Europy. 20 maja 1945 roku przedostał się sobie tylko wiadomym sposobem do amerykańskiej strefy okupacyjnej i poddał się Amerykanom koło Salzburga. Domniemany zbrodniarz wojenny został uwięziony, lecz już 9 września 1947 roku amerykański sąd wojskowy w Dachau oczyścił go z zarzutów prowadzenia przez jego żołnierzy w Ardenach działań sprzecznych z prawem.

Alianci osadzili go w obozie dla internowanych przestępców nazistowskich w Darmstadt, z którego w tajemniczy sposób uciekł 26 lipca 1948 roku. Potem widziano go w Szwajcarii, Włoszech, Francji, Austrii... Przez pewien okres pracował w „oddziale historycz-



nym” służby bezpieczeństwa armii amerykańskiej. Na koniec dostał się do Hiszpanii, gdzie w 1951 roku założył własną firmę, zajmującą się handlem zagranicznym. Kilka następnych lat spędził na podróżach handlowych pomiędzy Buenos Aires a Madrytem, a czasami nawet Paryżem. Jego szerokie znajomości i kontakty, zawarte w trakcie tych podróży, umożliwiły mu zawarcie znajomości z prezydentem Argentyny, Juanem Domingo Peronem i jego małżonką Evitą. Prezydent złożył mu propozycję zajęcia się szkoleniem argentyńskiej tajnej policji. Skorzeny zgodził się i w niedługim czasie Argentyna dysponowała już doskonale wyszkolonymi oddziałami specjalnymi.

Niektóre źródła historyczne podają, iż wysoce prawdopodobny jest romans Skorzenego i Evity. Pewnym natomiast jest fakt udaremnienia przez Skorzenego zamachu terrorystycznego na życie pani prezydentowej.

Podobno był związany z tajną nazistowską organizacją o kryptonimie ODESSA, która miała ułatwiać przerzut zbrodniarzy hitlerowskich do krajów nieposiadających umowy o ekstradycji, takich jak np. Argentyna, Brazylia czy Chile. Działał też w Międzynarodówce Faszystowskiej i Neonazistowskiej oraz współpracował z organizacją weteranów SS i Deutscher Soldatenbund.

W Hiszpanii Skorzeny cieszył się swobodą i ochroną, jaką zapewnił mu dyktator Francesco Franco. Za jego czasów były esesman udzielał wywiadów prasowych i swobodnie brylował w wielkim świecie. Korzystając z tego statusu, pomógł między innymi w emigracji do Hiszpanii belgijskiemu naziście, Leonowi Degrelle. Przyjacielskie stosunki obu panów doprowadziły do utworzenia przez nich w 1960 roku międzynarodowej organizacji, która miała pomagać w emigracji byłych członków SS, NSDAP i innych grup z okresu III Rzeszy, nad którymi wisiało widmo sądu ze strony aliantów.

W końcu lat pięćdziesiątych kupił farmę w Irlandii, na której spędzał wakacje. Korzystając ze zgromadzonego majątku i bezkarności zapewnionej mu przez wpływowych znajomych, wiódł szczę-

śliwy i dostatni żywot emeryta, krążąc między hiszpańskimi plażami a irlandzkimi zielonymi polami.

Zmarł w Madrycie 5 lipca 1975 roku na raka płuc. Jego ciało zostało poddane kremacji, a prochy umieszczono w Döblinger Friedhof w Wiedniu. Do dzisiaj jego poorana bliznami twarz jest ikoną neonazistów, a rozliczne biografie znajdują rzesze czytelników na całym świecie.



Bundesarchiv, Bild 183-J16-CD  
Foto: Majack, Bonn v. 12. September 1943





W 1943 r. dowodzeni przez Ottona Skorzenego niemieccy komandosi odbili Benita Mussoliniego, uwięzionego we Włoszech przez antyfaszystowski rząd.

# Zaginiony bez śladu?

## RAOUL WALLENBERG

### (1945)

Lato 1944 roku było w Budapeszcie wyjątkowo upalne i duszne, nieruchome powietrze tamowało oddech. Słońce zsyłało na ziemię gorący blask, najmniejsza chmura nie mąciła wspaniałego błękitu nieba. Temperatura dochodziła do 40 stopni Celsjusza. Działy się jednak w tym czasie rzeczy wielkie i straszne...

Na jednym z dworców kolejowych stał pociąg, składający się z kilkudziesięciu bydłących wagonów. Ale w środku nie było krów. Byli ludzie. Mężczyźni, starcy, kobiety i dzieci. Niemiłosiernie stłoczeni w przerażającej duchocie, pozbawieni wody i pożywienia.

Węgierscy Żydzi, którzy już za chwilę mieli wyruszyć w stronę granicy ze Słowacją, a na koniec dotrzeć do obozu zagłady w Auschwitz. Żywe trupy... Wagony przypominały wewnątrz rozpalonego pieca hutniczego, tak rozgrzane były ich ściany w słonecznym żarze. Gęste, gorące powietrze z trudem dawało się wciągać do płuc.

Podobno nadzieja umiera ostatnia, ale oni nie mieli już nawet nadziei. W 1944 roku dobrze zdawali sobie sprawę, że jadą na śmierć. Że po przybyciu do obozu trafią prosto do komór gazowych...

Niespodziewanie w pobliżu pociągu pojawił się wysoki mężczyzna w garniturze i w kapeluszu. Wymachując dyplomatycznym paszportem, przepychał się bezceremonialnie między zdumionymi SS-manami. Po przymocowanej do zewnętrznej ściany stalowej

drabince wspiął się na dach wagonu i zaczął wkładać jakieś papiery w wyciągnięte przez zakratowane okienka ręce.

– Złóż pan natychmiast na dół! – krzyknął jeden z węgierskich strażników, bojówkarz radykalnego ruchu strzałokrzyżowców[15].

Wobec braku jakiejkolwiek reakcji mężczyzny w kapeluszu, strażnik ściągnął z ramienia karabin, oddając ostrzegawczy strzał tuż nad jego głową. Facet był jednak albo głuchy, albo nienormalny. Całkowicie ignorując niebezpieczeństwo, spokojnie nadal rozdawał Żydom dokumenty. Dopiero wręczywszy ostatni papier, zeskoczył na rampę. Zdjął kapelusz, ocierając dłonią spływający z czoła pot.

– Kim pan jest, do diabła, i co pan tu robi? – zdenerwował się niemiecki oficer, dowódca konwoju, który przed chwilą pojawił się na miejscu. Pod pachami jego mundurowej kurtki rozlewały się szeroko plamy potu.

– Nazywam się Raoul Wallenberg – oświadczył spokojnie mężczyzna. – Jestem sekretarzem Ambasady Szwecji w Budapeszcie. – Wyciągnął z kieszeni marynarki jakiś dokument i pomachał nim przed oczami zaskoczonego Niemca. – W tym pociągu znajdują się obywatele mojego kraju, posiadający ważne paszporty. Żądam ich natychmiastowego zwolnienia.

W tym samym momencie pod pociąg podjechał konwój samochodów ze szwedzkimi znakami rozpoznawczymi.

Niemiec wściekł się jeszcze bardziej, ale nie mógł nic zrobić. Przepisy były przecież dla takich jak on najważniejsze. Żydzi, któ-

---

15 Strzałokrzyżowcy (węg. *Nyilaskeresztesek*) – faszystowskie, antykomunistyczne i antysemityczne ugrupowanie założone w 1935 roku na Węgrzech przez Ferenca Szűlasiego, w czasie II wojny światowej kolaborujące z III Rzeszą. Nazwa pochodzi od używanego przez organizację emblematu – strzał rozpiętych w formie krzyża. Strzałokrzyżowcy odpowiedzialni są za politykę ludobójstwa (szczególnie w stosunku do ludności żydowskiej) po przejściu, za zezwoleniem władz niemieckich, władzy na Węgrzech w październiku 1944 roku.

rzy jeszcze kilka minut temu nie mieli zielonego pojęcia, że są obywatelami królestwa Szwecji, zaprezentowali swoim niedoszłym oprawcom paszporty i lęklonie opuścili pociąg. Nie wierzyli chyba jeszcze w pełni, że to wszystko dzieje się naprawdę. Szwedzki dyplomata poprowadził ich do czekających samochodów, które natchmian ruszyły z piskiem opon. Po chwili cała kolumna zniknęła za zakrętem. Pozostała po niej tylko wielka chmura pyłu, wzniesiona przez buksujące kola samochodów.

To była tylko jedna z wielu brawurowych akcji ratowania Żydów, podjęta przez szwedzkiego dyplomate, Raoula Wallenberga. W sumie, przez pół roku, jakie spędził w okupowanym przez Niemców mieście, uratował ich kilkadziesiąt tysięcy. Aż trudno uwierzyć, że jeden człowiek mógł dokonać czegoś takiego. Wykazać tyle determinacji i silnej woli, a przede wszystkim niesamowitej odwagi.

Ryzykował wiele. Przede wszystkim własne życie. Oficjalnie – pod samym nosem gestapo – wyrabiał na masową skalę szwedzkie paszporty ludziom, którzy nie tylko nie mówili słowa po szwedzku, ale często nie mieli zielonego pojęcia, gdzie Szwecja w ogóle się znajduje. Wyciągał ich z gett i więzień, zatrzymywał transporty do Auschwitz. Osobiście wyławiał z Dunaju rannych Żydów, którzy przeżyli przeprowadzane na brzegu rzeki egzekucje.

\*

I wojna światowa zakończyła się dla Węgier klęską. W wyniku traktatu z Trianon, zawartego w 1920, roku państwo to utraciło dwie trzecie swojego terytorium: Chorwacja znalazła się w Jugosławii, Siedmiogród w Rumunii, Słowacja zaś – wraz z Czechami – utworzyła Czechosłowację. W trakcie II wojny światowej Węgry, w nadziei odzyskania utraconych terenów, ponownie opowiedziały się po niewłaściwej stronie. Wprawdzie w trakcie działań wojennych postanowiły uwolnić się od układów z faszystowskimi Niemcami, lecz skończyło się to wszystko zamachem stanu i wprowa-

dzeniem na Węgrzech usługującego im marionetkowego rządu.

13 lutego 1945 roku wojska radzieckie zdobyły po wielotygodniowym oblężeniu Budapeszt. Wyzwolenie stolicy Węgier od faszystowskich okupantów było najważniejszą operacją na ostatnim etapie II wojny światowej. Szczególne znaczenie dla hitlerowców miał rejon Nagykanizsa, obfitujący w złoża ropy naftowej. Zdobyć Budapesztu i pokonanie w straszliwej walce liczącego 190 tysięcy żołnierzy ugrupowania wroga zapewniło pomyślny marsz Armii Czerwonej na Austrię i Niemcy.

Tego dnia stolicę Węgier objął w posiadanie siarczasty mróz. Rankiem zaczął padać drobny, kłujący śnieg, bielszy niż kornet zakonnicy. Świt z trudem przedzierał się przez śnieżny całun, zwisający gdzieś wysoko i ginący w odchodzącym mroku nocy. Nagle powietrze zaczęło drżeć, przechodnie rozpięzchli się po bramach, z niepokojem spoglądając w górę. Szyby brzęczały coraz głośniejsze, chociaż na gładkim niebie nie było widać żadnego samolotu. Wtem, w ulice wjechały motocykle żandarmerii. Huk zbliżył się na tyle, że dało się rozróżnić ryk motorów, jazgot i szczęk żelaza. Od wschodu nadjechała kolumna wozów pancernych, dział samochodowych i zmotoryzowanej piechoty. Huk przenikał ciała, zmuszał je do poddania się ogłuszającemu rytmowi łoskotu. Ludzie z przerażeniem patrzyli na ten przepływ żelaza i stali z czerwonymi gwiazdami oraz na żołnierzy, jakby z tej samej materii, co sprzęt, nieludzko nieruchomych. Do Budapesztu wkraczała zwycięska Armia Czerwona.

Wkrótce w wygłodniałym mieście, osobiście „wyzwolonych” przez krasnoarmiejców zostanie około 50 tysięcy kobiet. Tysiące ludzi zostanie zesłanych na Syberię. Biskup Vilmos Apor zostanie zabity przez sowieckich żołdaków, gdy podejmie próbę obrony kobiet ukrytych w jego rezydencji przed sowieckimi gwałtami...

Kilkanaście dni wcześniej, 17 stycznia w spustoszonej wojenną zawieruchą Budapeszcie Raoul Wallenberg wsiadł do swojego służbowego samochodu marki studebaker. Od sześciu miesięcy toczył nieustającą walkę o ludzkie życie. Teraz pragnął jeszcze dopil-



nować bezpieczeństwa tych, którym udało się przeżyć, omówić formy współpracy i opieki nad ocalonymi Żydami. W tym właśnie celu udawał się do oddalonego o 130 kilometrów Debreczyna na spotkanie z dowódcą frontu, radzieckim marszałkiem Rodionem Jakowlewiczem Malinowskim. Obok, na siedzeniu, spoczywała walizka pełna dolarów i biżuterii. W zbiorniku paliwowym ukryte było 20 kilogramów złota.

– Ciekaw jestem, czy mają mi służyć za ochronę, czy też aresztować – powiedział z kwaśnym uśmiechem Wallenberg do swego kierowcy, Vilmosa Langfeldera, pokazując towarzyszącą im eskortę, złożoną z radzieckich żołnierzy.

Ta żartobliwa uwaga okazała się ponurą prawdą. Ani Wallenberga, ani jego szofera nikt nigdy więcej nie widział. Ich los do dziś okryty jest tajemnicą. Niewyjaśnioną tajemnicą jest również cała historia młodego szwedzkiego dyplomaty, który w lipcu 1944 roku przybył do wojennego Budapesztu, by ocalić od śmierci tysiące Żydów. Kim był naprawdę i kto go delegował do tej pracy?

\*

Raoul Wallenberg urodził się 4 sierpnia 1912 roku w miasteczku Lidingö pod Sztokholmem. Pochodził z bogatej rodziny bankierów i przemysłowców, określanej często mianem „szwedzkich Rockefellerów”. Jego ojcem był Raoul Oscar Wallenberg, oficer marynarki wojennej, zmarły na raka trzy miesiące przed narodzinami syna, matką – Maria „Maj” Sofia Wising.

W roku 1931 wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie na Uniwersytecie Michigan studiował architekturę. Dyplom uzyskał w roku 1935. Obok angielskiego, władał biegle również językiem niemieckim i francuskim.

Studia architektoniczne były jednak tylko i wyłącznie zaspokojeniem kaprysu bogatego młodzieńca. Od samego początku wyznaczony był bowiem przez rodzinę do pracy w stanowiącym jej własność banku. Po powrocie do Szwecji, w celu nauki zawodu został

wysłany do Cape Town (Kapsztadu), od 1910 roku stolicy Związku Południowej Afryki, gdzie jakiś czas pracował w firmie sprzedającej materiały budowlane. Następnie podjął pracę w oddziale Holland Bank w Hajfie, największym porcie wchodzącej wówczas w skład mandatu brytyjskiego na Bliskim Wschodzie Palestyny.

„Prawdę mówiąc, specjalnie nie czuję się bankierem” – wyznał szczerze w skierowanym do dziadka liście.

W Hajfie jednak po raz pierwszy zetknął się z problematyką zbrodni nazistowskich, popełnianych na Żydach. W mieście pełnym żydowskich uchodźców z hitlerowskich Niemiec, z całą ostrością uświadomił sobie problem zagrożenia Narodu Wybranego ze strony szalonej polityki Adolfa Hitlera.

Jeszcze przed wybuchem II wojny światowej, przez swojego wuja, Jacoba Wallenberga, poznał się z Kalmanem Lauerem – buda-peszteńskim Żydem, uchodźcą z Węgier prowadzącym firmę specjalizującą się w imporcie i eksporcie żywności. W przeciągu ośmiu miesięcy Raoul stał się jej współwłaścicielem i międzynarodowym dyrektorem. Jednocześnie przez ten czas poznawał historię Żydów z terenów okupowanych przez nazistów i niemiecką biurokrację, co w przyszłości pozwoliło mu na uratowanie tak wielu ludzkich istnień. Prapradziadek Raoula także był kiedyś Żydem, który przeszedł później na chrześcijaństwo.

Dzięki szwedzkiemu paszportowi, kiedy rozpoczęła się wojna, Wallenberg mógł bez przeszkód podróżować po okupowanych przez Niemcy krajach. Jeździł tam i z powrotem pomiędzy Sztokholmem a Budapesztem jako pośrednik handlowy. Neutralna Szwecja w dalszym ciągu wysyłała do Niemiec żywność, rudę żelaza i wyroby przemysłowe, jak na przykład łożyska kulkowe, mające doniosłe znaczenie militarne. Wszystkie firmy będące własnością Wallenbergów należały do tych, które prowadziły handel z hitlerowskim reżymem.

Tym niemniej to właśnie Szwecja przyjęła przecież część żydowskich uchodźców, którym udało się uciec z opanowanych przez nazistów europejskich państw. W 1942 roku wiadomo już było, że hi-

terowcy wysyłają Żydów do obozów koncentracyjnych, gdzie są wykorzystywani jako niewolnicza siła robocza, a następnie zabijani. W czasie, który utkwił w pamięci potomnych pod nazwą holokaustu, z rąk nazistów zginęło ponad sześć milionów Żydów.

Wkrótce wykonywana praca przestała Raoulowi odpowiadać. Pragnął dokonać czegoś więcej. Głęboko ubolewał nad sytuacją eks-terminowanego narodu. Ponurą rzeczywistość znał przecież jeszcze z Hajfy, ponadto spędził jakiś czas w zdobytym przez Niemców Paryżu. Na własne oczy przekonał się tam, że naziści zaczynają spędząć Żydów do gett i wysyłać ich do obozów koncentracyjnych.

Zimą 1942 roku Raoul, będąc w Sztokholmie, poszedł z siostrą do kina. Bohaterem obejrzanego filmu był pewien brytyjski profesor, na pozór kompletnie roztargniony, pograżony w książkach i zupełnie oderwany od rzeczywistości. Okazało się jednak, że był to tylko kamuflaż, dzięki któremu ratował Żydów przed Niemcami. Po wyjściu z seansu Wallenberg powiedział siostrze:

– Właśnie czymś takim chciałbym się zająć.

Nina Lagergren pomyślała wtedy, że to jedna z tych uwag, które tak łatwo się rzuca, po czym natychmiast o nich zapomina.

Myliła się.

A jednak początkowo wydawało się, że niewiele w tej sprawie można zrobić. Sporo państw, nie wyłączając Stanów Zjednoczonych (z ogromną ilością bardzo wpływowych przedstawicieli Narodu Wybranego), odprawiało bez pomocy łodzie pełne żydowskich uchodźców, którym udało się uciec z ogarniętej wojną Europy. Coraz mniej krajów w Europie chciało przyjmować ubogich, przymusowych emigrantów. Rząd brytyjski ustalił limit napływowy Żydów do Palestyny na 15 tysięcy rocznie przez następne pięć lat.

7 grudnia 1941 roku Ameryka przystąpiła do wojny po zbombardowaniu przez Japończyków bazy wojskowej Pearl Harbor na wyspie Oaku na Hawajach, gdzie stacjonował główny trzon sławnej Floty Pacyfiku. Jednak do zwycięstwa było jeszcze bardzo dale-

ko, a tymczasem bydłące wagony pełne Żydów w dalszym ciągu przetaczały się przez całą Europę, zmierzając do obozów śmierci...

\*

Miklós Horthy de Nagybánya (1868–1957) – węgierski admirał, regent państwa w latach 1920–1944 – przez przeciwników politycznych nazywany był ironicznie „admiralem bez floty w kraju bez morza”. Na te kpiny pozwalali sobie jednak tylko ludzie słabo znający historię Madziarów. Horthy został wiceadmiralem, gdy do Węgier należał ważny port adriatycki Fiume i gdy Korona św. Stefana współzarządzała flotą, która do 1918 roku broniła długiego wybrzeża dalmatyńskiego. W czasie 1 wojny światowej zyskał sławę bardzo sprawnego dowódcy. W 1915 roku dowodził okrętem SMS „Habsburg”, potem objął krążownik SMS „Novara”. To właśnie tym okrętem dowodził w bitwie z włoskimi okrętami w cieśninie Otranto w maju 1917 roku. W trakcie tej bitwy Horthy został ranny, a dowodzenie po nim przejął kolejny pod względem rangi dowódca, oficer polskiego pochodzenia, Stanisław Witkowski. Z czasem Wiedeń postawił Horthy’ego na czele całej floty austro-węgierskiej.

Na ramieniu miał wytatuowanego ogromnych rozmiarów węża – pozostałość z czasów, kiedy był jeszcze zwykłym marynarzem na okrętach floty Austro-Węgier. Podczas rządów Horthy’ego Węgry stały się pierwszą po wojnie pravicową dyktaturą w Europie. Miklós Horthy jest postacią, która do dziś jeszcze budzi wśród Węgrów wielkie emocje. Jedni uważają go za bohaterskiego męża stanu, drudzy za krwawego zamordystę. Szczególnie przeciwni są mu – oczywiście – tamtejsi postkomuniści, jak również dawni lewicowi opozycjoniści z ruchów antykadarowskich. Przeciwnicy admirała przedstawiają go jako symbol „białego terroru”, obwiniają też za tragiczny los wielu węgierskich Żydów w czasie drugiej wojny światowej.

Horthy przez wiele lat pełnił funkcję adiutanta cesarza Fran-

ciszka Józefa I. Kiedy w jego ojczyźnie utworzono Węgierską Republikę Rad, wrócił do kraju, by organizować opór przeciwko komunistom. Pierwsze lata jego rządów rzeczywiście cechowały się silnymi represjami wobec komunistów. Najczęściej jednak zapomina się przy tym, czym naprawdę była istniejąca 133 dni Węgierska Republika Rad i związany z nią „czerwony terror”.

Jak wyraźnie widać z perspektywy lat, dla mieszkańców tego naddunajskiego kraju zwycięstwo Horthy’ego było niemal wybawieniem. Co ciekawe, admirał wspierany był przez znaczną grupę Żydów, którzy wybrali drugą, „białą” stronę barykady. Wielu żydowskich kapitalistów ze słynnym bankierem Chorinem na czele w znaczący sposób pomogło antykomunistom, między innymi podczas kontrrewolucji w Szegedzie. Horthy odwdzieczył się im później, twardo przeciwstawiając się próbom organizowania pogromów. Zaiste zabawnie wygląda przy tym oskarżanie tego dyktatora o antysemityzm.

Po konferencji w Monachium Węgry bezskutecznie zabiegały u mocarstw zachodnich o przyznanie im południowej części Słowacji, która po traktacie z Trianon należała do Czechosłowacji i była w większości zamieszkiwana przez ludność węgierską. Po tym niepowodzeniu Horthy postanowił zwrócić się o pomoc do Niemiec. Hitler i Mussolini zgodzili się na rolę arbitrów w sporze węgiersko-czechosłowackim (pierwszy arbitraż wiedeński). Zgodnie z ich rozstrzygnięciem, w listopadzie 1938 roku Węgry zaanektowały sporne terytorium południowej Słowacji i południowej Rusi Zakarpackiej. Po rozpadzie Czechosłowacji w marcu 1939 roku Węgry, podejmując działania zbrojne przeciw Karpato-Ukrainie, zlikwidowały po walkach z oddziałami Siczy Karpackiej jej państwowość i uzyskały w ten sposób wspólną granicę z Polską wzdłuż pasma Karpat Wschodnich.

We wrześniu 1939 roku Horthy odmówił przepuszczenia przez terytorium Węgier idącego przeciwko Polsce Wehrmachtu i nakazał zaminowanie tuneli kolejowych oraz ich wysadzenie w przypadku próby przedarcia się Niemców siłą. W sierpniu 1940 roku

Węgry otrzymały w wyniku drugiego arbitrażu wiedeńskiego północną część rumuńskiego Siedmiogrodu. W zamian miały przystąpić do Paktu trzech – sojuszu Niemiec, Włoch i Japonii. Od września 1939 roku rząd Horthy'ego, przychylnie nastawiony do Polski, udzielał schronienia polskim uchodźcom. Mimo silnych nacisków, do końca listopada następnego roku zezwalał na oficjalne funkcjonowanie poselstwa polskiego w Budapeszcie i przyjmował posła polskiego Leona Orłowskiego. Z Węgier do Francji, przy czynnym udziale polskiego poselstwa i potajemnej aprobacie władz węgierskich, ewakuowano do maja 1940 roku około 35 tysięcy żołnierzy Wojska Polskiego, oficjalnie internowanych we wrześniu 1939 roku. Do 19 marca 1944 roku (to znaczy do czasu niemieckiej wojskowej okupacji Węgier) w Budapeszcie działała główna ekspozytura wywiadu polskiego w Europie Środkowej, prowadząca łączność kurierską z okupowanym krajem, polskie szkoły i instytucje kulturalne. Było to tolerowane przez władze węgierskie, pomimo formalnego sojuszu Węgier z Trzecią Rzeszą.

Dzięki prowadzonej przez Horthy'ego polityce, węgierskiemu rządowi przez kilka lat udawało się skutecznie powstrzymywać naciski Hitlera, ciągle nalegającego na rozpoczęcie masowej deportacji Żydów. Widząc wahania sojusznika, Niemcy wysłały na Węgry pewnego urzędnika nazwiskiem Adolf Eichmann – architekta „ostatecznego rozwiązania”, człowieka określanego przez swoich współpracowników jako „opętanego obsesją zamordowania każdego Żyda, którego dopadnie”. Od tej pory wszyscy Żydzi zostali zobowiązani do noszenia na ubraniach żółtych gwiazd Dawida, wkrótce też ruszyły ich masowe transporty do obozów śmierci.

Kiedy stało się już jasne, że Niemcy przegrają wojnę, Horthy zaczął negocjować odrębny traktat pokojowy z aliantami. Spotkało się to z bardzo ostrą reakcją Hitlera, który wysłał swoje wojsko na terytorium Węgier, okupując je od 19 marca 1944 roku. Horthy zdecydował się wówczas utworzyć proniemiecki rząd pod kierownictwem generała Döme Sztojaj'a, dotychczasowego ambasadora Węgier w Berlinie i nie zaryzykował otwartego, beznadziejnego

starcia z Niemcami. Kontynuował jednak poufne kontakty z alian-tami.

Po wejściu Armii Czerwonej na terytorium Węgier, w październiku 1944 roku, Horthy próbował za pośrednictwem przywódcy komunistów jugosłowiańskich, Josipa Broza Tity, poddać Rosjanom wojsko węgierskie na froncie. Hitlerowcy, którzy od dawna obserwowali te próby, aresztowali go (po uprzednim porwaniu jego syna przez komando pod dowództwem Otto Skorzenego – Operacja „Mickey Mouse”) i wywieźli w głąb Rzeszy, do Bawarii. Rządy na Węgrzech formalnie objął przywódca strzałokrzyżowców Ferenc Szálasi, w pełni podporządkowany Rzeszy[16].

\*

Dopiero w styczniu 1944 roku – i to jedynie na skutek ostrej kampanii prowadzonej przez amerykańskiego sekretarza skarbu, Henry’ego Morgenthaua Juniora – rząd Stanów Zjednoczonych za-inicjował utworzenie War Refugee Board – Komitetu do spraw Uchodźców Wojennych. Wkrótce Komitet wysłał do neutralnej Szwecji wysokiego urzędnika Departamentu Skarbu, związanego z OSS (późniejszą CIA), Wera Olsena, z misją ratowania ostatniej du-żej społeczności żydowskiej w Europie, jaką stanowiło 700 tysięcy Żydów zamieszkałych na Węgrzech.

W Sztokholmie Olsen wciągnął Wallenberga w amerykański projekt mający na celu pokrzyżowanie szyków Eichmannowi. Rząd szwedzki zgodził się dać mu posadę dyplomaty na Węgrzech, sta-

---

16 Horthy trafił następnie do niewoli amerykańskiej, a w 1946 roku wziął udział w Procesie Norymberskim jako świadek. Wypuszczony na wolność już w roku 1945, resztę życia spędził na wygnaniu w Portugalii. Po upadku systemu komunistycznego i wycofaniu wojsk sowieckich z Węgier, jego prochy przeniesiono uroczyście w 1993 roku do mauzoleum w Kenderes – zgodnie z testamentem regenta, który chciał być pochowany w ojczyściej ziemi, gdy opuści ją stopa ostatniego okupanta.

nowiącej kamuflaż dla rzeczywistego zadania. Wyposażony w amerykańskie fundusze, szacowane na setki tysięcy dolarów, chociaż podróżujący ze skandynawskim paszportem 31-letni Raoul wyruszył samolotem do Berlina, stamtąd zaś pociągiem pełnym niemieckich żołnierzy w kierunku Budapesztu. Do stolicy Węgier przybył 9 lipca 1944 roku w charakterze sekretarza szwedzkiej ambasady. Miał ze sobą dwa plecaki, śpiwór oraz – co było raczej dziwne w przypadku dyplomaty – mały rewolwer.

– Mam go po to, by dodać sobie trochę odwagi – wyznał szczerze jednemu z kolegów.

Nina Lagergren dobrze pamięta dzień 7 lipca 1944 roku. W Caputh, niedaleko Berlina, podziwiała niezapomniany zachód słońca, a w nocy nadleciały samoloty i rozpętało się piekło. Ją i jej starszego brata Raoula obudziło przeraźliwe wycie syren przeciwlotniczych. Rodzeństwo poszukało schronienia w piwnicy, gdy na pobliskie miasteczko spadł grad bomb. Tak wyglądały ich ostatnie, wspólnie spędzone godziny.

Następnego dnia Raoul Wallenberg wyruszył do Budapesztu. Podróż ta uczyniła go bohaterem, ale jednocześnie stała się prawdopodobnie przyczyną śmierci. Prawdopodobnie, bo do dzisiaj losy dyplomaty pozostają nieznane.

3 marca 2013 roku Nina Lagergren ukończyła 92 lata i mimo podeszłego wieku nie szczędzi starań, aby poznać dalsze losy brata po pamiętnym nalocie w Caputh.

– Człowiek nie może po prostu zniknąć, jakby nigdy nie istniał – powiedziała przed laty w wywiadzie dla „Süddeutsche Zeitung”.

Nawet największe pieniądze ani mandat humanitarnej organizacji w ówczesnym świecie wojny i nienawiści nie dawały żadnej gwarancji bezpieczeństwa. Raoul Wallenberg doskonale zdawał sobie sprawę, że jego misja jest śmiertelnie niebezpieczna i że będzie musiał działać zdecydowanie, a przede wszystkim szybko. Czasu nie pozostało zbyt wiele. Do momentu jego przyjazdu, w stolicy Węgier pozostała jeszcze około dwustupięćdziesiąt tysięcy żydowska gmina żydowska, wciąż zagrożona eksterminacją ze strony Niem-



ców. Zamiarem Eichmanna było wysłanie wszystkich budapeszteńskich Żydów do obozów koncentracyjnych, a stamtąd, już przez komin, do samego Jahwe.

Próbując coś wytargować od fanatycznego hitlerowca, Wallenberg zaprosił w grudniu Eichmanna na kolację do swojego domu. W trakcie przerywanej hukami pocisków artyleryjskich rozmowy szwedzki dyplomata powiedział Niemcowi:

– Panie Eichmann, przecież pan wie, że już przegraliście tę wojnę.

Za takie słowa płaciło się życiem nawet w ostatnich dniach III Rzeszy, a cóż dopiero jesienią 1944 roku!

Eichmann wydawał się nieporuszony. Po chwili namysłu odrzekł:

– Nie wydaje mi się, żebyśmy zostali przyjaciółmi, *Herr Wallenberg*.

Wallenberg przywołał na wargi coś, co zapewne uważał za uśmiech:

– Nie musimy się przyjaźnić, żeby załatwić ze sobą interesy, nieprawdaż?

– Jeżeli ma pan na myśli tego rodzaju interesy, które usilnie starał mi się pan zasugerować podczas naszej kolacji, to oświadczam, że mam zamiar zrobić wszystko, by przeszkodzić w ratowaniu tych pańskich ukochanych Żydów.

Gdyby zamiast słowa „Żydów” Niemiec użył jakiegoś wulgarne-  
go wyrazu, na przykład: „pizda”, czy „gówno”, nie mógłby go wy-  
mówić z większą odrazą.

– Proszę się dobrze zastanowić, *Herr Eichmann* – próbował dalej naciskać niezrażony odmową Szwed. – Niedługo będą tu Rosjanie. A wtedy wystawione przeze mnie świadectwo może uratować panu życie.

– Niech pan uważa, *Wallenberg*. – Przepięknie okrutną nienawiścią oczy nazisty zdawały się kąsać na odległość, jak dwa niewidoczne sztylety. – Paszport dyplomatyczny nie jest w stanie ochro-

nić pana przed wszystkim. Nawet dyplomacie z neutralnego kraju może przydarzyć się nieszczęśliwy wypadek.

Wkrótce potem niemiecka ciężarówka wpadła „przypadkowo” na samochód Wallenberga, robiąc z pojazdu coś, co przypominało pociąg puszki po konserwie. Na szczęście nie było w nim szwedzkiego dyplomaty.

Jedną z głównych form jego działalności stało się korumpowanie Niemców i służących im Węgrów. Wręczał łapówki wszystkim. Począwszy od zwykłych strażników na kolejowych rampach i w więzieniach, przez gestapowców i strzałokrzyżowców, na najwyższych urzędnikach skończywszy. Wszystko, aby uratować jak najwięcej ludzi.

W Budapeszcie wynajął między innymi 32 budynki, w których umieścił blisko 10 tysięcy spośród uratowanych przez siebie Żydów. Domy te ogłosił „przestrzenią eksterytorialną”, chronioną przez immunitet dyplomatyczny. Powiesił na nich olbrzymie niebieskie flagi z żółtym krzyżem i tablice w stylu: „Biblioteka Szwedzka” czy „Szwedzki Instytut Badawczy”. Około 300–400 osób zatrudnił w samej ambasadzie szwedzkiej. Zorganizował specjalną sieć kontaktową, opiekę lekarską i dystrybucję żywności. Zadbał o stworzenie dla Żydów domów dziecka i domów opieki dla starców. Działania prowadzone były także przez innych pracowników ambasady Szwecji. W szczytowym okresie w kierowanej przez Wallenberga akcji ratowania Żydów brało udział 335 pracowników oraz różnych ochotników, a także 40 lekarzy. Ratunku poszukiwano również w ambasadach państw neutralnych, które udzielały Żydom pomocy poprzez przyznawanie obywatelstwa i paszportów, gwarantujących nietykalność.

Przekupywał, groził, obiecywał niemieckim zbrodniarzom po wojenną bezkarność, a gdy i to zawodziło, potrafił przebierać „swych” najbardziej po aryjsku wyglądających Żydów w mundury SS i uzbrajać po zęby, by sami strzegli „szwedzkich domów”. Ryzykując własnym życiem, wyciągał ludzi z ciężarówek i pociągów śmierci. Chodził do żydowskich dzielnic miasta i każdemu, kogo

spotkał, wręczał wizytówkę. W realizacji swego zadania był niezmordowany. Kiedy dowiadywał się, że ludzie Eichmanna gromadzą Żydów na stacji kolejowej, natychmiast pędził tam ze swoją ekipą. Ustawwszy stolik na peronie, domagał się, żeby wszyscy pasażerowie zostali przepytani, zanim wsiądą do pociągu. Jeżeli mieli już swój *Schutzpass* (paszport ochronny), zapisywał ich nazwiska w ogromnym notesie, który zawsze nosił ze sobą, by wzbudzić przeświadczenie, że to „sprawa urzędowa”. Następnie żądał ich zwolnienia. Tym, którzy nie posiadali paszportów, wydawał „dokumenty o zgłoszeniu”. Jego ludzie ruszali do kolejki, informując stojących, że przydaje się każdy świstek papieru.

Może wydawać się dziwne, że hitlerowcy brali *Schutzpassy* Wallenberga za dokumenty oryginalne. Na potwierdzenie ich autentyczności nie miał przecież nic prócz własnego autorytetu. Ale sprawiał wrażenie, że wszędzie go pełno, zadręczając niemieckich i węgierskich urzędników, by uwalniali osoby posiadające jego paszporty.

Tysiące węgierskich Żydów otrzymało gwarantujące nietykalność dokumenty, opatrzone trzema złotymi koronami i napisem mówiącym, że okaziciel znajduje się pod ochroną króla Szwecji.

Dzielny Szwed i jego współpracownicy pozostali w Budapeszcie nawet wówczas, gdy w październiku 1944 roku faszyci węgierscy przejęli władzę i w kraju zapanował całkowity chaos i bezprawie. Budapeszteńscy Żydzi pod eskortą esesmanów wyruszyli w marsze śmierci, a na ulicach stolicy grasowały bandy strzałokrzyżowców. Wallenberg dalej prowadził swą heroiczną walkę. Jeśli tylko dowiedział się o przygotowaniach do nowego transportu Żydów do obozu zagłady, wskakiwał na rower lub do samochodu i interweniował u niemieckiego dowództwa.

Widząc, co robi, z początku inni szwedzcy dyplomaci wyrażali głośny protest. Urzędowymi dokumentami nie wolno było tak szafować. Ale jak po latach przypomniał jeden z nich: „Wallenberg miał na to jeden przekonujący argument – to ratuje życie”.

Gdy do miasta zbliżała się już Armia Czerwona, za pomocą per-

swazji – oraz grubych łapówek – przekonał Niemców, żeby nie wysadzali getta z pozostałymi w nim 70 tysiącami mieszkańców. To podobno pod jego wpływem hitlerowcy zrezygnowali również z pomysłu wypędzenia z Budapesztu wszystkich Żydów w wielkim Marszu Śmierci na Zachód. Wallenberg miał wówczas straszyć oprawców, że jeżeli go nie posłuchają, to po zakończeniu wojny wszystkich ich oskarży o dokonanie zbrodni wojennych. Groźba nadejścia radzieckich wojsk nie powstrzymała Eichmanna. Zdecydowany był wykonać powierzoną mu przez Führera misję do końca. Jediną osobą, która stała mu na przeszkodzie, był ten szwedzki maniak. Nic więc dziwnego, że Raoul Wallenberg był wręcz znienawidzony zarówno przez strzałokrzyżowców, jak SS i gestapo. W efekcie, z powodu obawy przed zamachem, każdą noc przesypiał w innym budynku.

Działania Wallenberga, w połączeniu ze staraniami Nuncjatury Apostolskiej w Budapeszcie, Szwedzkiego i Międzynarodowego Czerwonego Krzyża doprowadziły jednak do ocalenia kilkudziesięciu tysięcy ludzkich istnień (niektóre źródła mówią nawet o stu tysiącach). A jak powiada jedna z mądrości Talmudu (Sanhedryn 4): Kto ratuje jedno ludzkie życie... jakby cały świat ratował.

\*

24 grudnia Adolf Eichmann uciekł z oblężonego Budapesztu, jednakże pozostali tam jeszcze naziści ciągle stosowali się do jego rozkazów. Któregoś dnia wtargnęli do budynku, w którym szwedzki dyplomata umieścił żydowskie dzieci deportowanych wcześniej rodziców. Zastrzelili nawet te najmłodsze, jedno- czy dwuletnie. Pozostałych Żydów wymordowano w bestialski sposób; ta prawdziwa orgia zabijania znaczyła kres wszelkiego prawa i porządku. Wallenberga ostrzeżono, żeby się wynosił, jeśli chce uratować skórę. Ale on za nic nie opuściłby ludzi, którym szedł z pomocą.

13 stycznia 1945 roku, w budynku znajdującym się pod ochroną Czerwonego Krzyża spotkał radziecki patrol. Z powodu charak-

terystycznej dla człowieka Zachodu naiwności i nieznamości natury komunizmu, młody dyplomata natychmiast zgłosił się do bolszewickiego komendanta z prośbą, by zawieziono go do dowództwa wojsk radzieckich, gdzie – jak wspomniano – miał nadzieję przedstawić swoje plany dalszej ochrony Żydów węgierskich, których dziesiątki tysięcy pozbawiono majątku i poupychano w straszliwie zatłoczonych mieszkaniach. Tysiące żydowskich dzieci oddzielono od rodziców, a nieznaną liczbę dorosłych wywieziono z zamieszkałych przez nich miast i miasteczek.

Było to ze strony młodego Szweda działanie niezrozumiałe i ryzykowne. Jak się wkrótce miało okazać, dużo bardziej ryzykowne od ratowania Żydów z łap nazistowskich oprawców. W styczniu 1945 roku również w Budapeszcie wiedziano dobrze, na czym polega sowieckie „wyzwolenie”. Wiadomo było, że wiąże się z nim grabież, gwałt i masowa śmierć. Wallenberga ostrzegano przed wyprawą, a uratowani Żydzi próbowali go zatrzymać w stolicy. Bezskutecznie. Cztery dni później był już w drodze do Debreczyna. Wtedy właśnie widziano go po raz ostatni...

Gdy Sztokholm zaczął się niepokoić zniknięciem swojego dyplomaty, rząd sowiecki poinformował, że „pan Wallenberg znajduje się pod jego opieką, a jego życiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo”. Sowiecki wiceminister spraw zagranicznych, Władimir Diekanozow, poinformował posła szwedzkiego w Moskwie, Staffana Söderbloma, że „rosyjskie władze wojskowe podjęły kroki dla ochrony Raoula Wallenberga i jego mienia”.

Szwedzkie Ministerstwo Spraw Zagranicznych dowiedziało się, że wszyscy członkowie poselstwa w Budapeszcie zostali aresztowani przez Rosjan, ale że wkrótce zostaną odesłani do kraju. I rzeczywiście, wprawdzie dopiero 17 kwietnia, ale jednak przybyli tam, jadąc pociągiem przez Związek Radziecki i Finlandię. Matka Raoula, „Maj” Wising miała nadzieję, że jej syn będzie wśród nich, ale go nie było. Odwiedziła więc rosyjskiego ambasadora w Sztokholmie, Aleksandra Kołłataja, który powiedział jej, że syn przebywa aktualnie w Moskwie, że czuje się dobrze i że niebawem wróci. Upredził

przy tym, że: „im mniej hałasu będziecie robili wokół sprawy Wallenberga, tym szybciej rząd radziecki pozwoli mu wrócić do domu”.

W maju skończyła się w Europie wojna i po całym kontynencie ludzie poszukiwali krewnych, którzy zaginęli bądź nie żyli. W tym ogólnym zamieszaniu pytania o jednego zaginionego szwedzkiego dyplomatę wydawały się nie mieć większego znaczenia. Sprawy nie dało się jednak całkowicie wyciszyć. W światowej prasie co rusz pojawiały się wywiady z uratowanymi z holokaustu Żydami, którzy dopytywali się o losy swego wybawcy. Pogłoski o jego rzekomej śmierci w Budapeszcie powodowały zalewanie Moskwy natarczywymi pytaniami: „Co stało się z Raulem Wallenbergiem?”. Kierowane do Rosjan z Waszyngtonu noty dyplomatyczne zawierały informacje o „wielkiej trosce i bolesnym niepokoju Ameryki”. Nieznany dotąd nikomu szerzej człowiek w ciągu kilku miesięcy awansował do statusu legendy. Nawet sam Albert Einstein domagał się przyznania Wallenbergowi pokojowej Nagrody Nobla.

15 czerwca 1946 roku ambasador Szwecji został przyjęty przez Stalina. „Obiecuję panu – miał powiedzieć »Koba«, kilkakrotnie prosząc o powtórzenie nazwiska Wallenberga, tak jakby słyszał je po raz pierwszy – że sprawa zostanie zbadana i wyjaśniona. Osobiście się tym zajmę”. Efektem interwencji Stalina było pismo Andrieja Wyszyńskiego do władz szwedzkich z 22 sierpnia 1947 roku, w którym wiceminister spraw zagranicznych sowieckiej Rosji informował: „Wallenberga nie ma w Związku Radzieckim i nie jest on nam znany”.

Dwa miesiące później Sowietci ogłosili, że Wallenberg został zamordowany jeszcze przed nawiązaniem kontaktu z Sowietami. Prawdopodobnie przez Niemców lub węgierskich faszystów. Kontrolowana przez Rosjan stacja radiowa na Węgrzech podała w marcu 1945 roku wiadomość, że Wallenberg został zastrzelony na drodze pomiędzy Budapesztem a Debreczynem przez agentów gestapo. Było to oczywiste kłamstwo, przyjęte zresztą z dużym sceptycyzmem przez opinię publiczną.

Rząd szwedzki zachował się wówczas haniebnie i więcej nie drążył tematu, aby nie narażać się komunistycznemu supermocarstwu. Ojczyzna machnęła ręką na swego bohatera. Szef ONZ powiedział zaś, że nie będzie dla jednego dyplomaty wywoływał III wojny światowej. Przez wiele lat sprawę drążyły właściwie tylko rodzina zaginionego przekonana, że Raoul cały czas żyje, oraz wdzięczne mu organizacje żydowskie.

Podobno pasywność szwedzkiego MSZ spowodowała informacja o walizce Wallenberga z dolarami i biżuterią oraz o odkryciu przewożonego w zbiorniku złota. Tymczasem waluta stanowiła po prostu fundusze, w które został wyposażony celem ratowania Żydów, złoto zaś i precjoza były własnością osób chcących ocalić swój dobytek...

Od jesieni 1944 roku wielu ludzi deponowało swoje mienie w ambasadach państw neutralnych, aby nie wpadło ono w ręce Niemców lub Sowietów. Wallenberg i inni pracownicy ambasady Szwecji ocenili, że placówka nie była bezpieczna, dlatego Szwed chciał wywieźć najcenniejsze przedmioty. Tego rodzaju myślenie nie było pozbawione podstaw, ponieważ w późniejszym czasie szwedzka placówka została splądrowana przez Sowietów aż trzykrotnie. Larg Berg wspomina, że sejfy w ambasadzie wysadzono trotylem. W 1949 roku Berg napisał książkę o wydarzeniach w Budapeszcie, o rabunkach i gwałtach Niemców i Rosjan. Po dwóch tygodniach pozycja zniknęła z księgarń, ktoś wykupił cały nakład.

Do dzisiaj nie wiemy, co się stało z kosztownościami. Wartościowe precjoza ukryte w zbiorniku na paliwo musiały wzbudzić podejrzenia patrolu czerwonooarmistów. Być może ukradli cenny ładunek, a Wallenberg stał się niewygodnym świadkiem przestępstwa?

Z biegiem lat doniesienia o Szwedzie stawały się coraz częściej sprzeczne lub niejasne. Wokół sprawy Wallenberga na całe lata zapadło całkowite milczenie, przerywane tylko od czasu do czasu sowieckimi wyrzutami wobec świata, który nie daje wiary ich zapewnieniom. Wobec tych, którzy z uporem wciąż powtarzali nie-

wygodne pytania, Nikita Sergiejewicz Chruszczów wysuwał oskarżenia o „obsesję na punkcie Wallenberga”, szantażując przy okazji wolny świat zerwaniem rozmów pokojowych, jeżeli wciąż będzie on wracał do tej „już wyjaśnionej sprawy”.

Walkę o nadzieję i prawdę wciąż jednak prowadziła rodzina zaginionego oraz przyjaciele Raoula. Jego matka, Maria „Maj” Sofia Wising, *primo voto* Wallenberg, *secundo voto* von Dardel, do końca życia wierzyła święcie, że jej syn ciągle jeszcze żyje i wróci któregoś dnia do domu. W działaniach wspierał ją jej drugi mąż, Fredrik von Dardel, prowadząc między innymi dziennik, w którym dokumentował pieczołowicie wszelkie starania rodziny o wyjaśnienie sprawy. („Maj” wyszła za niego, gdy Raoul miał 6 lat – oboje zmarli w lutym 1979 roku, w odstępnie dwóch dni, w wieku 86 i 93 lat). Walkę o wyjaśnienie losu Wallenberga przejęło w spuściźnie przyrodnie rodzeństwo Raoula, dzieci Marii i Frederika: Nina Lagergren oraz Guy von Dardel, który wyrażał nadzieję, że zobaczy swego krewniaka żywego jeszcze w roku 1987...

\*

Wbrew rosyjskim kłamstwom popularność Raoula Wallenberga na całym (wolnym) świecie ciągle rosła. Budowano mu pomniki, powstawały komitety jego imienia, w prasie ukazywały się wciąż nowe artykuły, pisano o nim książki i kręcono filmy. W końcu pojawiły się efekty tych wszystkich nacisków. Po XX Zjeździe KPZR, 6 lutego 1957 roku Rosja wróciła do tej „wyjaśnionej sprawy”. Ambasador Królestwa Szwecji został zaproszony do sowieckiego MSZ, gdzie wręczono mu notę dyplomatyczną z informacją, że „po zbadaniu archiwów, zweryfikowaniu materiałów historycznych i przesłuchaniu świadków, odnaleziono raport szefa służby medycznej więzienia na Łubiance, Smolcowa, sporządzony dla Wiktora Siemionowicza Abakumowa, ówczesnego ministra bezpieczeństwa: „Melduję, że znany wam więzień Wallenberg niespodziewanie zmarł dzisiaj w nocy w swej celi, przypuszczalnie na



skutek zawału serca” – donosił medyk, 17.07.47. Odręcznie lekarz dopisał: „Meldowałem osobiście ministrowi. Rozkaz: skremować ciało bez sekcji zwłok (...). Pułkownik służby medycznej Smolcow”.

Oczywiście nikt, kto posiadał mózg, w to tłumaczenie nie uwierzył. Wiadomo było powszechnie, że Wallenberg cieszył się znakomitym zdrowiem. W chwili „zniknięcia” liczył sobie zaledwie 34 lata i nigdy nie miał problemów z sercem.

Komitet im. Raoula Wallenberga gromadził tymczasem coraz więcej świadectw wskazujących na to, że poszukiwany Szwed z pewnością żył jeszcze po roku 1947. Wiele osób opowiadało, że widziało go w łagrach długo po podanym przez Sowietów terminie zgonu. Według tych relacji Wallenberg miał zostać przewieziony do obozu koncentracyjnego w pobliżu Workuty. Zwolniony przez Rosjan z obozu w 1952 roku włoski dyplomata Claudio de Mohr upierał się, że jeszcze w roku 1948 utrzymywał kontakt z Wallenbergiem w więzieniu Lefortowo za pośrednictwem telegrafu więziennego – stukania w rury szczoteczka do zębów. Tym sposobem Szwed miał powiadomić Włocha, że „zabierają go stąd”.

Wciąż pojawiali się ludzie, którzy twierdzili, że w moskiewskich więzieniach widzieli lub nawet przebywali w celi z Raoulem (m.in. Niemcy – Gustaw Richter i Horst Kitchmann). Pod koniec 1949 roku trzech Polaków: Bogusław Baj, Jerzy Cichocki i Józef Kowalski, w obozie w Bratsku nad Angarą zaopiekowało się człowiekiem, który przybył z obozu w Taiszecie.

Porozumiewali się z nim w języku niemieckim, ponieważ jego znajomość rosyjskiego była bardzo słaba. Mówił, że nazywa się... Raoul Wallenberg. Przedstawił wiele szczegółów dotyczących życiorysu rzeczywistego Wallenberga, które tylko on sam mógł znać, między innymi to, że urodził się już po śmierci ojca. Opowiadał również, że przebywając na Łubiance, dowiedział się o skazaniu na śmierć przez Rosjan generała Leopolda Okulickiego. Cichocki, który pracował w kuchni, troszczył się o odpowiednie dożywianie tajemniczego więźnia. W lipcu 1950 roku część więźniów, w tym trzech wymienionych Polaków oraz Wallenberga, przewieziono na

Kołymę. Niestety, podczas transportu Szwed rozchorował się i został przewieziony do szpitala. Co działo się z nim dalej, tego Polacy już nigdy nie zdołali się dowiedzieć.

Znany rosyjski dysydent, profesor Andriej Sacharow twierdził jeszcze w 1987 roku, że poszukiwany szwedzki dyplomata nadal żyje:

„Raoul Wallenberg jest uwięziony w obozie w osadzie Mirny, osiemnaście kilometrów na południe od Torzka. Razem z nim są uwięzieni Polacy, jeszcze z czasów II wojny światowej. W grudniu 1986 – styczniu 1987 w obozie panowała epidemia grypy. Wielu uwięzionych Polaków zmarło. Wallenberg też ciężko chorował, ale pozostał przy życiu. Nie wiadomo, czy jest więziony pod własnym czy pod fikcyjnym nazwiskiem”.

Jeżeli przyjąć lansowaną przez Rosjan oficjalną wersję, bohater tej opowieści zmarł 17 lipca 1947 roku w więzieniu na Łubiance. Ale w kontekście opisanych wyżej wydarzeń, wierzyć w to mógłby tylko skończony idiota. Nic więc w tym dziwnego, że we wszystkich szanujących się encyklopediach, przy haśle „Raoul Wallenberg” podawana jest wyłącznie data urodzin szwedzkiego dyplomaty – 1912 rok. Przy dacie śmierci zaś widnieje znak zapytania. Wielu badaczy przekonanych jest, że Wallenberg żył jeszcze długo po 1947 roku, przetrzymywany gdzieś przez sowieckich zbrodniarzy na nieludzkiej ziemi.

Według innej wersji, trzymano go w „psychuszcze”. Przebywająca na konferencji lekarzy w Moskwie w roku 1961 szwedzka profesor medycyny, Nanna Svartz, zapytała o Wallenberga swego rosyjskiego kolegę A.L. Miasnikowa, przewodniczącego Radzieckiej Akademii Nauk Medycznych. Otrzymała odpowiedź, że wymieniony żyje, ale „przebywa w szpitalu psychiatrycznym, ogromnie wyczerpany fizycznie i psychicznie. W stanie depresji”. Gdy wróciła do kraju, opowiedziała o tym premierowi Tage Erlanderowi. Rząd szwedzki ponowił pytania, ale Sowieci znowu zaprzeczyli, że cokolwiek wiadomo im o losie zaginionego. Przy ponownym spotkaniu, rosyjski profesor był wyraźnie podenerwowany. Uparcie twierdził,

że Svartz nie zrozumiała go dokładnie, ponieważ rozmawiali ze sobą po niemiecku.

Zarówno tej informacji, jak i dziesiątków wcześniejszych doniesień o żyjącym gdzieś w Rosji Wallenbergu nigdy nie udało się potwierdzić.

Według jeszcze innej wersji, Wallenberg był więźniem numer 040812 w tajnym Centrum Naukowo-Badawczym na wschód od Bajkału, gdzie w latach siedemdziesiątych przeprowadzano eksperymenty medyczne na tak zwanych „więźniach nieegzystujących”, czyli żyjących bez nazwiska. Badaczy uderzył fakt, że układ cyfr odpowiadał dacie urodzenia Raoula Wallenberga.

Kolejna hipoteza mówi o tym, że dyplomata wegetował przez kilkadziesiąt lat w całkowitym odosobnieniu w celi numer 123, przeznaczonej dla prominentnych osób osadzonych na Łubiance. Podobno został ciężko pobity i poddany wstępnemu śledztwu jeszcze na miejscu, w Budapeszcie. Inni świadkowie twierdzili zaś, że został zamordowany strzałem w tył głowy.

Upadek reżimu komunistycznego i samego ZSRR nadal sprawie nową jakość. Oficjalna pozostała co prawda wersja o śmierci w roku 1947, niemniej rosyjscy politycy i prasa zaczęli wyrażać współczucie rodzinie i przyjaciółom dyplomaty. Przeprowadzono oficjalne inspekcje w więzieniach, gdzie mógł przebywać Wallenberg, które początkowo nie wniosły jednak do sprawy niczego nowego.

Na początku lat dziewięćdziesiątych Paweł Sudopłatow, były oficer NKWD, w swoich *Wspomnieniach niewygodnego świadka* ujawnił, że Wallenberga otruto na osobisty rozkaz Stalina, ponieważ odmówił współpracy z tajną policją sowiecką i stał się dla Moskwy niewygodny.

Pojawiły się kolejne informacje podważające sowiecką wersję wydarzeń. W wywiadzie udzielonym agencji AP główny archiwista KGB, generał Wasilij Christoforow przyznał, że dyplomacie „ktoś pomógł” umrzeć, a data zgonu została sfabrykowana. Rosjanin co prawda szybko się zreflektował i zastrzegł, że Wallenberg

„mógł żyć najwyżej kilka dni dłużej”, ale nie było już żadnych wątpliwości, że Moskwa w tej sprawie przez kilkadziesiąt lat mataczyła.

Potwierdzili to archiwiści z rosyjsko-szwedzkiego zespołu, który starał się rozwikłać zagadkę w 1991 roku, zaraz po upadku Związku Sowieckiego. Gdy w moskiewskich archiwach odnaleźli kluczowe dokumenty – między innymi protokoły z przesłuchań Raoula Wallenberga prowadzonych po dacie jego oficjalnej śmierci – KGB natychmiast zamknęło im dostęp do teczek. Mnożyło również rozmaite inne przeszkody paraliżujące śledztwo.

Czołowy rosyjski archiwista z tamtych lat, Anatolij Prokopenko, powiedział mediom, jak w roku 1991 znalazł teczkę mieszkającego podczas wojny w Budapeszcie białego rosyjskiego emigranta – hrabiego Michaiła Tołstoja-Kutuzowa. Był to bliski współpracownik Wallenberga, który w rzeczywistości działał jako były sowiecki agent. Arystokrata śledził każdy jego krok na polecenie NKWD i wysyłał na ten temat raporty do Moskwy.

Natychmiast po tym, gdy Prokopenko znalazł dossier Tołstoja-Kutuzowa, zabrało je KGB. Wszystkie kluczowe dokumenty zostały z niego usunięte i utajnione, Prokopenkę zaś wkrótce wyrzucono z pracy. Jak stwierdził, moskiewskie służby specjalne uznały sprawę Wallenberga za tak kompromitującą, że zacierały jej ślady jeszcze w latach dziewięćdziesiątych! I zacierają je zresztą do dziś. W oficjalnie wydanym komunikacie Moskwa oświadczyła, że nie ma nic do ukrycia i że ujawniła już wszystko, co wie na temat losów Wallenberga. Problem polega na tym, że Rosjanom nikt nie wierzy (z wyjątkiem – oczywiście – Donalda Tuska, ale to już zupełnie inna historia).

– Nie ma wątpliwości, że odpowiedź na to, co się stało z Wallenbergiem, znajduje się w moskiewskich archiwach – powiedział profesor israel Gutman, izraelski historyk z instytutu Yad Vashem, który uhonorował dyplomatę tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. – Szwedzcy śledczy nie będą w stanie niczego wyjaśnić, jeżeli Moskwa nie dopuści ich do swoich sekretów. To jest zaś

bardzo mało prawdopodobne – dodał.

(Wallenberg otrzymał nie tylko medal Sprawiedliwego wśród Narodów Świata, ale jest także honorowym obywatelem Izraela. W kraju tym jego imię nosi co najmniej pięć ulic).

Nikt zapewne już się nie dowie, czy Raoul Wallenberg przeżył swoją oficjalną śmierć na Łubiance 17 lipca 1947 roku. Ważniejsze wydaje się jednak pytanie, dlaczego spotkał go taki los. Dlaczego Rosjanie po roku, dwóch czy dziesięciu latach po prostu go nie wypuścili. Nie był przecież nikim ważnym, nie był też wrogiem Rosji. Być może odpowiedź na nie to jednocześnie odpowiedź na postawione na początku tej opowieści pytanie, kim naprawdę był Raoul Wallenberg i czyj mandat pozwalał mu na działalność na Węgrzech.

Według większości badaczy, NKWD wiedziało o jego kontaktach z Waszyngtonem i uznało go po prostu za „niebezpiecznego amerykańskiego szpiega”. W roku 1996 amerykański tygodnik „US News and World Report”, bazując na ujawnionych przez CIA dokumentach, poinformował o możliwych związkach Wallenberga z Biurem Służb Strategicznych USA. Szwedzki dyplomata miał podobno składać Amerykanom raporty dotyczące niemieckich oddziałów na Bałkanach oraz informować ich o wewnętrznych rozgrywkach politycznych na Węgrzech.

Oleg Gordijewski, były rezydent KGB w Londynie, który w 1985 roku poprosił o azyl w Wielkiej Brytanii i którego uważa się za najcenniejszego oficera ZSRR, jaki kiedykolwiek współpracował z Zachodem, opublikował pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku informacje wskazujące na związki Wallenberga z wywiadem sowieckim. Według Gordijewskiego Szwed miał rzekomo pośredniczyć w tajnych rokowaniach pokojowych prowadzonych w 1944 roku między Ławrientijem Berią i Heinrichem Himmlerem. Wprawdzie informacje te nie znalazły żadnego innego potwierdzenia, ale faktem jest, że rodzina Wallenbergów uczestniczyła w pewnym zakresie w antyhitlerowskim spisku Carla Goerdelera, jak również pośredniczyła w pokojowych rokowaniach sowiecko-fiń-

skich w roku 1944.

Inna teoria wskazuje jednak na polski wątek, który miał się stać decydujący i przypieczętować los dzielnego Szweda. Jej autor, węgierski historyk Christian Ungvary twierdzi, iż zarzut szpiegostwa był wyłącznie pretekstem, podczas gdy w rzeczywistości Wallenberga aresztowano, ponieważ posiadał wiedzę na temat zbrodni katyńskiej. Tę koncepcję za wiarygodną uznawali także niektórzy historycy zachodni, między innymi Alex Kershaw, pisząc o niej w książce *Misja Wallenberga. Pojedynek z Eichmannem o życie 100 000 Żydów* (Znak Literanova, Kraków 2011).

Udowodnionym faktem jest, że Wallenberg miał wgląd w materiał dowodowy węgierskiego lekarza, prezesa Węgierskiej Izby Lekarskiej, biegłego medycyny sądowej oraz kryminologa, profesora Ferencza Orsósa, który w 1943 roku jako jeden z dwunastu lekarzy wchodzących w skład Międzynarodowej Komisji Lekarskiej prowadził w Katyniu sekcje zwłok. Po przeprowadzonej ekshumacji Orsós przesłał do Budapesztu obszerną dokumentację zbrodni, a nawet czaszkę jednego z polskich oficerów z dziurą po bolszewickiej kuli, wydobytą z dołów śmierci. Bezspornie wskazywała ona na NKWD jako sprawcę mordu i jako niezwykle cenna została zdeponowana w skarbcu Głównego Węgierskiego Banku Kredytowego. Znajdowała się tam aż do chwili wkroczenia Sowieców, którzy zabrali ją wraz z prywatnym archiwum profesora do Moskwy. Za Orsósem zaś wysłano w pogon specjalne komando egzekutorów z NKWD, jako za zbrodniarzem wojennym. Na szczęście udało mu się jednak schronić w Szwajcarii.

Sowieci postanowili wyeliminować wszystkich, którzy znali wyniki jego badań. Na czele z Wallenbergiem, który był dobrym znajomym węgierskiego profesora, i który ze zgromadzonymi przez niego materiałami miał się zapoznać w trakcie swej misji na Węgrzech. Raoul Wallenberg, stał się tym samym niemalże świadkiem zbrodni ludobójstwa dokonanej przez Sowieców wiosną 1940 roku. Dowodem na poparcie takiego wyjaśnienia może być między innymi fakt, że Rosjanie ścigali także inne osoby, które poznały ich

wstydlivy sekret.

Znajomość dokumentów Orsósa przyplącił życiem kapitan lotnictwa Zoltan Miko, który odegrał znaczącą rolę w węgierskim ruchu oporu oraz ratowaniu tamtejszych Żydów. Został rozstrzelany 15 sierpnia 1945 roku, zaś jego zastępcę Vilmosa Bondora podczas przesłuchań ciągle pytano, czy wie coś na temat bliżej nieokreślonych dokumentów. Metoda uporczywego zaprzeczania ocaliła mu życie. Otrzymał wyrok „jedynie” dwudziestu pięciu lat więzienia. Również ksiądz Béla Varga – w 1945 roku przewodniczący Zgromadzenia Narodowego Węgier – znał prawdę. Egzekucji uniknął tylko dlatego, że tłumacz (*nota bene* sowiecki pułkownik) ostrzegł go, aby na wszelkie pytania o Katyń odpowiadał, że nic nie wie.

Wiele do myślenia daje również postawa przywódców Zjednoczonego Królestwa oraz Stanów Zjednoczonych, wykazujących zaskakująco mało zainteresowania losami człowieka, który ocalił dziesiątki tysięcy istnień ludzkich. Czyżby dla świętego spokoju woleli nie domagać się zwolnienia kogoś, kto mógł zaświadczyć co wydarzyło się w katyńskim lesie?

Niestety, prawdopodobnie jeszcze długo – o ile w ogóle – nie poznamy prawdy o tym, jaki los spotkał Raoula Wallenberga i czy faktycznie mógł on swą relacją przeciwstawić się tak zwanemu kłamstwu katyńskiemu.

Niepewność co do losów bohatera tej opowieści doprowadziła do tego, że Szwecja do dziś nie bardzo wie, jak traktować swego bohatera narodowego. W Stanach Zjednoczonych i Izraelu Raoul Wallenberg uchodzi za wzór do naśladowania i wymowny przykład, ile może zdziałać pojedynczy człowiek w imię ratowania ludzkiego życia. Szwedzki dyplomata otrzymał mnóstwo wyróżnień, na przykład Barack Obama pośmiertnie uhonorował go Prezydenckim Medalem Wolności, najwyższym amerykańskim odznaczeniem przyznawanym cywilom. Tymczasem w ojczyźnie doczekał się w centrum Sztokholmu placu własnego imienia dopiero w 2001 roku! Przypadająca na dzień 4 sierpnia 2012 roku rocznica urodzin Raoula Wallenberga skłoniła jednak w końcu władze

szwedzkie do nadrobienia zaległości. W całym kraju odsłonięto wiele pomników, upamiętniających bohaterskiego rodaka.

W Budapeszcie pomnik bohatera holokaustu odsłonięto już w roku 1987. Na granitowej płycie wyryto łacińskie przysłowie: „Jak długo uśmiecha się do ciebie szczęście, tak długo masz wielu przyjaciół. W nieszczęściu zostajesz sam”.



# RAOUL WALLENBERG

SVÉD DIPLOMATÁT  
ÜLDÖZÖTT MAGYAR ZSIDÓK EZREINEK  
MEGMENTŐJÉT 1945 JANUÁRIBAN EBBŐL  
A HÁZBÓL HURCOLTÁK EL A SZOVJETÚNIÓBA,  
AHOL A SZTÁLINI TERROR ÁLDOZATA LETT.

DER SCHWEDISCHE DIPLOMAT, DER RETTER VON  
TAUSENDEN VERFOLGTEN UNGARISCHEN JUDEN  
WURDE IM JANUAR 1945 AUS DIESEM HAUS IN DIE  
SOWJETUNION VERSCHLEPPT WO ER DEM TERROR  
DES STALINISMUS ZUM OPFER FIEL.

RAOUL WALLENBERG EGYESÜLET · 2001 ·



W 1945 r. NKWD aresztowało i wywiozło do Rosji szwedzkiego dyplomatę Raoula Wallenberga.

# **W styczniowy mroźny dzień.**

## **BOHDAN PIASECKI**

**(1957)**

W styczniowy mroźny dzień, wtorek 22 stycznia 1957 roku, piętnastoletni Bohdan Piasecki (ur. 12 sierpnia 1941 r.) wyszedł ze szkoły do domu w towarzystwie trzech kolegów. Wszyscy byli uczniami X klasy należącego do stowarzyszenia PAX katolickiego Liceum św. Augustyna, mieszczącego się przy ulicy Naruszewicza pod numerem drugim, w dzielnicy Mokotów. „W czasach »gierkowskich« była to elitarna szkoła, nazywana nieoficjalnie »najlepszym liceum za Żelazną Kurtyną« – wspomina jeden z dawnych uczniów, Piotr Chrościel. – Mieliśmy własny teatr, zespół rockowy, basen, pracownie językowe, siedem godzin języka angielskiego w tygodniu i obserwatorium astronomiczne. Odwiedzała nas młodzież z Wielkiej Brytanii, a na lekcje zapraszani byli zaciekawieni naszą szkołą Amerykanie”.

Minęła właśnie godzina 13.30, ciężkie, ołowiane chmury wisiały nisko nad Warszawą, przepuszczając tylko niewielką ilość światła. Ogołoczone z liści drzewa chwiały się żałośnie, miotane podmuchami ostrego wiatru, który dyszał śmiertelnym zimnem w ciemne okna domów, wpadał do opustoszałych sieni i wydmuchując stamtąd widma minionej chwały miasta, pędził po trotuarach kupy śmieci.

Ludzie palili w piecach, więc wychodzący z kominów brudniejszy dym snuł się po ulicach stolicy, pozostawiając w powietrzu ostry swąd. Przechodnie podnosili kołnierze i przyspieszali kroku, broniąc się przed przenikliwym zimnem. Zwały odgarniętego śnie-

gu zalegały na jezdniach i chodnikach. Całą Warszawę pokrywało zimowe błoto, takie, z jakim nie może się równać żadne inne błoto na całym świecie. Oklejało ją smutną i odrażającą mazią, wywołując otepienie, skorupiejąc na obuwiu. Jak co roku o tej porze, miasto zamieniło się w bryłę brudnego błota, tonącą w ciemnościach i zimnie źle opalanych wnętrz, w słotnej udręce i w szlamowatej mazi ubóstwa. Tramwaje, autobusy, teatry, kina, ulice, kawiarnie, urzędy, szpitale, wiecznie okutane postacie, przypominające bezkształtne toboły – wszystko to było jakąś karykaturą istnienia, dla której lepsza przyszłość nabierała cech idiotycznego żartu.

Chłopcy poszli ulicą Naruszewicza w kierunku Puławskiej. Na rogu Wejnerta podszedł do nich jakiś mężczyzna w długim szarym płaszczu z podniesionym kołnierzem i nasuniętym głęboko na oczy kapeluszu.

– Który z was to Piasecki? – zapytał. Jego głos był równie twardy jak wznoszące się wokół kamienne ściany.

– To ja – odpowiedział Bohdan.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni płaszcza legitymację.

– Milicja Obywatelska – rzucił krótko. – Odejdźmy trochę na bok, mam z tobą do pogadania.

Bohdan nie wydawał się wystraszony. Miał raczej wzrok człowieka zdziwionego, myślącego coś w rodzaju: „kurczę, nie wiem, co się dzieje”. Obaj skierowali się na ulicę Wejnerta, gdzie czekał drugi mężczyzna, wyglądający jak bliźniak tego pierwszego. Na głowie miał dokładnie taki sam kapelusz, zakrywający połowę czoła, na ramionach identyczny szary płaszcz z podniesionym kołnierzem.

– Patrzcie, panowie, typowi tajniacy – powiedział do pozostałych chłopców jeden z kolegów Bohdana, Wojtek Szczęśny.

Janusz Świątkowski i Rysiek Karwański pokiwali tylko ze zrozumieniem głowami. Po chwili Bohdan i dwaj towarzyszący mu mężczyźni wsiedli do czekającej obok taksówki, czarnej Warszawy, która ruszyła z Wejnerta, wjeżdżając w ulicę Malczewskiego. W prowadzonym później śledztwie ustalono (a był to jeden z nielicznych

faktów, jakie ponad wszelką wątpliwość w tym śledztwie w ogóle ustalono), że bocznymi ulicami dojechała do gmachu sądów przy ulicy Świerczewskiego 82 A (dziś Solidarności).

Świadkiem opisywanego zdarzenia był również pracownik pobliskiego kiosku, nazwiskiem Henryk Rysak. Człowiek ów próbował potem opisać prowadzącym śledztwo wygląd obydwu mężczyzn w kapeluszach, za co został pobity przez „nieznanych sprawców”, w związku z czym odechciało mu się zeznawać. Trzej koledzy Bohdana cofnęli się za podejrzenie zachowującymi się osobnikami i zanotowali numer rejestracyjny taksówki: T-75-222.

Wojciech Szczęsny był najbliższym przyjacielem Bohdana Piaseckiego, w szkole siedzieli w jednej ławce. Tego dnia, 22 stycznia 1957 roku widział go po raz ostatni.

– Bohdan z pewnością zostałby artystą, może kompozytorem – opowiadał po latach. – Jego pierwszy utwór mieścił się na jednej stronie zeszytu nutowego i miał tytuł *Marsz żałobny*. Był żarliwym katolikiem.

Wojtek wrócił do szkoły, gdzie czekał prawie 45 minut, aż skończy zajęcia młodszy brat Bohdana, Jarek, którego zamierzał zawiadomić o zaistniałym zdarzeniu. Bohdan i Jarosław byli bardzo zżyci ze sobą. W Powstaniu Warszawskim stracili matkę, Halinę, łączniczkę podpułkownika Jana Mazurkiewicza – „Radosława”, dowódcy zgrupowania, w skład którego wchodziły największą chwałą okryte bataliony: „Broda 53”, „Zośka”, „Parasol”. „Miotła”, „Pięść” i „Czata 49”.

Dopóki ojciec nie wrócił z partyzantki, a potem z aresztu, braci wychowywała babcia, Pelagia Piasecka. Bohdan był chłopcem bardzo spokojnym, inteligentnym, należącym do najlepszych uczniów szkoły. Lubił muzykę i naukę języków obcych, był głęboko religijny, zdradzał nawet chęć wstąpienia do seminarium duchownego. Poza bratem Jarosławem i Wojtkiem Szczęsnym nie miał żadnych bliższych przyjaciół.

W rozmowie z Jarkiem, Wojtek nie dał jednak jasno do zrozumienia, że Bohdan mógł zostać porwany. W ten sposób została

stracona pierwsza, cenna godzina, najważniejsza do wszczęcia poszukiwań. Następnie Wojtek i Jarek udali się do domu Piaseckich przy ulicy Krasickiego 7, gdzie zastali jedynie babcię Bohdana. Ta dopiero poinformowała ojca chłopaka, Bolesława Piaseckiego, który przebywał w tym czasie w swoim biurze. Niezwłocznie po otrzymaniu wiadomości Bolesław zawiadomił Ministerstwo Spraw Wewnętrznych o porwaniu syna, prosząc o natychmiastowe wszczęcie poszukiwań.

Dwie godziny później dyrektor Liceum św. Augustyna, pan Henryk Pacuła otrzymał dziwny telefon:

– Czy uczeń waszej szkoły, Bohdan Piasecki, jest synem Bolesława Piaseckiego? – chciał wiedzieć rozmówca.

– A kto mówi? – zainteresował się dyrektor.

– Ministerstwo Oświaty – padła odpowiedź.

Prawie w tym samym czasie telefon otrzymał też Bolesław Piasecki:

– W Urzędzie Pocztowym Nr 1, na *poste restante* znajduje się list do pana – poinformował męski głos po drugiej stronie linii, po czym połączenie przerwano.

Piasecki wysłał po list swoich pracowników, którym towarzyszył jeden z dyrektorów departamentu w MSW wraz z kilkoma oficerami. Autor listu zawiadamiał o uprowadzeniu Bohdana, żądając okupu w wysokości czterech tysięcy dolarów oraz stu tysięcy złotych, po otrzymaniu którego obiecywał zwolnienie chłopca.

\*

Porwanie odbiło się szerokim echem w całym kraju, głównie ze względu na osobę ojca uprowadzonego, Bolesława Piaseckiego, o którym z całą pewnością można było powiedzieć jedno, a mianowicie, że nie był on przeciętnym zjadaczem chleba. Śledztwem, które było na bieżąco relacjonowane w gazetach, żyła cała Polska.

O Bolesławie Piaseckim wypowiedano się w ówczesnej Polsce bądź to z nienawiścią, bądź z ogromną czcią. Nigdy obojętnie. „Kie-

dyś będę rządził Polską” – powiedział podobno kolegom, jeszcze jako uczeń Liceum im. Zamoyskiego w Warszawie. Miał ambicje. Posiadał wielką umiejętność kierowania ludźmi. Mówiono nawet o zdolnościach parapsychologicznych...

Bolesław Piasecki, używający w późniejszym czasie pseudonimów „Leon”, „Całka” i „Sablewski”, urodził się 18 lutego 1915 roku w Łodzi. W 1935 roku ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Jeszcze podczas studiów został kierownikiem Oddziału Akademickiego Obozu Wielkiej Polski oraz działaczem Sekcji Młodych Stronnictwa Narodowego. Był również jednym z założycieli Obozu Narodowo-Radykalnego, a następnie, po rozłamie, przywódcą Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga”, głoszącego jawnie poglądy antykomunistyczne i antysemityczne. W nocy z 15 na 16 czerwca 1934 roku został internowany w obozie w Berezie Kartuskiej.

Utworzony dopiero co, na mocy rozporządzenia z mocą ustawy prezydenta Ignacego Mościckiego, obóz był „miejszem odosobnienia” przeznaczonym dla osób, „których działalność lub postępowanie daje podstawę do przypuszczenia, że grozi z ich strony naruszenie bezpieczeństwa, spokoju lub porządku publicznego”. Osadzano w nim na podstawie decyzji administracyjnej bez prawa apelacji na okres trzech miesięcy. Osadzenie mogło być przedłużone na kolejne trzy miesiące, aczkolwiek znane są przypadki osadzenia trwającego nawet rok. Oprócz podejrzanych o działalność wywrotową i przeciwników politycznych sanacji, w Berezie Kartuskiej więziono także przestępców gospodarczych lub podejrzanych o takie przestępstwa, pospolitych przestępców – zwłaszcza recydywistów, a w końcowej fazie istnienia także podejrzewanych o dywersję i szpiegostwo na rzecz III Rzeszy.

Zwolniony z obozu po trzech miesiącach, Bolesław Piasecki nadal kierował zdelegalizowanym RNR – Falanga, lansującym program budowy na gruzach ZSRR i Niemiec imperium słowiańskiego, w którym Polska odgrywałaby kluczową rolę. Przemawiając podczas wielkiego wiecu RNR-u (28 listopada 1937 roku w cyrku

braci Staniewskich przy ulicy Ordynackiej w Warszawie), uczynił interesującą dygresję na temat totalizmu:

„Przeciwnicy nasi nazywają nas totalistami – powiedział. – Czynią to przez płytkość, bo nas nie rozumieją, czynią tak świadomie, licząc, że totalizm jest podobno w Polsce niepopularny. Totalizm to pojęcie bardzo ogólne. Totalizmem jest faszyzm, jest hitleryzm i bolszewizm, totalistyczny jest wreszcie ustrój Kościoła katolickiego. Totalizm może być zły i dobry. Wartość zaś ustroju hierarchicznego państwa zależy od tego, czy potrafi połączyć organizację mas Narodu z życiem organizmu narodowego”.

We wrześniu 1939 roku wziął udział w wojnie obronnej jako dowódca plutonu w Warszawskiej Brygadzie Pancerno-Motorowej. Uwięziony przez gestapo, odzyskał wolność po interwencji kilku wpływowych włoskich rodzin, które znały go jeszcze sprzed wojny.

W czasie okupacji był szefem tajnej organizacji o nazwie Konfederacja Narodu, a także dowódcą Uderzeniowych Batalionów Kadrowych, które stoczyły 32 potyczki z Niemcami. Wcześniej jeszcze, gdy Hitler zaczął realizować plan zagłady Żydów, Piasecki oświadczył oficjalnie, że zrewidował swoje polityczne stanowisko i porzucił czynny antysemityzm. Działalność przedwojennych organizacji narodowych do dziś uchodzi jednak za jeden z najbardziej mrocznych elementów historii naszego kraju. A trzeba pamiętać, że to właśnie narodowcy, odsądzeni od czci i wiary za antysemityzm, w czasie II wojny światowej zapisali również piękną kartę w dziejach stosunków polsko-żydowskich...

Po scaleniu w roku 1943 UBK z Armią Krajową, w stopniu porucznika Piasecki został dowódcą 3. batalionu w 77. Pułku Piechoty AK, walczącym na Nowogródczyźnie. Uniknąwszy szczęśliwie internowania przez Sowietów podczas akcji „Burza”, wyjechał do Polski centralnej, gdzie kontynuował działalność konspiracyjną zwróconą przeciwko nowym okupantom kraju i ich czerwonym pachołkom. 12 listopada 1944 roku został aresztowany w Otwocku przez NKWD. Mając w perspektywie niemalże pewny krawat z konopnego sznura, podjął desperacką grę o życie...



Napisał mianowicie list do osławionego generała NKWD, Iwana Aleksandrowicza Sierowa, późniejszego (1954–1958) szefa KGB i szefa Wywiadu Wojskowego GRU (1958–1963), jednego z największych zbrodniarzy stalinowskich, odpowiedzialnego między innymi za mord oficerów polskich w Katyniu w 1940 roku. W liście tym Piasecki zadeklarował wsparcie dla reform społecznych wprowadzanych przez komunistyczne władze – reformy rolnej i nacjonalizacji przemysłu – oraz chęć wyprowadzania ludzi z podziemia zbrojnego. Opisał także szczegółowo całą swoją drogę życiową – działalność antysanacyjną, obóz w Berezie, aresztowanie przez gestapo, konspirację i antyhitlerowską partyzantkę.

Młody, charyzmatyczny, narodowy polityk, pozbawiony złudzeń co do celowości walki z ZSRR, wzbudził zainteresowanie sowieckiego generała – mordercy do tego stopnia, że ten raczył pofatygować się osobiście do więzienia na zamku w Lublinie na rozmowę z Piaseckim. Czego dotyczyła ta dyskusja, można się tylko domyślać. Leopold Tyrmand skomentował ją w sposób następujący:

„Odbывała się na pewno w atmosferze owej szczególnej, zaprawionej z lekka brutalnością, kurtuazji, cechującej chwilę, w których doniosłość decyzji, maestria politycznych graczy, sumienie, honor i dialektyka splatają się w specyfikę głęboko ukrytego nurtu wydarzeń. Wartość moralna tego nurtu jest jednak w oczach współczesności równa zeru”.

Nie wiadomo, jak się dogadali, polski narodowiec z radzieckim generałem od bezpieczeństwa, ale faktem jest, że latem 1945 roku Piasecki odzyskał po siedmiu miesiącach wolność i został jednocześnie polecony nowej władzy PRL. Wkrótce zaczął budować organizację tak zwanych postępowych katolików, której zasadą miała być współpraca z komunistycznym reżymem. Od 1945 roku grupa ta wydawała pismo „Dziś i Jutro”, a w 1947 została zarejestrowana jako Stowarzyszenie „PAX” (po łacinie Pokój), otrzymując przy okazji szereg przywilejów od komunistycznej władzy. PAX posiadał prawie monopolistyczne prawo na wydawanie „katolickiej” prasy – tygodniki: „WTK”, „Zorza”, „Kierunki” i „Słowo Powszechne”, a tak-

że wydawnictw książkowych (Instytut Wydawniczy PAX).

W latach stalinowskiej „nocy” PAX zmierzał do uzyskania pozycji jedyne go pośrednika pomiędzy władzą a Kościołem oraz zmonopolizowania pod swoją egidą środowisk katolickich. Współpracował z ruchem „księży patriotów”, atakował polski episkopat za rzekome dążenie do przywrócenia kapitalizmu, popierał łajdacką parodię procesu kieleckiego biskupa diecezjalnego Czesława Kaczmarka i uwięzienie prymasa Stefana Wyszyńskiego. W 1953 roku przejął i wydawał „Tygodnik Powszechny” po tym, jak poprzednia redakcja odmówiła zamieszczenia nekrologu pewnego dobrodusznego fajczarza nazwiskiem Józef Stalin. Jednym słowem, w porównaniu z innymi środowiskami katolickimi PAX najściślej realizował politykę kolejnych ekip rządzących Ludową Polską, co prowadziło często do jego konfliktów z hierarchią Kościoła katolickiego i odejścia z organizacji działaczy przeciwnych takiej działalności. (W 1955 roku część działaczy ugrupowania utworzyła tzw. frondę, która zarzuciła ówczesnemu kierownictwu brak demokracji wewnętrznej, jednoosobowy sposób sprawowania władzy, niewłaściwy system nominacji. W wyniku konfliktu z kierownictwem PAX opuścili między innymi Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Wielowiejski i Janusz Zabłocki).

Naród, przynajmniej wedle Piaseckiego, miał jednak od środka przesiąkać katolicyzmem, co w czasie kilku dziesięcioleci – nie wcześniej – doprowadziłoby do wyzwolenia, a twórcę koncepcji do władzy.

Po przełomie w 1956 roku PAX przybrał bardziej kompromisowe stanowisko. Pozostając częścią systemu władzy (uczestniczył we Froncie Jedności Narodu, a następnie w Patriotycznym Ruchu Odrodzenia Narodowego) i popierając posunięcia władz, próbował jednocześnie prezentować katolickie stanowisko, zwłaszcza w takich sprawach jak nauka społeczna Kościoła i kwestia przerywania ciąży. Współdziałało z nim wielu byłych żołnierzy i oficerów AK. Stowarzyszenie prowadziło własną spółdzielnię mieszkaniową, działalność wydawniczą – publikując książki, które gdzie indziej

nie mogły się legalnie ukazać, utrzymywało jedyne w Polsce świeckie katolickie Liceum Ogólnokształcące pod wezwaniem Świętego Augustyna w Warszawie, wspierało materialnie byłych żołnierzy AK i produkowało dewocjonała, zatrudniając setki osób. O PAX-ie mówiono już wtedy, że jest państwem w państwie; jedynym prywatnym przedsięwzięciem od Władywostoku po Łabę, o Piaseckim zaś, że jest jego królem. W 1965 roku został posłem na Sejm PRL, a w latach 1971–1979 członkiem Rady Państwa. W marcu 1968 roku – wraz z całym PAX-em – poparł antyinteligencją i antysemitką nagonkę zorganizowaną przez partyjną frakcję Mieczysława Moczara.

„Wysoki blondyn o oczach niebieskich, otwartych, dobrze zbudowany, o ujmującej twarzy i pełnych godności ruchach wodza Gallów – napisał o nim Leopold Tyrmand w miesięczniku »Świat« w 1956 roku. – Ostatni prasłowiański książ polityczny podejmujący swych wasali wśród scenerii z niedźwiedzich skór”.

Piaseckiemu nie ufano ani po jednej, ani po drugiej stronie skonfliktowanej PZPR. Dla tak zwanych reformatorów był „betonowym stalinistą” i „wrogiem publicznym numer 1”. Partyjny beton traktował go natomiast jako mimo wszystko wrogi, bo katolicki element. Jedni zarzucali mu związki z sowieckim wywiadem i chęć rozbicia Kościoła, drudzy totalizm, nacjonalizm i antysemityzm. Nikt nie brał pod uwagę pozytywnych aspektów działalności Piaseckiego, na przykład tego, że mimo wszystko pomógł on uniknąć więzienia przynajmniej kilku setkom byłych żołnierzy AK. Nikt nie chciał przyjąć do wiadomości takiego chociażby faktu, że uczniowie PAX-owskiego liceum dowiadują się prawdy o wojnie polsko-bolszewickiej lub napaści ZSRR na Polskę w 1939 roku. Dziennikarze oskarżyli PAX i samego Piaseckiego o „uprawianie metod mafii” i „ślepy kult wodza”.

Hasła „politycznego realizmu” i osiągnięcia wielkich celów małutkimi kroczkami okazały się jednak z czasem niezwykle skutecznym rozgrzeszeniem dla zwykłego oportunisty. PAX, szczególnie w latach po stanie wojennym, stał się organizacją katolicką odrzu-

caną zdecydowanie przez Kościół i organizacją narodową podejrzliwą wobec narodu, zajadle zwalczającą jego aspiracje, najwierniejszym kolaborantem Jaruzelskiego. Ale Bolesława Piaseckiego nie było już wtedy wśród żyjących...

Bolesław Piasecki był dwukrotnie żonaty. Po raz pierwszy z Haliną Kopeć – żołnierzem Armii Krajowej, dwukrotnie odznaczoną Krzyżem Walecznych. Zginęła 14 sierpnia 1944 roku na Starym Mieście, podczas Powstania Warszawskiego. Miał z nią dwóch synów: Bohdana i Jarosława.

Po raz drugi ożenił się w roku 1948 z Barbarą Kolendo, łączniczką KN, z którą miał pięcioro dzieci: Zdzisława, Ładysława, Bożenę, Marzenę i Halinę.

7 sierpnia 1944 roku zginął podczas walk powstańczych jedyny, młodszy brat Bolesława, Zdzisław.

Poza tym, co w owym mroźnym styczniu 1957 roku wydawało się najistotniejsze, Piasecki był jednym z najbogatszych Polaków...

Jeszcze w grudniu poprzedniego roku Bohdan zwierzył się kolegom:

– Zdarzyło mi się coś strasznego, ale nie mogę o niczym powiedzieć.

Dwa tygodnie później został porwany.

\*

Wspomniany list porywaczy – jak się później okazało – czekał na adresata już od czterech dni. Zgodnie z wyrażoną w nim zapowiedzią, ale dopiero po dwóch dniach, przestępcy zlecili telefonicznie ojcu Bohdana, aby skierował swojego wysłannika z żadaną kwotą do restauracji „Kameralna” przy Foksal, gdzie miał otrzymać dalsze instrukcje. Piasecki przystał oczywiście na warunki okupu. Pieniądze na ten cel zostały uzyskane z kredytu Spółdzielni Wydawniczej PAX, na mocy uchwały Zarządu Stowarzyszenia z 22 stycznia. Dzięki temu w ciągu 24 godzin udało się zebrać całą kwotę, jakiej żądali porywacze. Rozpoczęła się gra rodem z amerykańskich thrill-

lerów.

Wyznaczony wysłannik, ksiądz Mieczysław Suwała, prefekt Liceum św. Augustyna, a wcześniej kapelan Uderzeniowych Batalionów Kadrowych AK o pseudonimie „Oro”, został w restauracji wezwany do telefonu. Poinformowano go, że ma udać się do domu oznaczonego numerem 65 w alei Na Skarpie, gdzie na strychu w pudełku po zapałkach oczekują na niego dalsze instrukcje. Tam znalazł karteczkę z kolejnym adresem: Jakubowska 16. Na Jakubowskiej czekał już na niego następny list, z kolejnymi instrukcjami. Zgodnie z nimi podążył na prawy brzeg Wisły, na Wał Miedzeszyński, gdzie przy ostatnim moście kolejowym miały spoczywać dalsze informacje, a także pantofel Bohdana. Gdy dotarł pod most, znalazł tylko sam pantofel, bez obiecanych wskazówek. I na tym ślad się urwał.

Tego samego dnia wieczorem Bolesław Piasecki otrzymał telefon, w którym porywacze zawiadomili go, że w drzwiach kościoła św. Krzyża zatknięty jest list do niego. Gdy przewodniczący PAX-u przeczytał go, dowiedział się, iż kwota okupu została podwyższona ze stu do dwustu tysięcy złotych, jako kara za poinformowanie milicji o porwaniu. Jak wynikało z treści listu, porywacze doskonale wiedzieli o towarzyszących księdzu Suwale siedmiu nieoznakowanych radiowozach. Podano też dalsze instrukcje.

Drugi wysłannik Piaseckiego, Ryszard Reiff, prawnik, publicysta oraz działacz Stowarzyszenia PAX, udał się na wyznaczone przez porywaczy miejsce przy słupie milowym na ulicy Marszałkowskiej. W jednej ręce trzymał walizkę z okupem, w drugiej obrzymie rogi jelenie – zażądany przez sprawców znak rozpoznawczy (a może kidnaperyzy zadbali przy okazji również o to, by biegly w strzelaniu Reiff miał zajęte obie ręce?). Jako obstawę wziął więc ukrytego w bagażniku Strzelca wyborowego, Mieczysława Lipkę, kolegę z partyzantki.

Ponieważ nic się nie wydarzyło, żaden kontakt nie został nawiązany, a w okolicach słupa nie było żadnej wiadomości, o czym Reiff poinformował telefonicznie MSW. Polecono mu, aby jeszcze raz

udał się na umówione miejsce. Zrobiwszy to, znalazł tam list, w którym przerobiono jednak wyraźnie godzinę wykonania dalszych kroków. Jak się później okazało, przeznaczone dla Bolesława Piaseckiego pismo przejęli funkcjonariusze MSW i to oni właśnie dokonali nieudolnego fałszerstwa. Następna podjęta przez Reiffa instrukcja skierowała go do punktu, gdzie żądający okupu nie zostawili żadnej informacji. Kontakt się urwał.

Upłynęły kolejne trzy dni, podczas których rodzina Bohdana do słownie odchodziła od zmysłów. Porywacze odezwali się dopiero wieczorem 27 stycznia. Pisarz i publicysta Jan Dobraczyński został telefonicznie poinformowany, że jeżeli Bolesław Piasecki pragnie odzyskać syna, to powinien stawić się u niego w dniu następnym o godzinie 12.00 wraz z okupem. O wyznaczonej porze zjawili się u Dobraczyńskiego przedstawiciele przewodniczącego PAX-u, ale przez sześć godzin nie otrzymali żadnej wiadomości od porywaczy. To był ostatni sygnał od przestępców...

Nagrana na taśmę, wspomniana wyżej pierwsza rozmowa z nimi, przechowywana w archiwach MSW, została z niewyjaśnionych przyczyn wymazana. Koperta z Urzędu Pocztowego Nr 1 oraz znalezione przez księdza Suwałę listy zostały przesłane do Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO celem przeprowadzenia badań. Pracujący tam eksperci ujawnili na nich kilka odcisków palców, jednak dowody te w tajemniczy sposób zaginęły.

Dopiero 28 stycznia należące do PAX-u „Słowo Powszechne” uzyskało od cenzury zgodę na codzienne drukowanie ogłoszenia, w którym zwracano się do czytelników z prośbą o pomoc w odzyskaniu Bohdana. Publikowano zdjęcie i rysopis.

„Wzrost 183 cm, włosy – szatyn, oczy niebieskie, rzęsy ciemne, nos lekko zadarty. Przedni ząb górnej szczęki jest doprawiony nylo-nem (ukośna linia, sztukowanie widoczne), palce długie, chód prosty. Ubrany w palto jasnopopielate z paskiem (samodział), czapka uczniowska nowa, rękawiczki ciemnozielone z jednym palcem, spodnie narciarskie granatowe, buty duże narciarskie ciemnobrązowe, na rękę zegarek marki Thiell z ciemnym paskiem, teczka

brązowa skórzana, czarny worek z pantoflami, pantofle płócienne popielate, rozmiar 44–45”.

Redakcja przypominała o nagrodzie w wysokości 200 tysięcy złotych. Podawano telefony redakcji: 81985 i 86011 wew. 30, czynny całą dobę.

Na początku lutego rodziną Piaseckich wstrząsnęła publikacja w tygodniku „Dookoła świata”. W artykule *Zagadka cichej uliczki* autorzy sugerowali, że porwanie zostało sfingowane przez mataczącego ojca, a Bohdan przebywa za granicą razem z matką:

„Po Warszawie krążą plotki, iż przed trzema laty Bohdan miał w poszukiwaniu przygód próbować ucieczki na szwedzkim statku za granicę – twierdzili autorzy. – (...) Dlaczego (porywacze) żądali dolarów? Czyżby chcieli uciec za granicę? Jeżeli tak, to dlaczego podali tak niską (jak na stosunki zagraniczne) sumę? (...) Gdzie jest Bohdan Piasecki? W Warszawie, poza Warszawą, za granicą?”.

Artykuł wyraźnie inspirowany był przez władze PRL, które doskonale wiedziały przecież, że Halina Piasecka (Kopeć) zginęła w powstaniu. Namacalnym dowodem tego było już chociażby samo „przepuszczenie” tekstu przez cenzorów z ulicy Mysiej. Zapewne chodziło o celową dezinformację społeczeństwa, a narzędziem polityki władz stali się tu autorzy, panowie Zdzisław Szakiewicz i Leszek Moczulski – późniejszy twórca KPN. Znamienne jest, że kiedy w latach siedemdziesiątych Romuald Szeremietiew przystąpił do organizowania na wniosek Piaseckiego lokalnej struktury PAX-u w Poznańskim, ten ostatni zdecydowanie odciął się od jakiegokolwiek współpracy z Moczulskim.

W tę dezinformującą kampanię włączyło się także (zapewne również „wpuszczone przez kogoś w maliny”) Radio Wolna Europa, twierdząc w jednej ze swoich audycji, że Bohdana porwała... matka i wywiozła cichcem do Ameryki.

Do siedziby PAX-u zaczęli się również zgłaszać różni „dziwni” ludzie, utrzymujący, iż są w kontakcie z przestępcami i mogą odpłatnie pomóc ojcu w odzyskaniu dziecka. Część z nich przedstawiała nawet rzekome listy od uprowadzonego chłopca. Na przy-

kład niejaka Maria Chrapowicka przekazała pracownikom Stowarzyszenia datowany 9 marca 1958 roku list następującej treści:

„Drogi Tatusiu!

Bardzo tęsknię i chciałbym żebyśmy jak najprędzej byli znowu razem. Zawdzięczając Pani Chrapowickiej, mogę skreślić tych kilka słów. Chcę zawiadomić, że mimo ciężkich przeżyć, jakich doświadczyłem, czuję się ze zdrowiem nieźle. Stale żyję nadzieją powrotu do domu. Wierzę, że już się niedługo zobaczymy. Proszę uważać na swoje otoczenie – tam przyjaciół nie ma! Proszę ucałować Babcię. Uściskam Tatusia. Bogdan” (zgodnie z oryginałem, tak właśnie: nie Bohdan, lecz Bogdan).

Oczywiście większość z utrzymujących, iż mogą pomóc w odnalezieniu chłopca, okazała się zwykłymi oszustami, starającymi się wykorzystać rozpacz rodziny uprowadzonego dziecka. Inni zapewne zostali tam przysłani przez sprawców, z zadaniem spowodowania jeszcze większego chaosu w prowadzonym śledztwie.

\*

Równocześnie z zawiadomieniem milicji i próbami wykupienia Bohdana, ludzie Bolesława Piaseckiego rozpoczęli poszukiwania sprawców na własną rękę. Jedynym śladem, jakim dysponowali, był numer taksówki, którą posłużyli się porywacze, a który zapamiętali koledzy Bohdana. Jednakże na pytanie skierowane do władz bezpieczeństwa o personalia dysponenta taksówki nadeszła odpowiedź, iż podany numer jest nieaktualny. Wtedy pracownicy PAX-u wyruszyli na miasto w poszukiwaniu samochodu, użytego przez porywaczy. Jeden z pracowników Stowarzyszenia, Gustaw Kitzman, na polecenie Bolesława Piaseckiego udał się do Wydziału Komunikacji, gdzie dowiedział się, że auto należy do Miejskiego Przedsiębiorstwa Taksówkowego. To jednak również nie wystarczyło milicjantom do ustalenia nazwiska kierowcy...

Dwudziestego drugiego stycznia, późnym wieczorem, inny pra-



ownik PAX-u, Tadeusz Anderszewski, znalazł po krótkich poszukiwaniach samochód o rejestracji T-75-222 na ulicy Nowy Świat. Kierowca został zatrzymany przez MO na ulicy Wilczej i przewieziony na komendę. Okazało się jednak, że za kierownicą nie siedział dysponent, lecz jego zmiennik. W wyniku dalszych czynności ustalono w końcu nazwisko dysponenta, którym okazał się niejaki Ignacy Ekerling – jeżeli nie uczestnik, to w każdym razie koronny i jedyny znany świadek porwania.

Następnego dnia został on przesłuchany w charakterze świadka. Zeznał, że krótko po godzinie 13 taksówkę wynajął nieznanemu mężczyźnie, który najpierw kazał zawieźć się z ulicy Żelaznej do budynku sądów przy ulicy Świerczewskiego. Tam do pojazdu miał wsiąść drugi pasażer, niższy od pierwszego. Ten, który znalazł się w samochodzie pierwszy, nakazał jazdę w kierunku Mokotowa, na ulicę Naruszewicza, a potem na ulicę Wejnerta. Następnie – jak zeznał Ekerling – pasażer, który wynajął taksówkę, wysiadł z niej, a drugi stanął tuż za tylnym światłem samochodu. Po około pięciu minutach ten pierwszy wrócił z młodym człowiekiem. Wszyscy wsiedli do auta, po czym Ekerling zawiózł ich z powrotem przed gmach sądów przy ulicy Świerczewskiego. Tam wszyscy wysiedli i udali się w kierunku budynku.

Wynajmujący pasażer zapłacił za kurs 35 złotych, a w drodze powrotnej rozmawiał ze swoim kolegą o wysokich cenach biletów na występy zagranicznych piosenkarzy oraz o księdzu, który miał sprawę o alimenty. Chłopiec w czasie jazdy nie odzywał się.

Łatwo dało się zauważyć, iż zeznania kierowcy są pełne sprzeczności, w wielu punktach nie zgadzają się z wersjami przedstawionymi przez innych świadków. Dotyczyło to między innymi miejsca i czasu postoju auta na ulicy Wejnerta oraz tego, kto i w jakiej konfiguracji siedział w taksówce. Ekerling nie był także w stanie podać dokładnego rysopisu obu mężczyzn, co było zastanawiające, zważywszy, iż z jednym z nich rozmawiał i spędził w samochodzie co najmniej 40 minut. Twierdził również, że w dniu porwania jechał taksówką o rejestracji T-75-222 po raz pierwszy, jako kierowca re-

zerwowy. Jak później udowodniono, twierdzenie to nie odpowiadało prawdzie, wymieniony pojazd otrzymał bowiem już 21 stycznia, a 22 stycznia jeździł nim po raz drugi.

W konfrontacji z innymi świadkami Ekerling ciągle zmieniał swoje zeznania, w zależności od przedstawianych mu dowodów. Podczas któregoś z przesłuchań wypalił: „Bardziej niż was boję się tych, którzy użyli mojej taksówki”.

Wątpliwości budziła także trasa, jaką wybrał, dowożąc porywaczy i Bohdana Piaseckiego do gmachu sądów. Wyglądała ona następująco: ul. Wejnerta – Malczewskiego – Puławska – Polna – Plater – Świętokrzyska – Trasa NS – ul. Świerczewskiego. Była to droga niezwykle uciążliwa i niewygodna dla kierowcy, ale wykorzystując ją, Ignacy Ekerling mógł ominąć sygnalizację świetlną oraz posterunki milicji.

Pod koniec stycznia, w miejscu porwania odbyła się z udziałem Ekerlinga wizja lokalna. Protokół z tego wydarzenia zaginął i nie został dołączony do akt sprawy. Wiadomo jednak, że nie został on przekazany Ekerlingowi do podpisu, dzięki czemu mógł on później zaprzeczyć złożonym przez siebie zeznaniom. Drugiego lutego przeprowadzono drugą wizję lokalną z udziałem kolegów Bohdana, Szczęsnego, Świątkowskiego i Karwańskiego. Zarówno chłopcy, jak również inni świadkowie porwania – kioskarz Henryk Rysak oraz przechodzień Andrzej Nowakowski – nie rozpoznali w Ekerlingu kierowcy taksówki. Twierdzili z całą pewnością, że w momencie uprowadzenia nie było go w aucie.

Pomimo faktów jednoznacznie wskazujących na współpracę taksówkarza z porywaczami, władze nie zdecydowały się na jego aresztowanie. Najmniejszych podejrzeń nie wzbudził także fakt, że wysłał on bagaże za granicę i sprzedał mieszkanie. Otrzymałszy bez przeszkód zgodę na wyjazd emigracyjny, w marcu 1957 roku odebrał paszport. Następnie 4 kwietnia wyjechał z Warszawy, udając się spokojnie do Zebrzydowic z zamiarem opuszczenia kraju.

Dopiero wskutek interwencji Bolesława Piaseckiego (którego początkowo poinformowano, że jest to tylko plotka, później zaś, że

Ekerling jedzie do Szczecina) Ministerstwo Spraw Wewnętrznych uniemożliwiło taksówkarzowi przekroczenie granicy. Wcale nie został jednak aresztowany. Zawrócony z przejścia granicznego powrócił do Warszawy, gdzie przez prawie rok (do 1 kwietnia 1958) przebywał na wolności. Dalej pracował w Miejskim Przedsiębiorstwie Taksówkowym, otrzymał nawet większe i nowocześniejsze mieszkanie służbowe. Co było szczególnie zaskakujące, wniosek o przydział lokum zgłosił nie do zakładu, w którym był zatrudniony, lecz... do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Kłopoty zaczęli mieć świadkowie zdarzenia. Ktoś zadzwonił do matki Wojtka Szczęsnego z ostrzeżeniem, że jeśli syn powie, co naprawdę widział, spotka go nieszczęście. Niedługo potem „nieznani sprawcy” pobili dotkliwie chłopca pod drzwiami jego mieszkania. Zaszczuty dokumentnie Wojtek podjął nawet próbę samobójczą. W końcu rodzice przenieśli go do innej szkoły. Kolejny świadek, kioskarsz Henryk Rysak – jak zeznał – był w tym czasie śledzony przez nieznaną mu osobę.

W październiku 1957 roku, widząc brak postępów w śledztwie, grupa działaczy społecznych (w sumie 64 osoby) wystosowała list otwarty do ówczesnego prokuratora generalnego PRL, Andrzeja Burdy. Pod listem podpisali się między innymi Roman Brandstaetter, Ludwik Chmaj, Jan Dobraczyński, Pola Gojawiczyńska, Jarosław Iwaszkiewicz, Alfons Klafkowski, Witold Lutosławski, Stanisław Mackiewicz, Gustaw Morcinek, Antoni Pajdak, Wilhelm Szewczyk i Jerzy Zawieyski. Kopie listu przesłano I Sekretarzowi KC PZPR, Władysławowi Gomułce oraz premierowi Józefowi Cyrankiewiczowi. Wysłano ją również do kilku wiodących gazet, z prośbą o publikację, czemu – oczywiście – sprzeciwili się urzędnicy cenzury z ulicy Mysiej.

Kolejne listy: do Władysława Gomułki, zastępcy prokuratora generalnego, Jana Wasilewskiego, przewodniczącego Rady Państwa, Aleksandra Zawadzkiego, premiera Józefa Cyrankiewicza i wiceministra spraw wewnętrznych, Mieczysława Moczara, słał również sam Bolesław Piasecki. Skarżył się w nich na działalność MSW i

wnosił o ponowne sprawdzenie dowodów rzeczowych. Wszystko na próżno, żaden z wymienionych panów nie tylko, że nie kiwnął w sprawie palcem, ale nie raczył nawet udzielić odpowiedzi.

Wiosną 1958 roku ktoś widać czegoś nie dopatrzył dokładnie i śledztwo w sprawie uprowadzenia Bohdana Piaseckiego przejął inny prokurator. Natychmiast zaczęło ono przynosić pewne efekty. Pierwszego kwietnia aresztowano Ignacego Ekerlinga, czego skutkiem było uzyskanie dalszych obciążających go dowodów. W trakcie rewizji w jego mieszkaniu odkryto szereg zapisków, zawierających między innymi dane osób zamieszkałych w domach, w których porywacze pozostawiali wskazówki dla współpracowników Bolesława Piaseckiego na temat miejsca przetrzymywania jego syna. Okazało się, że dziwnym trafem z wszystkimi tymi osobami Ekerling utrzymywał bliską znajomość. Byli to: Zygmunt Rodziewicz, ówczesny dyrektor MPT, zamieszkały przy ulicy Na Skarpie 65 oraz Bernard Szewc, mieszkający przy ul. Jakubowskiej 16, znajomy kierowca.

W notatniku Ekerlinga znaleziono także odręczny rysunek przedstawiający róg ulic Wejnerta i Naruszewicza oraz dane znajomych mu pracowników SB: Jana Toruńczyka i Józefa Kostańskiego, a także numery telefonów innych „esbeków”: płk. Dorozdzieckiego, który mieszkał przy Naruszewicza, blisko miejsca porwania, oraz Jana Kossowskiego. Znaczenie tych numerów wyjaśniło się, gdy 8 grudnia 1958 roku, przy okazji remontu piwnic domu nr 82 A przy ul. Świerczewskiego.

Wymienionych funkcjonariuszy oraz obydwu lokatorów nie udało się jednakże przesłuchać, gdyż wszyscy dziwnym trafem wyjechali wcześniej do Izraela.

W zapiskach Ekerlinga odnaleziono również numer telefonu: 4-03-68, należący do lekarki Bożeny Błazewicz, zamieszkałej przy ul. Naruszewicza 24b, w bezpośrednim sąsiedztwie skrzyżowania, na którym dokonano porwania.

Przez cały czas wszyscy zadawali sobie jedno podstawowe i najważniejsze pytanie: czy uprowadzony Bohdan Piasecki ciągle jesz-

cze żyje? Odpowiedź na nie przyszła 8 grudnia 1958 roku...

\*

Tego dnia dwaj hydraulicy dokonywali przeglądu stanu sanitarnego budynku przy ulicy Świerczewskiego 82 A. Gdy zauważyli zabite gwoździami drzwi, wiodące do pomieszczeń sanitarnych – umywalni i dwóch ubikacji, postanowili sprawdzić, co się za nimi kryje. Po ich wyważeniu ukazał się wstrząsający widok: w ubikacji leżały zmumifikowane na skutek panujących warunków zwłoki młodego chłopca. Ułożone były w pozycji siedzącej, oparte o miskę klozetową. Obok niego leżały książki i zeszyty szkolne oznaczone nazwiskiem Bohdana Piaseckiego. W lewej części klatki piersiowej tkwiło szesnastocentymetrowe ostrze sztyletu o drewnianej rękojeści.

Sprowadzona na miejsce milicja od razu rozpoznała ubranie nieżyjącego: jesionkę w jodełkę i charakterystyczne zimowe buty z białymi sznurowadłami. Ciało zostało zidentyfikowane przez rodzinę, przebadał je także stomatolog chłopca, który rozpoznał wstawione przez siebie plomby.

Jak ustalono podczas sekcji zwłok, chłopiec został ogłuszony silnym uderzeniem nieokreślonego bliżej, tępego narzędzia w głowę. „Jego efektem było szczelinowate pęknięcie kości ciemieniowej lewej, przechodzące przez łuskę kości skroniowej lewej na podstawę czaszki oraz szczelinowate pęknięcie w obrębie siodełka tureckiego i rozluźnienie szwu wieńcowego lewego”. Klinga sztyletu ominęła serce, ale przebiła lewe płuco. Ponieważ nie udało się ustalić bezpośredniej przyczyny zgonu, dlatego też przyjęto, że śmierć nastąpiła zarówno na skutek ciosów zadanych tępym narzędziem, jak i rany kłutej.

Bohdan Piasecki został zamordowany najprawdopodobniej w dniu uprowadzenia. Wskazywał na to brak śladów potu na bieliźnie, kołnierzyku i mankietach koszuli ofiary. Dokonana przez biegłych rekonstrukcja wydarzeń pozwoliła ustalić następujący prze-

bieg wypadków:

Chłopca zawieziono do budynku oznaczonego numerem 82 A przy ul. Świerczewskiego i prawdopodobnie przetrzymano w jednym z mieszkań. Tam też ogłuszony został ciosem zadany jakimś tępym narzędziem w głowę, a następnie zniesiony do ubikacji w piwnicy i ugodzony sztyletem w lewą część klatki piersiowej. Na podstawie oględzin ubrania ustalono, że czas od momentu porwania do zgonu był krótki (najprawdopodobniej Bohdan został zamordowany jeszcze w dniu uprowadzenia); ubranie nie miało charakterystycznych śladów świadczących o dłuższym noszeniu. „Trudno przyjąć założenie – opisywali biegli – że ofiara została rozebrana z garderoby i dopiero tuż przed śmiercią ubrana na powrót (...) W tym kontekście pozorowanie uprowadzenia na tle rabunkowym dowodzi, iż było to przemyślane działanie sprawców, mające na celu zmylenie tropu, gdyż porywacze nie próbowali nawet podjąć żądanej sumy pieniędzy”.

Przesłuchania mieszkańców budynku nie przyniosły żadnych efektów. Ustalono jednak, że mieszkanie nr 120 było własnością działu gospodarczego Komendy Miejskiej MO, podlegającego wspomnianemu wcześniej Janowi Kossowskiemu, którego nazwisko znajdowało się w notatkach Ekerlinga. Jak stwierdzono, z lokalu tego można było w łatwy sposób przejść klatką schodową do korytarza piwnicznego. Jana Kossowskiego nie udało się jednakże przesłuchać, ponieważ w niedługim czasie po porwaniu Bohdana Piaseckiego odszedł ze służby w organach milicji, zaś jesienią 1957 roku, jak wcześniej wspomniano, wyjechał do Izraela.

W sierpniu 1957 roku zamordowano w nigdy niewyjaśnionych okolicznościach Franciszka Goca, mieszkającego naprzeciw gmachu sądów, tj. w pobliżu miejsca, gdzie zakończyła swoją trasę taksówka i gdzie półtora roku później znaleziono zwłoki chłopca.

Pod ciśnieniem wszystkich zgromadzonych w sprawie dowodów Prokuratura Wojewódzka w Warszawie zdecydowała się wnieść akt oskarżenia przeciwko Ignacemu Ekerlingowi. Do Sądu Powiatowego dla m.st. Warszawy (Wydział IX Karny) wpłynął on

30 września 1959 roku. Taksówkarz został w nim oskarżony o to, że: „Dnia 22 stycznia 1957 r. w Warszawie udzielił pomocy w pozabawieniu wolności Bohdana Piaseckiego w szczególności przez to, że dostarczył sprawcom obsługiwany przez siebie samochód osobowy Miejskiego Przedsiębiorstwa Taksówkowego, oznaczony numerem rejestracyjnym T-75-222, dla uprowadzenia Bohdana Piaseckiego, tj. o przestępstwo z art. 27 i 248 §1 KK”.

Rozprawa została wyznaczona na 20 i 21 listopada 1959 roku. Tuż przed nią, prokuratura zwróciła się do sądu z prośbą o zwrócenie akt śledztwa w celu ich uzupełnienia. Prośbę motywowała tym, że w sprawie wyszły na jaw nowe okoliczności, które należy rozpracować w trybie śledczym. Wobec tego Sąd Powiatowy skierował sprawę na posiedzenie niejawne, podczas którego uwzględnił wnioski prokuratury. Sąd wskazał, że odkryto powiązania Ekerlinga ze światem przestępczym, przestępstwa dewizowe oraz znajomość z osobami mieszkającymi w budynkach, w których porywacze pozostawiali wskazówki ludziom Piaseckiego.

Interwencję w sprawie wycofania aktu oskarżenia podjął Jerzy Albrecht, sekretarz KC PZPR, któremu podlegał nadzór nad pracą organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości. Jego decyzję wykonał Antoni Alster, wiceminister spraw wewnętrznych. Jak twierdzi brat Bohdana Piaseckiego, Jarosław, śledztwo zostało umorzone na polecenie premiera Józefa Cyrankiewicza. Zgodę na odstąpienie od ścigania Ignacego Ekerlinga wyraził sam Władysław Gomułka, I sekretarz KC PZPR, po interwencji Romana Zambrowskiego, członka Biura Politycznego Komitetu Centralnego. Potwierdza to relacja Zenona Kliszki, członka Biura Politycznego KC PZPR:

„Faktycznie, przyszedł Zambrowski z tym do Wiesława, że jak odbędzie się rozprawa sądowa, powstanie fala antysemityzmu, ale myśmy się wspólnie zgodzili, że sprawy nie powinno być” (Zygmunt Przetakiewicz – *Od ONR-u do PAX-u*, Wydawnictwo Książka Polska, Warszawa 1994).

I właściwie na tym sprawa się skończyła. Kilka tygodni później Ignacy Ekerling został zwolniony z aresztu i chociaż do swej śmierci

ci w latach siedemdziesiątych pozostawał – jak należy przypuszczać – pod ścisłą kontrolą Służby Bezpieczeństwa, nie był już w sprawie Bohdana Piaseckiego poważniej niepokojony. Również ludzie, którzy w taki czy inny sposób przewinęli się przez sprawę, opuścili z reguły Polskę na fali emigracji przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Odpowiedzialni za tę zbrodnię nigdy nie zostali odnalezieni i ukarani, mimo intensywnych wysiłków Bolesława Piaseckiego. Sprawców nie udało się ustalić do dziś.

„Dotknięty tragedią ojciec zachowywał przez cały czas kamienną twarz pokerowego gracza – napisał Jerzy Siuta w „Polityce” z 13 maja 2006 roku. – Ten zadziwiający spokój widać również na zdjęciach z pogrzebu Bohdana na warszawskich Powązkach. Otoczona tłumami, zapłakana najbliższa rodzina i posągowy Bolesław. Tylko stenogramy z podsłuchów, dostępne historykom po pięćdziesięciu latach, pokazują, jak nieracjonalnych rozwiązań chwycił się, by odzyskać syna, i z jaką obojętnością najwyższe władze dawały odpór jego prośbom o interwencję”.

Porwanie i zabójstwo Bohdana Piaseckiego jest jedną z najbardziej tajemniczych i mrocznych, niewyjaśnionych zbrodni w najnowszej historii Polski. Jest to tym bardziej ciekawa sprawa, że miesza się w niej przestępstwo kryminalne z wielką polityką i wpływami Służby Bezpieczeństwa. Przez wiele lat był to temat tabu. Nie chcieli o niej mówić zarówno zamieszani w zbrodnię komuniści, jak i środowiska kształtujące opinię publiczną w III RP, związani głównie z filosemicką filozofią Unii Wolności.

„Piasecki i jego działalność jest dla tych ludzi złem absolutnym – powiedział historyk i działacz społeczny, Jan Krzysztof Żaryn. – Nie zależy im więc specjalnie na tym, żeby robić z niego męczennika”.

\*

Na temat tego, kto porwał i zamordował Bohdana Piaseckiego, pojawiły się na przestrzeni lat najrozmaitsze, mniej lub bardziej głupie teorie. Wysuwano na przykład hipotezy, iż dziecko porwali



byli żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych, rozłamowcy z PAX-u z Tadeuszem Mazowieckim na czele, zwykli przestępcy z myślą o okupie, agenci obcego wywiadu, a nawet sam ojciec, który wypowiadał się na temat domniemanych motywów i sprawców zabójstwa swego syna w sposób następujący:

„Zasadnicza moja hipoteza, która według mojego przekonania jest prawdopodobna w 90%, wyraża się w przekonaniu, że porwania mego syna dokonali ci, w których interesie ideowo-politycznym leżało zniszczenie PAX-u i którzy zorientowali się, że atmosfera polityczna zimy 56 roku na 57 rok daje im szansę próby wykonania swojego planu. Zwrócić należy tu jednocześnie uwagę, że w dniu 2 stycznia 1957 roku nastąpił fakt polityczny, który przesądził o niepowodzeniu akcji zniszczenia PAX-u metodami administracyjnymi. Ludzie, którzy dokonali porwania, musieli o tym fakcie wiedzieć, co nie było zresztą trudne, i dlatego zdecydowali się zastosować środek zbrodniczy”.

Żadna z tych hipotez nie ma jednak pokrycia w faktach. Żadnej nie udało się jednoznacznie odrzucić lub potwierdzić.

Jak ustalono podczas śledztwa, przyjacielem szwagra Ignacego Ekerlinga – Mieczysława Katza, był zamieszkały w Łodzi przestępca Michał Barkowski (vel Robert Kalman). Według jednej z wersji wydarzeń, to właśnie on, razem z byłym funkcjonariuszem SB, Stefanem Łazorczykiem, uprowadził i zamordował Bohdana Piaseckiego.

Aby zrozumieć tło polityczne porwania Bohdana Piaseckiego, należy przypomnieć sobie atmosferę, jaka panowała w Polsce z końcem 1956 roku. W wymienionym okresie istniały dwa potężne środowiska atakujące dotychczasową działalność Bolesława Piaseckiego i Stowarzyszenia PAX. Pierwszym było środowisko liberalizujących intelektualistów i dziennikarzy, którzy w okresie październikowej odwilży rozpętali szeroką kampanię prasową wymierzoną przeciw ideologii, a przede wszystkim działalności Stowarzyszenia. Drugim – część wysoko postawionych działaczy partyjnych, określanych jako frakcja puławska, którzy dążyli do likwida-

cji PAX-u. „Przebieg porwania, podobnie jak śledztwo dowiodły, że sprawcy, jeżeli wywodzili się czy też byli powiązani z którymś z dwóch wymienionych wyżej środowisk, to raczej z frakcją puławian” – napisali Antoni Dudek i Grzegorz Pytel w artykule *Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej*.

Motywy porwania i zabójstwa była zapewne zemsta na Bolesławie Piaseckim, za jego przedwojenną, antysemicką działalność. Podejrzewano także osoby zamieszane w próbę wyłudzenia okupu, zatrudnione wcześniej w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych (tzw. żydowska frakcja w MSW, na czele której stał wiceminister Antoni Alster, obarczany zresztą odpowiedzialnością za zbrodnie na wielu Polakach). Według jednej z hipotez, zabójstwa dokonała grupa funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa pochodzenia żydowskiego. Mogło też chodzić o rozgrywki frakcyjne w aparacie bezpieczeństwa, a zabójstwo mogło nie być planowane.

Peter Raina, autor książki *Sprawa zabójstwa Bohdana Piaseckiego* (PAX, Warszawa 1989), zastanawia się, czy w sprawę zamordowania Bohdana nie była zaangażowana organizacja „Nekama” (hebr. Zemsta), założona rzekomo przez Szymona Wiesenthala. Jej zadaniem było ściganie byłych nazistów, za jednego z których niestrudzony łowca hitlerowskich zbrodniarzy wojennych uznawał między innymi Bolesława Piaseckiego. O fakcie istnienia „Nekamy” poinformował publicznie w 1960 roku Bernard Mark, dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego.

„Kluczem do zrozumienia tego faktu jest narodowość sprawców – powiedział Raina. – To, że byli Żydami, nie pasuje do pewnej wizji świata. Kiedy napisałem pierwszą książkę o Bohdanie, mnie też, chociaż jestem Hindusem, oskarżono o »polski antysemityzm«. Zbrodnia, niezależnie czy popełnił ją Polak, Chińczyk, Żyd czy Niemiec, pozostaje jednak zbrodnią”.

Jan Krzysztof Żaryn stwierdził, że porwania bez wątplenia dokonały osoby pochodzenia żydowskiego, a motywem zabójstwa mogła być chęć zemsty za działalność Bolesława Piaseckiego w okresie międzywojennym i podczas II wojny światowej. W 1937

roku, w wyniku starcia pomiędzy Falangą a Bundem podczas pierwszomajowej manifestacji na ulicy Smoczej w Warszawie, zginęła podobno ośmioletnia żydowska dziewczynka... Dowodzone przez Piaseckiego Uderzeniowe Bataliony Kadrowe miały się jakoby dopuszczać podczas wojny zbrodni na Żydach w lasach Podlasia. Jak utrzymuje jednak Kazimierz Krajewski, autor monografii UBK, nic takiego nie miało miejsca: „Jeżeli z ręki żołnierzy UBK zginęli Żydzi, to nie dlatego, że byli członkami określonego narodu, ale dlatego, że walczyli w sowieckich oddziałach partyzanckich”.

Tak, czy inaczej, według Żaryna komunistyczna Służba Bezpieczeństwa prowadziła śledztwo w sposób, który nie mógł doprowadzić do wyjaśnienia całej sprawy. Wykorzystywała je raczej do inwigilacji środowisk związanych z Bolesławem Piaseckim. W trakcie dochodzenia nagminne było zacieranie śladów, pomyłki w zapisywaniu nazwisk i ginięcie dowodów:

„Co do tego nie ma wątpliwości. Ludzie ci nie bez powodu czekali aż do 1957 roku. Wcześniej uważali, że Piasecki jest poza ich zasięgiem, że ma tak silne poparcie w Moskwie. Po 1956 roku uznali, że powiązania te osłabły. Był to również okres, gdy się wydawało, że Piasecki utraci kontrolę nad PAX. Mordercy postanowili go dobić. Nie zdecydowali się jednak na zamordowanie samego Piaseckiego. Uznali, że dużo bardziej bolesnym ciosem będzie zabicie jego pierworodnego syna. I jasno dali do zrozumienia, kto zabił chłopca, nadając zabójstwu charakter mordu rytualnego: pozostawiony w ciele nóż, tajemnicze znaki wypalone we wnętrzu ubikacji. (...) Bez odpowiedzi pozostaje jednak podstawowe pytanie: czy było to działanie oddolne szajki żydowskich ubeków i pospolitych przestępców, czy też rozkaz zapadł wyżej? Czy za zabójstwem stała tak zwana żydowska frakcja w MSW, na czele której stał wiceminister Antoni Alster?”.

Jak z kolei dowodzi Andrzej Garlicki, polski historyk, publicysta, były redaktor „Polityki”, „Kultury” i „Przeglądu Historycznego”, członek Komisji Ideologicznej Komitetu Uczelnianego PZPR na Uniwersytecie Warszawskim oraz tajny współpracownik Służby Bez-

pieczeństwa o pseudonimie „Pedagog”, zabójstwo Bohdana Piaseckiego mogło być rezultatem rozgrywek w aparacie bezpieczeństwa. Wskazuje on jednak na to, że mordowanie dziecka wroga „nie mieści się w polskiej kulturze politycznej”. Zdaniem Garlickiego, „być może porywacze nie planowali zabójstwa, tylko pragnęli szantażować ojca, a wystraszeni konsekwencjami zabili w końcu syna”.

Jerzy Ślaski, w latach 1990–1994 redaktor naczelny dziennika „Polska Zbrojna”, przyczyn swoistej zмовy milczenia upatrywał w fakcie, iż wszyscy wskazani przez Petera Rainę sprawcy zbrodni, a także ich pomocnicy i obrońcy, to ludzie pochodzenia żydowskiego. W recenzji książki Petera Rainy napisał:

„Ciągłe mamy w Polsce do czynienia z przejawami antysemityzmu. Jest to zjawisko irracjonalne, bo – praktycznie biorąc – Żydów już w Polsce nie ma, niemniej groźne i kompromitujące nas w oczach cywilizowanego świata. Czyż trzeba dodawać, że pomijanie milczeniem takich faktów, jak te, które ujawniają przytoczone przez Petera Rainę akta MSW, antysemityzm ten podsyca i stanowi jego pożywkę?”.

Za najbardziej prawdopodobną teorią, że Bohdana Piaseckiego zamordowali funkcjonariusze SB żydowskiego pochodzenia, wypowiada się również Antoni Dudek, politolog, profesor nauk humanistycznych i członek Rady IPN. Zbrodnia nie została ukarana, żeby nie skompromitować jej protektorów, zajmujących wysokie stanowiska w Polsce:

„Porwanie Bohdana i »śledztwo« w tej sprawie przypadło na okres, w którym w MSW trwała ostra walka między dwiema grupami. Pierwszej przewodził wiceminister Antoni Alster, należący do frakcji puławskiej. Jemu właśnie podlegał III Departament prowadzący śledztwo w sprawie Bohdana. Liderem drugiej grupy był wiceminister Mieczysław Moczar i, jak można przypuszczać, to od jego ludzi czerpał Piasecki liczne informacje. Walka w MSW zakończyła się w 1961 r. usunięciem Alstera. Rodzi się w związku z tym pytanie, dlaczego ani wówczas, ani w latach następnych (np. w czasie antysemickiej kampanii w 1968 r.) Piasecki nie zdołał skło-

nić Moczara, który stał się jego politycznym sojusznikiem do wznowienia sprawy Bohdana. Odpowiedź może być, w świetle przedstawionych faktów, tylko jedna: o pogrzebaniu śledztwa zdecydowała obawa przed skandalem i kompromitacją MSW jako instytucji. Kompromitacją porównywalną z tą, jaka nastąpiła w latach osiemdziesiątych za sprawą śmierci ks. Jerzego Popiełuszki”.

13 marca 1966 roku w izraelskim tygodniku „Maariv” ukazał się artykuł pt. *Zabójcy syna polityka polskiego żyją w Izraelu*. Jego autor pisał, iż Bolesław Piasecki za swą przedwojenną działalność polityczną był znienawidzony przez polskich Żydów. Śmierć jego syna była zatem „pomszczeniem żydowskich ofiar”, które zostały rzekomo zamordowane przez partyzantów pod wodzą polityka:

„Sensacja w sprawie zabójstwa politycznego. Kilka lat temu Warszawa zaalarmowana była wiadomością o zaginięciu syna Bolesława Piaseckiego, osobistości znanej w Polsce i różnie ocenianej. Przed wojną osobistość ta była kandydatem na polskiego Hitlera. Działalność z czasów wojny owiana jest mgłą. Walczyła ona przeciwko ruchowi komunistycznemu (...). Aresztowana przez NKWD, odbyła rozmowę z wysokim funkcjonariuszem bezpieczeństwa. Zaraz po wojnie stworzyła organizację postępowych katolików, która miała współpracować z reżymem. Kilka tygodni temu Bolesław Piasecki otrzymał pismo od Moczara, polskiego ministra (SW), że śledztwo w sprawie zamordowania jego syna zostanie wznowione. Z informacji tej wynika, że Bohdan Piasecki został zamordowany przez dwóch Żydów, którzy pracowali dawniej jako kierownicy w polskiej służbie bezpieczeństwa. Uważa się, że znali oni przeszłość Piaseckiego i jego zachowanie się wobec Żydów podczas wojny, ale nie mogli wystąpić przeciwko niemu ze względu na więzy, jakie łączyły go z polską służbą bezpieczeństwa (...)”.

Jak można było przeczytać w tygodniku: „Tuż po zabójstwie mordercy opuścili Polskę, udając się do Izraela. Nie należy spodziewać się ekstradycji, bo wedle prawa międzynarodowego nie przewiduje się takowej w związku z przestępstwami politycznymi”.

W połowie lat sześćdziesiątych XX wieku Stanisław Cichocki,

syn jednego z przedwojennych przywódców Komunistycznej Partii Polski, miał spotkać w Teł Awiwie dwóch mężczyzn, byłych pracowników SB, którzy w rozmowie z nim przyznali się do uprowadzenia Bohdana Piaseckiego. Podkreślali też rzekomo, że porwanie nie było planowane.

Historyk i publicysta Jan Engelgard napisał:

„Dokonali go (zabójstwa) niższej rangi funkcjonariusze MBP żydowskiego pochodzenia, zwolnieni z pracy po przełomie październikowym 1956 roku. Po dziś dzień nie ujawniono wyników śledztwa i nie wskazano, kto był inspiratorem zbrodni. Jest pewne, że nienawiść do szefa PAX-u była jednostronna, Piasecki był od niej wolny. Rozumieli to ci Żydzi, którzy go lepiej poznali”.

Jarosław Kurski z kolei, stwierdził na łamach „Gazety Wyborczej”:

„Do dziś jednak nie znalazły się żadne materialne dowody świadczące, że śmierci Bohdana winne są osoby pochodzenia żydowskiego. Jedna z niepotwierdzonych tez głosi, iż zabójstwa dokonano na zlecenie Moskwy, by w ten sposób uczynić Piaseckiego więźniem antysemitki emocji i przez to bardziej go ubezwłasnowolnić i mocniej ze sobą związać”.

\*

Bolesław Piasecki do końca życia starał się doprowadzić do ujęcia sprawców porwania i zamordowania swego syna, co jakiś czas zwracając się do władz z prośbą o doprowadzenie śledztwa do końca. 10 czerwca 1961 roku napisał kolejny list z prośbą o wzmożenie śledztwa, który skierował do prokuratora generalnego PRL. Wyrażał w nim nadzieję na postawienie Ekerlinga przed sądem, jak również wskazywał na kilkanaście kwestii, które nie zostały w trakcie całej procedury poprawnie przeanalizowane przez śledczych. Pisał także o możliwości udziału Jana Kossowskiego w morderstwie swego syna. Wspominał również o sprawie zaginięcia kluczowych w całej sprawie dowodów rzeczowych (m.in. zatarciu taśmy ma-

gnetofonowej z nagrany głosem dzwoniącego do niego jednego z porywaczy).

List pozostał bez odpowiedzi. Władze PRL nigdy Piaseckiemu nie ufały, był pod stałą opieką Ili Departamentu MSW, jego wszystkie rozmowy były podsłuchiwane, listy kontrolowane...

W pamiętnym roku 1968, w przemówieniu sejmowym apelował o wznowienie śledztwa jego współpracownik, Ryszard Reiff, a w 1977 roku Piasecki rozmawiał w tej sprawie z samym Edwardem Gierkiem. Wszystko na próżno.

Wobec powyższego sam rozpoczął prywatne śledztwo, którym kierował Ryszard Sienkiewicz – działacz Stowarzyszenia. W jego toku, w roku 1973 udało mu się nawiązać kontakt z funkcjonariuszem MSW, który obiecał dostarczyć przekonujących dowodów, kto zamordował Bohdana. Jednakowoż Piasecki, obawiając się prowokacji – i zapewne wierząc ciągle naiwnie w skuteczność oficjalnego śledztwa – poinformował o tym władze. Skutkiem tego nikt z PAX-owców nie ujrzał więcej wspomnianego funkcjonariusza.

Na początku grudnia 1976 roku szef PAX-u wystosował pismo do sekretarza KC PZPR, Stanisława Kani, w którym wnosił o ponowne postawienie Ignacego Ekerlinga w stan oskarżenia. List pozostał bez odpowiedzi.

W październiku 1977 roku zmarł Ignacy Ekerling, a śledztwo w sprawie zabójstwa Bohdana Piaseckiego umorzono 22 grudnia 1978.

Bolesław Piasecki zmarł po ciężkiej chorobie 1 stycznia 1979 roku. Trzy dni później trumna z jego zwłokami została wystawiona w Pałacu Prymasowskim w Warszawie. Uroczystości pogrzebowe odbyły się tego samego dnia na cmentarzu na Powązkach w Warszawie. W pogrzebie uczestniczyły między innymi delegacje Czechosłowackiej Partii Ludowej i Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej z bratniej NRD oraz przedstawiciele władz partyjno-państwowych.

„Jakie szczęście, że nie można tego dożyć, kiedy pomnik ci wy-

stawia, bohaterze, i morderca na nagrobkach kwiaty złoży”. K.K. Baczyński – „Pożegnanie żałosnego Strzelca”.

\*

Tuż przed śmiercią Bolesław Piasecki polecił kontynuowanie starań o wyjaśnienie sprawy bratu Bohdana, Jarosławowi. 25 listopada 1981 wysłał on pismo do prokuratury generalnej PRL, w którym domagał się intensyfikacji śledztwa. Odpowiedział na nie już 29 stycznia następnego roku prokurator Józef Gurgul, przesyłając przy okazji postanowienie o umorzeniu śledztwa:

„W czasie śledztwa, które powierzono do przeprowadzenia w całości organom MO, sprawdzono i wyeliminowano definitywnie mnóstwo podejrzeń sprawstwa. Na ślad przestępców – sprawców zabójstwa nie natrafiono. Niezależnie od innych uwarunkowań nie małą przeszkodę w poznaniu prawdy stanowiła wspomniana już postawa Ignacego Ekerlinga, który nie złożył szczerych wyjaśnień. Od chwili popełnienia tej haniebnej zbrodni minęło już 25 lat. Kontynuowanie śledztwa nie jest zatem dopuszczalne (art. 11 pkt 6 kpk)”.

W listopadzie 1984 roku Jarosław Piasecki wysłał list w sprawie morderstwa swego brata do ówczesnego premiera Wojciecha Jaruzelskiego, porównując je do porwania i zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki. W styczniu 1985 roku odpowiedział mu płk Jerzy Chomętowski z gabinetu ministra spraw wewnętrznych, i była to pierwsza listowna odpowiedź po prawie trzydziestoletnich usiłowaniach rodziny Piaseckich zwrócenia uwagi władz na sprawę zabójstwa Bohdana. Poza wyrazami współczucia nie zawierała jednak żadnych konkretnych decyzji o wznowieniu śledztwa, właściwie nawet nie poruszała tego tematu. Dawała w dość grzecznej formie do zrozumienia, że sprawa jest dla władz od dawna zamknięta.

W roku 1991 ówczesny minister spraw wewnętrznych Antoni Macierewicz przekazał Jarosławowi Piaseckiemu część dokumentów dotyczących sprawy zabójstwa jego brata. Rodzina wciąż ocze-



kuje jednak na komplet dokumentów z Instytutu Pamięci Narodowej.

– Mój ojciec usiłował to zrobić do końca życia – stwierdził Jarosław Piasecki. – Potem ja przejąłem to zadanie. Niestety, mimo że po 1989 roku w naszym kraju dokonało się tyle wspaniałych zmian, nadal nie otrzymałem kluczowych dokumentów. Dokumentów, które mogą nas zbliżyć do wyjaśnienia zagadki. Już półtora roku temu zwróciłem się do IPN o te akta, ale nadal mi ich nie udostępniono.

Pracownicy Instytutu mówią jednak, że dokumenty te jeszcze do niedawna znajdowały się w zbiorach zastrzeżonych, i zapewniają, że niedługo trafią do rodziny.

– Aż trudno uwierzyć, że przez tyle czasu były utajnione! – skomentował ten fakt brat zamordowanego. – Pół wieku po dokonaniu zbrodni wielu ludziom najwyraźniej nadal zależy, żeby jej sprawcy nie zostali ujawnieni!

Przypuszczalnie już nigdy nie uda się w sposób ostateczny ustalić motywów działania zabójców. Niezależnie jednak od tego, jak surowo oceniać będziemy działalność polityczną Piaseckiego, jedno nie ulega wątpliwości – zapłacił za nią bardzo wysoką cenę.

Komunikat Komendy Głównej MO

# 100 tys. zł. nagrody za wskazanie miejsca pobytu lub sprawców uprowadzenia Bohdana Piaseckiego

**D**NIA 22 stycznia br. o godz. 13 w Warszawie w drodze na spotkanie z ul. Wejneria został uprowadzony Bohdan Piasecki.

## RYSOPIS CHŁOPCA

Lat 16, wzrost 183 cm, szczupły, kolor włosów — szaryn, twarz pociągła, oczy niebieskie, rzęsy ciemne, nos lekko zadarty, wargi średnie, przedni ząb górnej szczęki jest doprawiony nylonem (ukośna linia, sztuukowanie widoczne), ślady syplących się włosów, ręce szczupłe, palce długie, chód prosty.

Ubrany w palto jasne — popielate, z paskiem, w czarną jodełkę (za modział), czapka szelnowska nowa, rękawiczki ciemnozielone z jednym palcem, spodnie narciarskie granatowe, buty duże narciarskie — ciemnobrązowe, skarpety szare wywiniete na buty, marynarka ciem-



noszara, koszula w niebieskie paski, bez krawata, na ręku zegarek marki „Thiel” z ciemnym paskiem, teczka brązowa skórzana, czarny worek z pantoflami, pantofle płócienne popielate rozmiar 44—45.

Dla osób, które wskażą miejsce pobytu uprowadzonego lub wskażą sprawców porwania Bohdana Piaseckiego została wynaczona nagroda w wysokości 100 tysięcy złotych.

Wszelkie informacje, mogące przyczynić się do ujawnienia miejsca pobytu porwanego lub sprawców porwania należy kierować do Komendy Głównej MO ul. Karowa 16, Komendy MO miasta st. Warszawy ul. Nowotki 15 (Pałac Mostowskich) lub do innych jednostek MO.

## KOMUNIKAT PROKURATURY w sprawie morderstwa dokonanego na uprowadzonym BOHDANIE PIASECKIM

**WARSZAWA PAP.** — Prokuratura Stołeczna komunikuje: W toku śledztwa związanego z uprowadzeniem w dniu 22 stycznia 1957 r. Bohdana Piaseckiego, syna przewodniczącego Stowarzyszenia PAX, w dniu 8 grudnia br. odnaleziono zwłoki Bohdana.

W związku z tym władze dokonują wszelkich niezbędnych czynności śledczych, o których wyniku we właściwym czasie wydany zostanie komunikat.



Przyczyną porwania i zabójstwa 15-letniego Bohdana Piaseckiego w 1957 r. była prawdopodobnie chęć zemsty na jego ojcu.

# Kontakt.

## ANTONIO VILLAS BOAS

### (1957)

Niektórzy uważają to za bzdury, inni przekonani są, że kosmici istnieją naprawdę i odwiedzają Ziemię. Wśród niezwykle szerokiej problematyki „ufologicznej” wielkie emocje wzbudza temat wprowadzeń ludzi przez nieznaną bliżej istotę. Od wielu lat już ufolodzy na całym świecie alarmują o rosnącej wciąż skali tego zjawiska. W języku angielskim istnieje na coś takiego specjalny zwrot – *UFO abductions*, w dosłownym tłumaczeniu: wprowadzenia do UFO. W języku polskim, jak dotąd, nie ma adekwatnego odpowiednika, zaś wprowadzane na jego miejsce nazwy są czasami bardzo niezręczne i budzą najróżnorodniejsze skojarzenia. Przykładowo używany niekiedy przez polskich ufologów termin „wzięcia”, zamiast wymowy kosmicznej nasuwa seksualne skojarzenia, które zresztą – jak świadczy niżej opisana historia – nie są czasami pozbawione racji.

Ufologia wyróżnia następujące typy spotkań z „obcymi”:

Spotkania I stopnia ograniczają się jedynie do obserwacji Niezidentyfikowanych Obiektów Latających. II stopień oznacza istnienie fizycznych pozostałości zjawiska, typu wypalona trawa czy jakiegokolwiek bądź inne ślady świadczące o lądowaniu. Stopień III to bezpośredni kontakt z pozaziemskimi istotami. Istnieje jeszcze stopień IV, którego doświadczyli podobno ci, którzy mieli wątpliwą przyjemność zostać porwanymi przez kosmitów.

Całe zastępy wojskowych i cywilnych pilotów ze zgrozą opisują spotkania z dziwnymi obiektami. Na ogół są okrągłe i jarzą się na

czerwono lub pomarańczowo, przez pewien czas lecą równoległe do samolotu, by nagle uzyskać gigantyczne przyspieszenie i „wystrzelić” pionowo w górę. O spotkaniach z UFO wypowiadało się publicznie wielu oficerów lotnictwa, głównie emerytowanych. Były asystent do spraw specjalnych sekretarza ds. Sił Powietrznych, płk Joseph Bryan, byli dowódcy lotnictwa, gen. por. P.A. de Vallee i płk James McAshen, były dowódca wojsk lądowych, płk R.B. Emerson oraz byli dowódcy marynarki, kontradmirał H.B. Knowles i kontradmirał D.S. Fahrney – wszyscy oni twierdzili zgodnie, że UFO istnieje, tylko że fakt ten ukrywany jest pieczołowicie przed opinią publiczną.

Jedną z najciekawszych relacji przekazał kapitan Laurence J. Coyne z Ohio, doświadczony pilot helikoptera z ponaddziesięcioletnim stażem. 18 października 1973 roku pilotowany przez kapitana Coyne’a helikopter sanitarny armii amerykańskiej o mały włos nie został całkowicie staranowany przez niezidentyfikowany obiekt. W ostatniej chwili Coyne zdołał skierować uszkodzoną w wyniku kolizji maszynę w dół, unikając w ten sposób śmierci. Jakież jednak było jego – i pozostałych członków załogi – zdziwienie, gdy helikopter zamiast tego wzniósł się gwałtownie w górę. W ciągu dosłownie dwóch sekund „przeskoczył” z pułapu 1 500 do 3 888 stóp! Sprawca, niezidentyfikowany obiekt latający, natychmiast „dał nogę” z miejsca zdarzenia, jak niejednokrotnie zwykli czynić to kierowcy naziemnych pojazdów, którzy „zapomnieli” wykupić obowiązkowego ubezpieczenia. Zdenerwowanemu pilotowi udało się posadzić maszynę bezpiecznie na ziemi. Natychmiast też zawiadomił o incydencie dowództwo, które – znów ku jego wielkiemu zdziwieniu – usiłowało namówić go do utrzymania całej sprawy w tajemnicy.

– Ja też nie wierzę w zielone ludziki – odparł chłodno kapitan – ale czuję się w obowiązku przekazać armii szczegółowy raport o tym, czego ja i moja załoga byliśmy świadkami. Co z tym zrobicie, to już wasza sprawa.

Szukając medycznego wyjaśnienia spotkań pilotów z domnie-

manymi obcymi, incydentami tego typu zajęli się również lekarze. Jedna z opracowanych przez nich hipotez mówi o „zwidach” spowodowanych tak zwaną hipoksją, czyli niedotlenieniem tkanek spowodowanym rozrzedzeniem powietrza. W szczególnych przypadkach może ona wystąpić już na wysokości czterystu metrów nad poziomem morza. W przypadku kapitana Coyne’a jednak, ewentualność taka absolutnie nie wchodzi w grę.

19 września 1961 roku państwo Betty i Barney Hill wracali do domu przez amerykańskie White Mountains z romantycznego weekendu spędzonego nad Niagarą. Zbliżała się północ, kiedy nad ich samochodem pojawił się dziwny obiekt, przypominający latający spodek. Pragnąc mu się bliżej przyjrzeć, zjechali na pobocze. To „coś” nie mogło być gwiazdą, ponieważ poruszało się zbyt nietypowo. Jedynym rozsądnym wytłumaczeniem wydawało się uznanie tego za sztucznego satelitę. Tak też zrobili i uspokojeni ruszyli dalej w swoją stronę.

Dziwny „satelita” ciągle jednak im towarzyszył. To zbliżał się do nich, to znów oddalał. Kiedy był blisko, leżąca na tylnym siedzeniu jamniczka państwa Hillów kulila się i skomlała przeraźliwie. Małżonkowie postanowili zatrzymać się na przydrożnym parkingu i przyjrzeć dokładniej intruzowi przez lornetkę. Przez silnie powiększające szkła dostrzegli w tajemniczym obiekcie „dwa rzędy okien, a w nich ubrane w szare kombinezony dziwne istoty o wielkich oczach”. Woląc nie ryzykować bliższego kontaktu z „obcymi”, wskoczyli do samochodu i dociskając gaz do deski, szybko odjechali. Na szczęście obiekt „odpuścił” i nie zakłócał im już więcej spokoju. Jak relacjonowali w późniejszym czasie, podczas ucieczki towarzyszyło obojgu wrażenie dziwnego osamotnienia. Ufolodzy nazywają tego typu doznania „Czynnikiem Oz”...

Kiedy w końcu znaleźli się bezpieczni na swojej posesji, pierwsze, co ujrzeli, to dwie okrągłe plamy na bagażniku ich samochodu, które pojawiły się tam nie wiadomo skąd i kiedy. Rozmawiając o zdarzeniu, doszli do wniosku, że nie mogą w swej podróży doliczyć się dwóch godzin, które po prostu „wymknęły im się z życiorysu”.

Dodatkowo jeszcze zaczęły ich męczyć „dziwne lęki i koszmary”. Lekarze, którym się skarżyli, wzruszali tylko ramionami i przepisywali jakieś pigułki, które w niczym nie pomagały.

Dopiero gdy trafili pod opiekę doktora Benjamina Simona, psychiatry, ten zastosował wobec małżonków tak zwaną regresję hipnotyczną, stanowiącą dziś rutynową procedurę w badaniu świadectw ofiar „wzięć”, lecz w opisywanym czasie jeszcze mało znaną. Wtedy dopiero ujawniły się przerażające szczegóły ucieczki Hillów, które miały miejsce podczas owych dwóch „zgubionych” godzin. Okazało się mianowicie, że zostali uprowadzeni przez obcych do ich pojazdu i poddani tam rozmaitym testom oraz badaniom.

W 1975 roku na podstawie przeprowadzonej z państwem Hill serii wywiadów, John G. Fuller napisał książkę zatytułowaną *The Interrupted Journey* (Przerwana podróż). Powodzenie tej książki, a zwłaszcza nakręconego według niej filmu dokumentalnego, wywołało całą falę doniesień o podobnych przypadkach i wpłynęło na to, że relacje o porwaniach ludzi przez obcych zaczęto traktować wreszcie poważnie.

Rezultatem zmiany stanowiska dotyczącego tej materii było wypłynięcie przypadku pewnego amerykańskiego drwala nazwiskiem Travis Walton, który 5 listopada 1975 roku został uprowadzony przez UFO na oczach aż sześciu świadków. Tego dnia właśnie siedmiu amerykańskich drwali zajmowało się wycinką drzew w lesie.

„Kiedy ujrzałem ten wielki pojazd unoszący się nad polaną, ruszyłem w jego stronę – wspominał później Travis Walton. – Reszta została z tyłu, krzycząc, żebym uciekał. Statek miał bardzo gładką, metaliczną powłokę. Drzewa odbijały się w nim jak w lustrze. Kiedy byłem już blisko, usłyszałem wysoki, pulsujący dźwięk. Pojazd zaczął się obracać wokół własnej osi, a ja postanowiłem uciekać. Wtedy poczułem tępe uderzenie. Promień uderzył we mnie na wysokości klatki piersiowej. Uderzenie było tak silne, że rzuciło mną o ziemię”.

Jeżeli pan Walton oczekiwał, że zaprawieni w wielu knajpia-

nych bójkach kumple przyjdą mu z pomocą, to srodze się zawiódł. Na widok tego, co się dzieje, koledzy jak jeden mąż wskoczyli do zaparkowanego w pobliżu jeepa, którym natychmiast w popłochu uciekli. Ochłonawszy jednak nieco po doznanych wrażeniach, postanowili zawiadomić o wszystkim policję. Kiedy opowiedzieli funkcjonariuszom całą historię, ci zareagowali we właściwy wszystkim funkcjonariuszom świata sposób. Najpierw zaczęli pukać się znacząco w głowę, ale po kilku dniach, gdy Mr Walton wciąż nie pojawiał się w domu, wytoczyli przeciwko drwalom oskarżenie o zbrodnię, twierdząc, że najpewniej sami zamordowali swego kolegę, a teraz usiłują zwalić wszystko na jakichś kosmitów.

Nie wiadomo, jak zachowałyby się w całej sprawie sąd, chociaż pewną nadzieję dla aresztowanych stanowił niewątpliwie fakt, że zająłby się nimi sąd amerykański, a nie polski. Na szczęście po pięciu dniach odnalazł się sam „zamordowany”. Nagusieńki, jak go Pan Bóg stworzył, całkowicie odwodniony obudził się w budce telefonicznej na obrzeżach Soltflake. Pierwszą czynnością, którą wykonał, doszedłszy do siebie, było sięgnięcie po wiszącą obok słuchawkę i wykręcenie alarmowego numeru policji.

„Leżałem na twardej powierzchni, a kiedy odzyskałem świadomość i odważyłem się otworzyć oczy, ujrzałem trzy dziwne postacie – opowiadał. – Wtedy właśnie zdałem sobie sprawę, że jestem we wnętrzu statku (...). Powrót na ziemię również nie należał do przyjemnych. Chwycili mnie za ręce i nogi, siłą położyli na stole, a jeden z nich przytknął mi do twarzy maskę. Straciłem przytomność. Kiedy doszedłem do siebie, leżałem na szosie, twarzą w dół. Obolały, dotarłem do stacji benzynowej, z której zadzwoniłem na policję”.

Porywani przez UFO byli także i Polacy – jeżeli ktoś twierdzi, że w jakimś ważnym wydarzeniu dziejącym się gdziekolwiek na świecie nie było Polaków, to albo jest kłamcą, albo takiego wydarzenia w ogóle nie było.

Najgłośniejsze porwanie Polaka przez obcych miało miejsce wiosną 1978 roku w cichej (przynajmniej do tej pory) wiosce Emil-



cin, położonej wśród sosnowych lasów otaczających miasto Lublin. Uprowadzonym był miejscowy rolnik nazwiskiem Jan Wolski, a jego historia uwieczniona została nawet w charakterze komiksu, zaprezentowanego czytelnikom przez wielce szanowany magazyn o nazwie „Relax”. Do zdarzenia doszło na niewielkiej leśnej polanie, zaledwie kilkaset metrów od wioski. Pan Wolski wracał tamtędy ze swoją kłaczą, bawiącą z wizytą u ogiera w sąsiedniej wsi. Nagle na jego furmankę, bez słowa zapytania o pozwolenie, dosiadło się dwóch dziwnych typów w szarych kombinezonach. Dopiero po chwili zorientował się, że to chyba wcale nie są ludzie.

„Strasznie chude były te ludzie” – relacjonował potem rolnik. Na brzegu polany, obok brzózek, kilka metrów nad ziemią bezszelestnie unosił się kosmiczny pojazd. „Trochę podobni z wyglądu do płazów przybysze” zabrali go na pokład swego statku. „Potworaki”, bo tak ich nazywał Wolski, najbardziej zainteresowały się jego skórzanym paskiem od spodni, którego działanie badały przez parę minut. Potem obcy poczęstowali go jedzeniem, które „miało kształt marchewki, ale było kruche, bo łatwo odłamywało się jego kawałki”. Na koniec „potworaki” gestami rąk wskazującymi wyjście pożegnały rolnika, a kiedy ten opuścił statek, UFO odleciało. „Oceniając wiarygodność zdarzenia w Emilcinie warto pamiętać, że miało ono miejsce w 1978 roku. W tym czasie nikt w Polsce, a tym bardziej na takim odludziu, nie miał zielonego pojęcia o czymś takim jak UFO, a to oznacza, że całej tej historii nie mógł zmyślić” – dowodził ufolog Michał Zawadzki z Warszawy.

\*

Seks i UFO są niemal od samego początku nierozłączne. Jeden z „kontaktowców”, Howard Menger, przytacza na przykład opisy swoich regularnych spotkań z Marlą, piękną blondynką z kosmosu, twierdzącą, że liczy sobie ni mniej, ni więcej, lecz dokładnie... 500 lat. Jak na ten dość zaawansowany wiek, Marla trzymała się jednak całkiem nieźle, skoro Menger rozwiódł się nawet z żoną, by ją po-

ślubić. „Emanowało od niej ciepło, miłość i fizyczne pożądanie, którym nie mogłem się oprzeć” – twierdził.

Niejaki Truman Bethurum, poczynając od lipca 1952 roku, miał wiele spotkań z Aurą Rhanes, kapitanem latającego spodka, którą uważał za „szczyt doskonałości linii ciała i urody”. Żona Bethuruma, dużo mniej zachwycona tą kosmiczną pięknnością, wspomniała ją w swoim pozwie rozwodowym.

„Kontaktowcy” płci żeńskiej stanowią rzadkość, ale też się zdarzają. Najbardziej znaną z nich jest Elizabeth Klarer, która w 1956 roku zakochała się w Akonie, naukowcu, który zabrał ją na swoją macierzystą planetę o nazwie Meton i uwiódł, mówiąc jej, że jest jednym z niewielu ludzi wybranych do celów rozrodczych, „aby zasilić naszą starożytną rasę zastrzykiem nowej krwi”. Jego gładkie słowa – i nie tylko słowa – odniosły piorunujący skutek. „Poddałam się czarowi jego sposobu uprawiania miłości” – opisywała w swojej książce pani Elizabeth, twierdząc jednocześnie, iż w wyniku ich „magnetycznego związku” urodził się chłopiec, doskonałego zdrowia i wybitnej inteligencji, który otrzymał imię Ayling. W późniejszym czasie zamieszkała w południowej Afryce, gdzie zmarła w roku 1994. Zgodnie z „wiadomościami z pewnych źródeł”, kilku ufologów twierdzi, że gwiazdny kochanek Elizabeth Klarer i ich gwiazdny syn żyją do dziś, gdzieś w okolicach Alfa Centauri.

Kiedy ufolog John Keel odwiedzał w połowie lat siedemdziesiątych środowiska uniwersyteckie w północno-wschodniej Ameryce, wiele młodych kobiet przyznało się, że zostało zgwałconych przez obce istoty, z kolei młodzi mężczyźni opowiadali mu o pobieraniu od nich spermy.

W latach siedemdziesiątych pomysł hybrydowych „dzieci kosmosu” stał się dużo bardziej popularny (być może dzięki upowszechnieniu się mody na zażywanie LSD – przyp. aut.). Poważnie traktowali go jedynie kultuści UFO, zwolennicy Świadców Jehowy, wielebni nauczyciele wschodnich technik medytacyjnych, wróżbi-ci z ręki i z kart Tarota, zielarze, parapsycholodzy, tłumacze emanacji, interpretatorzy teorii chaosu, przewodnicy po poprzednim

życiu i specjaliści od irygacji odbytnicy.

Ufolodzy o zacięciu naukowym interesują się raczej nieco bardziej namacalnymi dowodami, takimi jak namierzenia niezidentyfikowanych obiektów latających, fotografie i fizyczne próbki, jakie byłby w stanie zaakceptować każdy sąd, odrzucając ten niepewny materiał jako zbyt subiektywny. Tego typu seksualne opowieści traktują jako wytwór wyobraźni bądź niegodny poważnego zajmowania się nim folklor. Chociaż... kilku bardzo poważnych badaczy, w tym tacy profesorowie uniwersyteccy jak John E. Mack czy David Jacobs, bez ogródek deklarują swoje przekonanie, że obcy zapładniają Ziemianki i pobierają od nich płody, a następnie pokazują im dzieci-hybrydy w pozaziemskich żłobkach lub na pokładach latających spodków.

Jednym z poglądów wyjaśniających cel wizyt kosmitów na Ziemi jest teza o ulepszeniu przez kosmitów swojej rasy lub tworzenie hybrydy człowieka i obcego przy użyciu ludzkiego materiału genetycznego.

Historycznie rzecz biorąc, zarówno ciąża, jak i aborcja otoczone były mitami i legendami od samego niemal początku cywilizacji. Nic więc w tym dziwnego, że i mitologia UFO wykorzystywana jest do usprawiedliwiania niechcianych ciąż, tajemniczych poronień czy zaginionych lub zdeformowanych noworodków. W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku głośna była historia pewnej dwiętnastoletniej dziewczyny z Kalifornii, która przypisywała narodziny błękitnoskórego dziecka o stopach wyposażonych w błony pławne zbiorowemu gwałtowi, jakiego dopuściła się na niej grupa sześciu niebieskoskórych istot humanoidalnych.

W ludowych opowieściach można znaleźć liczne tego typu historie – na przykład o połyskliwych istotach przypominających syreny – przytaczane jako usprawiedliwienie narodzin zdeformowanych dzieci o cechach gadów lub ryb. Wielu badaczy wskazuje na intrygujące podobieństwa między ustnymi przekazami o wiedźmach i wrózkach a współczesnymi relacjami z uprowadzeń przez UFO, połączonymi z seksualnymi bliskimi spotkaniami z nadnatu-

ralnymi istotami. Historie takie znaleźć można w każdej dosłownie kulturze. W przeszłości setki ludzi przyznawały się – i to niekonięcznie pod wpływem tortur – do seksualnych związków z demonami. Mówiono, że niektóre demony, posiadające zdolność zmiany płci, sypiały z mężczyznami, aby uzyskać ludzką spermę, a następnie zapładniać nią kobiety.

W najnowszych badaniach tego typu podobieństw ich autor, wybitny naukowiec James Pontolillo, dokonał porównań przekazów opowiadających o seksualnych stosunkach z demonami z okresu XV–XVII wieku z dwudziestowiecznymi relacjami ze spotkań z obcymi istotami. Wyciągnął z nich wniosek, iż w obydwu przypadkach chodzi o głęboko zakorzeniony lęk przed żeńską seksualnością.

Jakiegokolwiek jest pochodzenie tego typu doniesień, należy jednak wziąć pod uwagę fakt istnienia historycznych ludowych przekazów opisujących uprawianie miłości z istotami nadnaturalnymi. Wynika z nich jasno, że albo obce istoty prowadzą swoje eksperymenty od stuleci, albo też w psychice ludzkiej istnieje głęboko zakorzeniona, socjopsychologiczna potrzeba tworzenia takich opowieści. Dopóki nie uzyskamy solidnych dowodów medycznych, ta druga możliwość będzie uchodziła za bardziej prawdopodobną.

Jeden z najważniejszych i najbardziej kontrowersyjnych przypadków w historii ufologii, to historia brazylijskiego rolnika Antonio Villasa Boasa, który siłą został uprowadzony na pokład niezidentyfikowanego obiektu latającego przez humanoidalne istoty. Uważany jest powszechnie za pierwszy przypadek porwania człowieka przez istoty pochodzące spoza Ziemi.

Niemalże pół wieku od wyżej wspomnianego, niżej zaś opisanego wydarzenia, opinia publiczna poznała nowe, nieznane jej dotychczas fakty. „Czy Amerykanie starali się przekupić Brazylijczyka, ofiarowując mu nieruchomości w Kalifornii?” – krzyczały wydrukowane wielką czcionką tytuły artykułów czasopism zajmujących się ufologią. „Dlaczego nie pozwolono mu otwarcie mówić o swych doświadczeniach?”. Okazało się bowiem, że wkrótce po po-

rwaniu przez kosmitów, biedny Antonio został uprowadzony ponownie, tym razem przez agentów CIA, działających ręka w rękę z przedstawicielami NASA (National Aeronautics and Space Administration, czyli Narodowej Agencji Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej) – agencji rządu Stanów Zjednoczonych odpowiedzialnej za narodowy program lotów kosmicznych. Wyszło również na jaw, że w miejscu kontaktu brazylijskiego rolnika z obcymi zachodzi wiele różnych dziwnych zjawisk, spędzających sen z powiek całkiem poważnym naukowcom. Ponieważ bohater tej historii zszedł już z tego świata jakiś czas temu, wydaje się, że zabrał ze sobą do grobu jedną z największych tajemnic dotyczących porwania Ziemiaków przez UFO...

\*

Cała historia zaczęła się 5 października 1957 roku na niewielkiej farmie, zwanej „Hacienda Aldeia o Mata”, położonej na brzegu Grande, w pobliżu zabitej deskami wsi Sao Francisco de Sales w stanie Minas Gerais, niedaleko granicy ze stanem Sao Paulo. 23-letni wtedy Antonio Villas Boas poszedł tego dnia spać dużo później niż zwykle, w związku z odbywającym się na farmie przyjęciem rodzinnym. Minęła właśnie godzina 23.00. W pokoju było duszno i parno, postanowił więc otworzyć okiennice...

Okoliczne pola kąpały się w zimnym, zielonkawym świetle, a wiatr zgarniał cirrusy zakrywające wieczorne niebo, ukazując gwiazdy i księżyc w pełni. Jak okiem sięgnąć, ciągnął się zastygły, płaski teren, który zdawał się nie mieć granic. W pewnym momencie naszło go przeraźliwe poczucie pustki i zagubienia w przestrzeni. I wtedy zobaczył...

Na środku pola pojawiło się jakby znikąd jasne srebrzyste światło, znacznie jaśniejsze od światła księżyca. Rozejrzał się wokoło, ale nigdzie nie mógł dostrzec jego źródła. Wyglądało to, jak gdyby ktoś z góry oświetlał tamto miejsce jakimś ogromnym reflektorem. Na niebie nie było jednak nic, skąd światło mogłoby pochodzić. Z

sąsiedniego łóżka dobywało się bulgotanie i syczenie podobne do odgłosów, jakie wydaje gotująca się woda w czajniku. To brat Antonia, Joao chrapał słodko pod kocem naciągniętym na głowę.

Tymczasem światło zaczęło wolno przesuwać się w kierunku okna.

Zbudził brata, chcąc mu pokazać przedziwne zjawisko. Przez chwilę obaj przyglądali się mu w milczeniu.

– Co to jest? – zawołał zdziwiony Antonio.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Joao. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Co robimy?

– Nic. Idziemy spać. Nic tu po nas – mruknął przestraszony nieco brat, po czym zamknął z hukiem okiennicę i rzucił się na łóżko, nakrywając głowę kocem. Chwilę później rozległo się jego charakterystyczne bulgotanie.

Antonio przyglądał się jeszcze przez jakiś czas dziwnemu światłu, prześwitującemu pomiędzy listewkami. Kiedy niespodziewanie zgasło, sam też udał się na spoczynek.

Dalszy ciąg tej historii miał miejsce prawie dwa tygodnie później, 14 października. Antonio wraz z drugim bratem, Jose, kończył orać pole. Około 22.00 – która dokładnie była godzina, nie udało się ustalić, ponieważ żaden z braci Boas nie miał zegarka – tajemnicze światło znów się pojawiło, tym razem nad północnym skrajem pola. Znajdowało się na wysokości około stu metrów, miało jasnoczerwony kolor i oświetlało duży obszar ziemi. Antonio przypuszczał, że otacza jakiś obiekt, było jednak tak jaskrawe, że od patrzenia na nie bolały oczy i niczego więcej nie mógł dokładnie zobaczyć.

– Podejdźmy bliżej i zobaczymy, co to takiego – zaproponował bratu.

– Zwariowałeś? – odparł niepewnie Jose. – Lepiej trzymajmy się od tego z daleka.

Antonio zdecydował się pójść sam. Kiedy jednak zbliżył się na

odległość kilkunastu metrów, światło niespodziewanie przeleciało z ogromną prędkością na drugi koniec pola. Chociaż czuł wyraźnie na plecach dotyk lodowatych, niewidocznych macek strachu, młody rolnik zawrócił i odważnie ruszył za nim. Kiedy się zbliżył, światło błyskawicznie powróciło na swoją poprzednią pozycję. Ruszył więc z powrotem, ale kiedy znowu był już blisko, sytuacja powtórzyła się jak za pierwszym razem. Wydawało się, że dziwne światło, czy raczej ukryty w jego blasku obiekt zabawia się z nim w kotka i myszkę.

Po kilkunastu tego rodzaju próbach, Antonio zmęczył się i wkurzony wrócił do brata. Światło wisiało nieruchomo w powietrzu przez kilka minut, wypuszczając od czasu do czasu w różnych kierunkach wąskie smugi promieni w kolorze zachodzącego słońca. W końcu zgasło, a może odleciało – Antonio nie był tego pewien.

Nieczęsto miewał sny, a jeszcze rzadziej nawiedzały go w nich koszmary. Tej nocy obudził się jednak półprzytomny, słysząc swój własny, przerażony oddech. Długo nie mógł usnąć, dopiero gdzieś przed świtem wspomnienie o sennym koszmarze zaczęło się roztopiać. Pozostały tylko fragmenty, składające się z poszczególnych, odrębnych obrazów, które parowały niczym kawałek suchego lodu.

Następnej nocy, 15 października, Antonio orał ziemię sam, za pomocą przyczepionej z tyłu do traktora brony. Pызaty, czerwony księżyc rzucał drżący blask na ciągnące się wokół milczące pola. Żaden dźwięk nie zbudził się jeszcze. Zawiał lekki wiaterek i po sekundzie zamarł. Zaraz potem powróciła cisza, jak gdyby martwa noc usiłowała powrócić do życia, lecz starczyło jej sił zaledwie na jedno drżące tchnienie. Noc westchnęła jeszcze raz, tym razem mocniej. Jej oddech był ostry i wilgotny.

Około godziny pierwszej na niebie pojawiła się... czerwona gwiazda. Nie byli to jednak Sowieci. Gwiazda rosła i rosła, zamieniając się po chwili w zbliżający się z ogromną prędkością świecący, jajowaty obiekt. Nadleciał tak szybko, że Antonio nie zdążył nawet pomyśleć, co zrobić. Obiekt zatrzymał się nad traktorem na

wysokości około 50 metrów i oświetlił go jasnoczerwonym światłem. Było tak jasne, że zupełnie pochłonęło światło rzucane przez reflektory traktora. Ciągące się wokół pola rysowały się w jego blasku bajecznie i dziko.

Brazylijskiego rolnika ogarnął strach. Postanowił uciekać, ale nie potrafił się zdecydować, czy uciekać traktorem, czy pieszo. Wobec niesamowitej szybkości, z jaką obiekt się poruszał, obydwie możliwości byłyby zresztą mało skuteczne. Obiekt zatrzymał się nad traktorem, gdzieś na wysokości kilku metrów, a spod pojazdu wysunęły się trzy teleskopowe wsporniki z okrągłymi łapami na końcach. Z przodu wystawały trzy metalowe iglice.

Antonio wrzucił bieg i zaczął uciekać. Nie ujechał jednak daleko, bowiem w niewytłumaczalny sposób silnik jego maszyny przestał nagle pracować. Otworzył więc drzwi kabiny i zeskoczywszy na ziemię, ruszył pędem przed siebie przez pole, uciekając jak najdalej od obiektu. Po kilku metrach poczuł, że ktoś chwytą go za rękę...

Dziwna humanoidalna istota, ubrana w kosmiczny skafander, sięgała mu zaledwie do ramion. Zdesperowany odepchnął ją z całej siły, w wyniku czego puściła go i straciwszy równowagę, upadła na plecy. Podjął przerwany bieg, nie uciekł jednak daleko. Dwie kolejne istoty zaatakowały go z boków, trzecia chwyciła za rękę od tyłu. Obcy byli niscy i mieli nieproporcjonalnie duże głowy. Mieli na sobie obcisłe kombinezony i hełmy zakrywające twarz. Jak zdążył zauważyć, na wysokości piersi ich kombinezonów napastnicy nosili czerwone odbłaskowe tarcze „wielkości plasterka ananasa”, z których wychodził srebrzyście połyskujący pasek łączący się u dołu z szerokim ciasno opinającym talię pasem. Nigdzie na kombinezonie nie było widać nic, co przypominałoby kieszenie czy guziki.

Obaliwszy rolnika na ziemię, obce istoty powlekły go w kierunku obiektu. Antonio zaczął się szarpać i wołać o pomoc, ale w promieniu wielu kilometrów nie było nikogo, kto mógłby jej udzielić.

– *Caramba!* – zaklął w rodzimym języku – *Deixe ir idiotas!* (Puszczajcie, dupki).

Tamci przystanęli na chwilę, przyglądając mu się z zaintereso-



waniem, po czym na dany znak podjęli przerwana czynność. Mimo że szamotał się jak szalony, istoty wniosły go do pojazdu po spuszczonej drabince z poręczami.

„Kiedy weszliśmy do środka statku, stwierdziłem, że znajduję się w niewielkim kwadratowym pomieszczeniu, rodzaju przedśionka, którego gładkie metalowe ściany odbijały białe fluorescencyjne światło emanujące z osadzonych w stropie wzdłuż krawędzi ścian małych kwadratowych lamp – relacjonował później Antonio Villas Boas. – W tym samym czasie zamknęły się drzwi wejściowe, unosząc się do góry. Były tak szczelnie dopasowane, że kiedy się zamknęły, nie było widać, gdzie są, mimo iż wewnątrz było jasno jak w dzień. Wyglądało, jakby spoiły się ze ścianą w jedną całość. To było wszystko, co zdołałem dostrzec w przedśionku, ponieważ jedna z towarzyszących mi istot pokazała gestem ręki, abym przeszedł do następnego pomieszczenia przez otwarte drzwi, znajdujące się w ścianie przeciwległej do głównego wejścia”.

Pomieszczenie to było większe i oświetlone w ten sam sposób. Miało półowalny kształt i takie same srebrzyście połyskujące ściany. Istoty porozumiewały się między sobą za pomocą dziwnych dźwięków, w niczym jednak nieprzypominających odgłosów, z którymi dotychczas się zetknął. Z całą pewnością była to jednak mowa. „Te chrząknięcia były wydawane wolno; nie były ani wysokie, ani niskie; niektóre były dłuższe, inne krótsze, niekiedy w tym samym czasie było ich kilka, innym razem przechodziły w trele – opisywał je brazylijski rolnik. – Przypominały zwierzęce warknięcia, spośród których nie można było wyróżnić żadnej sylaby ani nic, co by przypominało jakieś ludzkie słowo”.

Niespodziewanie istoty rzuciły się na niego i zaczęły zdierać z niego ubranie. Próbował stawiać opór, szarpał się i obrzucał napastników wywiskami, ale pomogło tyle, co starej panie makijaż. Po chwili stał już przed nimi nagusieńki, jak Pan Bóg go stworzył.

– *Pervertidos!* – krzyknął przestraszony (zboczeńcy). – *Pedais!* (pedały).

Jak się jednak wkrótce okazało, obcy nie byli jednak zbożeńca-

mi, z całą pewnością również pedałami (o gejach w tym czasie nikt jeszcze nie słyszał).

Villas Boas został dokładnie umyty przy użyciu gąbki zamoczonej w bezbarwnym płynie i zaprowadzony do innego pomieszczenia, gdzie za pomocą kubków ssących przymocowanych do jego podbródka istoty pobrały mu trochę krwi. Te eksperymenty zdecydowanie nie przypadły rolnikowi do gustu, ale zdawał sobie sprawę, iż jakkolwiek opór jest bezcelowy. (Jeszcze kilka miesięcy później, 22 lutego 1958 roku, przeprowadzone na jego ciele badania lekarskie ujawniły dwie okrągłe blizny średnicy kilkunastu milimetrów na bokach podbródka.

Zrobiwszy to, co chciały, istoty wyszły z pomieszczenia, zostawiając go samego. W pomieszczeniu nie było żadnych sprzętów, poza stojącą w centrum dużą kanapą. Kiedy po pewnym czasie przysiadł na niej, zmęczony, stwierdził, że jest miękka, jak gdyby była wykonana wewnątrz z gąbki. Równie miękki był pokrywający ją gruby, szary materiał. Do czego służy ów dziwny mebel, miał się przekonać już za chwilę.

Rozglądając się wokoło, Antonio dostrzegł również wystające ze ścian tuby. W pewnym momencie zaczął się z nich wydobywać szary gaz, powodujący mdłości i ból głowy. Stężenie gazu wzrosło do tego stopnia, że w pewnym momencie nie mógł wytrzymać i zwymiotował w rogu pomieszczenia. Młody Brazylijczyk zaczął się już żegnać z życiem. Nawet na kontynent południowoamerykański dotarły wieści o nie tak odległych przecież jeszcze w czasie zbrodniach nazistów, dokonywanych w komorach gazowych przy użyciu cyklonu B[17].

Obcy nie byli jednak nazistami. Porwanego rolnika czekały o

---

17 Cyklon B został wynaleziony przez Fritza Habera, niemieckiego chemika, laureata Nagrody Nobla z roku 1918, który ze względu na swoje żydowskie pochodzenie musiał później wyemigrować z Niemiec. Była to granulowana ziemia okrzemkowa nasycona cyjanowodorem, która uwalniała cyjanowodór (HCN) po wyjęciu ze szczelnych pojemników.

wiele miłsze doznania. W pomieszczeniu pojawiła się bowiem... piękna naga kobieta, jak opisywał ją później Antonio: „o białej cerze, skośnych niebieskich oczach, wysoko osadzonych kościach policzkowych, cienkich ustach, szerokich biodrach i prostych blond włosach”. Jej uszy były podobne do ludzkich, lecz nieco mniejsze. Pod pachami i na łonie miała krwistoczerwone włosy. Była dużo niższa od niego i sięgała mu głową zaledwie do ramion.

Podeszła do niego wolno, z owym charakterystycznym wyrazem twarzy, sugerującym wyraźnie, czego kobieta chce od mężczyzny. Stała przy nim, objęła go rękoma i zaczęła pocierać czołem jego twarz, kręcąc przy tym głową na boki. Wykonując te osobliwe ruchy przywarła do niego całym ciałem. Villas Boas poczuł nagły przypływ pożądania, co – zapewne przez wrodzoną skromność – przypisywał potem działaniu płynu, który wtarto w jego ciało. Straciwszy nad sobą kontrolę, nie zastanawiając się więcej, Antonio rzucił ją na kanapę i posiadł.

„W trakcie stosunku zachowywała się jak normalna kobieta – stwierdził. – Chrząkała przy tym jednak dziwnie, co wywoływało u mnie niesmak i wrażenie, że obcuje ze zwierzęciem. Ani razu mnie nie pocałowała, chociaż w pewnym momencie otworzyła usta, jakby miała to zrobić, lecz zamiast tego ugryzła mnie lekko w podbródek”.

Zaspokoiwszy swoją chuć, młody Brazylijczyk rozciągnął się wygodnie na kanapie. Kosmitka również wyglądała na zmęczoną. Leżała obok, szybko oddychając. Po chwili Antonio znów poczuł rozpalającą go żądzę. Postanowił posiąść niebieskooką piękność po raz drugi, ta jednak odsunęła się, dając mu gestami do zrozumienia, że co mieli zrobić, już zrobili. Tego rodzaju zachowanie ostudziło zapędy rolnika. Poczuł, że potraktowany został jak nic więcej, tylko zwykły ogier zarodowy. Wkurzył się trochę z tego powodu, ale szybko się z tym pogodził. Ostatecznie spędził miłe chwile, i to całkowicie za darmo. Później jednak, urażony zapewne mocno w swych męskich ambicjach, twierdził, że mimo tego, iż kobieta mu się podobała, nie zamieniłby na nią żadnej Ziemiarki.

„Lubię »po tym« z babką porozmawiać, a z nią było to całkiem niemożliwe” – powiedział.

Wychodząc z pomieszczenia, kosmiczna kochanka młodego rolnika odwróciła się do niego na moment i wskazując na swój brzuch, uśmiechnęła się, wskazując jednocześnie na niebo.

Zaraz po jej wyjściu, pojawił się jeden z obcych. Podał Brazylijczykowi jego ubranie, pokazując gestami, żeby nałożył je na siebie. Ubrał się więc w milczeniu, sprawdzając przy okazji kieszenie, czy niczego nie brakuje. Brakowało zapalniczki. Nie miał jednak pewności, czy „dźwignęli” mu ją obcy, czy też wypadła mu jeszcze na polu, podczas szamotaniny, postanowił więc nie wszczynać awantury.

Przed wypuszczeniem go na wolność, obce istoty oprowadziły go po swoim statku, co dokładnie zapamiętał i później szczegółowo opisał. Doszedłszy do wniosku, że nie zrobią mu krzywdy, przestał odczuwać strach. Na stojącym pod ścianą stole zauważył szczęśliwe pudełko ze szklanym wieczkiem (bądź też tylko wyglądającym na szklane), z rodzajem cyferblatu przypominającym tarczę budzika, czarną wskazówką i czarnym znakiem w miejscu godziny szóstej. Początkowo myślał, że to zegar (jeden z osobników spoglądał nań od czasu do czasu), lecz kiedy po dłuższym czasie wskazówka nie zmieniła swojego położenia, doszedł do wniosku, że przyrząd służy do jakichś innych celów, albo też zegar jest po prostu zepsuty. A co? Kto powiedział, że u kosmitów nic nie może się schrzanić?

Zastanowiwszy się chwilę, postanowił „to coś” zabrać ze sobą na pamiątkę, również jako dowód, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Ostatecznie oni też „zaiwanili” mu zapalniczkę. Widząc, że nikt akurat nie zwraca na niego uwagi, Antonio chwycił przedmiot, usiłując wsadzić go do kieszeni. Biorąc pod uwagę niewielki rozmiar, był wyjątkowo ciężki, ważył z pewnością ponad dwa kilogramy. Niestety, jedna z siedzących obok istot zauważyła jego ruchy, zerwała się błyskawicznie na nogi i odepchnąwszy rolnika na bok, wyrwała mu „budzik” z ręki z wyraźną złością, stawiając go na stole z powrotem w to samo miejsce.

Chwilę później Villas Boas został zaprowadzony do wyjścia. „Złaź” – pokazał mu gestami jeden z obcych, wskazując jednocześnie na drabinę. Znalazłszy się na ziemi, Antonio spojrzał w górę. Jego przewodnik stał wciąż w tym samym miejscu przy włączniku, patrząc na niego pustym wzrokiem. Wskazał palcem na siebie, potem na ziemię, a następnie na niebo, w kierunku południowym. Na koniec dał znać Antoniowi, aby się oddalił, i wszedł do środka statku. Metalowa drabina uniosła się, po czym tworzące mostek drzwi zamknęły się i stały niewidoczne. Statek zaczął unosić się powoli pionowo do góry, wsuwając jednocześnie do środka metalowe wsporniki. Kiedy osiągnął wysokość około pięćdziesięciu metrów, zawiśł przez chwilę nieruchomo, otaczające go światło stało się jeszcze bardziej intensywne, zaś wirująca na szczycie pojazdu kopała zmieniła barwę z czerwonej na jasnopomarańczową. Rozległ się jakiś krótki, dziwny dźwięk, statek przechylił się lekko na bok, po czym ruszył na południe jak pocisk, niknąc z pola widzenia w ciągu kilku sekund.

\*

Antonio Villas Boas wrócił do swego traktora, gdzie przede wszystkim spojrzał na zegarek. Była godzina 5.30. Na pokład statku wniesiono go o godzinie 1.15, zatem wśród „kosmicznych braci” przebywał dokładnie przez cztery godziny i kwadrans. Wrócił do domu i położył się spać.

Wstał dopiero o godzinie, w której w dalekim mieście na drugiej półkuli strażak gra na trąbce hejnał. Czuł się fatalnie, był zmęczony i obolały. Bolała go głowa, zupełnie stracił apetyt. Mimo tych dolegliwości, udał się na pole, szukając śladów wczorajszej przygody. Wciąż jeszcze tam były. Przede wszystkim ślady pozostawione przez obcy statek. Zmierzywszy je, stwierdził, że pojazd, do którego go porwano, musiał mieć około dziesięciu metrów długości i siedmiu szerokości.

Przez kilka następnych dni czuł się nadal źle. Przestała go

wprawdzie boleć głowa, ale zaczęły piec oczy. Ciągłe był senny i ospały, nawet w dzień – co wcześniej nigdy mu się nie zdarzało – musiał udawać się na krótką drzemkę. Kiedyś nawet usnął podczas rozmowy z bratem. Ósmego dnia, podczas pracy uderzył się przedramieniem w wystającą żerdź, kalecząc je boleśnie. Następnego dnia rana zaczęła ropic i swędzieć, a kiedy się w końcu zagoiła, pozostawiła po sobie purpurową otoczkę. Kilka dni później podobne ropiejące i swędzące rany pojawiły się samoczynnie na przedramionach i nogach. Zagoiły się wprawdzie szybko, lecz również pozostały po nich purpurowe pierścienie.

„Wrócił o piątej rano – wspomina ponad siedemdziesięcioletnia dziś siostra Antonia, Ordecia Villas Boas. – Był blady i trząsał się. Zauważyłam, że ma dwa otarcia na podbródku. Dałam mu mocnej kawy, ale zwymiotował żółtawą cieczą... Nie chciał zjeść koguta, którego dla niego ugotowałam. Potem powiedział mi, co się stało, że traktor zatrzymał się, że został zaciągnięty do tego obiektu i spał ze wstrętą kobietą. Żle sypiał nocami i miewał koszmary”.

Przekonany, że jeśli powie komuś, co go spotkało, zostanie wzięty za wariata, Antonio postanowił utrzymać całe zdarzenie w tajemnicy. Jednak złe samopoczucie zmusiło go do wizyty u lekarza, gdzie wszystko wyszło na jaw. Podejrzewając, że występujące u pacjenta dolegliwości mogą być skutkiem napromieniowania, miejscowy lekarz skierował go do Rio de Janeiro, do doktora Alvaro Fontesa, czołowego w Brazylii badacza UFO. Ten poddał Boasa serii fizycznych i psychologicznych testów. Zgodnie z jego orzeczeniem, świadek charakteryzował się „psychiczną stabilnością i wykazywał serię fizycznych śladów, które spowodowało u niego spotkanie z istotami pozaziemskimi”.

Doktor Fontes skontaktował Antonia z Joao Martinem, innym brazylijskim badaczem UFO o międzynarodowej sławie. Ich spotkanie odbyło się 22 lutego 1958 roku. Historia opowiedziana przez młodego rolnika z Minas Gerais wydała się Martinowi tak niezwykłą, że w obawie przed atakami ze strony sceptyków nie zdecydowali się wówczas na jej opublikowanie. Ujrzała światło

dziennie dopiero po kilku latach, dokładnie 1 grudnia 1964 roku, dzięki raportowi kolejnego wybitnego brazylijskiego badacza problemu niezidentyfikowanych obiektów latających, doktora Waltera Buhlera, opublikowanemu w magazynie „O Cruzeiro”.

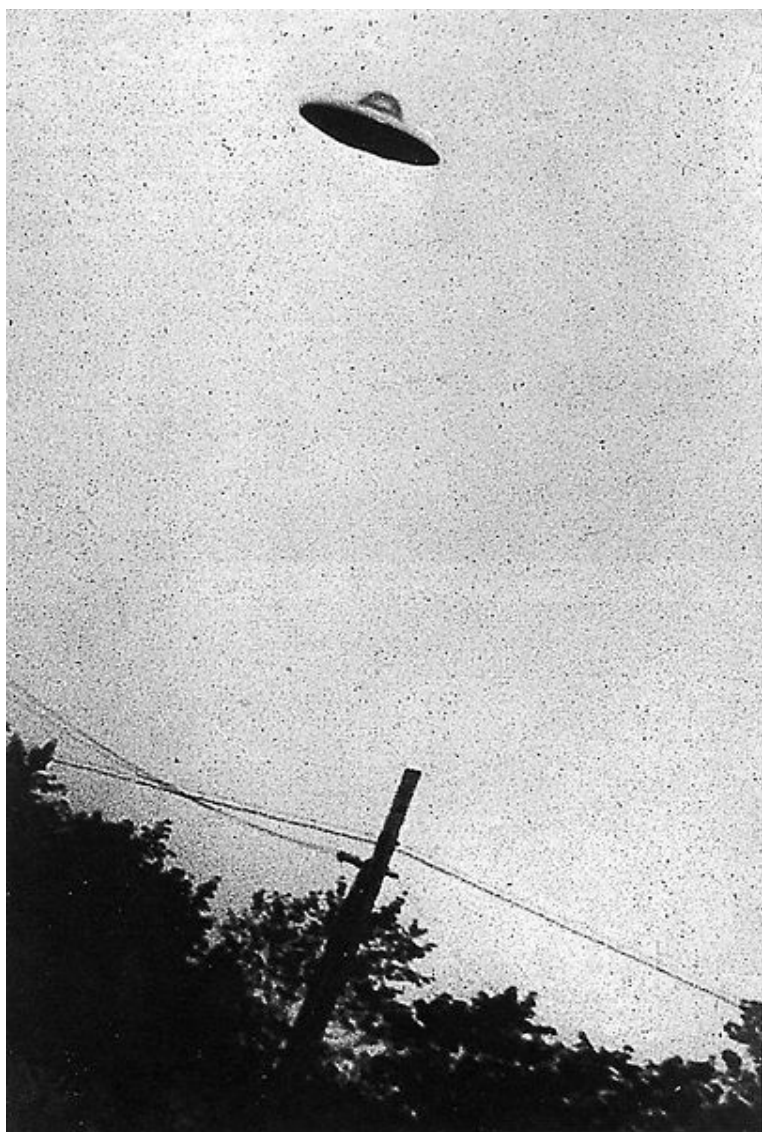
Wcześniej jednak, o kontakcie Antonia z obcymi dowiedział się ktoś jeszcze...

„Wrócił (z Rio de Janeiro), a potem pięciu mężczyzn w zielonych uniformach zabrało go do Stanów Zjednoczonych – opowiada siostra porwanego Doña Ordecia. – Niektórzy mówili po portugalsku, inni po angielsku. Myślałam, że są z NASA. Został poddany badaniu wykrywaczem kłamstw w Kalifornii. Potem został zabrany na otwarty teren, gdzie miał rozbić się latający spodek. Pokazano mu później następny, w dobrym stanie, który znajdował się w zamkniętym miejscu przypominającym muzeum. Zapytano go, czy jest to obiekt identyczny z tym, który zobaczył. Powiedział mi, że był bardzo podobny (...) Był w USA przez trzy dni, następnie otrzymał dwie nieruchomości, jedną niedaleko San Francisco i San Rafael. Odesłano go z powrotem do Rio, gdzie spędził piętnaście dni w szpitalu, przechodząc badania i testy. Zgodnie z lekarskim raportem, Antonio był w doskonałym stanie umysłowym i nie był szaleńcem. Amerykanie mówili mu o istnieniu życia pozaziemskiego. Przypominam sobie także, że Antonio obawiał się, że porywacze mogą powrócić i zabrać go na obcą planetę. Zdaje się, że obiekt pojawił się w rzeczywistości jeszcze raz, osiem dni po porwaniu. (...) Amerykanie odwiedzali go jeszcze kilkakrotnie w następnych latach. Zawsze dawali mojemu bratu książki pisane po angielsku jako podarunki. (...) Antonio nie chciał, aby jego przypadek stał się szeroko znany. Był zawsze bardzo dyskretny i nie chciał mówić o swych doświadczeniach. Pewnego dnia otrzymał jednak ofertę od sławnej telewizyjnej osobistości, Flavio Cavalcantiego. Zaakceptował ją, ale NASA nie pozwoliła na jego występ”.

Antonio Villas Boas zmarł w 1991 roku, w wieku 52 lat. Ponieważ z wyjątkiem relacji samego zainteresowanego, w opisanym przypadku brak jest jakichkolwiek materialnych dowodów zdarze-

nia, większość ufologów odrzuca jego przypadek, uznając go za mało wiarygodny. Część naukowców sprzeciwia się jednak temu stanowisku, twierdząc, iż brazylijski rolnik, a przysły sędzia, nie zabiegał przecież o rozgłos, lecz wręcz przeciwnie, jak tylko mógł, starał się go unikać. Nie udzielał wywiadów, nie pisał książek, nie założył – jak wielu innych – sekty, i w żaden sposób nie czerpał ze swej historii materialnych korzyści. Nigdy jednak, aż do samej śmierci, nie wyparł się tego, co wcześniej opowiadał.







W 1957 r. Antonio Villas Boas  
był jedną z pierwszych osób,  
które przyznały się do  
uprowadzenia przez UFO.

# **Nie jestem potworem.**

**ADOLF EICHMANN**

**(1960)**

Wiosna to w Buenos Aires najpiękniejsza pora roku, zieleń drzew jest wtedy najbardziej soczysta, a powietrze nie obezwładnia jeszcze parną duchotą. Lato jest tu ciężkie jak w tropikach, wysysa siły wraz z lepką wodą spływającą z ciała, dręczy ciągła zmiana aury, kiedy wprost z klimatyzowanych pomieszczeń wychodzi się na wilgotny upał ulicy. Pozbawione regulacji temperatury mieszkania na poddaszu przypominają wtedy kocioł w pralni.

Ta wiosna była istotnie hojna w swoich darach: deszcze i słoneczne dni przeplatały się nawzajem, drzewa wypuszczały więcej pędów i obsypywały się bujniejszym kwieciem niż w ubiegłych latach, koty darły się przez całe ciepłe noce, psy skamlały do suczek i składały im wyrazy swego zainteresowania, ptaki na wsiach – jak mówiono – zniosły więcej jaj w swoich gniazdach niż kiedykolwiek przedtem.

Był 14 maja 1960 roku. Od oceanu wiała łagodna bryza, gdzieś tam w górze nad ogrodami, krzewiącymi się na dachach wieżowców, zachodziło słońce. Czerwony autobus jechał drogą prowadzącą wzdłuż brzegu rzeki na północ, w kierunku wzgórz wznoszących się za miastem. Avenida de Mayo była niemal całkowicie zakorkowana, ale to, co się działo na Plaza, przechodziło ludzkie pojęcie. Po drugiej stronie placu wzniesione z różowego kamienia mury Casa Rosada promieniowały odbitym, pomarańczowym blaskiem zachodzącego słońca.

Po kilku milach Rio Lujan skręciła na zachód, autobus zaś zjechał w dół stromymi serpentynami, do szosy biegnącej niemal nad samą wodą. Właśnie ten rejon upodobali sobie argentyńscy bogacze; po rzece sunęły wielkie, motorowe jachty, żaglówki pięły się leniwie pod prąd, korzystając z wiatrów wiejących od oceanu i lawirując między zielonymi wysepkami, które wyrastały tu i ówdzie z wody niczym bujne ogrody. Od szosy, która tymczasem odsunęła się nieco od rzeki, dochodziły prywatne drogi, prowadzące do wzniesionych na stromych brzegach olbrzymich willi.

Kilka minut po godzinie ósmej wieczór autobus zatrzymał się na przystanku przy ulicy Chabuco, w dzielnicy Buenos Aires zwanej Bancalari. Wysiadł z niego szczupły, średniego wzrostu, łysiejący mężczyzna w okularach, ubrany w ciemnoniebieski garnitur, białą koszulę, błękitny krawat oraz nienagannie wyczyszczone buty. Uwagę zwracały ukryte za grubymi szkłami oczy – szare, zimne i ponure. Wyglądał na Żyda, jego nos jeszcze kilkanaście lat temu mógłby doprowadzić Hitlera do szału w walce o czystość aryjskiej rasy. Na widok tak bezwstydnie semickiego nosa, żaden dobrze przeszkolony nazista nie przeszedłby obojętnie. Ale mężczyzna nie był Żydem. Żydami byli za to ci, którzy na niego czekali...

Ulica Chabuco stanowiła uosobienie ciszy i spokoju. Uliczne lampy oświetlały puste, otulone ciemnością chodniki, a drzewa przystrzyżone w fantazyjne kształty rzucały tajemnicze cienie na pastelowe, wzniesione z cegły i kamienia ściany malowniczych willi.

W sypialniach i salonach za oknami, na których stały kwiatowe kompozycje, zachęcająco mrugały żarówki skryte pod grubymi abażurami.

Tuż przy krawężniku, w pobliżu wykopanego przez robotników rowu stał nieoświetlony samochód. Za podniesioną maską auta majaczyła sylwetka pochylonego kierowcy, który najwyraźniej szukał jakiegoś defektu silnika. W samochodzie siedzieli jeszcze trzech inni mężczyźni. Kiedy pasażer autobusu zszedł na jezdnię, żeby wyminąć pojazd, człowiek stojący przy masce skoczył nagle

ku niemu, szarpnął go gwałtownie do tyłu, ściskając mocno za szyję i gardło. Potoczyli się obaj na ziemię i wpadli do rowu. Chwilę później dwaj mężczyźni siedzący w pojeździe rzucili się w ich kierunku. Trzeci również wysiadł z samochodu, zamknął maskę i otworzył drzwi, pomagając wrzucić na podłogę wyrwywającego się pasażera autobusu. Głośny huk zatraskiwanych drzwiczek i auto ruszyło gwałtownie z piskiem opon. Po chwili znikło za zakrętem.

Cała akcja trwała niespełna trzydzieści sekund. Poprzedziło ją jednak wiele lat przygotowań.

Tymczasem mężczyźni na tylnym siedzeniu szukali pospiesznie charakterystycznych blizn na ciele porwanego – na lewym przedramieniu i na brzuchu. Były dokładnie tam, gdzie być miały. Człowiek w okularach zawył w bezsilnej rozpacz.

– *Ruhig!* (cicho) – syknął po niemiecku jeden z porywaczy, zamierzając się pięścią.

– *Jawohl!* (tak jest) – odpowiedział okularnik i posłusznie zamilkł.

Po kilkunastu minutach dotarli do bazy. Tam ponownie obejrzeli, tym razem już powoli i dokładnie, całe ciało uprowadzonego. Człowiek, który unicestwił połowę europejskich Żydów, stał teraz przed nimi nagi pod pięćsetwatową lampą. Drżał na całym ciele.

– Pańskie nazwisko? – rzucił dowodzący akcją.

– Ricardo Clement.

– Takimi dokumentami rzeczywiście się pan posługuje – przyznał dowódca. – Ja jednak pytałem o prawdziwe nazwisko.

– Adolf Eichmann – odparł cicho mężczyzna w okularach, po chwili zwłoki. – Wiem, że jesteście Izraelczykami, uczyłem się hebrajskiego – dodał i zaczął recytować tekst żydowskiej modlitwy *Szema Jisrael*, którą odmawia się przed śmiercią: „Słuchaj, Izraelu! Pan jest naszym Bogiem, Pan jest jeden...”.

Potem poprosił o kieliszek czerwonego wina.

\*

Adolf Otto Eichmann urodził się 19 marca 1906 roku w centrum niemieckiego przemysłu noży, przyrządów do cięcia i brzytw – mieście Solingen w Nadrenii Północnej-Westfalii, na południe od Zagłębia Ruhry. Przyszedł na świat w kalwińskiej rodzinie Adolfa Karla Eichmanna oraz Marii z domu Schefferling. W 1914 roku Eichmannowie przeprowadzili się do Linzu w Austrii.

Matka Adolfa, wydawszy na świat pięcioro dzieci, zmarła w wieku 32 lat. Druga żona Adolfa Karla, również Maria, zaliczała się do osób bardzo religijnych, czytanie Biblii było na porządku dziennym. Adolf nie wspominał jednak zbyt ciepło zarówno swej macochy, jak i przyrodniego rodzeństwa. W domu panował pruski porządek i dyscyplina. Rodzina Eichmannów należała do klasy średniej i była powszechnie szanowana. Jako dziecko, Adolf miał przyjaźniół ze sfery burżuazji, ale także i Żydów. Maria Eichmann miała żydowskich krewnych w Wiedniu, którym Adolf umożliwił później, w roku 1943, wyjazd z Niemiec do Szwajcarii.

Za namową ojca młody Eichmann próbował studiować inżynierię (elektrotechnika i budowa maszyn), lecz nie ukończył studiów ze względu na brak postępów w nauce. W latach 1925–1927 pracował w firmie swojego ojca w Linzu, zaś od roku 1927 był przedstawicielem handlowym i zaopatrzeniowcem, zajmującym się dostawami paliwa do stacji benzynowych. Umiejętność organizacji transportu wykorzystał później w swej działalności w SD, stawiając pierwsze kroki przy masowych wysiedleniach Polaków z ziem wcielonych do Rzeszy. Był ambitnym, pilnym i zdyscyplinowanym pracownikiem, cenionym przez swych pracodawców.

W latach dwudziestych zetknął się z nazistowską prasą, regularnie czytując „Linzer Volksstimme” i trudno dostępny w Austrii „Völkischer Beobachter”. W kwietniu 1932 roku, za namową Ernsta Kaltenbrunnera wstąpił do austriackiej partii nazistowskiej, otrzymując legitymację z numerem 899 895, oraz do austriackiego odłamu *Schutzstaffel*, czyli SS. Został przydzielony do „SS Standarte 37” operującego w Górnej Austrii. Pracował i udzielał się politycznie, zawiązywał przyjaźnie, paradował w czarnym mundurze i zaj-

mował się obowiązkami dnia powszedniego w „Das Braune Haus” (Brunatnym Domu). Dzięki posiadaniu motoru i pasji do motoryzacji został dowódcą (*Motorsturmführer*) jednostki zmotoryzowanej. W 1933 roku wyjechał do Niemiec, gdzie zapisał się do niemieckiej SS. Otrzymał numer 45 326.

We wrześniu wstąpił do Sicherheitsdienst des Reichsführer SS (Służby Bezpieczeństwa Reichsführera SS), czyli mówiąc krótko do SD, która była wtedy mało znaczącą, pomocniczą organizacją, skupiającą głównie inteligencję.

30 stycznia 1933 roku prezydent von Hindenburg mianował Hitlera kanclerzem. W ciągu pierwszych stu dni sprawowania władzy Adolf zlikwidował Republikę Weimarską, rozwiązał związki zawodowe, na miejsce których powołał jednolitą organizację Niemiecki Front Pracy, oraz wprowadził cenzurę. Tajemniczy pożar Reichstagu, który wybuchł 27 lutego, stanowił dla nazistów pretekst do wyeliminowania z życia politycznego (a później w ogóle z życia) komunistów. W marcu zostały uruchomione obozy koncentracyjne w Dachau i Oranienburgu, w których umieszczono między innymi politycznych przeciwników. Pierwszego kwietnia rozpoczął się bojkot żydowskich sklepów. Rozpętano kampanię antysemityczną i antykomunistyczną – nazistowskie bojówki w brunatnych koszulach organizowały żydowskie pogromy, napady na komunistów, socjalistów oraz intelektualistów.

W tym czasie Adolf ożenił się z Czeszką Veroniką Liebl, z którą był zaręczony już od trzech lat. Zamieszkali w jednej z dzielnic Berlina, gdzie stałe dochody i wysoka pozycja społeczna pozwalały im na dostatnie i wygodne życie.

Po wybuchu wojny, dowódca gestapo Heinrich Müller wezwał Eichmanna do Berlina, powierzając mu stanowisko szefa Urzędu Emigracyjnego Rzeszy. Eichmann zainicjował wtedy tak zwany „Projekt Nisko”, sięgający swymi korzeniami zmutowanych idei syjonistycznych. Zamierzał mianowicie utworzyć żydowską kolonię w dystrykcie lubelskim, w nowo powstałym Generalnym Gubernatorstwie. Zadanie polegało na przesiedleniu kilku tysięcy Ży-

dów z Ostrawy, Wiednia i Katowic. Pierwszy transport, zawierający prefabrykaty do budowy baraków, został wysłany wraz z grupą ponad dwóch tysięcy zdolnych do pracy Żydów. Eichmann osobiście witał kolejne transporty.

Projekt zakończył się niepowodzeniem. Brak żywności i lekarstw oraz zły klimat zwiększały zachorowalność i śmiertelność. Setki osób zostały zmuszone przez SS do wejścia na terytorium ZSRR. Część, na własne życzenie, zgłosiła się do obozu pracy w pobliskim siole. Nieliczni, na własny koszt, wrócili skąd przyjechali. Nisko pokazało jednak nazistom, w jaki sposób niewielkim kosztem można pozbyć się niechcianych obywateli z Rzeszy.

Tymczasem Hitler, wzorem Stalina, zarządził wędrówkę ludów – powrót etnicznych Niemców (Volksdeutschow) na terytorium Wielkiej Rzeszy. Mieli przybyć na miejsce wysiedlonych Polaków i Żydów z prowincji wschodnich. Metody deportacji zastosowane przez Eichmanna były niezwykle drastyczne. Wysiedleńcy zostawiali całe majątki, otrzymywali tylko kilka godzin na zabranie najpotrzebniejszych rzeczy i małej ilości gotówki. Stłoczeni w bydłych wagonach, bez jakichkolwiek sanitarnych udogodnień, bez wody i żywności, przebywali w trasie często parę dni. Powodowało to dużą śmiertelność, zwłaszcza wśród starszych i dzieci. Ucieczka była karana śmiercią na miejscu.

W 1941 roku Adolf Eichmann cieszył się już wśród nazistowskich władz zasłużoną opinią „eksperta od spraw przemieszczania populacji”. W listopadzie tego roku otrzymał awans na podpułkownika. Zachowywał się jak dyrektor międzynarodowego przedsiębiorstwa, regulował dostawy towaru, miejsca zaopatrzenia, kontrolował stan i terminowość dostaw. O swych działaniach raportował na bieżąco szefowi gestapo lub Heinrichowi Himmlerowi. Napisał nawet książkę o „Ostatecznym Rozwiązaniu”, dedykowaną zgładzonemu w Pradze (4 czerwca 1942 roku) Reinhardowi Heydrichowi. Ale pełnię swoich zdolności miał zaprezentować dopiero za jakiś czas...



\*

Pod koniec 1943 roku, rozkazem samego Heinricha Himmlera, Eichmann został wysłany na Węgry, gdzie populacja żydowska liczyła sobie około 700 tysięcy ludzi. Prawa antyżydowskie zaczęły być tam wprawdzie wdrażane już od roku 1938, jednak mimo tego Żydzi cieszyli się ciągle względną swobodą. 50 tysięcy synów Narodu Wybranego wspomagało armię węgierską na froncie wschodnim. Tylko 10 tysięcy z nich powróciło do domu...

Regent państwa, admirał Miklós Horthy nie dopuszczał do pogromów w czasie trwania wojny. W obliczu klęski Rzeszy starał się wybadać, czy nie można by zawrzeć osobnego porozumienia z aliantami. Jego knowania mocno zirytowały Hitlera, widzącego w tym spisek węgierskich Żydów przeciwko rasie aryjskiej. 19 marca 1944 Wehrmacht przekroczył granicę Węgier, mając na celu utrzymanie tego kraju w sojuszu z Niemcami. Horthy został zmuszony do zaprzysiężenia pronazistowskiego premiera, generała Döme Sztojaj'a.

Przybywszy do Budapesztu, Eichmann zajął willę opuszczoną przez żydowskiego przedsiębiorcę, swoje biuro ulokował zaś w hotelu „Majestic”. Natychmiast wprowadził w życie uchwały dyskryminacyjne, pozbawiające Żydów praw i pozwalające na przejęcie ich majątków. Zaczęto przygotowania do utworzenia gett i do deportacji. Getta zakładane były w cegielniach lub fabrykach – blisko linii kolejowych. Z nich ofiary transportowano do pracy w Rzeszy. Panowały nieludzkie warunki – żywność była dostarczana nieregularnie, najczęściej w postaci wodnistego gulaszu, brakowało lekarstw, świeżej wody, urządzeń sanitarnych.

Ustalono również, że trzy tysiące Żydów na dobę będzie wysyłanych do Auschwitz. Eichmann użył przy tym sprytnego wybiegu. Podjął mianowicie decyzję o deportacji w pierwszej kolejności Żydów ze wschodnich prowincji, niezasymilowanych i niepowiązanych z elitą w Budapeszcie. Szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), Ernst Kaltenbrunner nalegał, aby deportacje prze-

prowadzić najszybciej, jak to tylko możliwe. Eichmannowi było to na rękę. Dzięki jego doświadczeniu nie doszło tam do powstania, jakie miało miejsce w czasie likwidacji warszawskiego getta.

Wkrótce, w obliczu zbliżającej się Armii Czerwonej, podjęto decyzję o zwiększeniu ilości transportów – do czterech na dobę, wiozących w sumie 12 tysięcy ludzi. Po konsultacjach z Eichmannem, komendant Auschwitz, Rudolf Hoess poczynił niezbędne usprawnienia. Dobudowano krematoria IV i V, czterokrotnie powiększono ilość osób pracujących w Sonderkommando (obsłudze krematoriów). Powstała specjalna linia kolejowa, pozwalająca pociągom podjeżdżać bezpośrednio pod rampę, niedaleko miejsca uśmiercania. Podróż do obozu trwała trzy dni i była zorganizowana w sposób typowy dla Eichmanna. Nawet woda nie była dostarczana. Jeden z „pasażerów”, Ze’ev Sapir, wspominał później na procesie Eichmanna:

„Kobiety omdlewały; w jednym rogu wagonu ludzie krzyčili *Wasser* (wody), ale nie było wody – nie mogliśmy im dać wody, bo jej nie mieliśmy. W drugim rogu wagonu matka tuliła swe dziecko do siebie. Pamiętam jej słowa bardzo dobrze: *Schluf, mein Kind* (jidysz: śpij, moje dziecko). Ale dziecko nie mogło usnąć, bo było bardzo głodne. Nie jadło już od paru dni, od naszego wyjazdu z miasteczka. Przybyliśmy do Auschwitz. Nareszcie wiedzieliśmy, co nam przeznaczono, jaki był nasz los, w jakim miejscu byliśmy”.

„Zbliżyłem się do stołu... – opowiadał z kolei Joel Brand, Żyd z Transylwanii, prezes Komitetu Ratunku i Wyzwolenia (RRC). – Eichmann stał przede mną wyprostowany, nogi szeroko rozstawione, ręce na biodrach (...) »Lepiej powiedzieć – warknął na mnie. – Ty!... czy ty wiesz, kim jestem? Ja jestem odpowiedzialny za Akcję! W Europie, Polsce, Czechosłowacji, Austrii jest już skończona, teraz czas na Węgry!«”.

Ogólnie – według oficjalnych wyliczeń – 437 403 węgierskich Żydów zostało deportowanych do Oświęcimia-Brzezinki. 25–30% z nich zostało skierowanych do robót. Reszta – czyli minimum 306 tysięcy – została uśmiercona w komorach gazowych w ciągu paru

godzin od momentu przyjazdu.

Na arenie międzynarodowej zaczęły narastać protesty potępiające akcję eksterminacyjną. Głosy sprzeciwu wnieśli między innymi: papież Pius XII, prezydent USA, Franklin Delano Roosevelt i król Szwecji, Gustaw V Bernadotte. Deportacje – na pewien czas – ustały. Rozjuszyło to tylko Hitlera, który ostro skrytykował ambasadora Rzeszy na Węgrzech i w Chorwacji, Edmunda Veessenmayera. 12 lipca – w czasie trwania impasu – Eichmann zorganizował specjalny pociąg dla przetrzymywanych w obozie w podbudapeszteńskiej Kistarcsy więźniów politycznych. Inwalidom powiedziano: „Kule i wózki inwalidzkie powinny pozostać na miejscu, bo już wam więcej nie będą potrzebne”. Radzie żydowskiej i Węgom udało się zawrócić pociąg. Mimo tego – i wbrew decyzji rządu węgierskiego – Eichmann deportował z obozów Sarvar i Kistarcsa około trzech tysięcy „wrogów Rzeszy”. Poza tym używał życia, jak tylko mógł: dużo pił i palił, był bardzo popularny wśród węgierskich oficjeli, romansował na boku, jeździł konno, używał swej amfibii z nieograniczonym limitem paliwa. Jego głównym kompanem stał się znany węgierski antysemita, Laszlo Endre (powieszony 29 marca 1946 r.). Pozycja pana życia i śmierci bardzo mu odpowiadała.

28 września załoga Eichmanna została zwolniona z posterunku i oddelegowana do domów, ale jeszcze przez tydzień miała pozostać w Budapeszcie. Rządy na Węgrzech objął formalnie przywódca strzałokrzyżowców, Ferenc Szalasi. Regent Horthy został wzięty jako zakładnik. Eichmann wymógł na Szalasi odstępnie mu 50 tysięcy Żydów do specjalnego projektu – budowy podziemnej fabryki („Jäger Project”). W sytuacji gdy linie kolejowe były zniszczone bombardowaniem, mieli oni przemaszerować dystans ponad dwustu kilometrów dzielący Budapeszt od Wiednia.

29 października rosyjska artyleria zaczęła ostrzeliwać stolicę Węgier. Dwa miesiące później pętla okrażenia została zamknięta. Pomiędzy 20 a 26 października 35 tysięcy Żydów zostało wysłanych na front – do prac fortyfikacyjnych. W listopadzie rząd wyse-

lekcjonował grupę 25 tysięcy Żydów, którzy wyruszyli pieszo z Budapesztu na północ. Słabi i starsi byli dobijani w rowach przez węgierskich strażników.

Arye Breszlauer, Żyd, który otrzymał paszport od szwedzkiego poselstwa, opowiadał o tych marszach w sposób następujący:

„Widziałem twarze ludzi, którzy przeszli pieszo 200–220 km – bez jedzenia. Strach śmiertelny był w ich twarzach. Byli w zatrważającym stanie, bez jakiegokolwiek higienicznej opieki. Spełniali swe potrzeby fizjologiczne w silosach. Byli tam mężczyźni i kobiety. Mogłem tylko usłyszeć: »pomocy!«. Myśleli, że przyszli ludzie z ambasady, by ich wszystkich ocalić i zaczęli krzyczeć. Widziałem, że byli w strasznym stanie. Byli głodni i spragnieni. Nie mam na tyle sił, by opisać położenie ludzi, których widziałem”.

Te prawdziwe „marsze śmierci” obserwowała osobiście również grupa wyższych oficerów SS, którzy zaprotestowali w Berlinie przeciwko „marnowaniu zasobów niewolniczej siły roboczej”, ostro krytykując przy tym samego Eichmanna. Marsze zostały na pewien czas wstrzymane, ale wkrótce Eichmann doprowadził do ich wznowienia. Zrozumiawszy jednak uwagę o „marnowaniu zasobów”, wycofał z nich osoby starsze, kobiety i dzieci. Kiedy o zajściu dowiedział się Heinrich Müller, stwierdził:

– Gdybyśmy mieli pięćdziesięciu takich Eichmannów, automatycznie wygralibyśmy wojnę.

Z powodu organizowania marszów, Eichmann popadł przy okazji w konflikt ze szwedzkim poselstwem w Budapeszcie i działającym z jego ramienia Raoulem Wallenbergiem (o czym szerzej w rozdziale *Zaginiony bez śladu?*). Szwedzkie poselstwo zajmowało się ratowaniem Żydów, tworząc dla nich azyle i zapewniając dokumenty zwalniające z katorgi. O wspomnianym szwedzkim dyplomacie, nazistowski zbrodniarz powiedział kiedyś w przyпіływie szczerości:

– Moim celem jest zastrzelić tego żydowskiego psa Walenberga.

\*

24 grudnia, na parę godzin przed wkroczeniem czerwonoarmistów, Eichmann i jego szofer uciekli z Budapesztu. Skierowali się najpierw do Sopron na granicy austriacko-węgierskiej, a stamtąd do Berlina. Elita z RSHA kwaterowała przy 116 Kurfürstenstraße. SS-manni planowali ucieczki, sporządzano fałszywe dokumenty. Eichmann ufortyfikował swoje biuro i zajął się zacieraniem śladów „Ostatecznego Rozwiązania”. Prawdopodobnie wydał również rozkaz rozstrzelania, w razie nadejścia Armii Czerwonej, 17,5 tysiąca Żydów z Terezina.

Jego wolą było polec bohatersko w obronie stolicy III Rzeszy, Himmler rozkazał mu jednak zająć się ewakuacją tysiąca wpływowych Żydów z Terezina i przetrzymać ich jako zakładników. Posłusznie udał się więc w drogę.

W dniu kapitulacji Niemiec znalazł się w Austrii, gdzie w alpejskim kurorcie Altaussee umieścił swoją żonę i dzieci. Sam zaś, ze swym adiutantem, SS-Sturmbannführerem Rudolfem Janishem, przebrawszy się w mundur Luftwaffe, wrócił do Niemiec. Amerykański patrol zatrzymał ich niedaleko Ulm.

Doszedłszy do wniosku, że i tak zdradzi go znajdujący się pod lewym ramieniem tatuaż członka SS, Eichmann zrezygnował z roli lotnika. Przedstawił się Amerykanom jako urodzony we Wrocławiu SS-Untersturmführer Eckman z dywizji kawalerii SS-Reiter. Osadzono go w obozie jenieckim w Weiden, w Górnym Palatynacie, gdzie przebywał do sierpnia 1945 roku. Potem przeniesiono go do Frankonii. Przez cały czas bardzo obawiał się zdemaskowania, byli więźniowie łagrów często odwiedzali obozy jenieckie, szukając tam swych katów.

Bezpośrednio po wojnie poszukiwanie zbrodniarzy wojennych nie było jednak proste. Alianci zatrzymywali dziesiątki tysięcy podejrzanych, byli oni aresztowani, fotografowani i przesłuchiwani, ale bez „centrum”, które zajęłoby się przetwarzaniem tych informacji, ani Eichmann, ani inni, którzy podali fałszywą tożsamość,

nie mogli zostać odkryci w amerykańskich obozach jenieckich, których w samych Niemczech było ponad dwieście.

Gdy kryzys minął, Eichmann zgłosił się do starszych oficerów SS. Z otrzymanymi od nich fałszywymi dokumentami, w lutym 1945 roku uciekł ze słabo strzeżonego amerykańskiego obozu. Skierował się do Prienu, gdzie spotkał siostrę jednego ze swoich kolegów z SS. Udając małżeństwo, powędrowali na północ – do Hamburga, znajdującego się w brytyjskiej strefie okupacyjnej. Kilka dni później Eichmann opuścił miasto, chroniąc się w małej wiosce Eversen niedaleko Bergen w Dolnej Saksonii, gdzie podjął pracę drwala. Po jakimś czasie kupił kurzą fermę w tej samej okolicy.

Brytyjska strefa okupacyjna była dla nazistowskich zbrodniarzy dużo bezpieczniejsza niż amerykańska, nie mówiąc już o radzieckiej. Trwał proces w Norymberdze, jego byli podwładni i przełożeni bez skrupułów obciążali nieobecnego na ławie oskarżonych Eichmanna, często przypisując mu więcej zbrodni, niż rzeczywiście popełnił. Coraz bardziej przerażony, postanowił uciec do rządzonej przez Juana Peróna Argentyny. Kluczową rolę odegrała tu założona przez byłych SS-manów tajna organizacja o nazwie „Odessa”, która dzięki zrabowanym z Deutsche Banku funduszom znacznie usprawniła cały proces przemytu. Ambasady argentyńskie wystawiały fałszywe dokumenty, na podstawie których Czerwony Krzyż wydawał tymczasowy paszport, uprawniający do wyjazdu za granicę.

Dzięki pieniądзом zrabowanym między innymi Żydom, byli członkowie SS założyli fundusz pomocy w ucieczce i na rozpoczęcie nowego życia na obczyźnie. Właśnie dzięki zrabowanym pieniądzą, przychylności niektórych dostojników Kościoła i życzliwości władz państw takich jak wspomniana Argentyna, Paragwaj czy Brazylia, Adolf Eichmann mógł bezpiecznie udać się do Genui, a następnie statkiem przepłynąć Atlantyk i w lipcu 1950 roku zawiązać bezpiecznie do Buenos Aires.

Na miejscu skontaktował się z bractwem z SS. Carlos Fuldner zatrudnił go w swej firmie budowlanej „CAPRI” w prowincji Tuc-

man, gdzie zamieszkał w małej górskiej wiosce. Dla „CAPRI” pracował od sierpnia 1950 roku do kwietnia roku 1953. Potem wrócił do stolicy. Próbował tam bez większego powodzenia uruchomić kilka przedsięwzięć, a w 1959 roku podjął pracę jako mechanik-sprawcz w fabryce Mercedes-Benz, gdzie zatrudniło się również wielu innych byłych SS-manów.

Tymczasem w Niemczech *Frau* Eichmann, przekonana, że jej mąż nie żyje, wszczęła kroki niezbędne do uznania go za zmarłego. Adolf rzeczywiście przez długie lata nie dawał najmniejszego znaku życia, trafnie rozumując, że ci, którzy będą chcieli dotrzeć do niego, zaczną poszukiwania od obserwacji jego rodziny. Bał się, że żona może go zdradzić jakimś nieopatrzonym słowem lub nawet gestem. W końcu napisał pierwszy list, informując w nim żonę Veronikę, że „wuj jej dzieci, którego wszyscy dawno już pogrzebali, znajduje się w bezpiecznym miejscu i jak się tylko ustabilizuje, postara się sprowadzić ją do siebie”.

Kiedy w sierpniu 1952 roku *Frau* Eichmann wyjechała razem z dziećmi do Argentyny, wciąż poszukujący jej małżonka Żydzi wiedzieli, że trop został odnaleziony.

Utworzone 14 maja 1948 roku niepodległe państwo Izrael nie ustawało w tropieniu byłych nazistowskich zbrodniarzy. Ze szczególną zaciętością ścigani byli Josef Mengele – doktor medycyny i antropologii, zwany „Aniołem Śmierci”, oraz Adolf Eichmann. Na podjęcie kroków, zmierzających do wymierzenia mu właściwej kary, przyszło jednak poczekać jeszcze kilka lat. Wiarygodne informacje o miejscu pobytu obydwu wymienionych wyżej zbrodniarzy pojawiły się dopiero w roku 1960.

Odpowiedzialny za ściganie nazistów, szef specjalnie powołanej w tym celu komórki w izraelskim wywiadzie, Isser Harel, wysłał wtedy do Argentyny kilku swoich podwładnych, celem potwierdzenia wiadomości. Opierając się na dodatkowych informacjach, dostarczonych przez Fritza Bauera, Żyda sprawującego funkcję krajowego prokuratora Hesji, ludzie Harela odnaleźli Eichmanna. Eksnazista przybrał nazwisko Ricardo Clement i żył z żoną oraz cztere-

ma synami w Buenos Aires. Harel natychmiast powiadomił o tym fakcie pierwszego premiera Izraela, Dawida Ben Guriona, który niedawno ponownie został szefem rządu. Ben Gurion bez chwili wahania wyraził zgodę na porwanie Eichmanna i postawienie go przed izraelskim sądem.

Do zespołu porywaczy, łącznie z agentami wsparcia i obserwatorami, wybrano z Mosadu i Szin Bet dwudziestu mężczyzn i jedną kobietę. Wszyscy byli ochotnikami, prawie wszyscy stracili kogoś z bliskich w czasie holokaustu i nienawidzili Eichmanna. Harel przypomniał im, że muszą panować nad emocjami. Najwytrawniejszy fałszerz dokumentów przygotował dla wszystkich lipne paszporty i inne papiery, tak żeby mogli odbyć podróż do Argentyny osobnymi rejsami i pod nazwiskami, którymi nigdy więcej nie mieli się już posłużyć.

W Buenos Aires wynajęto pół tuzina zakonspirowanych lokali i kilka samochodów na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Cała operacja przebiegła jednak z zadziwiającą łatwością. Uczestnicząca w niej agentka pełniła tradycyjną rolę „gosposi” przygotowującej posiłki i sprzątającej lokal, w którym przetrzymywano nazistowskiego więźnia.

Uprowadzenie zostało tak zaplanowane, żeby zbiegło się z wizytą oficjalnej delegacji Izraela w Argentynie, uczestniczącej – obok wielu innych, zaproszonych gości z całego świata – w uroczystościach 150-lecia niepodległości tego kraju. Rejsowy samolot izraelskich linii lotniczych „El Al” przywiózł delegatów 19 maja i miał wrócić do Tel Awiwu następnego dnia wieczorem.

Ludzie Harela opowiadali potem, że najtrudniejszą częścią zadania było dla nich karmienie Eichmanna i dbanie o niego przeszło dziewięć dni w oczekiwaniu na lot powrotny do Izraela. Przyglądali mu się ze zdumieniem, dziwiąc się, że tak szary i niepozorny człowiek był w rzeczywistości personifikacją zła. Potulnie podpisał oświadczenie, że zgadza się odpowiadać przed izraelskim sądem.

– Jestem wielkim przyjacielem Żydów – oświadczył niespodziewanie któregoś dnia.



Tego było już za dużo. Pilnujący go agenci wpadli w gniew. „Niektórzy moi ludzie byli bliscy zapomnienia o nakazach, żeby go nie dotykać – wspominał Isser Harel. – Chcieli go zabić. Na szczęście zdołali się powstrzymać, a Eichmann zaczął potem nawet prosić o drobne uprzejmości”. Powiedział także, że ujawni wszystkie tajemnice Hitlera, jeżeli Izraelczycy darują mu życie. Harel obiecał tylko, że otrzyma najlepszego ze wszystkich możliwych adwokata, który będzie go bronił w czasie procesu.

Nadzorujący operację Isser Harel założył swoją „kwaterę główną” w kawiarni portu lotniczego Ezeiza. Tam, wśród tłumu przewalających się podróżnych, siedział przy stoliku rozdzielając nowe dowody tożsamości, którymi mieli się posłużyć jego agenci, by bezpiecznie i bez przeszkód wyjechać z Buenos Aires. Eichmann i ludzie, którzy mieli go eskortować, zostali w zakonspirowanej kwadrze ubrani w mundury „El Al”. Pracujący dla Mosadu lekarz anestezyjolog wstrzyknął w ramię przestępcy wojennego silny środek uspokajający. Z pozoru senny, „rezerwowy członek załogi” nie wzbudził najmniejszych podejrzeń, wchodząc na pokład samolotu razem z niczego nieświadomymi dygnitarzami izraelskimi, wracającymi do kraju po uroczystościach związanych z niepodległością Argentyny.

„Byliśmy ubrani w uniformy izraelskich linii lotniczych – wspominał później ten moment dowódca akcji, Rafi Eitan[18], szef wydziału operacji specjalnych Szin Bet. – Wsiadłem do samochodu z prawej strony Eichmanna, nasz lekarz siedział z lewej. Trzymał w ręku strzykawkę, by w razie czego uśpić go na dobre, igłę umieścił w żyle. W hangarze poprowadziliśmy więźnia do samolotu, posadziliśmy z tyłu. Mieliśmy mówić, że nasz kolega upił się w trupa. Gdy ocknął się w trakcie lotu, spytał: »Dokąd lecimy?«. Odpowie-

---

18 W latach siedemdziesiątych Rafi Eitan stanął na czele tzw. Batalionu zemsty (lub Szwadronu śmierci), który tropił i likwidował członków palestyńskiej organizacji terrorystycznej Czarny Wrzesień, odpowiedzialnej za masakrę sportowców izraelskich podczas Igrzysk Olimpijskich w Monachium w 1972 roku.

działem, że do Izraela. Pobladł i stwierdził, że takim małym samolotem nie dolecimy. Ale dolecieliśmy”.

Kapitanowi samolotu powiedziano o zbrodniczym pasażerze dopiero w pierwszych minutach lotu, 20 maja, gdy wystartował już z Buenos Aires. Za radą Harela, międzylądowanie na uzupełnienie paliwa zaplanowano w mieście tak odległym od trasy, jak tylko dało się wymyślić. Wypadło zużyć paliwo lotnicze niemal do ostatniej kropli, żeby dotrzeć do Dakaru. Tankowanie przebiegło szybko i sprawnie, samolot wiozący na pokładzie słynnego nazistę na spotkanie z izraelską sprawiedliwością wylądował w Tel Awiwie 21 maja o siódmej rano.

\*

Następnego dnia premier Ben Gurion zdecydował się na rzadki gest uznania dla pracowników wywiadu, informując w Knesecie, że „służby bezpieczeństwa Izraela odnalazły Eichmanna i będzie on w niedługim czasie postawiony przed sądem”. Parlament skwitował to oświadczenie ogólnym aplauzem. Był to chyba jedyny wypadek w całej historii Knesetu, gdy po przemówieniu premiera klaszali wszyscy posłowie.

Wkrótce po oświadczeniu Ben Guriona, kolega Eichmanna, Wilhelm Sassem, zaoferował na sprzedaż stenogram wielogodzinnych rozmów, jakie przeprowadził z nim w Buenos Aires. Autoryzowany przez Eichmanna maszynopis jego wspomnień trafił do tygodników „Der Stern” w RFN, „Life” w USA oraz – inną drogą – do „Polityki” w Warszawie, która opublikowała najbardziej obszerny wybór w maju 1961 roku.

Porwanie nazistowskiego zbrodniarza i najbardziej powszechne uznanie, jakie kiedykolwiek zdobyły izraelskie służby specjalne, były z pewnością czasem największego tryumfu Issera Harela. Gdzie tylko się udawał, sławiony był jako „człowiek, który pojmał Eichmanna”. Dopiero jednak po kilkadziesiąt lat Harel ujawnił, że tego samego wieczoru jego ludzie byli bliscy ujęcia innego

poszukiwanego nazisty, Josefa Mengele. Izraelscy agenci zdobyli nawet adres, pod którym mieszkał Mengele – luksusowy apartament w Buenos Aires. Udali się tam, by stwierdzić jedynie, że kilka dni wcześniej doktor – przestępca wojenny przeniósł się do Paragwaju, a stamtąd do Brazylii.

Tuż po przybyciu do Izraela, Eichmann został umieszczony w specjalnie przygotowanej celi, niedaleko Hajfy, w której spędził kolejnych dziewięć miesięcy. Znajdował się pod stałą obserwacją. Zostały podjęte nadzwyczajne środki, by nie popełnił samobójstwa. Wybrano strażników, których rodziny nie ucierpiały wskutek działań III Rzeszy. Lekarz badał go dwa razy na dobę.

29 maja rozpoczęły się przesłuchania zbrodniarza, prowadzone przez specjalną jednostkę policji – „Biuro 06”, liczące prawie trzydziestu niemieckojęzycznych śledczych, kierowanych przez Avnera Lessa, niemieckiego Żyda, który przybył do Palestyny w roku 1938. Po tym, jak Less zauważył, że ułatwiają mu one zeznania, Eichmann otrzymywał nieograniczoną ilość papierosów. Każdego dnia pedantycznie czyścił swą celę. „Był przykładnym więźniem: schludnym i o ustalonych nawykach” – zauważył Prokurator Generalny Izraela, Gideon Hausner.

Porwanie Eichmanna wywołało oczywiście konflikt dyplomatyczny pomiędzy Izraelem i Argentyną oraz ożywione dyskusje na forum ONZ. W samej Argentynie mniejszość żydowska została narażona na ataki nazistów – weteranów i ich sympatyków. Żydzi usprawiedliwiali się tym, że nie istniała żadna inna możliwość wymierzenia zbrodniarzowi sprawiedliwości – Argentyna z pewnością odrzuciłaby wniosek o ekstradycję, gdyż w przeszłości czyniła to już wielokrotnie w stosunku do innych przestępców wojennych. Ewentualny wniosek o ekstradycję Eichmanna byłby również pozbawiony szans z tego powodu, iż wszelkie zbrodnie związane z II wojną światową ulegały tam przedawnieniu z upływem 15 lat od zakończenia wojny. Po 8 maja 1960 roku nazisty nie można byłoby więc ekstradować w sposób legalny.

Porwanie potępił kanclerz Republiki Federalnej Niemiec, Kon-

rad Adenauer, uchodzący – nie bez podstaw – za jednego z ojców powojennej demokracji w Niemczech. Ale o ekstradycję nie wystąpił, zdając sobie doskonale sprawę, że spotka się z odmową. „Pora przestać węszyć za nazistami – powiedział Adenauer już w 1951 roku. – Jeśli raz zaczniemy, nie wiadomo dokąd nas to zaprowadzi”. Ten swoisty poprzednik „grubej kreski”, forowanej dużo później w zupełnie innym kraju przez zupełnie innego polityka, spotkał się z poparciem wielu wpływowych kręgów na całym świecie. Tylko nieliczni jeszcze byli zainteresowani doprowadzeniem zbrodniarzy przed oblicze sprawiedliwości. Najmniej zależało na tym samym Niemcom. W takim wypadku z pewnością wyszłoby bowiem na jaw, że wielu byłych zbrodniarzy wojennych zajmuje tam odpowiedzialne stanowiska. Byli funkcjonariusze NSDAP stanowili 1/3 gabinetu Adenauera, 1/4 Bundestagu i znaczny procent pracowników służby cywilnej, sądownictwa oraz MSZ. Ośmiu byłych nazistów znalazło się wśród ambasadorów. Spora część prasy natomiast żądała ekstradycji i osądzenia Eichmanna „przez sędziów, a nie mścicieli”.

Całą odpowiedzialność za zawirowania na arenie międzynarodowej oraz odpowiedzialność za prawo do sądenia i ukarania zbrodniarza na terenie młodego państwa wziął na siebie premier David Ben Gurion.

Stosunki izraelsko-niemieckie były wówczas delikatne... Niepełna dziesięć lat przed pojmaniem Eichmanna, 10 września 1952 roku Niemcy podpisały z Izraelem umowę o odszkodowaniach za zagrabiony żydowski majątek oraz za cierpienia i śmierć europejskich Żydów. Stronę niemiecką reprezentował osobiście kanclerz Konrad Adenauer, stronę izraelską minister spraw zagranicznych, Mosze Szaret. Umowa zapewniała ratalną wypłatę trzech miliardów marek państwu żydowskiemu oraz miesięczne renty dla tych, którzy przeżyli holokaust. Dla raczkującej gospodarki Izraela był to potężny zastrzyk finansowy.

Niedługo przed rozpoczęciem procesu w nowojorskim hotelu Waldorf-Astoria doszło do spotkania Ben Guriona z Adenauerem.

Treści rozmowy obu mężów stanu nie podano nigdy do publicznej wiadomości. Dziwnym trafem zaginął nawet sporządzony z niej protokół. Wiadomo tylko, że po spotkaniu zwiększono znacznie sumę płaconych przez Niemców odszkodowań. Znaczący politycy twierdzą, że rezultatem wspomnianej wymiany poglądów było również porozumienie w sprawie dostaw broni niemieckiej dla państwa żydowskiego, które podpisano niedługo potem. Premierowi Izraela, doskonale znającemu przecież skład niemieckiego rządu, w żaden sposób nie zależało na komplikowaniu sobie układów z Bonn, Adenauer zaś ze swej strony mógł liczyć w tej sprawie na jego pełną dyskrecję. Nieprzypadkowo zapewne Ben Gurion własnoręcznie poprawił w akcie oskarżenia słowo „Niemcy” na „Niemcy nazistowskie”, co w przyszłości dało podstawę do wykreślenia z różnych oficjalnych dokumentów samego słowa „Niemcy” i sugerowania naiwnym, że bestialskich zbrodni dokonywali jacyś beznarodowi naziści. Nieprzypadkowo również potem, już w trakcie procesu, uzgadniał z prokuratorem listę świadków oskarżenia.

\*

Proces Adolfa Eichmanna rozpoczął się 11 kwietnia 1961 roku w Beit Ha'am (Sali Ludowej) w Jerozolimie, przeznaczonej dla uczestników oraz 750 widzów. Oskarżony, wraz z dwoma strażnikami, został umieszczony w specjalnym, szklanym i kuloodpornym pomieszczeniu, widzianym z każdego punktu sali. Rozprawa była tłumaczona na bieżąco – na trzy języki, filmowała ją przez cały czas amerykańska telewizja.

Głównym oskarżycielem został Gideon Hausner – prokurator generalny Izraela, urodzony w 1915 roku we Lwowie, gdzie jego ojciec był aktywnym syjonistą i polskim politykiem. Do Palestyny przybył wraz z całą rodziną w roku 1937.

Oskarżonego bronił dr Robert Servatius, wzięty prawnik z Kolonii o poglądach konserwatywno-nacjonalistycznych, były żołnierz Wehrmachtu, nieskalany jednak współpracą z nazistami. Na pro-

cesie norymberskim zajmował się obroną między innymi Fritza Sauckela i dr. Karla Brandta – twórcy „Projektu Eutanazja”. Eichmann, uprowadzony z Argentyny bez grosza w kieszeni, nie mógł sobie pozwolić na opłacenie prawnika tej rangi. Rządy w Bonn i Jerozolimie zgodziły się więc wspólnie pokryć koszt wynagrodzenia Servatiusa i jego asystenta, Dietera Wechtenbrucha, wynoszący 60 tysięcy dolarów.

Po to, by obcokrajowiec mógł występować przed izraelskim sądem jako adwokat, potrzebna była nowelizacja przepisów. Dokonano jej 30 listopada 1960 roku, ustalając, że adwokat-cudzoziemiec może brać udział w sprawie, w której istnieje zagrożenie karą śmierci. Przez zdecydowaną większość czasu doktor Servatius występował jednak w pojedynkę, w związku z czym Eichmannowi przypadło pełnienie roli pomocnika-asystenta własnego obrońcy.

W pierwszej fazie procesu obrońca usiłował podważyć kompetencje Sądu Okręgowego w Jerozolimie, twierdząc, że zbrodnie przypisywane Eichmannowi dokonane zostały przed powstaniem państwa żydowskiego. Argumentował również, że wszyscy trzej sędziowie są Żydami, co podważa ich bezstronność, ponieważ jako obywatele państwa żydowskiego występują oni niejako we własnej sprawie. (Benjamin Halevi, Icchak Raveh oraz Mosze Landau – przewodniczący, pozbawieni zostali prawa wykonywania zawodu w Trzeciej Rzeszy i wyemigrowali do Palestyny).

Wszystkie wnioski Servatiusa w tym zakresie zostały przez sąd odrzucone.

Servatius zyskał jednocześnie poparcie ze strony wielu zwolenników rozpatrzenia sprawy przed trybunałem międzynarodowym. Należał do nich między innymi Karl Jaspers, niemiecki psychiatra i filozof, główny przedstawiciel egzystencjalizmu, który w jednym z radiowych wywiadów stwierdził: „Każda zbrodnia przeciwko Żydom była również zbrodnią przeciwko ludzkości, tak więc wyrok może wydać jedynie sąd reprezentujący całą ludzkość”. Jaspers wysunął propozycję, żeby po wysłuchaniu wszystkich świadków sąd jerozolimski rzekł się prawa do wydania wyroku stwierdzając, iż

„nie jest władny tego uczynić”. Według sławnego filozofa charakter popełnionej zbrodni był wciąż dyskusyjny, podobnie jak kwestia popełnienia jej na polecenie czynników rządowych.

Inną propozycję rozwiązania tego problemu wysunął dr Nahum Goldman, prezes Światowego Kongresu Żydów. Zgłosił mianowicie projekt powołania w Jerozolimie sądu międzynarodowego, złożonego z sędziów pochodzących ze wszystkich krajów, które w czasie wojny znalazły się pod hitlerowską okupacją. Projekt ten nie został jednak poddany dyskusji.

Na wszelkie próby odebrania mu prawa do sądenia zbrodniarza Izrael reagował bardzo gwałtownie, argumentując, iż „to właśnie Jerozolima jest najodpowiedniejszym miejscem do przeprowadzenia procesu wykonawcy „Ostatecznego Rozwiązania”, ponieważ zarówno wszystkie dokumenty, jak i świadkowie, występują tu liczniej niż gdziekolwiek indziej.

Szybko jednak wyszło na jaw, że Izrael jest jedynym krajem na świecie, gdzie nie można wysłuchać świadków obrony. Wśród nich było wielu funkcjonariuszy dawnego reżimu nazistowskiego, a prokurator odmówił im udzielenia gwarancji bezpieczeństwa. I tak w dokumentacji dowodowej znalazły się zeznania 16 świadków, którzy nie przyjechali do Jerozolimy, bojąc się, by nie spotkał ich tam los Eichmanna.

Przedstawienie materiału dowodowego poprzedziła mowa prokuratora generalnego Hausnera. Złamany został w ten sposób niepisany zwyczaj, mający w Izraelu zastosowanie w procesach kryminalnych, że swe przemówienie oskarżyciel wygłasza dopiero na końcu, jako podsumowanie zebranego materiału dowodowego.

Akt oskarżenia oparty był na izraelskim kodeksie karnym z 1950 roku i liczył 15 głównych punktów. Zgodnie z nim, Adolf Eichmann miał odpowiedzieć za następujące czyny:

#### **Pkt 1–4. Zbrodnie przeciwko ludności żydowskiej:**

– Oskarżenie, że w latach 1939–1945, wspólnie z innymi, przyczynił się do śmierci milionów Żydów, jako osoba, która była odpo-

wiedzialna za wdrażanie planu nazistów, o fizycznym wyniszczeniu Żydów, znanego pod nazwą Ostateczne Rozwiązanie Kwestii Żydowskiej.

– Oskarżenie (o czynności prawdopodobnie popełnione), że wraz z innymi z sekcji 1VB w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy i z osobami z nimi powiązanymi wydawał polecenia, służące zniszczeniu Żydów w Niemczech, państwach Osi i okupowanych terytoriach, włączając w nie rozkazy uśmiercania Żydów w obozach koncentracyjnych.

– Oskarżenie (opierające się na przypuszczeniu), że Eichmann polecił komendantom obozów koncentracyjnych (Auschwitz i innym) użycie Cyklonu B oraz zadbał o regularne dostawy gazu do obozu.

– Oskarżenie o to, że bezpośrednio po zajęciu Polski, koordynował tam akcję wysiedleńczą i eksterminacyjną.

– Oskarżenie o odpowiedzialność za działalność „Einsatzgruppen” w Rosji w 1941 roku i śmierć Żydów deportowanych do gett na wschodzie, jak również zniszczenie pewnych żydowskich społeczności.

– Oskarżenie o śmierć setek tysięcy Żydów w obozach pracy przymusowej, gettach i obozach przejściowych, w każdym kraju, który objęła operacja „Ostatecznego Rozwiązania”.

– Oskarżenie o osobisty wkład w zniszczenie około pół miliona Żydów węgierskich.

– Oskarżenie o pozbawienie milionów Żydów podstawowych warunków egzystencji, aby doprowadzić ich do fizycznej zagłady poprzez kasację elementarnych praw, skupienie w gettach i późniejsze deportacje w niehumanitarnych warunkach.

– Oskarżenie o działanie na szkodę milionów Żydów w czasie rządów nazistów, poprzez zmuszanie ich do niewolniczej pracy, głodzenie, masowe aresztowania, pobicia oraz bojkot ekonomiczny – wszystko w celu eksterminowania ludności żydowskiej.

– Oskarżenie o zmuszanie do sterylizacji i aborcji ludności ży-



dowskiej, w różnych miejscach i warunkach, włączając w to działania w Terezynie od 1942 roku.

**Pkt 5–7. Zbrodnie przeciwko ludzkości:**

– Oskarżenie o zabójstwa, ludobójstwo drogą pozbawiania wszelkich praw, głodzenia i wysiedlania żydowskiej ludności cywilnej.

– Oskarżenie o prześladowania Żydów, ze względu na ich narodowość, rasę i religię.

– Oskarżenie o szczególne czynności, takie jak: okradanie, wywłaszczanie i plądrowanie majątków Żydów.

**Pkt 8. Zbrodnie wojenne przeciwko Żydom.**

**Pkt 9–12. Zbrodnie przeciwko innym narodowościom:**

– Oskarżenie o deportację w nieludzkich warunkach ok. 500 tysięcy polskich cywili, z zamiarem późniejszego umieszczenia w ich domach Niemców.

– Oskarżenie o deportację 14 tysięcy Słoweńców.

– Oskarżenie o skupianie w gettach dziesiątków tysięcy Cyganów i o ich późniejsze deportacje.

– Oskarżenie o deportację stu dzieci z czeskiej wsi Lidice do Polski, gdzie zostały one prawdopodobnie uśmiercone.

**Pkt 13–15. Przynależność do zbrodniczych organizacji:**

– członkostwo w SS.

– członkostwo w SD.

– członkostwo w gestapo.

\*

Na każdy z zarzutów Eichmann odpowiadał krótko: „W rozumieniu aktu oskarżenia niewinny” – mając na myśli różnice między odpowiedzialnością prawną i moralną. Według wyjaśnień złożonych przez jego adwokata, poczuwał się jedynie do winy przed

Bogiem, w żadnym zaś wypadku przed prawem.

Linia obrony była bardzo prosta: Servatius starał się udowodnić, iż oskarżony działał zgodnie z obowiązującym podczas wojny nazistowskim systemem prawnym. Nie uczynił więc nic złego, a tego, co uczynił, nie można nazwać zbrodnią, lecz raczej „aktami usankcjonowanymi przez państwo”, on zaś miał obowiązek im się podporządkować.

„Z zabijaniem Żydów nie miałem nic wspólnego – tłumaczył Eichmann. – Nigdy nie zabiłem Żyda, ale też nigdy nie zabiłem nikogo niebędącego Żydem – nigdy nikogo nie zabiłem. Nigdy też nie wydałem nikomu polecenia, by zabić Żyda, ani nie wydałem polecenia, by zabić kogoś, kto nie był Żydem. Nie, nigdy. Cała nasza praca miała miejsce w biurze”.

Przed sądem w Jerozolimie wystąpiło 108 świadków oskarżenia, których zeznania dowodziły, że Eichmann jest niewątpliwie winien zarzucanych mu czynów. Tylko dwunastu spośród nich miało z nim osobisty kontakt. Ze składanych zeznań wynikał przede wszystkim fakt, iż Eichmann dysponował nieograniczonymi uprawnieniami. Stanowił, kto spośród Żydów ma zostać zniszczony teraz, a kto później.

Niewątpliwie strona oskarżająca w zbyt dużym stopniu oparła się na zeznaniach byłych (żyjących i nieżyjących) funkcjonariuszy nazistowskich. Wiele uwagi poświęcono wyjaśnieniom Hermanna Göringa, Rudolfa Hoessa, Oswalda Pohla czy Ernsta Kaltenbrunnera, zapisanym w „Dzienniku Norymberskim” przez Gustava Marka Gilberta, który podczas słynnego procesu pełnił funkcję psychologa więziennego. Wszyscy ci ludzie zgodnie twierdzili, iż to właśnie Eichmann był osią maszyny zagłady.

Kaltenbrunner na przykład opowiadał, jak w Auschwitz wydierano niemowlęta z rąk matek, jak żywe jeszcze dzieci wrzucano do pieców krematoryjnych.

– Więc o wszystkich tych okropnych zbrodniach nic pan nie wiedział? – zapytał go Gilbert.

– Nie wiedziałem – odpowiedział Kaltenbrunner. – To należało do Himmlera, do Eichmanna i do ich podkomendnych.

Obrona zwróciła uwagę na fakt iż „w dobie procesów o zbrodnie wojenne istniał zwyczaj, by, na ile to tylko możliwe, obciążać winą nieobecnych i uważanych za zmarłych”. A Eichmanna na procesie w Norymberdze nie było i wszyscy przekonani byli, że nie żyje.

Przez cały czas trwania procesu Eichmann podkreślał, iż nie jest żadnym nędznym łajdakiem, jeśli zaś chodzi o wyrzuty sumienia, to był święcie przekonany, że odczuwałby je dopiero wówczas, gdyby nie posłał na śmierć tych milionów mężczyzn, kobiet i dzieci: „W takim wypadku nie wykonałbym przecież rozkazu, a to byłoby gorsze od zagłady całego narodu”.

Na świadków obrony powołani zostali głównie byli współpracownicy Eichmanna, w których interesie bynajmniej nie leżało odciążenie zeznaniami swego dawnego szefa, a wręcz przeciwnie, przypisanie mu własnych niejednokrotnie zbrodni. W trakcie procesu okazało się, że odciążenie może znajdować się bardzo blisko obciążenia.

Po pół roku trwania procesu Servatius mógł być już całkowicie pewien tego, że najwyższy wymiar kary dosłownie wisi w powietrzu. Sam Adolf Eichmann też zapewne czuł na szyi coraz mocniej zaciskający się konopny sznur. Dowody z przesłuchań setek świadków, głównie byłych więźniów obozów koncentracyjnych, nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości. Od samego początku procesu obaj adwokaci uzgodnili, że w żaden sposób nie będą starali się tych zeznań podważać. Każda przecież próba kontestacji tych przerażających relacji, w których dotąd jeszcze czuć było mdlący smród krematoryjnego dymu, mogła wywołać tylko jeden efekt – powszechne oburzenie. Opinia publiczna w Jerozolimie skazała Eichmanna na śmierć, zanim jeszcze proces się rozpoczął.

Servatius postanowił zagrać swym ostatnim atutem, aby przekonać sąd, że jego klient nigdy nie inicjował zagłady Żydów i że był tylko posłusznym wykonawcą rozkazów otrzymany od przełożonych. Znalazł mianowicie osobę, której żaden sąd nie mógł

zdyskredytować i która mogła przeważyc szalę na korzyść jego klienta. Tą osobą był Hans Globke.

W III Rzeszy jako urzędnik MSW Hans Globke pracował w Biurze Żydowskim Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i był jednym ze współautorów komentarza do rasistowskich ustaw norymberskich. Gdy szef Biura odpowiedział na decyzję uruchomienia komór gazowych złożeniem dymisji, Globke bez wahania przejął jego stanowisko. Od tej chwili miał wgląd i wpływ na przebieg działań kryjących się pod kryptonimem „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”. We wrześniu 1960 roku, a więc już po aresztowaniu Eichmanna, tygodnik „Der Spiegel” opublikował artykuł opisujący częste kontakty Globkego z oskarżonym. Niemiecki tygodnik podpierał się zeznaniami skazanego na długoletnie więzienie zbrodniarza wojennego Maxa Martena. Świadczenie Globkego o podrzędnej roli Adolfa Eichmanna w tej akcji mogło mieć ogromne znaczenie.

Był tylko jeden problem: w okresie, gdy Eichmann siedział na ławie oskarżonych w Jerozolimie (a ściślej mówiąc, na krześle umieszczonym w szklanej, kuloodpornej klatce), Hans Globke zajmował stanowisko dyrektora kancelarii Konrada Adenauera w Bonn. Liczni historycy twierdzą, że miał nieograniczony dostęp do kanclerza i że był jego najbardziej zaufanym urzędnikiem. Przemawiając 23 października 1952 roku w Bundestagu, Konrad Adenauer stwierdził, że bez urzędników, którzy zdobyli doświadczenie zawodowe w latach trzydziestych i czterdziestych, nie mógłby odbudować aparatu państwowego. Tego rodzaju oświadczenie, wygłoszone w czasach nasilenia zimnej wojny, było na Zachodzie możliwe do przełknięcia, Ben Gurion i członkowie jego ścisłego gabinetu zdawali sobie jednak sprawę, że gdyby Globke powtórzył taką opinię w roku 1961, zeznając w Jerozolimie, uderzyłaby ona w międzynarodowy prestiż Adenauera i rzuciła długi cień na stosunki Izraela z Republiką Federalną...

Nie, do tego premier nie mógł dopuścić. Gospodarcza i militarna sytuacja Izraela była wówczas zbyt zależna od szczodrości Republiki Federalnej. Nawet jeśli wola ta spowodowana była poczuciem

winy i odpowiedzialności za przeszłość.

W jaki sposób władze Izraela poznały plany Servatiusa i jak udało im się skłonić adwokata do ich zmiany, tego już zapewne nigdy się nie dowiemy. W każdym razie pracownicy Mossadu, uważanego przez wielu za najlepszy wywiad na świecie, z pewnością nie pobierają swych pensji za darmo. W każdym razie Globke nie pojawił się za barierą dla świadków jerozolimskiego sądu. Dzięki odtajnionym przez Archiwum Państwowe Izraela dokumentom wiadomo tylko, że z nieznanymi bliżej przyczyn na konto obrońcy wpłynęło dodatkowo 20 tysięcy dolarów. Łączenie jednak tego faktu z rezygnacją powołania na świadka Hansa Globkego mogłoby doprowadzić autora do procesu o zniesławienie, żadną więc miarą nie stara się on takiej możliwości sugerować.

\*

14 sierpnia, po ponad czterech miesiącach trwania procesu, w trakcie którego sąd odbył ogółem 114 sesji, dobiegł końca zasadniczy tok postępowania. Prokurator Hausner zażądał najwyższego wymiaru kary. Nie było żadnych okoliczności łagodzących. Doktor Servatius w swej płomiennej mowie obrończej położył nacisk na to, że Eichmann był przede wszystkim ofiarą epoki – reprezentantem III Rzeszy, któremu przypisano winny innych.

Oskarżony wygłosił swe ostatnie słowo przesycone rozczarowaniem. Powtórzył, że stał się ofiarą motta: „Mój honor pokładam w mej lojalności”, obowiązującego członków organizacji, do której należał. Nie był fanatykiem. Zawsze próbował żyć etycznie. Poprosił Żydów, by zapomnieli mu jego uczynki przeciwko nim.

– Nie jestem potworem, jakim mnie uczyniono – stwierdził.

Przewodniczący Mosze Landau zarządził przerwę na okres kolejnych czterech miesięcy, by wydać orzeczenie.

W piątek, 15 grudnia 1961 roku o godzinie dziewiątej rano sąd ogłosił wyrok śmierci.

Trzy miesiące później, 22 marca 1962 roku, przed sądem apela-

cyjnym rozpoczęło się postępowanie rewizyjne. Trwało tylko tydzień, po czym zarządzono przerwę na okres dwóch miesięcy. 29 maja, w radosne dla Żydów święto Purim, odczytano drugie orzeczenie. Izraelski Sąd Najwyższy w pełni zaakceptował wszystkie argumenty oskarżycieli. Mimo nacisków ze strony całej rzeszy polityków, filozofów i historyków z Izraela oraz ze wszystkich części świata, prezydent Icchak Ben-Zwi odmówił ułaskawienia.

Wykonawcę wyroku śmierci przez powieszenie wybrano spośród strażników więziennych w drodze losowania. Los padł na pochodzącego z Jemenu Shaloma Nagara. Według innej wersji, dwóch funkcjonariuszy więziennych nacisnęło przyciski uruchamiające zapadnię w tym samym momencie, by żaden z nich – zgodnie z prawem talmudycznym – nie był odpowiedzialny za śmierć skazańca. Był 31 maja 1962 roku.

Zwłoki Eichmanna spalono w naprędce przygotowanym krematorium, niedaleko plaży. Podobno w pierwszej próbie włożenia ciała do pieca krematoryjnego zsunęło się ono z olbrzymiej łopaty i spadło na plażę – częsty obrazek w miejscach, do których denat organizował swe deportacje. Jego prochy rozrzucano nad międzynarodowymi wodami Morza Śródziemnego.

Signature du délégué:  
 Signature of Delegate:  
 Unterschrift des Delegierten:  
 Firma del delegado:  
 Firma del delegado:  
 Подпис делегата:

**IL DELEGATO DEL C. I. G. R.**  
*(Dr. Leo Biaggi de Blasys)*

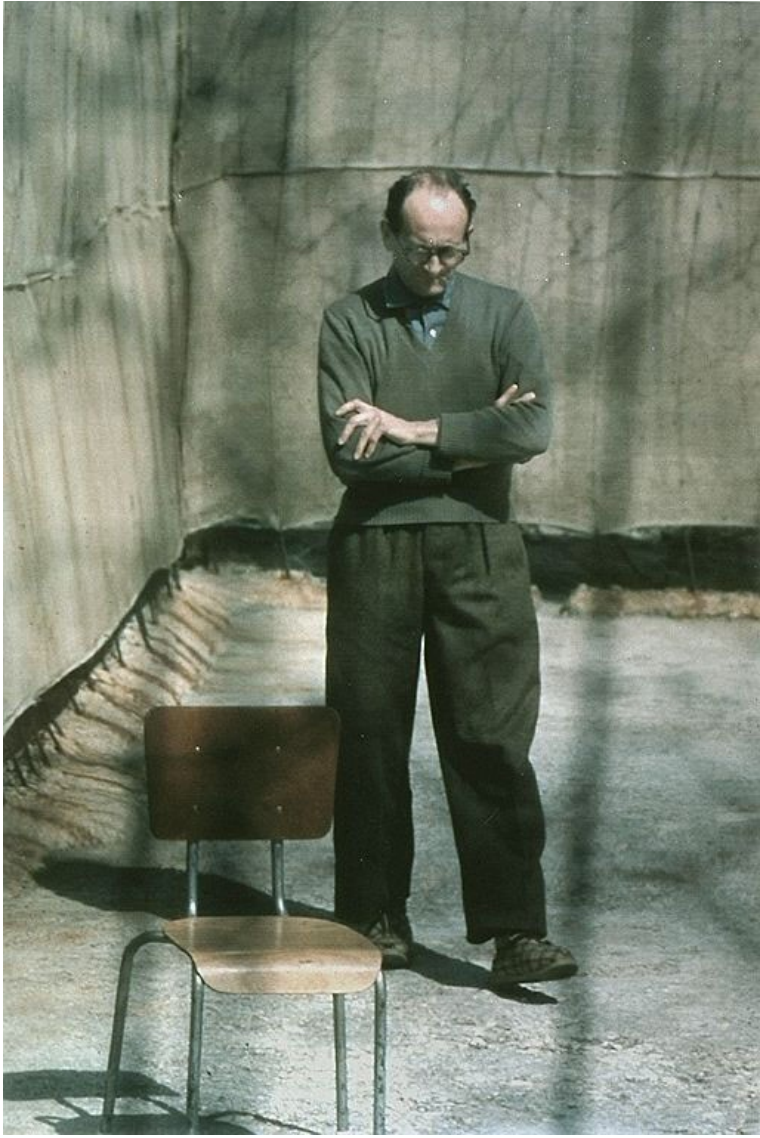
*Leo Biaggi de Blasys*

Cachet de la Délégation:  
 Delegation stamp:  
 Stempel der Delegation:  
 Timbro della Delegazione:  
 Sello de la Delegación:  
 Печатъ делегации:  
 Pieczęć delegacji:



Empreintes digitales (obligatoires)  
 Finger-prints (compulsory)  
 Fingerabdruck (unerlässlich)  
 Impronte digitali (obbligatorie)  
 Huellas digitales (obligatorias)  
 Отпечатки пальцев (обязательны)  
 Odciski palca (obowiązkowo)









W 1960 r. Mossad porwał i wywiózł do Izraela Adolfa Eichmanna, nazistowskiego zbrodniarza, który po wojnie schronił się w Argentynie.

# Rzecz o praniu mózgu.

## PATRICIA HEARST

(1974)

Pranie mózgu (nazywane także reformą procesu myślenia bądź reedukacją) to termin używany na określenie działań przymusowych albo o charakterze dobrowolnym, mających na celu zmianę poglądów lub zachowań jednej lub większej liczby osób. Termin „pranie mózgu” jest dosłownym tłumaczeniem chińskiego zwrotu *hsi nao*. Do potocznego języka wprowadził go amerykański korespondent wojenny, Edward Hunter, opisując sposoby, którymi Chińczycy doprowadzali do całkowitej zmiany poglądów i systemu wartości amerykańskich jeńców wojennych wziętych do niewoli podczas wojny w Korei. Przetrzymani przez dłuższy czas w chińskich więzieniach żołnierze całkowicie zmieniali poczucie lojalności, dając się przekonać, że popełnili wyimaginowane zbrodnie wojenne, a po powrocie do domu nierzadko okazywali się zagrożenymi komunistami. Chińczycy byli zresztą pionierami w zakresie zastosowania technik wywierania głębokiego wpływu na ludzkie myśli i przekonania. Określeniami „kontrola umysłu” czy „kontrola myśli” posługiwał się już na początku lat dwudziestych XX stulecia Mao Tse-tung.

Metoda stosowana przez chińskich oprawców opierała się w głównej mierze na zjawisku tak zwanego „dysonansu poznawczego”, a jej wdrażanie odbywało się – wbrew powszechnym wyobrażeniom – w sposób bardzo łagodny. Takie traktowanie pojmanych dawało zresztą najlepsze i najtrwalsze (w sensie zmiany postaw) efekty. Jeńców pytano najpierw w trakcie luźnej rozmowy o to, czy

dostrzegają jakieś niedoskonałości istniejącego w Stanach Zjednoczonych systemu politycznego. Oczywiście dostrzegali. Amerykański system, choć nieporównywalnie lepszy od rosyjskiego czy chińskiego, nie jest przecież idealny. Przeciętnie inteligentny człowiek zdawał sobie doskonale sprawę z problemów związanych z segregacją rasową czy wysoką przestępczością, będącą swoistą ceną demokracji.

Rozmówca z zainteresowaniem wypytywał o szczegóły, prosił o podawanie przykładów. Następnie proszono jeńców o zapisanie tego, o czym opowiadali. Potem wykorzystywano taki materiał (lub jego fragmenty) w dyskusji z innymi więźniami, w obozowym radiowęźle lub jako materiał propagandowy w innych obozach. Za jakiś czas proszono o wskazanie przynajmniej jednej pozytywnej rzeczy w komunizmie. W konsekwencji takich rozmów i działań więzień sam dochodził do wniosku, że oto kolaboruje z wrogiem. To stwarzało silny dysonans i konieczność jego redukcji. Faktom, niestety, nie dało się zaprzeczyć...

\*

Patricia Campbell Hearst nigdy nie spotkała osobiście sekretarza Mao, nie zetknęła się również z chińskimi „praczącymi mózgów”, ale ze stosowanymi przez nich metodami – owszem.

Urodziła się 20 lutego 1954 roku w San Francisco. Była wychowaną i rozpieszczoną córką Randolpha Appersona Hearsta oraz Catherine Wood Campbell, a właściwie jedną z pięciu córek. Uczęszczała do prywatnych szkół w Los Angeles, San Mateo, Crystal Springs i Monterey w Kalifornii, potem studiowała w Menlo College i na Uniwersytecie Berkeley.

Ojcem Randolpha Appersona, a zarazem dziadkiem Patty był słynny magnat prasowy William Randolph Hearst, twórca i właściciel olbrzymiego imperium medialnego, jednego z największych w historii, całe życie otaczający się atmosferą skandalu.

Prasowy magnat, twórca największej w USA sieci wydawniczej,

często przedstawiany jest jako opętany władzą potwór. W rzeczywistości stanowił jedną wielką chodzącą sprzeczność. Był ogromnej postury, lecz mówił cienkim dyszkancikiem. Mieszkał z kochanką, ale uchodził za wzorowego męża. Był autokratycznym szefem i krzyczał na pracowników, ale z wielkim trudem przychodziła mu decyzja o zwolnieniu kogoś. Był twórcą tak zwanego „bulwarowego dziennikarstwa”, choć sam wstydlivy i nieśmiały najlepiej czuł się w anonimowym tłumie.

Po śmierci ojca, George'a Hearsta, właściciela kopalni złota, a później (w latach 1886–1891) senatora stanu Kalifornia, William Randolph wykorzystał pozostawiony przez niego majątek w wysokości siedmiu i pół miliona dolarów do wejścia na nowojorski rynek prasowy, kupując w 1895 roku stojący na krawędzi bankructwa „New York Morning Journal”. Szybko osiągnął sukces i wysoki nakład dzięki obniżonej do 1 centa cenie, dużej liczbie ilustracji, błyszczącym nagłówkom, sensacyjnym artykułom poświęconym zbrodni oraz pseudonaukowym tematom. Robotników i imigrantów przyciągać miały kolorowe komiksy.

Aby zwiększyć nakład gazety, Hearst gotów był na wszystko, nawet na sprowokowanie wojny. W 1896 roku wysłał na Kubę malarza Fredericka Remingtona, aby przygotował cykl rysunków przedstawiających okrucieństwa Hiszpanów. Nie znalazłszy odpowiednich tematów, Remington przetelegrafował do Hearsta z Hawany następującą wiadomość:

W mieście panuje spokój. Na wojnę się nie zanoszą. Rozruchów żadnych nie ma. Proszę o zgodę na powrót do domu.

Odpowiedź wydawcy przeszła do historii:

Proszę pozostać na miejscu – odpisał Hearst. – Pan ma tylko dostarczyć ilustracji, ja dostarczę wojny.

Remington postąpił jak mu kazano, a Hearst odniósł sukces. Nieuczciwe szkice publikowane w gazetach tak podsyciły antyhiszpańskie nastroje, że gdy w porcie w Hawanie wysadzono okręt marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, rząd USA bez wahania wypowiedział wojnę.

W przyszłości wiele innych wiadomości publikowanych w prasie Hearsta miało podobny wydźwięk. W 1901 roku w jednej z jego gazet pojawił się komentarz, który uzasadniał słuszność zabójstwa politycznego. Kilka miesięcy później prezydent Stanów Zjednoczonych, William McKinley zginął z rąk anarchisty. W roku 1913 gazety Hearsta zamieściły zdjęcie meksykańskich dzieci stojących po kolana w wodzie z podniesionymi rękoma. Podpis głosił, że zostały wpędzone do morza przez meksykańskich *federales*, którzy mieli je rozstrzelać. W rzeczywistości zdjęcie zrobiono w Hondurasie Brytyjskim, a dzieci po prostu się kąpały i nikt nie miał najmniejszego zamiaru otwierać do nich ognia. Meksykanie w ogóle stanowili jedną z największych fobii prasowego magnata. Jego prasa opisywała ich jako „leniwych i zdegenerowanych palaczy marihuany”.

Wkrótce szef zaczął domagać się od swoich współpracowników nie tyle opanowania rzemiosła dziennikarskiego, ile zdolności do przedzierzganania się jak aktor w każdą postać i odgrywania z całym przekonaniem każdej roli. Odpowiednio przebrani redaktorzy Hearsta podawali się zazwyczaj za urzędników policji kryminalnej i przedstawicieli władzy. „Aresztowali” całkowicie niewinne osoby, po których obiecywali sobie dobry reportaż, zaciągali je do sfingowanych posterunków policji, spisywali protokoły rozmów z zastraszonymi i wylęknionymi ludźmi, albo prowadzili ich do „sędziego policyjnego” – oczywiście także człowieka Hearsta – który zmuszał ich do złożenia zeznań. Potem ofiary wypuszczano. Ich zażalenia w oficjalnych instytucjach spełzały na niczym.

Taki sposób przedstawiania prawdy spowodował, że styl gazet Hearsta nazwano „bulwarowym”. Amerykański publicysta Ernest L. Mayer napisał: „Cała długa i niecna kariera pana Hearsta była podżeganiem Amerykanów przeciwko Hiszpanom, Meksykanom, Rosjanom czy Japończykom”. Gdy w 1933 roku Hearst opublikował swoje słynne „zasady redaktorskie”, z których jedna głosiła na przykład: „unikaj rzeczy, które mogą obrazić dobrych ludzi” – środowisko dziennikarskie zaśmiewało się do rozpuku.

Mimo tego (a może właśnie dzięki temu) William Randolph zbu-

dował prawdziwe prasowe imperium. Do roku 1925 stworzył lub nabył gazety w każdym regionie USA. Dziesięć lat później, będąc u szczytu swej potęgi, posiadał 28 głównych gazet i 18 magazynów, a ponadto kilka stacji radiowych, wytwórni filmowych i agencji informacyjnych. Czwarta część czasopism na amerykańskim rynku i 60% w Kalifornii było pod jego kontrolą. Zatrudniał najlepsze pióra Ameryki, m.in. Marka Twaina oraz Jacka Londona. Do jego gazet pisywali politycy: Adolf Hitler, Benito Mussolini czy Winston Churchill. Jako pierwszy kazał Hearst pisać dziennikarzom artykuły tak, by można je było bez przeróbek przeczytać na antenie radia i tym samym ograniczyć koszty tworzenia audycji. Redaktorzy magazynów mogli zamawiać tylko takie reportaże, które można by później łatwo wykorzystać jako scenariusze filmowe. Hearst był więc prekursorem technik, które dziś fachowcy nazywają z namaszczeniem synergia (współdziałaniem) i konwergencją (przenikaniem się) mediów.

W ten sposób William Hearst kierował pierwszym chyba środkiem masowego przekazu, mającym dzięki wymyślnym metodom psychologicznego oddziaływania olbrzymi wpływ na wszystkich, i był w stanie manipulować dowolnie opinią „ludzi bez poglądów”. Rychło stał się więc potęgą, z którą władcy polityczni musieli się liczyć, a wrogowie obawiać.

Jeszcze z czasów studiów na Harvardzie William miał kochankę, Tessie Powers, z zawodu kelnerkę. Rzucił ją jednak dla aktorki i modelki Millicent Wilson, którą poślubił w roku 1903, dzień przed swymi czterdziestymi urodzinami. Mieli pięciu synów i całą gromadę wnucząt, z których największy rozgłos uzyskała wspomniana Patricia (Patty), trzecia z pięciu córek Randolpha A. Hearsta.

Od 1917 roku, miliony, które zarabiał na działalności wydawniczej, zaczął William Randolph topić w równie upartym, co bezsensownym wysiłku uczynienia sławnym nazwiska swej młodzietkiej kochanki, jasnowłosej, niebieskookiej Marion Douras, znanej później jako Marion Davis. Założył dla niej firmę produkcyjną „Cosmopolitan Production”, zamawiał scenariusze i najznakomit-

szych autorów, angażował najlepszych reżyserów. I Marion grała, chociaż jąkała się i sepleniała, a na domiar złego nerwowo mrugała powiekami w chwilach zacinania się albo zezowała swymi wielkimi jak spodeczki błękitnymi oczami. Wszystkie gazety Hearsta okrzykiwały ją przy okazji każdego filmu największym cudem, jaki kiedykolwiek pojawił się na ekranie. Partnerzy Marion Davies dostawali szczególnie wysokie honoraria, ponieważ mieli dodatkowe kłopoty. Hearst był o nią chorobliwie wprost zazdrosny i każdy namiętny pocałunek na ekranie, każde nieco czulsze spojrzenie rzucone przez filmowego amanta na jego pupilkę, doprowadzało go do białej gorączki. Aktorzy musieli więc bardzo uważać. Hearst zniszczył kilku, którzy w erotyczne sceny z Marion wkładali zbyt wiele uczucia.

W sierpniu 1924 roku na pokładzie należącego do Hearsta luksusowego jachtu „Oneida” doszło do tragedii. W niewyjaśnionych okolicznościach zginął podczas rejsu znany reżyser westernów, Thomas H. Ince. Jego zwłoki cichcem wyniesiono z pokładu, a uczestnicy wycieczki doznali nagle zbiorowej amnezji. Nikt niczego nie widział, nie słyszał i nie pamiętał. Prokuratura wszczęła śledztwo, ale szybko je umorzyła, ponieważ główny dowód w postaci zwłok Ince’a został błyskawicznie spalony w krematorium, prochy zaś nie nadawały się do przeprowadzenia sekcji i stwierdzenia przyczyny zgonu. W kuluarach mówiło się, że Ince’a zastrzelił Hearst... przez przypadek. W gęstej wieczornej mgle wziął go podobno za Charliego Chaplina, którego podejrzewał o sekretny romans z Marion. Czy tak było naprawdę, już się nigdy nie dowiemy. Hearst potrafił zamknąć usta nie tylko brukowej prasie spoza swej organizacji, lecz także hollywoodzkim plotkarzom, którzy tak wiele szeptali po kątach. Niektórych kazał postraszyć, innych po prostu przekupił i wokół tajemniczej śmierci reżysera zapadła cisza.

Po śmierci matki w roku 1919, William odziedziczył po niej rancho San Simeon w południowej Kalifornii, o powierzchni 250 000 akrów. Wzniósł tam jeden z najbardziej kosztownych i ekstrawaganckich domów na świecie, zwanych „Zamkiem Hearsta”. Prace

budowlane pod kierunkiem Julii Morgan właściwie nigdy nie zostały ukończone. Nowo powstałe pomieszczenia były natychmiast burzone i przerabiane tak, aby pomieścić coraz to nowe elementy starych budynków. Główna fasada z dwiema wieżycami, stanowiąca kopię katedry Mudejar, była zwieńczeniem schodów wiodących z basenu kąpielowego wypełnionego źródlaną wodą i otoczonego grecką kolumnadą. We wnętrzach „Zamku” znajdowały się stropy, ściany i posadzki „ukradzione” z kościołów i zamków europejskich, gotyckie kominki, ozdobne kafelki mauretańskie, a także greckie wazy i średniowieczne gobeliny. No i największy skarb Williama Hearsta – Marion Davis, z którą spędzał tam każdą wolną chwilę, zaniedbując żonę i dzieci. Urządzali przyjęcia kostiumowe, na których bawiła się cała śmietanka Hollywood, a także takie sławy jak Winston Churchill, George Bernard Shaw czy Charles Lindbergh. Pięćdziesiąt milionów dolarów ulokował prasowy magnat w nowojorskich nieruchomościach, taką samą sumę w swej kolekcji dzieł sztuki.

Ekstrawagancki tryb życia i Wielki Kryzys osłabiły znacznie pozycję Hearsta na rynku prasowym i finansowym. W 1937 roku został zmuszony do sprzedaży części swojej kolekcji dzieł sztuki, a w 1940 stracił osobistą kontrolę nad imperium telekomunikacyjnym, które zbudował. Ostatnie lata życia spędził w izolacji. Zmarł w swej rezydencji w Beverly Hills 14 sierpnia 1951 roku, w wieku 88 lat.

Wkrótce po jego śmierci Marion wyszła za mąż, ale do końca życia wspominała z czułością kochanka, który zapisał jej w testamencie pięć milionów dolarów. Przeżyła go tylko o dziesięć lat, umierając w roku 1961.

\*

W najczarniejszych snach pan W. R. Hearst nie przypuszczał zapewne, że po latach jego nazwisko spopularyzuje po raz drugi wnuczka, cicha, szara myszka, której nie zauważyłoby się nawet,



nadeptując jej na ogon. Cała historia stała się sensacją na miarę tych, które dziadek tworzył w swych brukowych gazetach.

Patricia ukończyła szkołę dla dziewcząt w Monterey (Santa Catalina School for Girls) i rozpoczęła studiowanie historii sztuki na uniwersytecie w Berkeley. Wydawało się, że jej życie upłynie spokojnie w szczęściu i dostatku. Wszystko jednak zmieniło się owego feralnego dnia, 4 lutego 1974 roku.

Późnym wieczorem do drzwi jej mieszkania w Berkeley, które zajmowała wspólnie z narzeczonym Stevenem Weddern, zapukała biała kobieta.

– Przepraszam najmocniej, czy mogłabym skorzystać z państwa telefonu? – zapytała, uśmiechając się bezradnie. – Zepsuł mi się samochód i...

– Jasne, nie ma sprawy – odpowiedział Steven. – Proszę wejść.

Więc kobieta weszła. Tylko że nie sama. Za nią do pomieszczenia wdarło się błyskawicznie dwóch uzbrojonych mężczyzn. Jeden z nich zaprawił Wedda kolbą pistoletu w głowę, w wyniku czego narzeczony stracił natychmiast przytomność, drugi wymierzył broń w kierunku Patrycji. Pobity został również sąsiad studenckiej pary, który usiłował przyjść im z pomocą. Odzyskujący świadomość Steven zdołał jeszcze usłyszeć głos kobiety:

– Widzieli nas. Powinniśmy się ich pozbyć.

Inni sąsiedzi widzieli, jak opierającą się i przeraźliwie wzywającą pomocy półnagą Patty, ubraną tylko w płaszcz kąpielowy, napastnicy wyciągnęli z domu i wpakowali do bagażnika oczekującego w pobliżu chevroleta. Ostudziwszy oburzenie sąsiadów kilkoma seriami z automatu, odjechali, rozplywając się w mroku nocy.

Wszystko wskazywało na to, że w przypadku Patrycji Hearst chodzi o typowe uprowadzenie w celu wymuszenia okupu od obrzydliwie bogatego człowieka. Nie było w tych przypuszczeniach nic dziwnego, zważywszy zarówno na społeczną i finansową pozycję rodziny Hearstów, jak i plagę porwań, która w opisywanym czasie ogarnęła całe Stany Zjednoczone, i który to okres amerykań-

ska prasa ochrzciła mianem „roku kidnaperstwa”.

Jednak po uprowadzeniu córki milionerów w sprawie zaległa cisza. Nie było żadnego żądania, żadnego listu od porywaczy. Rodzice Patrycji odchodzili od zmysłów. Dopiero trzy dni później na ich adres nadszedł pisany na maszynie list, firmowany przez nieznaną dotychczas szerzej Symbionese Liberation Army (Wyzwoleńczą Armię Symbiozy bądź też – w innym tłumaczeniu – Symbiotyczną Armię Wyzwolenia). Nie zawierał najmniejszej wzmianki dotyczącej okupu, lecz ograniczał się do określenia pana Randolpha Hearsta mianem „wroga ludu”, a jego córki jako „więźnia wojennego”, przetrzymywanego zgodnie „ze wszystkimi prawami przysługującymi więźniowi tego statusu”. W liście znajdowała się też informacja o udzieleniu w najbliższym czasie dalszych wyjaśnień oraz groźnie brzmiące ostrzeżenie:

„Jeżeli władze podejmą jakąkolwiek próbę uwolnienia uwięzionej lub zaaresztują czy zranią któregoś z członków SLA, Patricia Hearst zostanie natychmiast stracona”.

Po kilku dniach do państwa Hearst dotarły obiecane informacje. Porywacze żądali za wypuszczenie ich córki rozdania biednym żywności wartej ni mniej ni więcej, tylko 400 milionów dolarów. Więcej niż wynosił cały majątek rodziny Hearstów...

Następnego dnia rodzice Patrycji wystąpili przed kamerami telewizji, by w ten sposób udzielić odpowiedzi córce i jej porywaczom. Randolph Apperson Hearst zapewnił, że nie zostanie zastosowana siła celem uwolnienia dziewczyny. Swoją wypowiedź zakończył pełnym bólu stwierdzeniem:

– Żądania tego rodzaju obawiałem się od samego początku najbardziej. Jest ono jedynym niemożliwym do spełnienia.

Tym niemniej jednak przystąpił natychmiast do organizowania akcji pomocy dla biednych. Zobowiązał się rozdzielić środki żywnościowe za około dwa miliony dolarów, z czego pół miliona pochodziło z jego własnej kieszeni, a półtora z budżetu fundacji imienia Hearsta. W następnych dniach w wielu miastach i miasteczkach Kalifornii otwarto punkty wydawania żywności. Ponieważ

wręczano paczkę każdemu, kto uznawał się za biednego, nic nie przeszkadzało nadużyciom.

Trzeciego kwietnia rodzice Patty otrzymali kolejną przesyłkę, w której znajdowała się kolorowa fotografia ich córki, ukazująca ją z bronią w ręku na tle siedmiogłowej kobry – symbolu SLA. Paczka zawierała również taśmę magnetofonową ze słowami nagrany mi niewątpliwie przez samą Patrycję Hearst. Dziedziczka wielomilionowej fortuny wypierała się w oświadczeniu swych rodziców, swego narzeczonego i całego dotychczasowego życia. Informowała, że dobrowolnie przyłącza się do porywaczy, aby walczyć między innymi z „takimi świniami jak rodzina Hearstów”.

Patty poprzedziła swe oświadczenie uwagą, że „mówi to, co czuje”, że używa swych własnych słów i że nie była w żaden sposób poddana „praniu mózgu”.

„Dano mi do wyboru, że albo zostanę wypuszczona w jakimś bezpiecznym miejscu albo przyłączę się do sił zbrojnych SLA, by walczyć o swą wolność i wolność wszystkich uciskanych – powiedziała. – Tato, stwierdziłeś kiedyś, że troszczysz się zarówno o moje życie, jak i interesy wszystkich uciskanych w tym kraju. W obu wypadkach jednak kłamałeś. Jako należąca do klasy panującej wiem z całą pewnością, że twoje interesy nigdy nie były interesami narodu. Ty kapitalistyczny kłamco! Powiesz zapewne, że nie wiesz, o czym mówię. Wobec tego powiadam ci: udowodnij to, ostrzegając biednych i uciskanych ludzi w naszym kraju przed tym, co chce im zgotować system kapitalistyczny. Przed tym mianowicie, że wymordowani do ostatniego mają być wszyscy czarni i biedni ludzie, łącznie z kobietami i dziećmi!”

Specjalizujący się w badaniach nad terroryzmem politycznym psychiatra z Los Angeles, doktor Frederick Hacker był pierwszym, który wysunął teorię wydającą się początkowo zupełnie nie do przyjęcia, która znalazła jednak później potwierdzenie w faktach. Naukowiec doszedł mianowicie do wniosku, że spokojny, a nawet miejscami radosny ton zarejestrowanego na taśmie głosu Patrycji może wskazywać, że ofiara porwania zareagowała na groźące jej

niebezpieczeństwo akceptacją poglądów kidnaperów. Hacker twierdził, że taka sytuacja jest możliwa i że wiele razy obserwowano już zrodzenie się „quasi-sympatii” pomiędzy porwanym a porywaczami. Nikt jednak nie przypuszczał w tym momencie, że tę teorię już wkrótce potwierdzać zaczną kolejne dramatyczne wydarzenia...

15 kwietnia 1974 roku, tuż przed godziną 10 rano, do banku „Hibernia” w San Francisco, usytuowanego pod numerem 1450 przy Noriega Street, weszło pięć osób: cztery białe kobiety i Murzyn. Wszyscy uzbrojeni byli w ukryte pod płaszczami pistolety maszynowe. Mężczyzna, zidentyfikowany potem jako Donald De-Freeze, ps. „Cinque”, krzyknął:

– To jest napad! Jesteśmy członkami Symbionese Liberation Army! – I rozkazał wszystkim położyć się na podłogę.

Z bankowej kasy rabusie ukradli 10 960 dolarów. W opisanym zdarzeniu nie byłoby nic specjalnie dziwnego, napady na banki od dawna stanowiły już część amerykańskiej rzeczywistości, gdyby nie fakt, że jedną z napastniczek rozpoznano jako Patrycję Hearst. Utrwalony przez pracujące kamery przemysłowe przebieg napadu nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości. Dziewczyna zresztą wcale nie starała się swej tożsamości ukryć, wręcz przeciwnie, wystawiła swą ładną buzię do kamer, zupełnie jakby brała udział w nakręcaniu sensacyjnego filmu, nie zaś w rzeczywistej akcji terrorystów.

„Był to najbardziej niezwykły napad na bank, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia – powiedział później oficer policji z San Francisco, Mortimer McInerney. – Byliśmy nadzwyczaj zdziwieni, że sprawcy nie rozbili kamer kulami. Może chcieli, by ich zobaczono?”.

Strażnik bankowy, Edward Shea opowiadał potem, że Patricia zachowywała się wyjątkowo brutalnie, lżąc i upychając klientów oraz pracowników placówki. Do niego samego krzyknęła nawet:

– Opuść tę swoją pierdoloną głowę albo ci ją odstrzelę!

Wraz z dwiema innymi kobietami, którymi okazały się – jak później ustalono – 29-letnia Camilla Christine Hall i 26-letnia Nancy Ling Perry, potomkini słynnego rodu Hearstów pilnowała leżących ludzi, trzymając cały czas skierowaną ku nim broń. Czwarta kobieta, 24-letnia Patricia Sołtysik, rabowała w tym czasie pieniądze z dwóch kas, pozostawiając znacznie większą sumę w innych. Wszystko razem trwało niespełna trzy minuty. Kiedy terroryści opuszczali bank, strzelili do przypadkowo wchodzącego właśnie klienta, raniąc go ciężko. Ten strzał wywołał kolejne, w wyniku których ranny został jeszcze jeden człowiek. Wycofali się – jak to określił jeden ze świadków – „precyzyjnie, niemal po wojskowemu”.

Zasadniczym pytaniem, które wszyscy zaczęli sobie stawiać, było: czy Patricia przystąpiła do terrorystów spod znaku siedmio-głowej kobry z własnej, nieprzymuszonej woli i czy jej przemiana nastąpiła w wyniku świadomej akceptacji idei SLA. Większość skłaniała się ku twierdzeniu, że mamy tu do czynienia z presją psychiczną i fizyczną, coraz częściej też w przeróżnych opiniach zaczął pojawiać się termin „pranie mózgu”. Nie brakowało jednakże opinii dowodzących, iż Patty nie jest bynajmniej bezwolną istotą w rękach okrutnych porywaczy.

FBI natychmiast sporządziło akt oskarżenia przeciwko uczestnikom napadu: DeFreezemu, Hall, Perry i Sołtysik. Nie wiedziano natomiast, w jaki sposób potraktować udział Patty w rabunku. Wydany nakaz jej aresztowania określał Patrycję Hearst jako „bezpośredniego świadka”. Rzecznik Federalnego Biura Śledczego wyjaśnił, że niektóre zdjęcia wykonane w czasie napadu wskazują na to, iż przez cały czas znajdowała się ona na linii strzału jednego z członków SLA.

– Można przypuszczać, że Patricia nie uczestniczyła w napadzie z własnej woli – powiedział prokurator James Browning.

– Nie wykluczamy możliwości, że Patrycja Hearst wzięła udział w napadzie dobrowolnie – oświadczył z kolei pracownik FBI, Charles Bates. – Z drugiej jednak strony istnieją dowody przemawiające

przeciwko tej tezie.

Sama panna Hearst zdawała się zaś robić wszystko, by rozproszyc wszelkie wątpliwości i pozbawić rodziców resztek nadziei. Na taśmie magnetofonowej, która dotarła do nich po napadzie na bank, nie tylko przyznała się do dobrowolnego udziału w rabunku, lecz nie żałowała również mocnych epitetów pod adresem ojca i narzeczonego. Amerykańskie społeczeństwo określiła jako „faszystowskie”, a tatusia jako „Adolfa”.

Tak czy inaczej, rozpieszczona córka milionera zmieniła się w przeciągu niespełna dwóch miesięcy w zagorzałą zwolenniczkę SLA, gotową zniszczyć wszystko, co dotychczas uwielbiała. Jako członkini SLA przybrała pseudonim „Tania” – na cześć młodej Argentynki niemieckiego pochodzenia Tamary Burke ps. „Tania”, która walczyła w Boliwii u boku Ernesta „Che” Guevary i zginęła razem z nim.

Zarówno rodzice Patrycji (czy też Tani), jak i jej wciąż aktualny jeszcze (przynajmniej oficjalnie) narzeczoney, nie przyjmowali jednak do wiadomości faktu, że powyższe słowa mogła ona wypowiedzieć dobrowolnie. Ciągłe wierzyli, że to, co powiedziała, powiedziała w warunkach fizycznego przymusu. Jej matka, Catherine Wood Campbell (Hearst) stwierdziła dramatycznie:

– Mieliśmy ją przez dwadzieścia lat, tamci tylko przez sześćdziesiąt dni. O tym, że te straszne słowa, których użyła, mogły wyjść z jej serca, może przekonać mnie tylko moja córka osobiście.

Prowadzone przez FBI śledztwo ujawniło, że SLA wylęła się w stanowym więzieniu w Vacaville w Kalifornii, w którym zezwolono na powstanie Kulturalnego Stowarzyszenia Czarnych. Na jego zebraniach więźniowie palili przemyczony haszysz, czytali „Czerwoną książeczkę” Mao i planowali miejską wojnę przeciw amerykańskiemu establishmentowi. Na wolności organizacja liczyła raptem dwa tuziny członków, w większości dziwaków i wykolejeńców. Jej program przewidywał likwidację więzień oraz „zniszczenie rasizmu, seksizmu, kapitalizmu, faszyzmu, indywidualizmu, własności i konkurencji”. W jednej z rozrzuconych przez SLA ulotek

przeczytać można było następujące słowa:

„Do członków Zrzeszenia Symbiozy i Wyzwoleniczej Armii Symbiozy należą starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni wszystkich ras i warstw społecznych. Nazwa pochodzi od słowa symbioza, ponieważ widzimy w organizacji zgrupowanie najróżniejszych organizmów, które w głębokiej, pełnej miłości harmonii oraz partnerstwie współżyją ze sobą dla jak największego dobra wspólnych interesów”.

Herszt SLA, „Feldmarszałek Cinque” – czarnoskóry, nieźrównoważony psychicznie brutal i gwałciciel Donald DeFreeze, miał za sobą trzy odsiadki za produkowanie bomb i napady z bronią w rękę. Chętnie otaczał się kobietami z problemami. Nancy Perry, która ukończyła anglistykę, badała pobudzanie świadomości narkotykami, potem zatrudniła się jako kelnerka topless i wreszcie stała się wywiadowcą SLA. Patricia Sołtysik rzuciła studia w Berkeley dla kariery w ruchu feministycznym. W końcu została kochanką Camilli Hall, parkingowej uważającej się za poetkę. W SLA obie awansowały do dziewięcioosobowego oddziału uderzeniowego.

Porwanie Patrycji Hearst nie było pierwszą akcją SLA. W listopadzie 1973 roku dwaj podkomendni „Cinque’a” zamordowali Marcusa Fostera, czarnoskórego superintendenta szkół w Oakland. Grupa składała się z trzech niezależnie operujących zespołów, liczących łącznie około 25 członków. Dokonywała napadów na banki i licznych zabójstw (w samym tylko roku 1973 – dwunastu). Jej emblematem była siedmiogłowa czarna kobra na czerwonym tle.

Napad na bank w San Francisco dostarczył FBI dowodów w postaci zdjęć wszystkich jego uczestników. Aresztowanie sprawców stało się tylko kwestią czasu.

\*

17 maja 1974 roku przyniósł wydarzenia, które w życiu Patrycji Hearst stały się punktem zwrotnym.

Donald DeFreeze wraz z grupką najbliższych towarzyszy prze-

niósł się z San Francisco, w którym ziemia zaczynała już palić mu się pod stopami, do Los Angeles, największej metropolii stanu Kalifornia, której jeden koniec sięga oceanu, drugi zaś opiera się o pokryte śniegiem góry. W początkach wieku Los Angeles było zlepek społecznościami, którą tworzyli biali amerykańscy imigranci, ubodzy robotnicy chińscy i bogaci meksykańscy farmerzy. W latach siedemdziesiątych XX wieku, wraz z bajkowym Disneylandem i Hollywood oraz na wpół ukrywanymi, na wpół eksponowanymi rezydencjami Beverly Hills i Malibu, było mityczną świątynią amerykańskiego snu o szczęściu, bogactwie i sławie.

Za sto dolarów wynajęli na wpół zrujnowany domek przy 54 Ulicy, w podłej dzielnicy miasta, zamieszkaney głównie przez Murzynów i inną kolorową „hołotę”. Nie kryli się ani z wyznawanymi poglądami, ani z całym swoim arsenałem. Osiemnastoletnia Stéphanie Reed, która przypadkowo przyszła z sąsiedzka wizytą do właścicielki budynku, pani Minnie Lewis, ujrzała – jak zeznała potem przed sądem – „wszystkie rodzaje broni, długiej, krótkiej, jak również noże”.

– Po co wam to wszystko? – zapytała naiwnie.

– Rozpoczynamy rewolucję – odpowiedział w imieniu wszystkich DeFreeze. – Mamy zamiar pozabijać wszystkie świnie i potrzebujemy trochę ludzi do pomocy.

W piątek 17 maja panią Lewis odwiedziła matka, Mary Carr, której nowi lokatorzy wyraźnie nie przypadli do gustu. Po krótkim namyśle pani Carr zdecydowała się zadzwonić na policję:

– Moja córka przyjęła do swojego domu pięć osób, jednego czarnego i cztery białe dziewczyny – poinformowała. – Wszyscy są uzbrojeni po zęby. Boję się.

Niecałą godzinę później pod dom zajęchała długa kolumna samochodów, z których wysypało się półtorej setki policjantów i funkcjonariuszy FBI. Dziesięć minut przed godziną szóstą wieczór z głośnika rozległ się apel:

– Tu mówi policja! Wyjdźcie natychmiast wszyscy z domu z rękami w góry!



kami podniesionymi do góry!

Po minucie oczekiwania do środka wrzucono granaty z gazem łzawiącym. W ten sposób rozpoczęła się pierwsza i ostatnia bitwa SLA. Terroryci, którzy – jak się potem okazało – nałożyli maski przeciwgazowe, odpowiedzieli ogniem z karabinów maszynowych. Do akcji włączono helikoptery zrzucające pojemniki z gazem łzawiącym. Ta prawdziwa wojna przy 54 Ulicy trwała blisko siedemdziesiąt minut, transmitowała ją na żywo i w kolorze telewizja, a oglądały miliony widzów, w tym rodzice Patty. Policjanci zmuszeni zostali do uzupełnienia amunicji. W końcu zdecydowali się użyć granatów zapalających...

Dom stanął w płomieniach. W wyniku wymiany ognia i wybuchu zgromadzonej tam amunicji, zajmowany przez terrorystów budynek spłonął niemalże doszczętnie. Po ugaszeniu pożaru w pogorzeliisku znaleziono sześć zwęglonych ciał. Donald DeFreeze zginął otoczony przez policję wraz z grupą innych terrorystów z SLA.

Przez całą noc doktor Thomas Noguchi, kierownik zakładu medycyny sądowej w Mieście Aniołów, pracował z licznymi pomocnikami nad zidentyfikowaniem zabitych. Wszyscy zadawali sobie jedno pytanie: czy w tym spalonym domu zakończyła się historia Patty-Tani Hearst? Odpowiedź przyszła wkrótce. Okazało się, że w bitwie zginął wprawdzie cały trzon SLA, Patrycji Hearst jednakże wśród nich nie było.

Doktor Noguchi odtworzył ostatnie chwile zabitych. Wyraził jednocześnie zdumienie zachowaniem pozostałych przy życiu po strzelaninie terrorystów: „Nigdy jeszcze nie spotkałem się z tego rodzaju reakcją wobec grożącej w płomieniach śmierci” – oświadczył.

Zgodnie z przeprowadzoną przez niego rekonstrukcją wydarzeń, jako pierwsza, w wyniku postrzału w głowę, zginęła Camilla Hall. Potem Nancy Ling Perry, którą wystrzelona z policyjnego karabinu kula ugodziła w plecy. William Wolfe, Angela Atwood i Patrycja Sołtysik zmarli w wyniku zaczadzenia i szalejącego ognia.

Donald DeFreeze sam odebrał sobie życie, strzelając z pistoletu w głowę.

Akcja, a konkretnie sposób jej przeprowadzenia, spotkała się z żywiołowymi protestami sporej części społeczeństwa, oburzonego bezwzględnością i brutalnością policji oraz towarzyszących jej pracowników Federalnego Biura Śledczego. Mieszkańcy okolicznych ulic zarzucali funkcjonariuszom narażenie ich na poważne niebezpieczeństwo, związane z brakiem wcześniejszego podjęcia decyzji o ewakuacji osób przebywających w sąsiednich budynkach. Podnoszono publicznie zarzuty, że sprawę odnalezienia córki bogaczy przedkłada się nad bezpieczeństwo zwykłych obywateli USA. Głoszono teorie, że bandytów wcale nie trzeba było palić żywcem, można ich natomiast było „wziąć głodem” lub zmusić do poddania na przykład poprzez odcięcie dopływu wody.

Władze broniły się, dowodząc, że to terroryści pierwsi otworzyli ogień i że postępowanie z tego typu zdesperowanymi, gotowymi na wszystko ludźmi to nie dziecinna zabawa w policjantów i złodziei, w której można ustalać „szlachetne reguły”.

„Gdybyśmy chcieli ich wziąć głodem, dalibyśmy im możliwość ucieczki pod osłoną nocy – tłumaczył burmistrz Los Angeles. – W tym domu było sześciu ludzi, którzy za nic mieli bezpieczeństwo własne, policji i innych mieszkańców”.

Pogrzeb Donalda DeFreeze przerodził się w żywiołową manifestację (pogrzeby pozostałych odbyły się w gronie rodzinnym). Uczestniczyło w nim kilkuset ludzi, w większości Murzynów. Brat Donalda wygłosił nad jego mogiłą mowę, w której stwierdził między innymi:

– Żyłeś dla ludzi i dla ludzi zginąłeś, ale SLA nie zginęła.

Patrycja Hearst tymczasem jakby zapadła się pod ziemię. Ku zaskoczeniu wszystkich, znak życia dała ponownie siódmego czerwca, podobnie jak poprzednio, za pomocą nagranej taśmy, wysłanej tym razem do jednej z lokalnych rozgłośni radiowych. Jeżeli ktośkolwiek miał jeszcze jakieś wątpliwości, to zostały one całkowicie rozwiane. Patty z całą wyrazistością zadeklarowała się tam jako

członek SLA:

– Umarłam w ogniu na 54 Ulicy – mówiła – ale powstałam z popiołów. Jestem zdecydowana kontynuować walkę i nie obawiam się śmierci.

Przy okazji wyparła się swojego – ciągle jeszcze żyjącego w nadziei – narzeczonego, oświadczając, że kocha, a raczej kochała, innego – 23-letniego Willego Wolfa zwanego „Cujo”, który zginął podczas ataku policji na siedzibę terrorystów przy 54 Ulicy.

– „Cujo” to najbardziej przyjazny i najpiękniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałam – oświadczyła. – Nauczył mnie prawdy takiej, jaką ona jest. Policjanci sprawili mi największe cierpienie, kiedy go zamordowali. Ani on, ani ja nie kochaliśmy nigdy przedtem tak mocno drugiego człowieka, jak kochaliśmy się oboje.

Utrwalone na taśmie wyznania stały się dla wielu wyjaśnieniem tajemniczego przystąpienia Patty do SLA. Dziewczyna po prostu zakochała się w jednym ze swoich porywaczy.

\*

Poszukiwana intensywnie listem gończym Patrycja Hearst została aresztowana dopiero we wrześniu 1975 roku w zajmowanym przez nią mieszkaniu przy Morse Street 625.

– Czy nie jesteś zadowolona, że wszystko się wreszcie skończyło? – zapytał ją jeden z dokonujących zatrzymania agentów, Timothy Casey.

Patrycja spojrzała na niego dziwnie, lecz nie odpowiedziała.

Wiadomość o sporządzeniu przeciwko niej aktu oskarżenia do słownie zwała z nóg Randolpha Hearsta. W styczniu 1976 roku stanęła przed obliczem sądu w Sali Ceremonialnej budynku federalnego w San Francisco. Oskarżenie objęło zarzut rabunku z bronią w rękę oraz używania broni do innych ciężkich przestępstw federalnych.

– Staraj się wyglądać tak pogodnie, jak tylko to możliwe – szepnęła do Patrycji matka już na sali sądowej, tuż przed rozpoczęciem

procesu.

Obrona, pod wodzą mecenasa Francisa Lee Bailey Juniora, od początku procesu starała się udowodnić, że Patricia Hearst padła ofiarą porwania i prania mózgu. Uciec zaś nie mogła, bo uzbrojeni prześladowcy nieustannie mieli ją na oku.

– Musimy pamiętać, że niezależnie od tego, co się potem wydarzyło, kobieta ta najpierw była ofiarą porwania – dowodził broniący Patrycję adwokat.

Pan mecenas nie był jednak w stanie udźwignąć ciężaru, jaki nakładało na niego podjęcie się obrony terrorystki. Teoria „prania mózgu” załamywała się niejednokrotnie pod ciężarem dowodów. Prokurator James F. Browning też miał w ręku mocne argumenty. Świadkowie zeznali, że panna Hearst wielokrotnie znajdowała się poza kontrolą kompanów z SLA; była wtedy uzbrojona i mogła bez trudu zbiec. W celu ustalenia stanu świadomości Patrycji w czasie, gdy była w szeregach SLA, sędzia nakazał wielomiesięczne badania psychiatryczne, które nie wypadły po myśli obrony.

Sama oskarżona – zarówno z wyglądu, jak i z zachowania – w niczym nie przypominała obrazu groźnej terrorystki „Tani”. Pojawiła się znowu Patty, panienka z dobrego domu. Stonowane kolory, pensjonarskie bluzki, owa „kredowa bladość”, o której wspominali obserwatorzy procesu, smutek i bezradność. Co chwila wybuchała płaczem, co zresztą wcale nie musiało być wyreżyserowane. Wszystko to pozostawało w jaskrawej sprzeczności z zachowaniem się Patrycji nie tylko w ciągu całej historii, lecz również z wyzywającymi gestami, jakie czyniła bezpośrednio po aresztowaniu.

Jej zeznania były jednak często sprzeczne ze sobą, dowodziły, że albo miała mózg rzeczywiście nadający się do prania jak bielizna, albo tak dalece zabrnęła we własne kłamstwa, że w nie w końcu uwierzyła. Czasami robiła wrażenie, że szuka prymitywnych usprawiedliwień w obliczu aktu oskarżenia, albo też robi z siebie kompletną idiotkę.

Wydawało się, że jednym z tematów, które najchętniej poruszał mecenas Bailey, przesłuchując Patrycję, były sprawy erotyczne.

Przysięgli słuchali z zapartym tchem o tym, jak porywacze trzymali dziewczynę przez 57 dni ze związanymi rękami i z przepaską na oczach w obitej kocami szafie. Jej podłoga miała rozmiary 2 metry na 60 cm. W tym czasie wielokrotnie gwałcili ją, pozorowali egzekucje i wygłaszali ideologiczne tyrady.

Umiejętnie żonglując faktami, obrońca wydobywał z Patrycji po kolei wszystko, co w tej – bardzo intymnej przecież – sprawie mogła powiedzieć. Ława przysięgłych dowiedziała się więc, jak wyglądały „pieszczoły erotyczne”, których doznała Patty, kto ich dokonywał, gdzie i ile razy. Oczywiście zarówno sama oskarżona, jak i jej matka tonęły w tym czasie we łzach, a Bailey odniósł kolejny sukces: któż nie współczułby wykorzystywanej seksualnie, dwiętnastoletniej wówczas dziewczynie?

Mimo spektakularnej walki obrony i oskarżenia, w całym procesie nie chodziło przecież wcale o ustalenie prawdy, lecz o to, czy Patrycja pójdzie siedzieć, czy nie. O wszystkim rozstrzygnąć miało dwunastu laików – owych legendarnych „dwunastu gniewnych ludzi”, na których zarówno oskarżenie, jak i obrona starały się niemal wszystkimi dostępnymi sposobami wywrzeć odpowiednie wrażenie. W amerykańskim (anglosaskim) systemie prawa, tak zwanym *common law*, sędzia tylko kieruje sprawą i wydaje wyrok. O winie bądź niewinności orzeka *de facto* ława przysięgłych wybrana spośród przedstawicieli społeczeństwa.

Przez 39 dni, począwszy od 27 stycznia 1976 roku, kiedy po raz pierwszy ujrzeli przed sobą skutą kajdankami elegancką dziewczynę, dwunastu ludzi z uwagą śledziło popisy obrońcy i prokuratora, zeznania siedemdziesięciu jeden świadków i wyniki prac psychiatrów. Szóstego marca, po dwunastogodzinnej naradzie, przewodniczący ławy oznajmił w imieniu wszystkich podjętą decyzję:

– *Guilty* (winna).

Końcowy tryumf należał więc do oskarżyciela. Sędzia William Horsley Orrick ogłosił wyrok:

– Siedem lat więzienia!

Ojcu oskarżonej szczęka opadła ze zdumienia na piersi. Zaskoczona publiczność długą chwilę po prostu milczała. Potem zerwał się dziki gwar, który ucichł, gdy sędzia przystąpił do uzasadniania wyroku. Podkreślił w nim, że już nie uważa panny Hearst za zagrożenie dla społeczeństwa, ale nie mógł też potraktować jej jako skrzywdzonej młodocianej:

– Równość wobec prawa musi być uszanowana – stwierdził.

Nie polemizując ze słusnością bądź też niesłusnością takiego wyroku, stwierdzić można jednak z całą mocą, że bohaterka tej opowieści padła z pewnością ofiarą czegoś, co w psychologii funkcjonuje pod nazwą „syndromu sztokholmskiego”. Ze zjawiskiem tym mamy niejednokrotnie do czynienia, kiedy porwany zamiast próbować się za wszelką cenę wydostać z rąk porywacza, nawiązuje z nim współpracę lub nawet więcej – zaczyna się z nim przyjaźnić albo wręcz zakocha się w porywaczu.

Syndrom sztokholmski to termin ukuty przez szwedzkiego kryminologa i psychologa Nilsa Bejerota, który został stworzony po słynnym napadzie na „Kreditbanken” w Norrmalmstorg, dzielnicy Sztokholmu. Od 23 do 28 sierpnia 1973 roku trzy kobiety i mężczyzna byli przetrzymywani przez sześć dni przez dwóch recydywistów, którzy grozili im śmiercią, równocześnie okazując jednak pewną życzliwość. Ku zaskoczeniu opinii publicznej, wszyscy porwani byli stanowczo przeciwni wysiłkom rządu, by ich uratować. Co więcej, chętnie i gorliwie bronili złoczyńców.

Po złapaniu bandytów i uwolnieniu przetrzymywanych osób, te ostatnie zaciekle broniły przestępców, pomimo doznanych od nich upokorzeń. W czasie przesłuchań odmawiały między innymi współpracy z policją. Dwie z kobiet nawet zaręczyły się z byłymi porywaczami...

Definicja syndromu sztokholmskiego, którą podaje Wikipedia, określa go jako stan psychiczny, który pojawia się u zakładników, wyrażający się odczuwaniem sympatii i solidarności z osobami je przetrzymującymi. Czasem wręcz osoby więzione pomagają swoim prześladowcom w osiągnięciu ich celów. Syndrom jest skutkiem

psychologicznych reakcji na silny stres oraz rezultatem podejmowanych przez porwanych prób zwrócenia się do prześladowców i wywołania u nich współczucia.

Mechanizm zjawiska jest w gruncie rzeczy bardzo prosty. Izoluje się porwaną osobę, głodzi, czasami straszy torturami i śmiercią, a jednocześnie ofiaruje zrozumienie i pomoc. Jednym słowem, prowadzi się grę w dobrego i złego policjanta. Jak mówią specjaliści: „niszczy się człowieka, a potem ofiaruje mu się sposób na przetrwanie”. Złamane psychicznie ofiary zaczynają rozumieć swojego oprawcę. Jest dla nich przecież jedyną „przyjazną” istotą. Przyjmują punkt widzenia swego dręczyciela i dochodzą do wniosku, że da się jakoś przeżyć.

Najważniejsze jest pozbawienie poczucia słuszności własnych racji. Człowiek staje się bezradny. Postawiony między groźbą śmierci a poczuciem bliskości ze swoim prześladowcą, miotając się między skrajnościami, traci zdolność normalnej oceny sytuacji. Zaczyna przyjmować punkt widzenia porywacza. W relacjach między porywaczem a ofiarą istotną rolę odgrywa też mechanizm dysonansu poznawczego. Większość ludzi chce wierzyć, że ich postępowanie jest logiczne, rozsądne i szuka uzasadnienia swoich działań. Jeśli zaangażują się w coś, co jest sprzeczne z ich poglądami, wywoła to u nich stan napięcia i dyskomfortu psychicznego. Aby zredukować poczucie dysonansu, zmieniają wtedy poglądy, dostosowując je do swojego zachowania.

Na poczet kary zaliczono skazanej pannie Hearst rok spędzony w areszcie, przez co uzyskała prawo do ubiegania się o tak zwane warunkowe przedterminowe zwolnienie po upływie szesnastu miesięcy od ogłoszenia wyroku. W zakładzie karnym w Pleasanton, nieopodal San Francisco, gdzie ją osadzono, Patricia nie zarzała długo miejsca. Pleasanton jest zakładem o łagodnym reżimie, w oknach nie ma krat, a więźniowie korzystają z wielu udogodnień. Osadzona wykazywała się jednak wyjątkową krnąbrnością i niesubordynacją wobec władz. Odmawiała wykonania wyznaczonej pracy w postaci sprzątania cel, korytarzy i pomieszczeń

kąpielowych, domagając się jednocześnie dalszych przywilejów. Wielokrotnie karano ją za to przymusowym pobytem w izolatce, co jednak niewiele pomagało. Jako sprawiającą kłopoty wychowawcze więźniarkę, przeniesiono ją więc do więzienia w San Diego, gdzie obowiązywał o wiele surowszy reżim.

Patty Hearst nie spędziła za kratkami zasądzonych jej siedmiu lat. W sprawę włączył się ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych, Jimmy Carter, skracając karę do 24 miesięcy.

Po wyjściu na wolność w styczniu 1979 roku, spędziwszy za kratkami w sumie 22 miesiące, wystąpiła jako aktorka w kilku filmach, ale nie odniosła większego sukcesu. Napisała też książkę (wspólnie z Albinem Moscowem) – historię swoich „przygód” z lat 1974–1979, zatytułowaną *Every Secret Thing*.

W tym samym roku poślubiła swojego dawnego ochroniarza, Bernarda Shawa. Ma z nim dwie córki: Gillian i Lydię. Mieszka w miejscowości Garrison, w stanie Nowy Jork. Od lat już unika mediów jak ognia, nie udzielając wywiadów i nie pokazując się publicznie.









Porwana w 1974 r. przez lewicową organizację terrorystyczną Patricia Hearst przyłączyła się do grupy swoich porywaczy.

# **Podwójny nelson.**

## **HANNS-MARTIN SCHLEYER.**

### **SAMOLOT LUFTHANSY**

**(1977)**

W czwartek, 1 września 1977 roku, pewna mieszkanka cichej Vincenz-Statz-Strasse w willowej dzielnicy Kolonii zadzwoniła z pretensjami na policję:

– Jakaś grupa chuliganów zabawia się na mojej ulicy w wojnę – poskarżyła się.

– A co konkretnie robią? – zapytał dyżurujący oficer.

– No... strzelają z jakichś dzieciennych pistoletów. I chyba rzucają kamieniami, bo rozbili mi stojącą na oknie doniczkę.

Policja zbagatelizowała meldunek. Jak się wkrótce okazało, był to niewybaczalny błąd, ponieważ ta „wojna dzieciaków” stanowiła prawdziwą próbę generalną bardzo poważnych (i tragicznych) wydarzeń, które zaszły niemalże w tym samym miejscu cztery dni później...

W poniedziałek 5 września, po godzinie 17, przez willową dzielnicę Braunsfeld w Kolonii przejeżdżały dwa mercedesy. W pierwszym, o numerze rejestracyjnym K-VN 345, jechał znany przemysłowiec, dr Hanns-Martin Schleyer, wpływowa osobistość niemieckiego życia gospodarczego, członek CDU i prezydent BDA (Bundesvereinigung der Deutschen Arbeitgeberverbände – Federalnego Zrzeszenia Niemieckich Organizacji Pracodawców). Jak co dzień o tej porze, wracał z pracy do domu. Trasa przejazdu wio-

dła od bulwaru nadreńskiego przy Oberländer Ufer 72, gdzie wznosił się nowoczesny gmach BDA, do mieszkania Schleyera przy Raschdorffstrasse 10.

Hanns-Martin Schleyer urodził się 1 maja 1915 roku w Offenburgu. Jako 16-letni uczeń wstąpił w 1931 roku do Hitlerjugend, a później – jako student prawa Uniwersytetu w Heidelbergu – do Narodowosocjalistycznego Związku Studentów. W dzień swych dwudziestych drugich urodzin został członkiem NSDAP, aby na koniec zasilić ochotniczo szeregi Waffen-SS (zarejestrowany pod numerem 227014), gdzie dosłużył się stopnia Untersturmführera. Jeszcze w okresie studiów wyróżnił się jako jeden ze współautorów pisma denuncjującego ówczesnego rektora uniwersytetu we Fryburgu Bryzgijskim, prof. dr. Friedricha Metza, jako przeciwnika hitleryzmu.

Po trzyletnim pobycie we francuskim obozie dla internowanych został w 1948 roku zaklasyfikowany przez trybunał denazyfikacyjny jako *Mitlaufer* (sympatyk) i zwolniony do domu.

Nazistowska przeszłość nie przeszkodziła mu – podobnie jak wielu innym członkom NSDAP – w zrobieniu kariery w powojennych Niemczech. Zaczął pracę jako kierownik biura zagranicznego Izby Przemysłowo-Handlowej w Baden-Baden, a w 1951 roku został szefem wydziału spraw personalnych, społecznych i administracyjnych w koncernie Daimler-Benz w Stuttgarcie. Jako członek zarządu wymienionego koncernu, wiosną 1963 roku wstawił się przeprowadzeniem pierwszego w historii Niemiec Zachodnich lokautu[19] pracodawców – powszechnie uznaną w prawie pracy, ale nigdy niestosowaną wcześniej sankcję wobec strajkujących. W 1976 roku wybrano go prezesem BDI – Federalnego Związku Przemysłu Niemieckiego. Zapytany podczas jednego z telewizyjnych wywiadów o swoją niechlubną przeszłość w SS, odpowiedział:

---

19 Lokaut (z ang. *lockout* – zamykać drzwi przed kimś; nie dopuszczać robotników do pracy) – zamknięcie zakładu pracy przez właściciela, połączone z przerwaniem zatrudnienia albo masowym zwalnianiem robotników, celem wywarcia presji i zmuszenia ich do ustępstw.

– Jestem dumny z tego, kim wówczas byłem i co robiłem.

Jak łatwo zgadnąć, wypowiedź ta uczyniła go obiektem nienawiści sporej części młodego pokolenia i zawiodła przed celownik terrorystów. Już w 1977 roku, w związku z nasileniem się działalności RAF-u, ministerstwo spraw wewnętrznych Badenii-Wirtembergii zakwalifikowało przemysłowca do kategorii tzw. *erheblich gefährdet; mit einem Anschlag ist zu rechnen* (znacznie zagrożony, należy liczyć się z zamachem). Wynikiem tej decyzji było przyznanie mu stałej ochrony policyjnej. Schleyer nie obawiał się wprawdzie żadnych akcji ze strony RAF-u; rosnące uczucie zagrożenia, spowodowane histerią prasy po zapadnięciu wyroków w procesie Baader-Meinhof spowodowało jednak, że uległ w końcu presji rodziny oraz naciskom ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, Hannsa Jürgena Wischniewskiego, znanego w RFN pod nadanym mu przez „Der Spiegel” pseudonimem „Ben Wisch”. Jak się wkrótce miało okazać, wobec determinacji bojowników z Frakcji Czerwonej Armii, podjęte środki bezpieczeństwa okazały się daleko nieskuteczne...

Była godzina 17.28, kiedy dwa wspomniane wcześniej mercedesy skręciły w wąską, ocienioną drzewami Vinzenz-Statz-Strasse. Tuż za zakrętem część jezdni została zablokowana przez stojącego tam kolejnego mercedesa, barwy kanarkowej, o numerze rejestracyjnym K-LZ 589.

„Widziałem, jak jakiś młody człowiek wypycha na jezdnię niebieski wózek – opowiadał później jedyny naoczny świadek wydarzeń, 10-letni Andreas Geyr, syn zamieszkującego w sąsiedztwie adwokata. – Szybko, chodźcie, kręć film!” – zawołał do sąsiadów, którzy przerażeni otworzyli okna.

Kilka dni później jego matkę odwiedzi dwóch młodych mężczyzn w skórzanych kurtkach...

– Panowie z policji?

– Nie.

– Z prasy?

– Nie.

– Więc o co panom chodzi?

Obaj młodzieńcy opuszczą bez słowa odpowiedzi klatkę schodową i przed domem wsiądą na motocykl. W obawie przed zemstą terrorystów policja wyśle matkę i chłopca poza Koln, do innego landu, gdzie Andreas będzie mógł kontynuować naukę w szkole.

Tymczasem na ulicy rozgrywają się kolejne wydarzenia, rzeczywiście przypominające amerykański film akcji...

Kierowca Schleyera, 41-letni Heinz Marcisz, widząc wpadający na drogę dziecinny wózek, zahamował gwałtownie. Jadący za nim samochód z obstawą, zaskoczony nagłą reakcją „nie wyrobił”, wjeżdżając w bagażnik mercedesa wiozącego przemysłowca. W tej samej chwili z zaparkowanej obok białej furgonetki marki volkswagen wyskoczyło czworo młodych ludzi z automatami, otwierając ogień do policjantów i kierowcy. Jak ustalono w trakcie późniejszego śledztwa, byli to: Peter-Jürgen Boock, Willi-Peter Stoli, Stefan Wisniewski i Sieglinde Hofmann. Troje zasypało kulami Marcisza, który – wielokrotnie trafiony – zmarł prawie natychmiast. W tym samym czasie Stoli wskoczył na maskę policyjnego samochodu i uzbrojony w polski pistolet maszynowy PM-63, zwany popularnie „RAK-iem” (Ręczny Automat Komandosów), otworzył ogień do obecnych tam funkcjonariuszy. Kiedy wpakował w nich cały magazynek, wspomogła go pozostała trójka.

Siedzący za kierownicą radiowozu 41-letni starszy wachmistrz Reinhold Brandle został postrzelony sześćdziesiąt razy, przy czym przynajmniej pięć trafień było śmiertelnych. Zajmujący miejsce obok niego starszy wachmistrz Helmut Ulmer, lat 24, zdążył oddać jeszcze osiem strzałów, zanim dosięgły go kule z broni terrorystów. Trzeciemu z policjantów, 20-letniemu wachmistrzowi Rolandowi Pielerowi, udało się opuścić samochód i oddać trzy strzały, żaden z nich nie trafił jednak żadnego z napastników. Terroryci strzelali z zimną precyzją, tak aby zabić. Przednia szyba pierwszego samochodu, tego, w którym siedział Schleyer, podziurawiona była „na wysokości serca kierowcy”. Ani jedna kula nie trafiła w tylne sie-

dzenie, gdzie siedział przemysłowiec. Uzbrojeni jedynie w broń krótką, zaskoczeni zupełnie policjanci nie mieli najmniejszych szans. Napastnicy posługiwali się specjalnym typem pocisków, wydrążonych wewnątrz, rozpryskujących się w ciele ofiary. Schleyer i jego kierowca nie posiadali przy sobie broni, żaden z pojazdów nie był opancerzony.

Jeden z napastników wyciągnął przerażonego prezesa z samochodu i przy pomocy drugiego kolegi wrzucił go dosłownie do volkswagena. Wszystko razem trwało zaledwie kilkanaście sekund, w czasie których wystrzelono w sumie 248 pocisków broni kalibru 7,65 oraz 5,0 mm. Późniejsze badania śladów oraz znalezione na miejscu pistolet marki „Colt”, którego nie zdołano przypisać żadnemu z uczestników wydarzenia, wywołały spekulacje na temat udziału piątej osoby, strzelającej do napadniętych zza węgła.

Pozostali uczestnicy napadu wskoczyli do furgonetki, która ruszyła błyskawicznie z piskiem opon, niknąc po chwili wśród setek innych samochodów na Junkersdorfer Strasse. Dwaj przypadkowi kierowcy próbowali gonić uciekającą furgonetkę, ale drogę zagroziła im manewrująca na jezdni ciężarówka.

Na miejscu zdarzenia pozostały jedynie stygnące powoli zwłoki trzech policjantów oraz trup Heinza Marcisza.

Jak stwierdził nazajutrz w wystąpieniu telewizyjnym minister spraw wewnętrznych Nadrenii Północnej-Westfalii, dr Burkhard Hirsch, któremu podlegała kolońska policja, zbrodnię tę cechowała „logistyka, dokładne przygotowanie i planowanie, a także musiało istnieć dla niej inne oparcie. Każdą sekundę dobrze obliczono, a sprawcy wkalkulowali świadomie do swojej akcji śmierć policjantów oraz kierowcy”.

\*

O godzinie 17.36, a więc osiem minut od zdarzenia, anonimowa osoba zadzwoniła na alarmowy telefon 110:

– Jacyś ludzie strzelają z pistoletów maszynowych na Vinzen-



z-Statz-Strasse! Są zabici i ranni.

Tym razem oficer dyżurny potraktował informację poważnie. Niezwłocznie wysłał na Vinzenz-Statz-Strasse dwa radiowozy, zawiadomił także pogotowie. Policjanci pojawili się na miejscu zdarzenia już po dwóch minutach. To, co tam zastali, śmiało można by określić jako krwawą rzeźnię. Pojazdy, ulica, chodnik – wszystko dosłownie schlapane było krwią. Przybyli lekarze mogli już tylko stwierdzić zgon uczestniczących w strzelaninie osób. W wyniku pospiesznie przeprowadzonych czynności operacyjnych udało się ustalić numer rejestracyjny białej furgonetki, do której wciągnięto Schleyera: K-C 3849. Odnaleziono ją o godzinie 19.47 w podziemnym garażu budynku przy Wiener Weg 1 B. W środku policjanci znaleźli pierwszy list porywaczy:

„Natychmiast zaniechać wszelkich poszukiwań albo zastrzelimy Schleyera od razu, zanim dojdzie do rokowań”. Podpisano: „Kommando Siegfried Hausner – RAF”.

Jeszcze przed osiemnastą syn porwanego przemysłowca, Eberhard, otrzymał telefon:

– Dzwonię z „Bild Zeitung”. Czy na pańskiego ojca był napad?

– Panie, coś pan z choinki się urwał? – odpowiedział zdziwiony młody Schleyer.

Zaniepokoił się naprawdę, kiedy minutę później o to samo zapytał go korespondent „Associated Press”. Po chwili znów zadzwonił „Bild”. Tym razem to już nie było pytanie...

Pierwsza depesza o wydarzeniach w Kolonii wysłana została w świat przez amerykańską agencję prasową Associated Press. O godzinie 18.49 rozgłośnia radiowa WDR podała oficjalną wiadomość:

– *Meine Damen und Her ren*, jak dowiedzieliśmy się przed chwilą, dzisiaj wieczorem w Kolonii dokonano zamachu na przewodniczącego BDA, Hannsa Martina Schleyera. Jak wynika z informacji przekazanych przez policję, śmierć poniosły cztery osoby: kierowca porwanego prezesa oraz trzech ochroniarze. Wciąż jeszcze nie wiadomo, czy Schleyer znajduje się wśród ofiar. Śledztwo w sprawie zo-

stało objęte nadzorem Federalnego Urzędu Kryminalnego w Wiesbaden”.

Punktualnie o godzinie 21.00 przed kamerami telewizji ZDF wystąpił przewodniczący CDU:

– Wszyscy znajdujemy się pod wrażeniem tego brutalnego morderstwa – powiedział Helmut Kohl. – Myślimy o ofiarach, współczujemy ich rodzinom i krewnym. Zastanawiamy się także nad losem uprowadzonego najprawdopodobniej Hannsa Martina Schleyera. To, co wydarzyło się dzisiaj w Kolonii, pokazuje raz jeszcze, że fanatyczna banda morderców w naszym kraju zmierza ku temu, by wypowiedzieć wojnę naszemu narodowi i cywilizacji (...) Sądzę, że w tej sytuacji wszyscy musimy zrozumieć, że należy zastosować wszystkie dostępne środki, aby położyć kres temu niebezpieczeństwu grożącemu naszej wolności wewnętrznej.

Alarmujący ton szefa opozycji chadeckiej w Bundestagu zmusił do zabrania głosu kanclerza federalnego. Helmut Schmidt pojawił się w studiu ARD i ZDF pół godziny później, o godzinie 21.30.

– Krwawa prowokacja w Kolonii skierowana jest przeciwko nam wszystkim – stwierdził. – Wszyscy powinniśmy stanąć po stronie organów państwowych i wspierać je jak tylko się da.

Następnego dnia, we wtorek 6 września, ewangelicki pastor Helmut Neuschafer z Wiesbaden znalazł w swojej skrzynce kopertę z napisem: „Do rządu federalnego”. Zaintrygowany wrócił do mieszkania. Zapewne był przez kogoś obserwowany, bo w tej samej chwili rozległ się dźwięk telefonu.

– Proszę niezwłocznie przekazać tę kopertę adresatowi – poleciła mu nieznana osoba.

– Halo, kto mówi?

W odpowiedzi duchowny usłyszał jedynie trzask odkładanej na widełki słuchawki.

Wkrótce przesyłka trafiła do rąk szefa Federalnego Urzędu Kryminalnego (BKA)[20], Horsta Herolda. W kopercie znajdował się

---

20 Policja w Niemczech nie posiada scentralizowanej struktury.

krótki list pisany ręką Schleyera, w którym informował, że czuje się dobrze, że nie odniósł ran i żywi nadzieję na zwrócenie mu wolności po spełnieniu żądań porywaczy. Ponadto dwie jego aktualne fotografie; jedna przedstawiała porwanego na tle symbolu organizacji (czerwonej, pięcioramiennej gwiazdy i karabinu) z tablicą „więźni RAF” na szyi, druga zaś była zdjęciem prywatnym, jakie H.M. Schleyer nosił stale przy sobie, oraz list do władz federalnych, będący w zasadzie formą ultimatum. W celu uniemożliwienia policji znalezienia jakichkolwiek śladów, oba listy zostały przekazane w formie fotokopii, jedynie list Schleyera nosił jego oryginalny podpis.

Porywacze zażądali, w zamian za wypuszczenie przemysłowca, uwolnienia jedenastu więzionych członków RAF, w tym pensjonariuszy Stammheim: Andreasa Baadera, Jana Carla Raspego, Gudrun Ensslin oraz Irmgard Molier. Więźniowie mieli odlecieć do wybranego przez siebie kraju, w towarzystwie sędziwego obrońcy pokoju, pastora Martina Niemöllera, odlot miała transmitować telewizja. Każdy z uwolnionych miał otrzymać na drogę 100 tysięcy marek zachodnioniemieckich, a rząd federalny musiał się zobowiązać, że nie będzie żądał ekstradycji.

\*

List porywaczy wywołał w Bonn prawdziwe tsunami. Postanowiono nie ujawniać treści pisma, lecz ogłosić tylko krótki komuni-

---

Członkowie policji niemieckiej są urzędnikami poszczególnych landów (krajów związkowych). Równoległe do szesnastu różnych policji krajowych (Landespolizei), istnieją tam również trzy inne służby policyjne w zakresie federalnym (ogólnopanstwowym), wykonujące szczegółowe zadania w zakresie bezpieczeństwa, wśród nich BKA. Bundeskriminalamt (Federalny Urząd Kryminalny) działa przy niemieckim MSW, pomiędzy poszczególnymi policjami, zapewniając kontakt z międzynarodowymi służbami policyjnymi w zakresie zwalczania przestępczości. Urząd dysponuje placówkami w Wiesbaden (siedziba główna), Berlinie, Bonn i Meckenheim.

kat o jego otrzymaniu i... zwlekać. Istotne poruszenie było zresztą powszechne wśród wszystkich obywateli Republiki Federalnej. Ludzie tkwili przy telewizorach i odbiornikach radiowych. Aby nie przerażać mieszkańców, specjalna brygada porządkowa nocą skrętnie usunęła wszelkie ślady krwi pozostałej po zamachu. Rano na miejscu tragedii pojawiło się sporo mieszkańców miasta, zapalających znicze i składających wiązanki kwiatów. (Dzisiaj wznosi się tam – odsłonięty w pierwszą rocznicę morderstwa – czterometrowy obelisk z bazaltu, zaprojektowany przez profesora Hannsa Karla Burgeffa).

Wielkie oburzenie wywołał nabazgrany przez kogoś nocą na ławce w Heidelbergu napis: „Czemu taić radość?” (Po niemiecku kalambur: *Warum die Freude ver-schleyer-n?*). Z podobną reakcją spotkał się odnotowany przez dziennikarza dowcip bywalca studenckiej knajpy w Monachium: „Idę już, to pora karmienia Hannsa Martina...”.

Nastały niekończące się dni oczekiwania, wyniszczająca wojna nerwów. Rząd miał do wyboru tylko dwie ewentualności – obie złe. Wypuścić więźniów skazanych za groźne przestępstwa lub poświęcić życie Schleyera. Postanowiono przeciwstawić się żądaniom porywaczy. Program sformułowany przez kanclerza Helmuta Schmidta zamykał się w trzech punktach:

Doprowadzić do uwolnienia zakładnika żywego.

Ująć sprawców i postawić ich przed sądem.

Zapewnić państwu zdolność do działania oraz budzić zaufanie do niego w kraju i za granicą – co oznaczało: nie uginać się wobec żądania wypuszczenia na wolność więzionych terrorystów.

W realizacji tego programu rząd federalny wykazał się żelazną konsekwencją, nie przejmując się wywieranymi nań z różnych stron naciskami. A nie było to bynajmniej łatwe, głównie dlatego, że terroryści ciągle pozostawali nieuchwytni. Niezwykle ważne w tej sytuacji zbudowanie zaufania obywateli do państwa mogło się opierać jedynie na sukcesach prowadzonego śledztwa, a to, ze zrozumiałych względów, otoczone było całkowitą tajemnicą.

Nie można było spełnić żądań terrorystów, lecz nie można było również natychmiast im odmówić. W tej sytuacji pierwszym krokiem, na który się zdecydowano, było zakazanie uwięzionym przestępcom jakichkolwiek kontaktów ze światem zewnętrznym. Postanowiono grać na czas, pozorując wolę spełnienia żądań porywaczy. Wśród wymienionych w ultimatum więźniów przeprowadzono ankietę mającą na celu ustalenie, czy chcą być wywiezieni, a jeśli tak, to do jakiego kraju. (Lista Baadera: Algieria, Wietnam, Libia, Jemen Południowy, Irak – z dodatkiem: „Uważamy, że rząd federalny musi zwrócić się do wchodzących w rachubę krajów z prośbą o przyjęcie”.)

Sugestie Baadera wykorzystał chytrze wysłannik kanclerza Schmidta, Hanns Jurgen Wischniewski. Latał na Bliski i Daleki Wschód, pytał rządy różnych krajów, czy przyjmą terrorystów i... nie nalegał zbyt, gdy słyszał odmowę. Chodziło przecież o ruchy pozorne, o stworzenie wobec terrorystów wrażenia, że coś się dzieje. Władze liczyły, że uda im się tymczasem trafić na kryjówkę porywaczy. Ludzie odpowiedzialni za podjęte decyzje przeżywali pełne niepokoju godziny, gdy mijał termin pierwszego ultimatum – środa, 7 września godzina 12.00.

Przede wszystkim, jak zwykle w tego typu sytuacjach, Federalny Urząd Kryminalny zażądał przez radio od porywaczy dostarczenia dowodu pozostawiania Hannsa Martina Schleyera ciągle jeszcze wśród żywych. Od tego tak zwanego „dowodu życia” uzależniono dalsze kontakty. Odpowiadając na apel, terroryści ponownie skorzystali z pośrednictwa osoby duchownej. Następnego dnia zadzwonili do Friedricha Schustera, pastora parafii pod wezwaniem Chrystusa w Moguncji, z wiadomością, że w jego domowej skrzynce na listy znajduje się kolejna przesyłka dla rządu federalnego. Zawierała pismo RAF-u, dwa odręczne listy Schleyera i taśmę magnetowidową, na której utrwalono obraz porwanego, czytającego jeden z załączonych listów. Terroryści byli coraz bardziej zdenerwowani i aroganccy. W oczy rzucała się ich irytacja spowodowana blokadą wiadomości w mediach. Stanowczo żądali spełnienia

wszystkich swoich dotychczasowych żądań, domagali się też od-  
tworzenia przesłanej taśmy wideo we wszystkich programach tele-  
wizji, a także udostępnienia jej kopii prasie krajowej i zagranicznej.

\*

Kolejny dzień dramatu. Trwa niesamowita, wyniszczająca obie  
strony wojna nerwów. „Wielki sztab kryzysowy”, formalnie nazy-  
wany „Wielkim politycznym gremium doradczym”, obraduje pod  
przewodnictwem kanclerza niemal nieustannie. Z decyzją rządu  
nieulegania terrorystom godzą się jednak nawet blisko powiązani  
ze sferami gospodarczymi i samym Schleyerem przywódca chade-  
cji, mimo skierowanego do Helmuta Kohla rozpaczliwego listu po-  
rwanego:

„Drogi Helmucie, sytuacja, w jakiej się znajduję, nie jest już zro-  
zumiała politycznie. To skłania mnie do wystosowania apelu do  
moich przyjaciół politycznych. (...) Nie jestem skłonny rozstać się  
milcząco z tym życiem, aby kryć błędy rządu, tworzących go partii  
oraz niedociągnięcia oklaskiwanego szefa BKA”.

Kontrole samochodów na autostradach i obserwacje podejrzanych  
mieszkań nie przynoszą wyników, ale z pewnością ograniczają  
swobodę poruszania się terrorystów. Do kontaktu z nimi zaangażowany  
zostaje specjalny pośrednik, adwokat Denis Payot z Gene-  
wy, prezes Szwajcarskiej Ligi Praw Człowieka. Jednocześnie trwają  
intensywne rozmowy władz z przedstawicielami prasy, mające na  
celu zablokowanie obszerniejszych informacji o porwaniu oraz o  
rokowaniach, aby nie tworzyć z mediów publicznej trybuny dla  
terrorystów. W wolnym świecie, gdzie istnieją wolne media, nie  
jest to bynajmniej łatwe. Rząd proponuje ograniczenie się jedynie  
do wiadomości aprobowanych przez Urząd Kanclerski. Rozmowy  
zostają zakończone powodzeniem, po raz pierwszy chyba w dzie-  
jach wolnej prasy rozsądek tryumfuje nad chęcią zdobycia za  
wszelką cenę poczytności i żądzą osiągnięcia dodatkowych zy-  
sków.

W środę, 14 września, kierownik bońskiego biura francuskiej agencji informacyjnej AFP otrzymuje kolejny list od terrorystów, zawierający taśmę video, na której Hanns-Martin Schleyer czyta między innymi oświadczenie: „Wyśledzenie moich porywaczy będzie oznaczało mój koniec, gdyż porywacze będą zmuszeni tego dokonać”. Trzeci tydzień dramatu wciąż nie przynosi wyjaśnienia sytuacji. Porywacze grożą, że nie pozwolą przeciągać prowadzonych rokowań w nieskończoność. Jednocześnie, na powtarzające się wciąż żądania policji dostarczają dowodów, że uprowadzony przemyślowiec ciągle żyje. W wysyłanych do różnych osób listach Schleyer odpowiada na pytania, na które tylko on zna odpowiedź.

Baader, wciąż uważany za przywódcę RAF, uparcie domaga się rozmowy z kimś z Urzędu Kanclerskiego. W końcu jego żądanie zostaje spełnione. Przedstawiciel wspomnianej instytucji, którego nazwisko nigdy nie zostało podane do publicznej wiadomości, przybywa do Stammheim. Terrorysta robi na nim wrażenie wyczerpanego i bardzo zdenerwowanego.

– My, pierwsza generacja Frakcji Czerwonej Armii, zawsze potępialiśmy przemoc w stosunku do niewinnych, przypadkowych osób – oświadcza urzędnikowi. – Obecna generacja RAF będzie jednak dokonywać coraz brutalniej szych akcji, podobnie jak sprowokowani krzywdą swego narodu Palestyńczycy. Eskalacja represji ze strony rządu wywoła tylko szeroki, nielegalny ruch protestu, który uczyni z RAF potęgę.

– Co w związku z tym pan sugeruje?

– Wypuścić więźniów. Gdyby władze zdecydowały się to w końcu uczynić, gwarantuję, że zaniechają oni jakichkolwiek akcji na terenie Republiki Federalnej.

W piątym tygodniu negocjacji staje się coraz bardziej jasne, że władze wyraźnie grają na czas. Rokowania dochodzą do ślepego zaułka, z którego – zdaje się – nie ma już wyjścia. Z jednej strony rosnąca nieufność i zdenerwowanie „Kommando Siegfried Hausner”, z drugiej – obiektywna niemożność spełnienia przez rząd federalny stawianych żądań. W prasie pojawiają się dostarczone przez terro-

rystów dramatyczne zdjęcia Schleyera trzymającego przed sobą kartkę papieru z informacją, który dzień jest więziony. Wszyscy zadają sobie to samo pytanie: Jak długo jeszcze trwać będzie ten dramat?

– Nic gorszego nie może nam się już przydarzyć – oświadcza kanclerzowi zdenerwowany Horst Herold.

Wkrótce okazuje się, że, niestety, się myli.

\*

Trzynastego października, w czwartek, wszystkie agencje informacyjne na całym świecie przyniosły wiadomość o uprowadzeniu odrzutowca Boeing 737 niemieckich linii lotniczych Lufthansa, lecącego z Majorki do Frankfurtu nad Menem, z osiemdziesięcioma sześcioma pasażerami na pokładzie i pięcioma członkami załogi. W samolocie byli głównie urlopowicze; starszycy, kobiety, małe dzieci – dokładnie czterdzieści sześć kobiet, trzydziestu trzech mężczyzn i siedmioro dzieci. O godzinie 15.45 maszyna wylądowała na rzymskim lotnisku Fiumicino, gdzie za pośrednictwem kontroli lotów porywacze przekazali swoje żądania:

– Po pierwsze, wypuścić jedenastu wskazanych przez naszych niemieckich kolegów bojowników – oświadczył mówiący po angielsku z wyraźnie arabskim akcentem przywódca, który przedstawił się jako „kapitan Mahmud Walter”. – Po drugie, wypuścić na wolność dwóch palestyńskich bojowników aresztowanych w Turcji. Potrzebie, dostarczyć piętnaście milionów dolarów...

Następnie tajemniczy „kapitan Mahmud” (później okazało się, iż w rzeczywistości nazywał się Mohammed Zuhair Yousiff Akache) zażądał zatankowania paliwa i nim zdołano ustalić jakiegokolwiek szczegóły, o godzinie 17.42 samolot wystartował z Rzymu w kierunku Cypru.

Świat zamarł z przerażenia. Początkowo nikt nie wiedział, kim są porywacze i ilu ich jest. Wyjaśnił to dopiero pewien radioamator z Izraela, który zupełnym przypadkiem podsłuchał w eterze frag-



ment rozmowy prowadzonej przez kapitana porwanego samolotu z drugim pilotem. Wynikało z niej, że jest ich czworo – dwóch mężczyzn i dwie kobiety, wszyscy uzbrojeni w pistolety i granaty ręczne. Wkrótce ustalono ich personalia na podstawie posiadanych irańskich paszportów, oczywiście fałszywych jak rżęsy filmowej gwiazdy. Dla pasażerów również nie mają nazwisk. „Kapitan Mahmud” zwraca się do swojego towarzysza per „numer 18”, na kobiety woła: „Numer 32” i „33”.

Postawiony pod ścianą rząd federalny w Bonn podjął decyzję o odbiciu pasażerów przez specjalną jednostkę komandosów GSG-9 (Grenzschutzgruppe 9), przeszkoloną specjalnie do tego rodzaju celów po nieszczęsnej akcji w Monachium[21]. Decyzja niełatwa, ponieważ opinia publiczna przechyliła się w międzyczasie zdecydowanie w stronę ustępstw. Teraz większość obywateli opowiadała się za spełnieniem żądań porwaczy.

O godzinie 20.28 pasażerowie pechowego lotu LHJ 81 z Majorki wylądowali w Larnace na Cyprze. Stamtąd, zgodnie z żądaniem terrorystów, samolot poleciał do Damaszku, a następnie do Dubaju. Jak cień podążał za nim drugi Boeing 737 Lufthansy, wylądowany komandosami z GSG-9...

Tymczasem austriacka gazeta „Kurier” podała wiadomość, że niemiecka brygada antyterrorystyczna ma wziąć szturmem porwaną Lufthansę. Natychmiast wiadomość powtórzyła większość stacji radiowych i telewizyjnych. Tym samym komandosi zostali

---

21 5 września 1972 roku, podczas trwających w Monachium XX Igrzysk Olimpijskich, około godziny czwartej nad ranem grupa Palestyńczyków z organizacji „Czarny Wrzesień” wdarła się przez mur do wioski olimpijskiej. Przebrani w sportowe dresy terroryści weszli do budynku zamieszkiwanego przez członków ekipy Izraela, których wzięli jako zakładników, zabijając przy tym dwóch stawiających opór. Domagali się uwolnienia przetrzymywanych w Izraelu swoich kolegów. W wyniku nieudanej akcji policji zginęło kolejnych dziewięciu żydowskich sportowców, pięciu terrorystów oraz jeden niemiecki policjant.

spaleni. Cała grupa musiała natychmiast wrócić do Niemiec, by uspokoić opinię publiczną, a zwłaszcza tych, którzy współpracowali z terrorystami i mogli ich o tym fakcie poinformować.

To był jeden z najniebezpieczniejszych momentów całej akcji. Gdyby porywacze dowiedzieli się, że obietnica wypuszczenia uwięzionych kolegów była tylko blefem, życie zakładników niewarte byłoby funta kłaków. Do dzisiaj pozostaje zagadką, dlaczego Mahmud i jego towarzysze, mając do dyspozycji radio pokładowe, nie dowiedzieli się o GSG-9.

Następnego ranka, 15 października, boeing wiozący chłopców z GSG-9 wylądował na lotnisku we Frankfurcie. Telewizja pokazywała aż do znużenia powrót brygady. Nikt jednak nie zwrócił uwagi, że na pokładzie powracającego samolotu nie było komendanta jednostki, Ulricha Wegenera. A dowódca, jak pies gończy tropem dzikiej zwierzyny, wciąż podążał za porwaną maszyną...

\*

Podczas rewizji bagażu ręcznego „kapitan Mahmud” znalazł u jednej z pasażerek długopis marki „Mont Blanc”, na którym widniał znak firmowy, przypominający gwiazdę Dawida. Rozsierdzony terrorysta zaciągnął kobietę na pokład pierwszej klasy i zaczął bić po twarzy, krzycząc histerycznie: „Jesteś Żydówką!”. Gdy zmaltretowanej i obolałej pozwolił w końcu wrócić na swoje miejsce, oznajmił:

– Zabiję następnego, u kogo znajdę coś podobnego.

Przez cały czas maltretowania pasażerki, „numer 18” z pistoletem w rękę trzymał na muszce pilotów, a dziewczyny stały w przejściu z granatami w rękach.

Potem wezwał do siebie stewardesę Gabi Dillmann, pragnąc wyjaśnić, dlaczego pobił kobietę.

– Syjoniści zabrali moją ojczyznę, rozumiesz?

Przerażona pracownica linii lotniczych tylko kiwnęła głową.

– To wszystko międzynarodowy spisek syjonistów i imperiali-

stów. A Republika Federalna jest państwem faszystowsko-imperialistycznym, rozumiesz? Dlatego palestyńscy bojownicy o wolność wyzwolą swych niemieckich towarzyszy z więzień, rozumiesz?

Dopiero w tym momencie do stewardesy dotarł cel przyświecający porywaczom. A więc chcą uwolnić więźniów z grupy Baader-Meinhof, podobnie jak ci, którzy porwali Hannsa Martina Schleyera...

Po jakimś czasie kolejny wściekły atak przywódcy terrorystów wywołał... zegarek drugiego pilota.

„Nagle zaczął się przyglądać mojemu zegarkowi – wspominał Jürgen Vietor.

– Czy wiesz, że to jest godło syjonistów? – krzyknął.

Pokręciłem przecząco głową.

– To jest zegarek marki „Junghans”, ze stylizowanym kółkiem zębatym – wyjaśniłem. – Może rzeczywiście przypomina żydowską gwiazdę, ale to zupełny przypadek.

– Czy jesteś Żydem? – zapytał.

– Nie – odpowiedziałem. – Jestem ewangelikiem.

Mahmud wywlókł mnie z fotela pilota, zaciągnął do pierwszego rzędu miejsc w kabinie pasażerskiej, gdzie rzucił czasomierz na dywanową wykładzinę pokrywającą podłogę. Gestem pokazał, że mam go stratować.

Depczę po nim jak oszalały, lecz zegarek nie pęka, bo dywan jest za miękki. Wtedy porywacz z wściekłością chwyta zegarek, kładzie go na poręczy fotela i rozbija toporkiem, który wisi obok drzwi wejściowych na wypadek awarii”.

Minister Wischniewski ponownie udał się na Bliski Wschód. W swoim bagażu miał przygotowane sześć milionów dolarów w gotówce, na wypadek, gdyby porywacze zdecydowali się zadowolić tylko okupem, w co jednak ani on sam, ani nikt przy zdrowych zmysłach nie wierzył. Po kolei przeprowadzał rozmowy z przedstawicielami państw, w których lądowała uprowadzona maszyna. Dopiero dużo później okazało się, co stanowiło temat tych rozmów:

uzyskanie pozwolenia na zaatakowanie samolotu przez niemieckich komandosów.

Terrorysty postawili ultimatum: jeśli do 16 października ich żądania nie zostaną spełnione, wysadzą wszystko w powietrze. Kapitan samolotu przekazał telegram adresowany osobiście do kancle-rza federalnego:

„Życie 91 mężczyzn, kobiet, dzieci na pokładzie samolotu zależy od Pańskiej decyzji. Jest Pan naszą ostatnią i jedyną nadzieją. W imieniu załogi i pasażerów, Jurgen Schumann”.

W sobotę, 15 października o godzinie 0.40 mecenas Payot przekazał Federalnemu Urzędowi Kryminalnemu tekst oświadczenia Hannsa Martina Schleyera, nagrany na kolejną taśmę. Prezes zachodniemieckich pracodawców pozdrowiał swoją rodzinę i przyjaciół oraz pełen wyraźnego rozgoryczenia stwierdził:

„W mojej obecnej sytuacji sam siebie pytam, czy wreszcie nie musi stać się coś okropnego, co zmusi Bonn do podjęcia decyzji. Już prawie sześć tygodni jestem więźniem terrorystów i to wszystko dlatego, że przez wiele lat angażowałem się i narażałem dla tego państwa i demokracji. Chwilami dochodzę do przekonania, że po prostu wydrwiono tę moją działalność”.

Chociaż Schleyer usiłuje trzymać fason, twarz przemysłowca budzi grozę. To oblicze potwornie udręczonego, przerażonego staro-go człowieka.

Tymczasem wprowadzony boeing wystartował ponownie, biorąc kurs na Bejrut. Kiedy jednak znalazł się w zasięgu bejruckiego lotniska, okazało się, że wszystkie pasy zostały zablokowane przez wojskowe transportery. Porywacze zrezygnowali w tej sytuacji z lądowania i kazali lecieć do Damaszku. Tam jednak również nie pozwolono im lądować.

Historia powtórzyła się w Kuwejcie i Bagdadzie. Rząd żadnego z krajów nie chciał mieć nic wspólnego z porywaczami. Pasażerowie, a także politycy w Bonn, którzy wzięli sprawę w swoje ręce, przeży-wali godziny pełne grozy. Nad Bahrajnem maszyna miała już za

sobą ośmiogodzinny ciągły lot. Paliwa starczało jeszcze na kwadrans.

– Odmawiamy zgody na lądowanie – oświadczyła wieża kontrolna Bahrajnu.

– Lądujcie! – krzyknął do pilotów Mahmud. – Jest mi obojętne gdzie i jak. Macie teraz, natychmiast lądować!

Na lotnisku nie zdążono jeszcze zablokować pasów, gdy boeing wylądował bez zezwolenia. Chcąc pozbyć się jak najszybciej intruzów, władze Bahrajnu zgodziły się zatankować samolot, nakazując potem natychmiastowy start. Podczas tej czynności maszyna została nagle otoczona przez oddział żołnierzy. Mahmud zareagował na to histerycznie. Jedną ręką chwycił za mikrofon, próbując nawiązać kontakt z wieżą, drugą przystawił pistolet do głowy Jürgena Vietora.

– Jeżeli w ciągu pięciu minut żołnierze nie wycofają się, zastrzelę pilota – wrzasnął do mikrofonu.

Odślonił przy tym swój zegarek tak, aby mógł go również widzieć drugi pilot. Gdy wskazówka sekundnika obiegła cyferblat, rzucił krótko w jego kierunku:

– Masz jeszcze tylko cztery minuty życia.

– Nie może pan tego zrobić – zaprotestował kapitan samolotu, Jürgen Schumann. – Bez niego nie będziemy mogli wystartować.

– Zostały jeszcze tylko trzy minuty – odpowiedział terrorysta.

W tym momencie Vietor stracił nerwy, błagając Mahmuda o darowanie życia. Rozpłakał się i poprosił porywacza o mikrofon, na co ten zgodził się bez namysłu. Ujawszy w drżące ręce komunikator, zaczął zaklinać Bahrajńczyków, żeby wycofali żołnierzy.

„Do końca życia będę pamiętał ten głos – relacjonował później. – Jeszcze dwie minuty, jeszcze jedna... Chłodny metal lufy dotykał przez cały czas mojej skroni, wiedziałem, że zdenerwowałem Mahmuda, nazywając go przed kilkoma godzinami, podczas postoju na Cyprze, terrorystą. On sam określał się jako bojownik o wolną Palestynę. Nie zapomniał mi tego i dlatego mnie wybrał. Gdy Mahmud

powiedział: »Jeszcze trzydzieści sekund«, usłyszałem za sobą głos Schumanna, który powiedział, że żołnierze zaczynają się powoli wycofywać. »Kapitanie Mahmud – zawołałem wtedy – oni się wycofują! Proszę nie strzelać«. Mahmud wyrzał przez okno i zobaczył, że Schumann mówił prawdę. Wtedy dopiero opuścił pistolet”.

Godzinę później niemiecki Boeing 737 wzbił się w powietrze.

Kolejnym celem był oddalony o trzy godziny lotu Dubaj. Spędzili tam niecałe siedem godzin, podczas których toczyły się dalsze pertraktacje z niemieckim rządem oraz sekretarzem stanu w ministerstwie obrony Zjednoczonych Emiratów Arabskich, szejkiem Mahmudem Ibn Raszydem.

Tutaj kapitan Mahmud zaprezentował wszystkim niespodziewanie swoje drugie oblicze. Gdy dowiedział się przypadkiem, że jedna ze stewardes obchodzi właśnie tego dnia urodziny, kazał zamówić tort i szampana. Sytuacja rozładowała się, ale nie na długo.

Propozycja wypuszczenia na wolność z samolotu kobiet i dzieci zostaje brutalnie odtrącona. W pewnym momencie przywódca terrorystów krzyczy przez mikrofon do wieży:

– Jeśli nie przyślecie natychmiast cysterny, zaczniemy rozstrzeliwać zakładników. Co pięć minut jednego, dopóki nie dostaniemy paliwa.

Następnie wchodzi do kabiny i wybiera siedem osób, przydzielając im poszczególne numery, od jeden do siedem. W tej kolejności będzie dokonywał egzekucji. Gabi Dillmann jest trzecia. Zaszczytny numer 1 otrzymuje jakiś młody Holender. Porywacz wlecze go na koniec korytarza i przytykając pistolet do głowy, pokazuje, jak to wszystko będzie wyglądać. Piętnaście minut później podjeżdża samochód-cysterna.

Po kilkugodzinnym postoju w Dubaj u porwany samolot wziął kurs na stolicę Jemenu Południowego, Aden. Cierpliwość terrorystów dobiegała powoli końca, zmęczenie również dawało im się we znaki. Sytuacja w każdej chwili groziła wybuchem. Dosłownie.

W Jemenie – ta sama historia. Brak zgody na lądowanie. Na pasy

wtoczyły się ciężkie wozy bojowe, blokując wszystkie pasy. Zapas paliwa w zbiornikach był tak mały, że nawet mowy nie było o dotarciu do innego lotniska. Schumann i Vietor mieli do wyboru lądować w morzu albo na zablokowanych pasach. Diabelska zaiste alternatywa, nie pierwsza zresztą w tej opowieści. Jedno i drugie musiało zakończyć się katastrofą.

Stewardesy, utrzymując całą sytuację w tajemnicy przed pasażerami, zaczęły przygotowywać ich do lądowania awaryjnego. Nagle Schumann dostrzegł między zablokowanymi pasami odcinek piaszczystego terenu.

– Tam siadamy – powiedział spokojnie do kolegi.

Obydwaj piloci mieli jednak świadomość, że takie lądowanie może zakończyć się eksplozją silników, gdyby piach dostał się w turbiny. Nie było jednak innego wyjścia.

– Życie było piękne, tylko trochę za krótkie. – Vietor uśmiechnął się smutno do Schumanna.

– Chyba tak – westchnął kapitan. – Ale najprawdopodobniej zaraz się skończy.

Siedzący za nimi Mahmud miał na wpół przymknięte oczy i otwarte usta. Od jakiegoś czasu przestał się w ogóle odzywać. Po czole, z miejsca, gdzie łączy się ono z włosami, spływały mu strumienie potu. Pod brązową cerą rysowała się bladość.

– *Good bye, captain.* – Vietor wyciągnął do niego prawicę.

– *Good bye* – wykrztusił z siebie terrorysta, podając pilotowi dłoń.

W tym momencie Vietor spostrzegł, że porywacz nie ma zapiętych pasów. Maszyna znajdowała się tuż nad ziemią. Nie namyślając się wiele, poderwał w ostatniej chwili samolot i wykonując karłomorny skręt, zawołał do Mahmuda:

– Natychmiast zapnij pasy!

– Zwariowałeś? – krzyknął przerażony Schumann. – Nie mamy już benzyny. Pozabijasz nas wszystkich!

W późniejszym czasie drugi pilot sam nie potrafił sobie wyflu-

maczyć, dlaczego zaryzykował życie wszystkich pasażerów, by ocalić je porywaczowi. Być może w tej dramatycznej chwili nikt z nich nie był już zakładnikiem ani porywaczem. Byli ludźmi, którzy razem siedzieli w kabinie i razem mieli za chwilę umrzeć. Mahmud był tak zdenerwowany, że nie potrafił zapiąć pasów. Schumann wychylił się ze swego fotela i pomógł mu dokonać tej prostej czynności.

Maszyna uderzyła silnie o ziemię, ale na szczęście podwozie nie zagrzebało się w piasku, czego najbardziej obawiali się obaj piloci. Na wyboistym terenie samolot trzęsło jak kostkami do gry w kubku. Zatrzymali się na samym końcu piaszczystego terenu. Jeszcze raz się udało. W powietrzu wisiało jednak wciąż nieme pytanie: Jak długo jeszcze?

W Bonn tymczasem zapadła decyzja przekazania okupu. Jakimś cudem wiadomość o tym, gdzie i kiedy ma to nastąpić, przedostała się na zewnątrz. W hallu hotelu „Intercontinental” we Frankfurcie nad Menem zgromadziło się ponad stu dziennikarzy i kilka ekip telewizyjnych. W takich warunkach kontakt z wysłannikiem terrorystów stał się niemożliwy. (Do dzisiaj wiele osób podejrzewa, że ta „niedyskrecja” została zainspirowana przez BKA).

Tymczasem do akcji ruszyła jedna z najbardziej zainteresowanych pozytywnym załatwieniem sprawy osób – syn uprowadzonego przemysłowca. W Federalnym Trybunale Konstytucyjnym w Karlsruhe Eberhard Schleyer złożył wniosek z żądaniem nakazania niemieckim władzom przez instancję sądową natychmiastowego uwolnienia terrorystów i wymienienia ich na jego ojca. Zatrudnił w tym celu kilku najlepszych w Republice Federalnej prawników, którzy powołali się w piśmie na artykuł 2 i 3 konstytucji, który gwarantuje obywatelom ochronę przez państwo i równe ich traktowanie.

Wydany błyskawicznie, na nadzwyczajnym posiedzeniu, pełen zawiłych uzasadnień prawniczych wyrok Trybunału stwierdzał:

„Stanowisko rządu federalnego wyraził jasno federalny minister sprawiedliwości. Uważa on wniosek powoda za nieuzasadnio-



ny. Artykuł 2 ust. 2 Ustawy Zasadniczej zobowiązuje wprowadzić państwo do ochrony życia ludzkiego przed atakami ze strony osób trzecich, z drugiej strony jednak spełnienie żądań porwawczy zagroziłoby w najwyższym stopniu życiu osób postronnych, gdyż jedenastu przebywających w więzieniu terrorystów to ludzie szczególnie niebezpieczni. Po ich zwolnieniu, jak wykazały doświadczenia związane ze sprawą porwania Lorenza, kontynuowałiby oni swoją terrorystyczną działalność (...) Tak więc roszczenie wnioskodawcy narusza podstawę praworządności w państwie. Jego spełnienie uniemożliwiłoby państwu zapewnianie ochrony. W obecnej nadzwyczajnej sytuacji nie można podjąć decyzji, która w oparciu o zasady konstytucyjne mogłaby być uznana za jedynie słuszną. Należy raczej zapewnić odpowiedzialnym organom państwowym swobodę oceny i decyzji (...)"

Nerwy zaangażowanych w sprawę ludzi były napięte do granic wytrzymałości. Gra wydawała się ciągnąć w nieskończoność, a nadzieja na szczęśliwe zakończenie oddalała się jak koniec uciekającego pociągu.

\*

Jest niedziela, 16 października. Piloci otrzymują pozwolenie na dokonanie lustracji podwozia samolotu. Samotny Boeing Lufthansy otoczony jest kordonem jemeńskiego wojska. Vietor i Schumann robią krótki przegląd maszyny. Podwozie wydaje się nieuszkodzone. Vietor wraca, zaś Schumanna, który próbuje rozmówić się z niczego nierozumiejącymi żołnierzami, Mahmud traci na chwilę z oczu. Wrzaskiem wzywa go do powrotu, grożąc wysadzeniem w powietrze zaminowanego samolotu.

– Wasz kapitan to dezterter! – krzyczy w stronę pasażerów. – Zdradził was. Za chwilę wszyscy zginiecie!

Kapitan wraca. Wraca po śmierć.

Szalejący z wściekłości terrorysta puszcza mimo uszu jego wyjaśnienia o defekcie i prośbie skierowanej do żołnierzy o jego usunię-

cie. Pod groźbą broni zapędza go do pierwszego rzędu foteli i rzuca na kolana, zapowiadając „rewolucyjny sąd”.

– Chciałeś nas zdradzić, tak czy nie? – Lewą ręką wali głową pilota o oparcie fotela.

Tryska krew.

– Nie, nie, nie – zapewnia przerażony Schumann.

– Wiem, że to zrobiłeś – mówi Mahmud i pociąga za spust.

Kula trafia w lewą stronę twarzy, między policzek a nos. 86 par ludzkich oczu ogląda śmierć bohaterskiego pilota. Bezwładne ciało z hukiem i głośnym łoskotem zwała się na podłogę. Matki zakrywają dzieciom oczy. W obezwładniającej ciszy po śmiertelnym wystrzale rozlega się głos trzyletniego Steffena Waidy:

– Tato, było bum.

Jedna z terrorystek, siedząca na poręczy sąsiedniego fotela, macha beztrosko nogami, delektując się smakiem gryzionego jabłka.

– Wyłam przy tym jak pies – powie znacznie później Gaby Dillmann.

Któryś z pasażerów zdobywa się na odwagę. Podnosi się ze swego miejsca i przykrywa ciało kocem.

Wzywana co chwilę przez terrorystów do kabiny pilotów Gaby za każdym razem musi przekraczać leżące w wąskim przejściu zwłoki. Błaga Mahmuda o ich usunięcie. Jedna z terrorystek podaje jej szklankę wody i próbuje pocieszać.

– Kapitan z pewnością nic nie zauważył – mówi. – Myślał, że będzie tylko bity. To wszystko stało się tak szybko... Schumann zdradził wszystkich. Mahmud nie mógł postąpić inaczej.

W końcu dowódca wydaje polecenie przeniesienia trupa do wąskiej szafki, w której załoga trzyma zwykle zapasowe mundury. Aden odmawia przyjęcia ciała. Bez mała dziesięć godzin rozgrzany samolot piecze się w promieniach upalnego jemeńskiego słońca.

Jak się potem okazało, Jürgen Schumann rzeczywiście „zdradził” porywaczy, przekazując na zewnątrz informacje o ich liczbie oraz sytuacji na pokładzie. Kawalkiem plastiku zawiązał

cztery cygara, które wyrzucił przez okno. W ten sposób dał znać, że terrorystów jest czworo. Dodatkowo, rozmawiając z wieżą kontrolną, na pytanie: „Czy jeszcze czegoś brak na pokładzie?”, dał pozornie bezsensowną odpowiedź: „Są cztery takie rzeczy”. Zażądał też „czterech kartonów papierosów, po połowie” – aby poinformować, że chodzi o dwie kobiety i dwóch mężczyzn.

Od wczesnych godzin rannych obraduje gabinet federalny w Bonn i sztab kryzysowy. Kanclerz i minister spraw wewnętrznych polecają, aby „wzmocnić środki bezpieczeństwa dla zapobieżenia nowym porwanom samolotów, nie trzymać terrorystów w jednym więzieniu, kontynuować przygotowania do odbicia zakładników”. Helmut Schmidt przeprowadza serię rozmów telefonicznych: z premierem Wielkiej Brytanii, z ministrem obrony i prezydentem Zjednoczonych Emiratów Arabskich, nawiązuje nawet łączność z rządem ZSRR i rządem NRD.

O godzinie 2.02, po wcześniejszym zatankowaniu, uprowadzony samolot startuje. Dokąd? – Nie wiadomo.

„To nic trudnego pilotować w pojedynkę Boeinga 737 – opowiada potem Jürgen Vietor. – Pod warunkiem jednak, że stan techniczny maszyny jest w porządku, widać pas startowy, a pilot jest w dobrej kondycji fizycznej. Nie byłem pewien, czy podwozie nie jest uszkodzone, koła grzęzły do połowy wysokości w piasku. Ten start w Adenie to była zabawa ze śmiercią. Do tego jeszcze pas startowy jest tam za krótki, a zaraz za nim zaczyna się morze. Ale ten Mahmud siedział cały czas za mną i przytykał mi rewolwer do pleców”.

Początkowo wydaje się, że maszyna leci do Kuwejtu, ale o godz. 4.34 nadchodzi depecha, że wylądowała w Mogadiszu, ponurej stolicy Republiki Somalii. Porywacze przedłużają ultimatum do godziny 15.00. Zwłoki pilota wyrzucają na zewnątrz przez luk ratunkowy.

Atmosfera robi się coraz bardziej napięta. Termin nowego ultimatum upływa przecież za kilka godzin. Zachodnioniemieccy i somalijscy eksperci do spraw bezpieczeństwa spotykają się w celu

omówienia sytuacji. Linia telefoniczna urzędu kanclerskiego w Bonn rozgrzana jest do granic wytrzymałości. Helmut Schmidt prowadzi rozmowy z przedstawicielami krajów arabskich, prosząc ich o pomoc w nakłonieniu prezydenta Somalii, by zezwolił na wkroczenie do akcji grupy GSG-9. O to samo, tylko osobiście, zabiega również u Siada Barre Hans-Jürgen Wischniewski. Ostatecznie prezydent Barre wyraża zgodę. Wskazówki zegarów nieubłaganie przesuwają się do przodu.

\*

Zanim ujęła w ręce mikrofon pokładowy, stewardesa Boeinga, lot LHJ 81, połknęła aż dwie pigułki uspokajające. Za chwilę z głośników rozległ się jej metaliczny głos, spokojny i wyraźny. Po każdym zdaniu robiła jednak krótką pauzę.

– Nazywam się Gaby Dillmann – powiedziała. – Po raz ostatni pozwolono mi zgłosić się z kokpitu. Mam nadzieję, że wy, tam na wieży, słyszycie mnie dobrze i przekażecie tę wypowiedź kompetentnym osobom, a także samemu kanclerzowi. Wiemy, że teraz to już koniec. Jesteśmy wszyscy za młodzi, żeby umierać; także znajdujący się wśród nas staruszkowie są za młodzi... Ale może lepiej jest umrzeć, niż żyć na świecie, w którym ludzkie życie ma tak niską cenę. Mam nadzieję, że ci wszyscy, którzy ponoszą odpowiedzialność za naszą śmierć, będą mogli żyć w zgodzie z własnym sumieniem.

Na pokładzie odrzutowca Lufthansy dziewięćdziesiąt pięć osób przygotowywało się na śmierć: osiemdziesięciu sześciu zakładników, pięcioro członków załogi i czworo terrorystów. Był poniedziałek 17 października 1977 roku, godzina 14.30 czasu środkowoeuropejskiego – pół godziny przed wyznaczonym terminem wysadzenia maszyny w powietrze. Minęło blisko sto upiornych godzin od chwili, gdy samolot wystartował z Palma de Mallorca.

Sytuacja była prawie nie do zniesienia. Klimatyzacja psuła się co chwilę. Temperatura wewnątrz wzrosła do prawie pięćdziesięciu

stopni Celsjusza. Toalety w ogonie zupełnie się zatkały, te na przedzie zarezerwowali do swojej wyłącznej dyspozycji porywacze. Przebywanie na pokładzie stało się torturą. Jakiś chory na serce pasażer z trudem łapał oddech. Jakaś kobieta zemdląca na swym fotelu. Któryś ze starszych pasażerów chyba zupełnie stracił poczucie rzeczywistości:

– Czy jesteśmy już w Dortmundzie, *mutti*? – w ciszy rozległ się jego głośny szept.

Kapitan Mahmud stanął przed swymi ofiarami, opisując barwnie, jak potężny będzie to wybuch, gdy za chwilę wszyscy wylecą w powietrze. Pozostali terroryści zaczęli ciąć na paski nylonowe pończochy, które odebrali wcześniej kobietom, po czym wiązać jednego pasażera po drugim.

Gabi Dillmann nie chciała dać się skrępować jak prowadzona na rzeź owca. Jedna z porywaczek spojrzała na nią zaskoczona, następnie podniosła pistolet:

– Move (Ruszaj się) – syknęła po angielsku.

Stewardesa przypomniała sobie, że ta sama kobieta powiedziała jej wczoraj, iż tuż przed wysadzeniem samolotu zastrzelili małego Steffena Waidę. Zrobi tak, ponieważ polubiła chłopczyka. Bez słowa Gabi uniosła w górę złączone dłonie...

Powiązawszy pasażerów do foteli, terroryści otworzyli wszystkie znajdujące się na pokładzie butelki z wysokoprocentowym alkoholem, wylewając zawartość na dywan i ubrania pasażerów.

– Będziecie lepiej się palić! – zawołał Mahmud, śmiejąc się szatańsko.

Na szczęście w rokowaniach z porywaczami, prowadzonych drogą radiową, udało się wynegocjować przedłużenie ultimatum najpierw o pół godziny, a później do godziny 13.30 we wtorek.

– Zwycięstwo, zwycięstwo! – zaśmiał się histerycznie Mahmud, przecinając ludziom więzy. – Będziemy żyć. Rząd RFN wyraził wreszcie zgodę na wszystkie nasze warunki.

W Mogadiszu minęła właśnie godzina 17.30 i powoli zapadał już

zmrok, kiedy na płycie tamtejszego lotniska wylądował samolot specjalny Boeing 707, wiozący na pokładzie grupę GSG-9. Natychmiast po opuszczeniu samolotu niemieccy antyterrorysty przystąpili do omawiania szczegółów akcji z przedstawicielami somalijskich sił zbrojnych. W pewnym momencie jednak znów powodzenie całej operacji zawisło dosłownie na włosku. Kilka rozgłośni zagranicznych: AFN, Europa I, BBC i Radio France, podało wiadomość o przybyciu do Somalii niezidentyfikowanego samolotu, snując przy okazji beztrzesko domysły na temat ewentualnej możliwości odbicia zakładników.

„Dlaczego terroryści nie nabrali podejrzeń, kiedy wylądowała maszyna oddziału GSG-9 z zapalonymi światłami? – wyjaśnił później minister Wischniewski w wywiadzie dla »Sterna«. – Oczywiście, zauważyli, że wylądował samolot. Hałas, jaki czynią odrzutowce, jest straszliwy. Ale w ciemności nie mogli przecież poznać, że była to maszyna »Lufthansy«. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę, że piraci w tym momencie wierzyli już, że przywieziemy więźniów, nie byli więc tak nieufni”.

\*

O godzinie 23.15 komandosi należący do jednostki Grenzschutzu zajęli pozycje wyjściowe. Na pokładzie porwanego boeinga większość pasażerów usiłowała drzeć. Na zewnątrz panowały egipskie (a mówiąc ściślej: somalijskie) ciemności. Gdzieś z dala majaczyły tylko słabe światła wieży kontrolnej portu lotniczego. Kilka minut wcześniej przedstawiciel niemieckiego rządu nawiązał kontakt z porywaczami. Mahmud chciał wiedzieć, gdzie znajduje się samolot z uwolnionymi towarzyszami. Niemiec zrelacjonował mu trasę lotu, opisując, że maszyna wystartowała właśnie z Kairu, gdzie zatankowała paliwo. Obecnie miała być już w drodze do Mogadyszu.

– Po wylądowaniu ma stanąć tak, żebyśmy mogli widzieć wyjścia – zażądał terrorysta.

– Oczywiście – usłyszał w odpowiedzi.

– Podczas wymiany nie chcę widzieć żadnych dziennikarzy ani telewizji.

– Jasne. Nam też na tym nie zależy.

Porywacz spojrzął na pokładowy zegarek. Była za dwie minuty druga. W tym momencie ujrzał jakieś dwieście metrów dalej dwa ogniska. Do kabiny pilotów weszły „numer 32” i „numer 33”, zwabione dziwnym widowiskiem. Tym samym troje porywaczy znalazło się w jednym miejscu. Pierwsza część planu opracowanego przez antyterrorystów zakończyła się powodzeniem.

Komandosi z GSG-9 już od kwadransa czaili się pod kadłubem samolotu, oczekując dalszych rozkazów. Na pokładowym zegarze wybiła godzina druga. Mahmud omawiał kolejne warunki wymiany. W tym samym momencie komandosi przystawili bezszelestnie aluminiowe drabiny do luków wejściowych boeinga. Uli Wegener dał znak do rozpoczęcia akcji. Żołnierze błyskawicznie wspięli się po drabinach. Specjalnymi urządzeniami wyłamali w mgnieniu oka wszystkie wejścia. Jednocześnie ich koledzy z SAS zdetonowali przed oknami kabiny pilotów granaty ośmieszające, które przez trzy różne efekty potrafiły obezwładnić terrorystę na dwie najważniejsze sekundy. Jednym był błysk, który oślepił, drugim fala uderzeniowa, powodująca dezorientację, trzecim huk, który za pośrednictwem bębenków wstrząsał mózgiem i paraliżował reakcję. Grupa atakujących wpadła na pokład, krzycząc po niemiecku bezustannie ten sam rozkaz:

– Głowy w dół! Kryć się! Głowy w dół!

W ciągu dwóch sekund dopadli do kabiny pilotów. Mahmud i jego towarzyszkę nie byli przygotowani na atak, dodatkowo jeszcze oszołomił ich wybuch granatów. Przywódca terrorystów podnosił właśnie do góry pistolet. Obok niego jedna z dwóch kobiet (Nadia Hind Alameh – jak ustalono później), wstawiała z granatem w ręce, drugą ręką sięgając do zawleczonej. Komandosi rzucili się na ziemię, otwierając jednocześnie ogień z automatów. Nadia Alameh zginęła na miejscu od postrzału w głowę. Mahmud był silniejszy. Mimo tra-

fienia w głowę i piersi zdołał oddać strzał ze swego makarowa i rzuć granat, który jednak nie uczynił nikomu większej szkody. Kolejna celna seria wysłała go tam, gdzie jego miejsce, to znaczy do piekła.

Druga terrorystka (Suheila Saleh), zdążyła schować się w toalecie, ostrzeliwując się przez zamknięte drzwi. Jedna z kul trafia atakującego komandosa w szyję, ale postrzał jest na szczęście niegroźny, sam poszkodowany w pierwszym momencie nawet tego nie zauważa. Chłopak miał sporo szczęścia, kula przeszła zaledwie kilka milimetrów od aorty i utkwiała w okolicy nerki. Ułamek sekundy później dwaj koledzy rannego zamieniają drzwi w sito. Schowana za nimi terrorystka zostaje ciężko ranna.

W czasie, gdy trwała jeszcze walka w kabinie, w innym wejściu pojawiła się druga grupa komandosów z komendantem Wegenerem na czele. Plan operacji przewidywał, że pierwsza grupa bojowa wyeliminuje wszystkich terrorystów, lecz pojawiwszy się w tylnym wejściu, Uli Wegener zauważył, jak jeden z pasażerów podnosi się błyskawicznie ze swego fotela i bierze go na cel. To był ostatni z porywaczy, „numer 18”, w rzeczywistości Ibrahim Harb. Dowódca nie miał na sobie kamizelki kuloodpornej, gdyż wszystkie, którymi dysponowali, otrzymała pierwsza grupa bojowa.

Pada strzał. Wegener schyla się odruchowo i to zapewne ocala mu życie. Kula przechodzi zaledwie kilka centymetrów od jego głowy. Kryjąc się za fotelem, dowódca odpowiada ogniem ze swojego Smitha&Wessona. Odpowiada celnie. Trafiony w głowę terrorysta osuwa się martwy na ziemię. Koniec. Cała akcja trwa zaledwie osiem sekund. Po stu ośmiu godzinach strachu, jakie minęły od porwania samolotu, pasażerowie są nareszcie wolni. Większość z nich jest całkowicie wyczerpana. Niektórzy spacerują bez obuwia, inni bez koszul po gmachu dworca lotniczego. Ale ich twarze odzwierciedlają ulgę. Łzom i wyrazom radości nie ma końca.



O godzinie 0.38 rozgłośnia radiowa „Deutschlandfunk” podała wiadomość o powodzeniu akcji w Mogadiszu. Oficjalnie potwierdził ją godzinę później rzecznik prasowy rządu, sekretarz stanu Klaus Bdlling, komunikując na specjalnie w tym celu zwołanej konferencji o wspaniałym sukcesie oddziału GSG-9.

– W tej chwili apelujemy, a z nami wszyscy obywatele, raz jeszcze do porywaczy Hannsa Martina Schleyera: wypuście na wolność Schleyera i zrozumcie, że droga terroru jest drogą do samozniszczenia – dodał.

Wtorkowy poranek, 18 października przyniósł kolejną sensację. Ujawniła ją krótka depesza agencji DPA, która pojawiła się na taśmach dalekopisów o godzinie 8.58:

„Jak zakomunikowało przed chwilą badeńsko-wirtemberskie ministerstwo sprawiedliwości, skazani na dożywotnie więzienie terroryści: Andreas Baader, Jan Carl Raspe, Gudrun Ensslin oraz Irmgard Möller odebrali sobie życie w zakładzie karnym Stammheim”.

Później okazało się, że Irmgard Möller jednak żyje, jest tylko ciężko ranna. Baader miał ranę postrzałową w tyle głowy, Raspe w skroni. Broń, z której strzelano, znaleziono przy zwłokach. Möller zadała sobie cztery ciosy nożem w pierś. Gudrun Ensslin, według oficjalnego komunikatu, powiesiła się na kracie okiennej, zupełnie tak samo, jak przed rokiem Ulrike Meinhof. W jej celi znaleziono egzemplarz *Sztuk pedagogicznych* (Lehrstücke) Bertolta Brechta, w którym zakreślono kolorowym pisakiem fragment tekstu:

*Furchtbar ist es, zu toten. Aber nicht andere nur, auch uns toten wir, wenn es nottut. Da nur noch mit Gewalt diese totende Welt zu ändern ist, wie Jeder Lebende weiss.* (To straszne zabijać, ale nie tylko innych – samych siebie również zabijamy, gdy okazuje się to konieczne. Dlatego, że ten morderczy świat można zmienić tylko przemocą, i wie o tym każdy żyjący człowiek.)

Do udziału w sekcjach zwłok powołano zagranicznych specjalistów. W przypadku Baadera komisja dochodzeniowa uznała, iż popełnił on samobójstwo w sposób sugerujący morderstwo. Samobój-

czy strzał w tył głowy – jak stwierdzili biegli – jest technicznie wykonalny. Jedyny więzień, który przeżył noc z 17 na 18 października – Irmgard Möller zeznała, iż w nocy usłyszała podejrzone odgłosy w celi Baadera, później straciła przytomność i nic nie pamięta. Samobójstwa ani ona, ani nikt z jej towarzyszy nie mieli zamiaru popełniać.

W środkach masowego przekazu zagotowało się od spekulacji: „Jak mogło dojść do tego w silnie strzeżonym więzieniu? Jak mogło dojść do tego, jeżeli od pewnego czasu terroryści trzymanymi byli w areszcie izolacyjnym? Jak doszło do tego, że w celach dwóch nieżyjących więźniów znaleziono broń?”. Te pytania, jak i wiele innych, bardzo długo nurtowały zarówno krajową, jak i światową opinię publiczną. Niektórych nurtują do dziś. Rodzą najprzeróżniejsze domysły, teorie spiskowe i przypuszczenia. Budzą dawno uspięne upiory, przywołują złe wspomnienia i analogie.

Komisja dochodzeniowa stwierdziła, że broń mogli dostarczyć adwokaci. Specjalna ekipa metr po metrze przeszukała ściany, podłogi i sufity więziennych pomieszczeń. Odkrycia, jakich dokonano, były zaskakujące. W ścianie celi nr 723, pustej od 12 sierpnia, został znaleziony amerykański colt policyjny z zapasem amunicji. W innej celi, w schowku pod oknem, znajdowała się paczuszka o rozmiarach 4x2 cm, zawierająca 270 gramów materiału wybuchowego. W celi Irmgard Möller policjanci znaleźli skrytkę pod umywalką, a w niej słuchawkę z kablem i wtyczkę do instalacji radiowej. W celi Andreasa Baadera pod podłogą były cztery pociski, a niewielkie ilości materiałów wybuchowych wykryto też pod posadzką cel służących do przyjmowania wizyt. Jak stwierdzono, sam Baader przechowywał swój rewolwer w pomysłowo urządzonym schowku w obudowie adaptera gramofonowego, jaki wolno mu było mieć w celi. Ściany siódmego piętra stanowiły istny arsenał, więźniowie zaś, wbrew wszelkim zakazom i próbom odizolowania, potrafili komunikować się z sobą do ostatnich chwil.

Środowiska lewicowe oskarżyły władze Niemiec o zamordowanie terrorystów. W Rzymie, Paryżu, Atenach, Tuluzie i kilku in-

nych miastach Europy Zachodniej instytucje i firmy zachodniemieckie padły ofiarą zamachów bombowych, policja wzmocniła ochronę ambasad.

W środę, 19 października, nadeszła dwudziesta piąta i zarazem ostatnia wiadomość od porywaczy Schleyera. O godzinie 16.21 do biura agencji prasowej DPA w Stuttgarcie zadzwoniła jakaś kobieta. Taśmę z nagraniem jej oświadczenia odtwarzano potem setki razy:

„Tu mówi RAF. Po 43 dniach Hanns-Martin Schleyer zakończył swoją żalostną i przekupną egzystencję. Pan Schmidt, który zabiegając o władzę, od początku spekulował życiem Schleyera, może go sobie odebrać przy rue Charles Peguy w Miluzie w zielonym audi 100, który posiada rejestrację Bad Homburg. Wobec naszego bólu i naszej wściekłości z powodu masakry w Mogadiszu i Stammheim, jego śmierć jest bez znaczenia. Andreasa, Jana, Gudrun i Irmgard, a także nas, nie zaskoczy faszystowska dramaturgia imperialistów, prowadząca do zniszczenia ruchów wyzwolenicznych. Nie zapomniemy krwi przelanej przez Schmidta i popierających go imperialistów. Walka dopiero się rozpoczęła. Wolność zdobędziemy w zbrojnej walce antyimperialistycznej”.

Półtorej godziny później, po uprzednim nawiązaniu kontaktu z władzami francuskimi, do Miluzy udała się helikopterem niemiecka ekipa śledcza. Przy zastosowaniu najdalej idących środków ostrożności – samochód mógł być przecież pułapką – otwarto bagażnik porzuconego audi o numerze rejestracyjnym HG-AN 460.

W środku znajdowały się zwłoki Hannsa Martina Schleyera. Zabity został strzałem w głowę, tuż za prawym uchem.

Porwany Boeing 737 po generalnym remoncie powrócił do służby w Lufthansie. W 2002 roku został sprzedany do Brazylii, gdzie przez następnych sześć lat latał bezawaryjnie w barwach linii „TAF Linhas Aereas”. W 2008 roku sprzedano go na złom.



Bundesarchiv, B 145 Bild-F041440-0014  
Foto: Reineke, Engelbert | November 1973



Commando

Siegfried Hausner

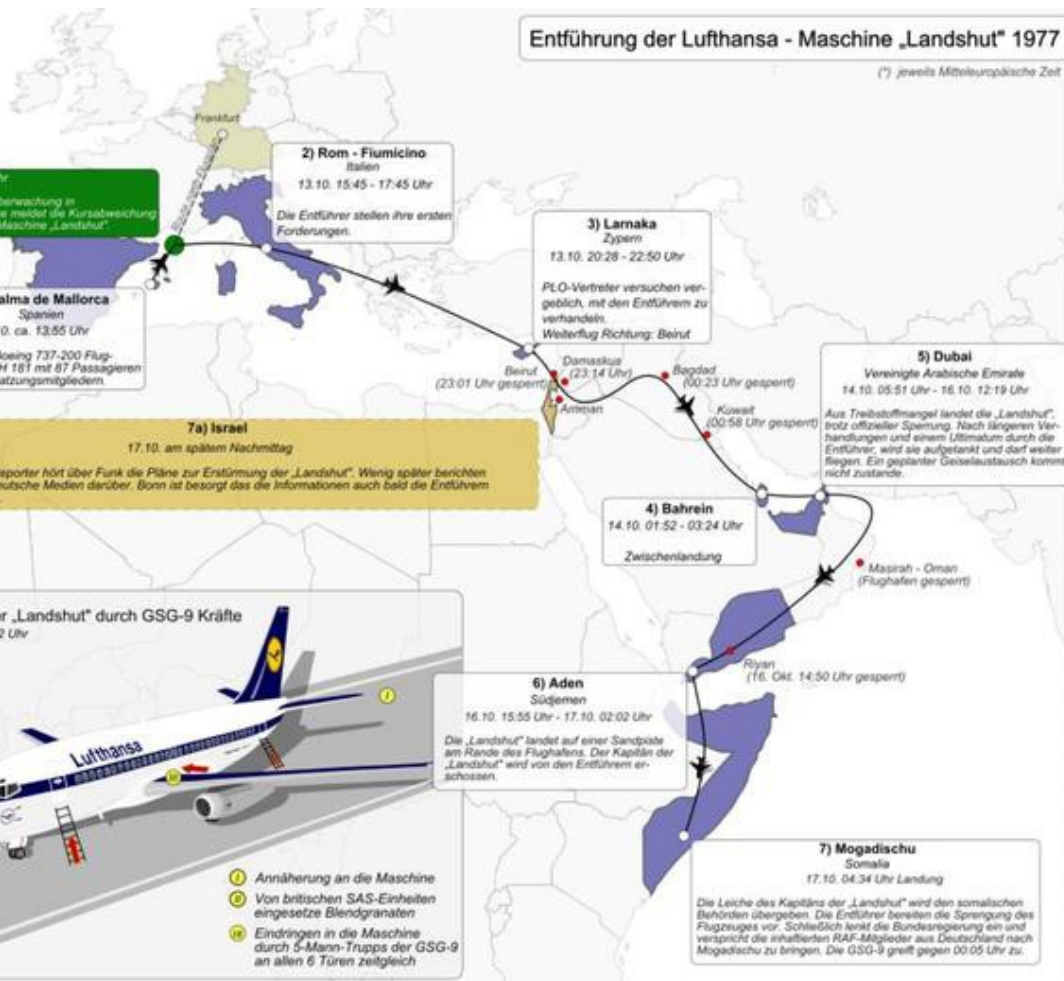
Commando

Martyr Halimeh

13.10.77

# Entführung der Lufthansa - Maschine „Landshut“ 1977

(?) jeweils Mitteleuropäische Zeit





Bundesarchiv, B 140 Bild-F051806-0010  
Foto: Wiegmann, Ludwig, 17. Oktober 1977

Fracja Czerwonej Armii po uwięzieniu swoich przywódców podjęła szereg kroków zmierzających do ich uwolnienia, m.in. w 1977 r. porwano i zabito Hannsa-Martina Schleyera oraz uprowadzono samolot pasażerski Lufthansy.

# Kolekcjoner.

## NATASCHA KAMPUSCH

(1998)

Miasteczko Strasshof an der Nordbahn znajduje się w Austrii, 25 kilometrów na wschód od Wiednia. Nie wyróżnia się niczym szczególnym. Jego największą atrakcją jest muzeum kolejnictwa – *Heizhaus*, gdzie można zobaczyć zabytkową lokomotywę wybudowaną przez LOFAG (Lokomotivfabrik Floridsdorf AG). Na co dzień jest tu zwykle martwo i sennie. Jedynie w weekendy zapęniają się miejscowe karczmy, śmiech i sznapsy święcą tryumf. Poza tym do rzadkości należy, żeby ktoś się tu nawet głośniej odezwał. Blisko dziesięć tysięcy mieszkańców woli unikać wspomnienia ponurej przeszłości, kiedy pod koniec drugiej wojny światowej Adolf Eichmann więził tutaj kilkadziesiąt tysięcy węgierskich Żydów. Miejscowi, podobnie jak większość Austriaków, zdają się cierpieć na zbiorową amnezję i nie pamiętają okresu sprzed 1945 roku. Po co rozmawiać o ponurych czasach, które dawno już odeszły w przeszłość? Ale w słoneczne, wczesne popołudnie, w środę 23 sierpnia 2006 roku doszło tu do wydarzenia, które wkrótce znalazło się na ustach całego świata, a Strasshof ponownie zapisało się na kartach historii.

Tego dnia, tuż przed godziną 13.00, młoda i śmiertelnie wystraszona kobieta biegła ile sił w nogach podjazdem na terenie posesji numer 60 przy Heinestrasse. Można by mieć kłopoty z określeniem barwy jej włosów, przywodziły na myśl miód, morele i pszeniczne kłosa. Twarz miała bladą, a skórę białą jak papier, wskutek wielu lat spędzonych w zamknięciu. Z jej zmrużonych oczu, porażonych



ostrym słonecznym blaskiem, kapały wielkie jak grochy krople łez. Nie widać było, by ktoś ją ścigał, jednak odwykłym od wysiłku mięśniom strach dodawał sił. Rdzeń nadnerczy tłoczył jej do tętnic ogromne ilości adrenaliny, napędzającej jak wysokooktanowe paliwo słabe nogi i niedożywione ciało.

Przeskoczyła przez jakieś ogrodzenie, przemknęła przez ogrody na tyłach domów, wbiegła na sąsiednią uliczkę. Poszczególne działki, na których stały okazałe wille, oddzielone były od siebie wysokimi żelaznymi płotami i gęstymi, równo przyszczyżonymi żywopłotami. Za ogrodzeniami rozciągały się ogrody, a w nich huśtawki z obrośniętymi trawą metalowymi nogami i gipsowe figurki krasnali.

Zdjęta paniką zaczęła się kręcić w kółko, wypatrując, czy gdzieś są jacyś ludzie. Ale tych, jak na złość, akurat nie było. Na cichej uliczce z ogrodami nie było nikogo. W końcu zdecydowała się zadzwonić do drzwi pierwszego z brzegu domu. Pod frontowymi oknami rósł duży krzew jaśminu, a bratki tworzyły okrągły dywan wokół pnia akacji. Niestety, jak na złość, dzwonek był zepsuty. Dziewczyna wydała z siebie głośny jęk rozpaczy. Wtedy usłyszała w środku jakieś szuranie. Załomotała gwałtownie pięściami w drzwi. Stara kobieta, która jej otworzyła, była tak zaskoczona i również przestraszona, że nie potrafiła podjąć żadnych działań.

– Niech mnie pani wpuści – załkała dziewczyna.

– Jestem sama, tylko z chorym mężem – wyjąkała staruszka. – Nie mogę wpuścić nikogo obcego.

– On mnie znajdzie! – Złotowłosa dziewczyna trzęsła się z przerażenia. – Zabije mnie, albo panią, albo nas obie!

– Kto, na miłość boską?

– Wolfgang!

– Jaki Wolfgang? Nic nie rozumiem. Dzwonię na policję.

– Nie. Niech mnie pani po prostu ukryje.

„Byłam w szoku – wspominała później dziewczyna. – Ona nie chciała mnie wpuścić do środka. Sądzę jednak, że trzeba ją zrozu-

mieć. Mieszkała sama, z chorym mężem, jak miała wpuścić kogoś zupełnie obcego do swojego domu? Nie mogłam nawet ukryć się w krzakach. Obawiałam się, że ten człowiek nas po prostu pozabija. Ale ta przejęta i przestraszona kobieta nie chciała mnie wpuścić nawet na swój mały trawnik”.

Potem pojawiło się dwóch policjantów.

– Zostałam porwana, uciekłam – wyznała im dziewczyna.

– Gdzie? Kiedy? – zapytał jeden z nich.

– Osiem lat temu.

Policjanci spojrzeli jeden na drugiego, jakby zobaczyli spacerującego po Praterze papieża, w dodatku w samych kąpielówkach.

– Pani imię i nazwisko? – zapytał drugi z funkcjonariuszy, wyciągając długopis i niewielki czarny notes.

– Natascha Kampusch, z pewnością znacie je panowie bardzo dobrze.

Policjanci ponownie spojrzeli na siebie z głupimi minami.

– Prawdę mówiąc, to nazwisko z niczym nam się nie kojarzy – oświadczył ten z notesem.

W końcu jednak skontaktowali się przez radio z centralą. To, co usłyszeli, przyprawiło ich o jeszcze większy szok. Dziewczyna nie miała wprawdzie przy sobie żadnego dokumentu, jednak policjanci zidentyfikowali ją po charakterystycznej bliźnie. Przeprowadzono również badania DNA w celu potwierdzenia tożsamości. Te badania nie były właściwie potrzebne do niczego. Funkcjonariuszom, którzy oddawali córkę w ręce ojca, powinien był wystarczyć sam widok młodej kobiety, która płacząc, rzuciła się w jego ramiona. Czterdziestodwuletni Ludwig Koch również nie potrafił ukryć łez. Poszukiwane przez wiele lat dziecko, od dawna uznane przez wielu za martwe, narodziło się powtórnie jako młoda kobieta. Przestraszona i wylękniona, ale bezpieczna i wolna.

W Wiedniu opublikowano pierwsze wyznanie dziewczyny po ośmiu latach jej pobytu w dźwiękoszczelnej celi. Uwolniona poprosiła dziennikarzy o czas na oswojenie się z nową sytuacją i stwier-

dziła, że sama wybierze moment odpowiedni do nawiązania kontaktu z mediami. W ciągu kilku godzin wiadomość o odnalezieniu obiegła cały świat. Na płycie międzynarodowego dworca lotniczego Schwechat, osiemnaście kilometrów na południowy wschód od Wiednia, lądowały pasażerskie odrzutowce dowożące coraz to nowych reporterów i kolejne ekipy telewizyjne. Faksy najbardziej poczytnych dzienników i tygodników rozgrzewały się do czerwoności, wypływając najświeższe informacje, oferty kontraktów na udzielenie wywiadu oraz propozycje realizacji filmów i seriali telewizyjnych.

„Kiedy Natascha znalazła się w końcu na wolności i została przewieziona na posterunek policji w Donaustad, zatrzymano ją tam zaledwie na jedną, może dwie godziny – relacjonował później Max Edelbacher, szef grupy dochodzeniowej prowadzącej poszukiwania dziewczynki. – Moim zdaniem to największy błąd ze wszystkich. Wtedy sprawę można było rozwiązać do końca i poznać całą prawdę. Zamiast tego pytania zadawały jej policjantki oraz oficerowie, którzy w ogóle nie znali problemu i nie mieli zielonego pojęcia, o co pytać. W dodatku ludzie, którzy przejęli sprawę w 2002 roku, wcześniej nie mieli z nią nic wspólnego, nie byli więc tak dobrze poinformowani, jak pierwszy zespół dochodzeniowy. Gdyby choć parę osób z tego pierwszego zespołu miało dostęp do Nataschy w ciągu tej jednej lub dwóch krytycznych godzin, być może bylibyśmy w stanie rozwikłać wszystkie tajemnice sprawy. Nie zamierzam krytykować oficerów śledczych z Burgenlandu, ale nie mają oni kontaktu z takim poziomem przestępczości, jaki jest w stolicy. Gdyby choć jeden śledczy, wchodzący w skład pierwotnego zespołu dochodzeniowego z Wiednia, miał dostęp do Nataschy, sytuacja mogłaby wyglądać zupełnie inaczej.

Natascha wykreowała własną historię i trzyma się tej wersji. Nie wiem, jakie rzeczy powiedziano jej w trakcie rozmowy z Maksem Friedrichem (profesorem psychologii, opiekującym się dziewczynką – przyp. aut), ale nie mam cienia wątpliwości, że funkcjonariusze policji nie mieli do niej odpowiedniego dostępu. Jej rodzina

zresztą również została odseparowana. Ją natomiast przekazano w ręce psychiatrów i psychoterapeutów, a tym samym szansa wyjaśnienia historii do końca została utracona. Pozwolono jej stworzyć własną wersję zdarzeń i teraz nie ma już nikogo, kto byłby w stanie zweryfikować te zwierzenia i opowieści. Moim zdaniem możemy najwyżej liczyć na to, że kiedy dojdzie do trzydziestki lub ją przekroczy, część lub być może nawet cała prawda wyjdzie na jaw”.

\*

Prawie osiem i pół roku wcześniej zagadkowa sprawa zniknięcia dziesięcioletniej dziewczynki w wiedeńskiej dzielnicy Donaustad była tematem numer jeden we wszystkich austriackich mediach. Drugiego marca matka Nataschy, Brigitte Sirny, zgłosiła policji zaginięcie swej córki. Dziewczynka wyszła rano do szkoły, lecz nigdy do niej nie dotarła. Od tego czasu prasa regularnie donosiła swym czytelnikom o wszystkich szczegółach śledztwa, jakie tylko udało jej się zdobyć. Rodzice zaginionej co rusz pojawiali się w rozmaitych programach telewizyjnych i audycjach radiowych. Prawie na każdej ulicy Wiednia i innych austriackich miast zobaczyć można było kolorowe plakaty z podobizną pucołowatej, o ciemnoblonde włosach Nataschy Kampusch.

Jej sprawa różniła się od większości innych zaginięć dzieci przede wszystkim całkowitym brakiem poszlak. Sprawca ewentualnego porwania nie pozostawił również najmniejszych nawet śladów. Mimo zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań nie znaleziono nie tylko samej dziewczynki, ale także chociażby jej plecaka czy jakichś części garderoby. Nikt nie widział zdarzenia, nikt nic nie słyszał. Wydawało się, że mała Natascha rozplynęła się po prostu we mgle. Dopiero nieco później na policję zgłosiła się jej dwunastoletnia koleżanka, twierdząc, że była świadkiem porwania. Powiedziała, że do zdarzenia doszło około godziny 7.15 rano w pobliżu ronda Melangasse. Według jej relacji, z zaparkowanej furgonetki wyskoczyła jedna lub dwie – tego dziewczynka nie była pewna –

osoby, chwyciła (chwyciły?) Nataszę i przemocą wrzuciły ją do samochodu. Jak to zwykle w tego rodzaju przypadkach bywa, na policję zaczęły się też zgłaszać inne osoby, które przysięgały, iż widziały zaginioną w różnych punktach miasta.

Pomimo przepytania na okoliczność zdarzenia ponad dwudziestu tysięcy osób, śledztwo nijak nie posuwało się do przodu. W ciągu trzech tygodni od zniknięcia Nataszy policja sprawdziła ponad trzysta potencjalnych tropów w sprawie, jednak wszystkie wiodły na manowce. A każdy kolejny dzień, każda godzina zmniejszała szanse na odnalezienie dziecka żywego. Dopiero po miesiącu władze zdecydowały się utworzyć specjalną grupę operacyjną do prowadzenia śledztwa, w skład której weszli funkcjonariusze o największym w tego typu sprawach doświadczeniu. Tak rozpoczęła się największa w historii austriackiej kryminalistyki operacja poszukiwań zaginionej osoby.

Zrozpaczona rodzina przez kilka lat intensywnie poszukiwała dziewczynki. Z czasem jej bliscy oswoili się z myślą, że zaginiona prawdopodobnie nie żyje. Chyba jedynie tylko ojciec do końca żywił nadzieję, że jego córka się odnajdzie. Że wkrótce znów pojedą na Węgry, gdzie wspólnie zajmą się przywoływaniem skrzatów i gnomów z jej utraconego dzieciństwa.

Dopiero osiem i pół roku później okazało się, że w czasie, gdy szukano Nataszy w całej Austrii, a także w Czechach i na Węgrzech, zaginiona przebywała w piwnicznej celi domu mieszczącego się osiemnaście kilometrów od mieszkania jej matki... Okrutny oprawca uwięził ją w piwnicy. Przygotował dla niej dźwiękoszczelną, kilkumetrową celę, w której przeżyła osiem i pół roku. Przez te lata przeszła prawdziwe męki. Była bita, torturowana, głodzona i prawdopodobnie gwałcona, choć nigdy się do tego publicznie nie przyznała, unikając jak ognia rozmów o intymnych kontaktach z Wolfgangiem Priklopilem. Kolekcjonerem[22].

---

22 Określenie „kolekcjoner” pochodzi z powieści Johna Fowlesa pod tym właśnie tytułem, która w 1963 roku przyniosła autorowi światową sławę. Jest to historia porwania i uwięzienia pięknej

Detektywi prowadzili intensywne działania mające ustalić, kim mógł być ewentualny sprawca porwania dziecka. W tym celu potrzebne było odtworzenie ostatnich dni Nataschy przed jej zniknięciem, a także ustalenie kręgu osób najbliższych zaginionej.

\*

Natascha urodziła się 17 lutego 1988 roku w wiedeńskiej dzielnicy Donaustad. Północna XXII dzielnica, położona w północnej części miasta, to miejsce, gdzie austriacka stolica przestaje być *grande dame*, a przeistacza się w starą wiedźmę o kostropatej twarzy. Od czasu, gdy władze podjęły próbę poprawienia reputacji zapuszczonych osiedli mieszkaniowych oraz popadających w ruinę terenów fabrycznych, dzielnicę przemianowano na Donaustad (miasto nad Dunajem), co jednak nie zdołało usunąć nagromadzonych tu przez lata pokładów rozpacz.

Blisko dwadzieścia pięć procent mieszkańców tutejszych wielopiętrowych bloków pozostaje bez pracy, w miejscach publicznych często widzi się narkomanów aplikujących sobie kolejne dawki środków odurzających, awanturujących się lub śpiących na poboczach pijaków, a kiepsko oświetlone bramy czynszowych kamienic okupują dilerzy oraz prostytutki i ich opiekunowie. Na tym osiedlu, liczącym dwa tysiące czterysta mieszkań, dach nad głową znalazło ponad dwanaście tysięcy osób, co w prawie milionowym mieście stanowi zaledwie niewielki procent, ale właśnie tu, na tym osiedlu ma miejsce prawie połowa wszystkich przestępstw popełnianych „nad pięknym, modrym Dunajem”. Donaustad to miejsce obrosłe legendą – dzielnica nędzy i nikczemności, gdzie dźwięczą noże i szkło butelek z najtańszymi alkoholami, a napaści, rabunki i

---

dwudziestoletniej studentki historii malarstwa przez pełnego zahamowań obsesjonata. Nakręcony dwa lata później na podstawie książki film Williama Wylera uzyskał aż trzy nominacje do Oscara, w kategoriach: najlepsza reżyseria, najlepszy scenariusz adaptowany i najlepsza aktorka (dla Samantha Eggar).

krwawe nocne rozprawy stanowią coś najzupełniej normalnego. Urodzić się w tej dzielnicy, to gorzej niż złapać ciężką chorobę.

Jakby dla kontrastu, posesja, na której była więziona Natascha, znajdowała się w zielonej, spokojnej części podmiejskiej dzielnicy, zaprojektowanej dla zamożnych obywateli w dalekiej od spalin strefie słońca i niezłych pieniędzy.

Dzielnice, takie jak Donaustad, nie są miejscami, które przybywający do Wiednia turyści chętnie dodawaliby do programu zwiedzania. Chociaż od momentu opisanych wydarzeń obszar ten stał się – przynajmniej dla niektórych – niezwykle atrakcją, magnesem dla wszelkiej maści upiórów w ludzkiej skórze, entuzjastów zbrodni oraz zwykłych ciekawskich. Podobnie jak trawiasty pagórek w Dallas, na którym zdaniem zwolenników rozmaitych spiskowych teorii stał drugi obok Harveya Lee Oswalda zabójca prezydenta Kennedy'ego. Albo paryski tunel Alma, w którym zginęła księżna Diana Spencer...

Taksówki często wjeżdżają w usytuowane przy Rannbahnweg osiedle i zatrzymują się przed blokiem oznaczonym numerem 38. Kierowca opuszcza szybę, a pasażerowie podążają wzrokiem za jego palcem, wskazującym w kierunku siódmego piętra, tam gdzie znajduje się mieszkanie numer 18. Czasami rozlega się cichy trzask migawki aparatu fotograficznego. Później, już w domu, w czasie przeglądania albumu ze zdjęciami, będą mogli pochwalić się znajomym: „Patrz, byłem tam. Tu właśnie mieszkała”.

Tak, tu właśnie mieszkała do momentu zaginięcia wesoła i inteligentna dziewczynka z lekką nadwagą, Natascha Kampusch.

Mieszkała tylko z matką, Brigitte Simy, ponieważ jej rodzice rozstali się, kiedy miała pięć lat. Przez pewien czas toczyli zacięte spory, kto ma się opiekować córką. W końcu stanęło na tym, że matka, u ojca zaś będzie spędzać co drugi weekend.

Rozpad rodziny bardzo źle wpłynął na dziewczynkę. Rozwody rodziców zresztą rzadko kiedy wpływają na dzieci dobrze, chociaż być może jeszcze bardziej negatywne skutki wywierają na nich ich nieustanne awantury... W każdym razie w życiu Nataschy nic nie

zmieniło się na lepsze. Surowa, apodyktyczna matka, stawiająca córce zbyt wysokie wymagania, sprawiała, że dziewczynka czuła się niekochana i samotna, szczególnie kiedy często przychodziło jej zostawać samej w domu. Dużo korzystniejsze były jej relacje z ojcem, Ludwigiem Kochem, z zawodu mistrzem piekarskim, który zabierał ją na weekendy na Węgry, gdzie w pobliżu miejscowości z gorącymi źródłami o nazwie Sarvar, posiadał domek letniskowy.

Jedynym oparciem dla niej była babcia, Anna Koch, która dała jej namiastkę ciepła i bezpieczeństwa. Babcia zmarła jednak w 2004 roku, nie dożywając chwili, kiedy jej ukochana wnuczka wyrwała się w końcu z niewoli.

Natascha nie zaliczała się do zbyt pilnych uczniów, wyniki w szkole uzyskiwała raczej średnie, chociaż nauczyciele uważali, że dysponuje większą od rówieśników elokwencją i inteligencją. Była lubiana przez inne dzieci, ale w jej zachowaniu często dawały się zauważyć smutek i przygnębienie. Nic dziwnego, zważywszy na panującą w jej domu atmosferę. Jej rezultatem był ciągle przeżywany stres, objawiający się między innymi wzmożonym apetytem. W wieku dziesięciu lat ciągle jeszcze moczyła się w nocy. Koleżanki nazywały ją Prosiaczką. Ze strony matki ciągle słyszała reprimendy, kiedy zrobiła coś nie tak, jak należało, matka biła ją po twarzy. Ot. Po prostu taki odruch, typowy dla wielu austriackich matek. Natascha widziała, jak kobiety biją swoje dzieci po twarzy na ulicy, w sklepie, w szkole. To normalne. Nie wolno reagować, nie wolno pomagać innym, być wrażliwym.

„Wrażliwość, to było najgorsze, tego nie wolno było okazywać – stwierdziła. – Do dzisiaj jestem zaskoczona, w jak pozytywnym sensie używane jest słowo wrażliwy. W moim dzieciństwie to było wyzwisko w stosunku do ludzi, którzy byli zbyt delikatni na ten świat”.

„Wiemy, że Natascha była wykorzystywana seksualnie przez ówczesnego kochanka matki – powiedział dużo później na konferencji prasowej szef grupy dochodzeniowej, Max Edelbacher. – Krzyczał na nią i źle ją traktował. (...) Moja żona była nauczycielką



w szkole i pewnego razu powiedziała mi, że Natascha z całą pewnością była dziwnym dzieckiem, niewątpliwie inteligentnym, ale niezbyt dobrze radzącym sobie w szkole, choć można było spodziewać się po niej znacznie więcej. Poza tym miała szeroką wiedzę o świecie, znacznie większą niż jej rówieśnicy”.

W pokoju Nataschy roilo się od lalek. Miała ich mnóstwo, zawsze dostawała jakąś w prezencie od rodziny. Uwielbiała je. Kochała też muzykę, zwłaszcza piosenki Herberta Groenmeyera, popularnego w Niemczech, Austrii i Szwajcarii piosenkarza popowego i aktora. Jednak już jako dziecko była dojrzałą osobką; kiedy inne dzieciaki interesowały się przede wszystkim filmowymi bajkami, ją fascynowało oglądanie telewizyjnych programów informacyjnych. Zaczytywała się też książkami, które stanowiły źródło wiadomości na temat otaczającego ją świata i poszerzały jej horyzonty. Szczególnie przepadała za książkami przyrodniczymi. Bardzo szybko nauczyła się węgierskiego. Twierdziła, że gdy będzie już duża, to zostanie tłumaczką.

Kiedy Brigitte Sirny wychodziła z domu – a zdarzało się to bardzo często – dziewczynką opiekowało się zaprzyjaźnione małżeństwo mieszkające na tym samym, siódmym piętrze wielkiego bloku, państwo Lotte i Wenzel Schimankowie. *Herr* Schimanek, z pochodzenia Czech, a z zawodu kierowca ciężarówki, tak wspominał małą Nataschę:

„Była najinteligentniejszym dzieckiem, jakie widziałem w życiu. Bez przerwy paplała i rozbawiała wszystkich dookoła. W wieku sześciu lat potrafiła prowadzić mądrą rozmowę z dorosłą osobą i zawsze znała odpowiedź na wszystko. Zanim skończyła pięć lat, grywaliśmy z nią w karty.

Potrafiła też być bardzo zabawna. Była dzieckiem o ciętym języku, nieustannie opowiadała żarty, sprawiając, że wszyscy dookoła wybuchali śmiechem. Była cudowną, uwielbianą, małą dziewczynką.

Kochała zwierzęta, bawiła się ze wszystkimi kociakami i psiakami z sąsiedztwa. Miała też własną kotkę, *Taschy*. Zwierzak wciąż

ma dach nad głową u jej ojca, *Herr Kocha*. Uwielbiała oglądać telewizję. Pasjonowała się rysowaniem i podobnymi rzeczami, cechowała ją niezwykła kreatywność”.

Brigitte Weber, która po rozwodzie związała się z Ludwigiem Kochem, twierdziła, że matka zakazała Nataschy odbierać telefony, kiedy zostawiała ją samą w domu. Obawiała się, że dzwoniący może się dowiedzieć, że jej mała córka pozostaje bez opieki. Zgodnie z relacją *Frau Weber*, dziewczynka mówiła jej, że często udawała, że śpi, kiedy jej matka wychodziła z domu. Gdy zostawała sama, bała się, a otuchy dodawali jej sąsiedzi podczas rozmów przez szczelinę na listy, ponieważ Brigitte Sirny zabroniła jej również otwierać drzwi.

Wiecznie awanturujący się rodzice, kłótnie z matką oraz jej częsta nieobecność przez długie wieczorne godziny, problemy z moczeniem się... Z tych wszystkich powodów Natascha wzniosła wokół siebie niewidzialny mur, ukryty mechanizm obronny, który paradoksalnie nie tylko pomógł dziewczynce przejść przez gehenną niewoli, ale także w czasie jej trwania przejąć nawet dominującą rolę. Do piwnicznej celi zabrała ze sobą nabytą w rodzinnym domu umiejętność przetrwania. To właśnie najprawdopodobniej jej smutne doświadczenia życiowe wyposażyły ją lepiej niż wiele innych dzieci w instrumenty, dzięki którym zdołała przetrwać męcznie i udręki, jakie zadawał jej okrutny zbrojeniec.

„Z tego, co słyszymy i czytamy, wynika, że dziewczynka cierpiała już od wczesnego dzieciństwa i rozwinęła w sobie umiejętności, które pozwalały jej sobie radzić z udręką – stwierdził Reinhard Haller, jeden z najbardziej znanych austriackich psychiatrów kryminalnych. – Wydaje się, że była narażona na agresywne zachowania już jako małe dziecko, opracowała więc strategię postępowania w tego typu sytuacjach. Okazały się one niezwykle przydatne w ciągu długich lat spędzonych w niewoli. Osoba, która, jeśli można użyć takiego zwrotu, była zahartowana, która potrafiła radzić sobie w sytuacjach ekstremalnych, doświadczała przemocy już we wczesnym dzieciństwie i nauczyła się to znosić, jest z pewnością lepiej

przygotowana na udręki i cierpienia, bez względu na ich charakter, niż ktokolwiek inny”.

\*

Ostatni dzień wolności przed porwaniem i niewolą Natascha spędziła na Węgrzech razem z ojcem oraz zaprzyjaźnioną z nim rodziną Bartschów, Eriką i Hannesem. Węgry były dla dziewczynki czymś w rodzaju krainy z baśni, miejscem niekończących się wakacji, z dala od posępnych i przygnębiających blokowisk oraz wyboistych ulic, które oglądała na co dzień. Nikt tu nie nazywał jej Prosiaczką i nie szydził z tego, że w nocy moczy łóżko. Jak relacjonuje jej ojciec, podczas pobytów na Węgrzech przypadłość ta zupełnie ustąpiła.

Jak opowiadała Erika Bartsch, każdy ranek Natascha spędzała na zabawie z należącym do niej i jej męża owczarkiem. Wczesnym popołudniem zrywała w ogrodzie śliwki na konfitury. W pamięci wielu ludzi zachowała się jako dziecko o szczególnie pogodnej naturze, goniące za motylami, uwielbiające piesze wędrówki i zwiedzanie okolicy. Wchodziła również na drzewa i nie bała się głaskać koni na sąsiedniej łące, zimą zaś z nieskrywaną radością zjeżdżała na sankach z pobliskich wzgórz.

Czasami podczas tych weekendowych wypadów brała przybory do szycia i robiła swoim lalkom ubranka. Często wyplatała też bransoletki z traw, oznajmiając gospodarzom: „Tę robię dla mamy”. W przeciwieństwie do człowieka, który ją uprowadził, wszyscy zapamiętali Nataschę jako dziecko bardzo towarzyskie, wylewne, pełne uroku i łubiane.

„Matka Nataschy nigdy tam nie przyjechała – relacjonowała Erika Bartsch. – Dziewczynka zawsze zjawiała się tylko z ojcem. Już na pierwszy rzut oka było widać szczęście na jej twarzy i ścisła więź łączącą ją z Ludwigiem. Czasami, kiedy była zmęczona, siadała mu na kolanach i tuliła się do niego. Byli sobie naprawdę bliscy”.

Tego ostatniego dnia przed porwaniem Natascha zjadła z ojcem

i Bartschami wspólny posiłek w restauracji. Trochę to wszystko trwało, więc do Wiednia wrócili później, niż to zapowiedzieli. Brigitte Simy była wściekła. Bardzo nie lubiła, kiedy jej były mąż nie odwoził ich córki o ściśle ustalonej wcześniej godzinie.

– Dlaczego tak późno? – naskoczyła na Nataszę, kiedy tylko ta przekroczyła próg ich mieszkania przy Rannbahnweg 38.

– Jedliśmy po drodze obiad w restauracji i musieliśmy strasznie długo czekać na zamówione posiłki – próbowała tłumaczyć dziewczynka.

– To trzeba było nie jeść.

– Byłam głodna i...

– To mnie nie interesuje! – przerwała jej gwałtownie matka. – Tyle razy mówiłam ci, że masz wracać punktualnie. Za karę nie spotkasz się z ojcem w przyszłym miesiącu.

– To nie moja wina! – zawołało zrozpaczone dziecko.

– Nie podnoś na mnie głosu – ostrzegła *Frau* Sirny.

– Ale dlaczego mam ponosić karę za coś, czemu nie jestem winna?!

– Głos Nataschy przeszedł w krzyk.

Siarczysty policzek, wymierzony córce przez matkę, zakończył tę wymianę zdań. Być może miał tragiczne konsekwencje. W dniu porwania Natascha była w głębokiej depresji, zbita przez matkę, odrzucona przez bliskich, wyśmiewana przez rówieśników. Zdołowana do tego stopnia, że poszła niczym jagniątko na rzeź.

Brigitte Sirny przyznała potem, że miała lekkie wyrzuty sumienia z tego powodu, trwając jednocześnie w przekonaniu, że „dzieci potrzebują dyscypliny”. Sama Natascha, po ucieczce od porywacza, ignorowała to zajście, uznając, że w zasadzie nic się nie stało.

Natascha myślała, że porywacze polują jedynie na śliczne dziewczynki o złotych włosach, żeby je mieć tylko dla siebie. „Ja miałam ciemne włosy, czułam się gruba i nieatrakcyjna. A zwłaszcza w dniu porwania”.

Okazało się jednak, że właśnie takich dzieci szukają psychopaci.

Odkryła to dopiero po latach cierpienia: „Sprawcy wybierają raczej przeciętne dzieci z niskim poczuciem własnej wartości, aby je dręczyć. W przypadku porwania czy seksualnej przemocy uroda nie odgrywa większej roli. Dzieci upośledzone psychicznie czy fizycznie, jak również te pozbawione więzi rodzinnych, narażone są na podwyższone ryzyko ataku ze strony takich sprawców”.

\*

„Po raz pierwszy zobaczyłam go na ulicy – wspominała już po uwolnieniu swój pierwszy kontakt ze starszym o dwadzieścia pięć lat porywaczem. – Szłam do szkoły, a on stał koło swojego białego vana na pobliskim parkingu. Bałam się, w głowie cały czas kołatały mi słowa mojej mamy: »nie rozmawiaj z nieznanymi«, »nie wsiadaj do obcych samochodów«. Ale kiedy spojrzałam mu w oczy, wszystko przysło. Miał niebieskie oczy, ale jego spojrzenie było dziwnie puste. Wyglądał na nieśmiałego, zagubionego i zupełnie bezbronnego. Dziś nie potrafię tego wytłumaczyć, ale wtedy poczułam jakąś dziwną chęć, by mu pomóc. Ostatecznie jednak zrobiłam krok w tył. Chciałam odejść. Nie pozwolił, zamiast tego złapał mnie mocno i gwałtownie wrzucił do vana. Wszystko wyglądało jak scenariusz jakiegoś horroru. A to był tylko początek mojego nowego, ośmioletniego życia”.

Od pierwszej chwili była przerażona. Jak się jednak wkrótce okazało, wówczas nie miała jeszcze powodów, by tak się czuć. Prawdziwy koszmar bowiem zaczął się dopiero wtedy, gdy Natascha znalazła się w swoim nowym domu. Przestępca przygotowywał porwanie przez długie miesiące, zadbał więc również o specjalny pokój, który wybudował w piwnicy swojego domu przy Heinstrasse w Strasshof an der Nordbahn. Pomieszczenie było czyste, ale ciemne, pozbawione okien, wyposażone tylko w piętrowe łóżko, zlew i toaletę.

„Wytrzymałam kilka tygodni, potem błagałam go, by pozwolił mi się wykąpać” – wspominała Natascha. – Przez pierwszy okres

uwieżenia każdego dnia, w każdej godzinie miałam nadzieję, że otworzą się drzwi i ktoś mnie uratuje. Nadzieja, że nie można tak po prostu schować mnie przed światem, dawała mi siłę podczas niekończących się godzin w piwnicy. Ale mijał dzień za dniem i nikt nie przychodził. Poza porywaczem”.

Porywacz faktycznie wkrótce zgodził się i wyprowadził dziewczynkę na zewnątrz. „To wtedy zrozumiałam, w jak dramatycznym położeniu jestem” – powiedziała Natascha. „Okazało się, że drzwi do mojego pokoju są z drugiej strony zabezpieczone betonową pokrywą. A prowadził do nich jedynie wąski korytarz. Gdy jednak wyszliśmy z tego labiryntu, wiedziałam już, jak szczelnie jestem zamknięta i jak trudno byłoby komukolwiek mnie znaleźć”.

Od świata oddzielał ją półmetrowej grubości mur, dwa przedpokoje, kilkoro drzwi, w tym pancerne, 150-kilogramowe z żelazobetonu. By je otworzyć mężczyzna potrzebował około godziny. Odcięta od świata ofiara bała się, by oprawcy nic się nie stało, wtedy ta piwnica oznaczałaby dla niej grobowiec. Zamknięta w lochu dziewczynka, potem nastolatka, żyła w wiecznym strachu, czy porywacz o niej nie zapomniał i nie skazał na śmierć głodową.

Z drugiej strony, kiedy słyszała otwierane zamki, zaczynała się wewnętrzna panika: „Rozwinęłam w sobie dodatkowy zmysł – twierdzi. – Stawałam się niespokojna, kiedy tylko słyszałam dźwięki odśrubowywania pancernych drzwi i otwierania betonowej ściany. Serce zaczynało mi walić, całe ciało drżało i zalewałam się potem”.

„Podczas pierwszych dni mojego pobytu w piwnicy obchodził się ze mną jak z bardzo małym dzieckiem. Przynosił mi do jedzenia wszystko, co chciałam – a ja zachowywałam się jak podczas odwiedzin z noclegiem u dalekiej ciotecznej babki, której można wmówić, że czekolada to odpowiednie śniadanie. Już pierwszego ranka zapytał mnie, co chcę zjeść. Zażyczyłam sobie herbatę owocową i rogalik. I rzeczywiście po jakimś czasie przyszedł z termosem pełnym herbaty z dzikiej róży i rogalikiem z najbardziej znanej piekarni w mieście. Innym razem poprosiłam o solanki z musztardą i

miodem. Także to »zamówienie« zostało natychmiast zrealizowane. Bardzo mnie dziwiło, że człowiek, który odebrał mi przecież wszystko, spełnia każde moje życzenie.

Jego skłonność do traktowania mnie jak małe dziecko miała również gorsze strony. Obierał mi każdą pomarańczę i wkładał kawałek po kawałku do ust, jakbym nie potrafiła sama jeść. Kiedy chciałam gumę do żucia, odmówił – ze strachu, że mogłabym się udławić. Wieczorem otwierał mi usta i mył zęby jak trzylatce. Po kilku dniach złapał mnie w sposób mało delikatny za ręce i obciął mi paznokcie.

Dopasowałam się do swojej roli i kiedy następnym razem porywacz przyszedł do piwnicy, aby dać mi jedzenie, robiłam wszystko, żeby został. Błagałam go. Staralam się zwrócić jego uwagę, byle tylko się mną zajmował, byle się ze mną bawił. Czas spędzany samotnie w tym pomieszczeniu doprowadzał mnie do szaleństwa. Po kilku dniach razem z porywaczem jadłam posiłki i grałam w halnę, młynek i chińczyka. Jeżeli mogłam już zakończyć grę, umyślnie, ale dyskretnie popełniałam błąd, aby odroczyć grożącą mi samotność.

Podczas odwiedzin mówił zawsze o rzekomych zleceniodawcach, z którymi już podczas porwania tak nerwowo rozmawiał przez telefon i którzy mnie »zamówili«. Byłam przekonana, że musiało tutaj chodzić o bandę trudniącą się pornografią dziecięcą. On sam mamrotał coś o ludziach, którzy przyjdą, aby mnie sfotografować i »robić coś jeszcze« ze mną, co umacniało moje obawy. Czasami przychodziło mi do głowy, że historia, którą mi opowiadał, w ogóle nie ma sensu, że ci tajemniczy zleceniodawcy prawdopodobnie w ogóle nie istnieją.

W nocy spałam jak zwierzę, na które się poluje, z półprzymkniętymi powiekami, w ciągłym stanie gotowości. Nie chciałam, aby bezbroną zaskoczyli mnie we śnie mężczyźni, którym podobno miałam być wydana. Strach przed rzekomymi »prawdziwymi odbiorcami« kazał mi traktować człowieka, który ponoć porwał mnie na ich zlecenie, jako życzliwe mi wsparcie: jak długo byłam przy nim, tak długo nie urzeczywistniał się oczekiwany koszmar.

W dniach tuż po porwaniu moje podziemne więzienie zaczęło się zapełniać przeróżnymi rzeczami. Najpierw porywacz przyniósł mi świeże ubrania: posiadałam tylko to, co miałam na sobie w tamtym dniu. Bieliznę, rajstopy od Palmersa, sukienkę i skafander. Spalił moje buty, żeby zniszczyć ewentualne ślady. To były buty z grubymi podeszwami, prezent na dziesiąte urodziny. Kiedy tamtego dnia weszłam do kuchni w naszym mieszkaniu, na stole stał tort z dziesięcioma świeczkami, obok leżał karton zawinięty w kolorowy błyszczący papier. Od tygodni męczyłam matkę, żeby, proszę, proszę, kupiła mi właśnie takie buty, jakie noszą inne dzieci. Odmówiła kategorycznie. Powiedziała, że to nie jest dla dzieci, że w tym nie można wygodnie chodzić. A teraz leżały przede mną: czarne zamszowe baleriny z wąskim paskiem na podbiciu, z grubą połałdowaną podeszwą z gumy. Byłam w siódmym niebie! Te buty, które z miejsca podwyższyły mnie o trzy centymetry, z całą pewnością ułatwią mi drogę do nowego samodzielnego życia. To był ostatni prezent od matki.

Teraz porywacz dał mi swój stary sweter i bawełniane T-shirty w kolorze wojskowej zieleni, które zachował sobie prawdopodobnie z czasów służby w Bundeswehrze. Łagodziły nocny chłód, który przedostawał się z zewnątrz. Natomiast aby się bronić przed zimnem, które opanowywało moje wnętrze, musiałam mieć zawsze na sobie jedną sztukę własnego ubrania.

Po dwóch tygodniach przyniósł mi leżak ogrodowy w zamian za cienką matę z pianki. Materac leżał na metalowych sprężynach, które przy każdym ruchu cicho skrzypiały. Ten odgłos towarzyszył mi przez następne pół roku podczas długich nocy w moim więzieniu. Ponieważ bardzo marzłam – w pomieszczeniu było najwyżej około 15 stopni – porywacz przytargał wielki, ciężki piec elektryczny. Zwrócił mi także moje szkolne rzeczy.

Moją pierwszą myślą było wysłanie wiadomości do rodziców. Wiele godzin zabrało mi ostrożne formułowanie zdań – znalazłam nawet możliwość powiadomienia ich, gdzie się znajdują, wiedziałam bowiem, że jestem więziona gdzieś w Strasshofie, gdzie miesz-



kali także teściowie mojej siostry. Miałam nadzieję, że wskazówka dotycząca rodziny wystarczy, aby naprowadzić moich rodziców – oraz policję – na właściwy ślad.

Aby udowodnić, że sama pisałam ten list, dołączyłam do niego zdjęcie z mojego piórnika. Zrobione zostało w zimie poprzedniego roku na lodowisku, jestem na nim ubrana w gruby kombinezon, z uśmiechem na twarzy i zaczerwienionymi policzkami. Naiwnie przekonana, że zrealizuję zamierzenie, czekałam na porywacza. Kiedy przyszedł, usiłowałam być opanowana i przyjazna.

– Musisz wysłać ten list do moich rodziców, żeby wiedzieli, że żyję!

Przeczytał list i odmówił wysłania. Błagałam i zaklinałam go, by dłużej nie pozostawiał moich rodziców w niepewności.

– Nie możesz być aż tak złym człowiekiem – powiedziałam.

Jego czyn jest wprawdzie zły, kontynuowałam, ale przedłużanie cierpień moich rodziców jest o wiele gorsze. Szukałam ciągle nowych argumentów przemawiających za tym, że powinien to zrobić, zapewniłam go, że nic nie ryzykuje. Przecież sam przeczytał list i wie w końcu, że go nie zdradziłam.

Porywacz nagle uległ. Zapewnił mnie, że wyśle list pocztą do moich rodziców. To było całkowicie naiwne, ale chciałam mu uwierzyć. Położyłam się na leżaku i zaczęłam sobie wyobrażać, jak rodzice otwierają list, odnajdują ukrytą wskazówkę i uwalniają mnie. Cierpliwości, musiałam mieć tylko nieco cierpliwości, a potem ten koszmar się skończy.

Dzień później moja fantastyczna konstrukcja rozpadła się jak domek z kart. Porywacz przyszedł do mnie ze zranionym palcem, twierdząc, że »ktoś« wyrwał mu podczas sprzeczki mój list i zranił go, kiedy walczył o niego. Dawał do zrozumienia, że byli to jego zleceniodawcy, którzy nie chcą, abym nawiązała kontakt z rodzicami.

Przez pierwsze tygodnie porywacz robił wszystko, aby zachować wizerunek opiekuna. Spełnił nawet moje największe marzenie: komputer. To był stary model Commodore C64 z niewielką pamięć-

cią, ale ze stacją dysków z grami, które mogły odwrócić uwagę od tego, co było wokoło. Najchętniej grałam w »Mampf«: należy kierować człowieczkiem wędrującym przez podziemny labirynt, w którym musi unikać potworów i pożerać punkty – była to bardziej wyrefinowana wersja »Pacmana«. Całe godziny spędzałam na gromadzeniu punktów. Kiedy porywacz był w pomieszczeniu, graliśmy niekiedy przeciwko sobie na podzielonym ekranie. Często pozwalał mi, małemu dziecku, wygrywać.

Kiedy miałam już dosyć grania w »Mampf«, zaczynałam »Space-Pilot«, w której leci się przez kosmos i zestrzeliwuje obce statki kosmiczne. Trzecim programem na moim C64 była gra strategiczna pod nazwą »Kaiser«: w tej grze panuje się nad narodami i prowadzi wojny, żeby zostać cesarzem. Tę lubiłam najbardziej. Cesarz bez żadnych oporów wysyłał swoje narody na wojnę, kazał im też głodować albo wykonywać prace przymusowe, o ile służyło to utrzymaniu jego władzy, a jego wojska nie były dziesiątkowane.

Na razie wszystko to działo się w wirtualnym świecie. Jednak nie upłynęło dużo czasu, a porywacz pokazał mi swoją drugą twarz: – Jeżeli nie zrobisz tego, co ci każę, będę musiał wyłączyć światło. Jeżeli nie będziesz grzeczna, będę musiał cię związać. Niekiedy wystarczyło, że wykonałam gwałtowny ruch, aby jego nastrój zmienił się diametralnie. Albo kiedy spojrzałam na niego, mimo że rozkazał mi wlepić wzrok w podłogę. Wszystko, co nie odpowiadało szablonowi, za pomocą którego ustalał moje zachowanie, wzmacniało jego paranoję. Wtedy krzyczał na mnie i oskarżał po raz kolejny, że chcę wywieść go w pole, oszukać.

Pewnego dnia w przyniesionym przez porywacza jedzeniu znajdowało się kilka pokrojonych na ćwiartki cytryn, które nasunęły mi pewien pomysł. Był to dziecinny i naiwny plan – wówczas wydawał mi się genialny: chciałam symulować chorobę, która zmusiłaby porywacza do zawiezienia mnie do lekarza. Od mojej babci i jej przyjaciółek słyszałam wielokrotnie opowieści z czasów rosyjskiej okupacji wschodniej Austrii – w jaki sposób kobiety unikały gwałtów i wywózek. Jeden z takich trików polegał na wcieraniu w twarz

czerwonej marmolady, żeby wyglądało na ciężką chorobę skóry. Inny dotyczył cytryn.

Ostrożnie oddzieliłam linijką bardzo cienką skórę cytryny od miąższu. Następnie przykleiłam ją kremem do ramienia. Wyglądało to obrzydliwie – jakbym miała ropne zapalenie skóry. Kiedy porywacz wrócił, pokazałam mu ramię i udawałam, że mnie bardzo boli. Jęczałam i prosiłam, aby natychmiast zabrał mnie do lekarza. Patrzył na mnie obojętnie, potem jednym gestem zerwał skórę cytryny. Tego dnia wyłączył mi światło”.

\*

W celi, jak tortura, kropla za kroplą kapała woda, panowała wilgoć, było pełno pleśni, łążyły robaki. Natascha mówiła później o Priklopilu, że im bardziej był pewien, że ona się go boi, tym częściej zabierał ją na powierzchnię, ale pod absolutną kontrolą, wszystko dokładnie zamykał. Miał fobię na punkcie czystości, musiała uważać na każdy pozostawiony odcisk palca. Były za to różne kary...

Na początku metodą na przetrwanie stała się dziecięca wyobraźnia: „Z perspektywy czasu widzę, że wróciłam wtedy do myślenia typowego dla cztero- czy pięcioletków, które przyjmują rzeczywistość po prostu taką, jaka jest” – napisała ofiara w wydanej autobiografii *3096 dni*. Swoje wspomnienia z pobytu w podziemiach willi w Strasshof przekazała psychiatrze, który odczytał je publicznie podczas konferencji prasowej: „Nieprawda, że płakałam po ucieczce. Nie było powodu. Śmierć Priklopila nie była potrzebna. Nic by się nie stało, gdyby po prostu trafił do więzienia. Ten człowiek stanowił sporą część mojego życia, i dlatego w pewnym sensie go opłakuję”.

Napisała także, że choć jest świadoma, iż nie miała normalnego dzieciństwa, to jednak dzięki porwaniu uniknęła wielu złych rzeczy: nie zaczęła palić papierosów, pić alkoholu i nie włączyła się z „podejrzanym” towarzystwem.

Żeby jednak wykreować tę wspomnianą wyżej rzeczywistość na

jak najbardziej normalną, dziewczynka musiała sprawić, by jej relacje z porywaczem stały się chociaż mierną namiastką rodziny: „To dlatego prosiłam go, by kładł mnie do łóżka, czytał mi do snu, całował w czoło na dobranoc. Poza tym byłam przecież wtedy dzieckiem, potrzebowałam czyjeś dotyku i czułości”.

Początkowo to wystarczało. Porywacz sprawiał nawet wrażenie, jakby ta gra dawała mu jakąś przyjemność. Niestety, na krótko. „Zdarzało mu się tracić nad sobą kontrolę, ale naprawdę mocno agresywny zaczął robić się, gdy weszłam w okres dojrzewania” – opowiada dalej Natascha Kampusch. – Traktował mnie wtedy tak, jak gdybym była brudna i obrzydliwa. Przestał mnie przytulać, za to regularnie bił, a gdy spaliśmy w jednym łóżku, zakładał mi kajdanki, bo – jak wyjaśniał – wcześniej nie zachowywałam się dość dobrze”.

Na tym się wcale nie kończyło. Zboczenie bowiem golił Nataschy również głowę, zmuszał, aby półnaga pracowała jako jego domowa niewolnica. Obsesyjnie musiała dbać o porządek. Gdy odmawiała sprzątanía, kopał ją i bił, mówiąc: „zawsze chciałem mieć niewolnicę”. Seksualne molestowanie było już tylko dopełnieniem rytuału codziennych tortur, w trakcie których między innymi zmuszał dziewczynkę, by się przed nim kłaniała, klękała i mówiła do niego „Mistrzu” albo „Mój Panie”.

„Najbardziej nienawidził, kiedy po tym wszystkim płakałam z bólu – czytamy w dramatycznej autobiografii. – Łapał mnie za gardło, włókł nad zlew, wciskał moją głowę pod wodę i naciskał na tchawicę, póki całkiem nie straciłam przytomności”.

O to zresztą nie było trudno. Dlaczego? Bo gdy Natascha skończyła 16 lat, ważyła mniej niż 40 kilogramów. Sadysta świadomie utrzymywał ją w stanie permanentnego głodu, ponieważ wierzył, że pozbawiona sił nie będzie próbowała uciekać. Porywacz wmaśniał jej także, że rodzina nie chciała zapłacić za nią okupu i z przyjemnością się jej pozbyła: „Teraz nie jesteś ich Nataschą, teraz należysz do mnie” – wybrzmiewało w kółko z głośników interkomu zamontowanych w jej pokoju. Przez wszystkie lata utrzymywał ją w

przeświadczeniu, że w domu ukryte są ładunki wybuchowe, których nie zawaha się zdetonować w razie jej próby ucieczki.

Na dowód tego, że dziewczynka jest jego własnością, porywacz nakazał jej zmienić imię. „Wybrałam łacińskie: Bibiana – wspominała. – To była moja nowa tożsamość, którą Priklopil zaakceptował, dzięki czemu żyłam z nią przez kolejne siedem lat”. Wiele razy próbowała popełnić samobójstwo. Jednocześnie jednak otwarcie przyznała się do specyficznej więzi łączącej ją z porywaczem. „Czasami robiłam wszystko, by tylko zatrzymać go w moim pokoju na dłużej” – napisała. – Zdarzało się też, że razem spaliśmy, przygotowaliśmy posiłki, jedliśmy, oglądaliśmy telewizję. W ten sposób dawał mi namiastkę normalności”.

Wkrótce po swoim oswobodzeniu Natascha Kampusch opublikowała w mediach otwarty list do społeczeństwa. Napisała w nim między innymi:

„Drodzy dziennikarze i ludzie na całym świecie. Zdaję sobie sprawę, jakie wrażenie wywarła na was wszystkich moja niewola, proszę jednak o zrozumienie, jeśli chodzi o zaspokajanie publicznej ciekawości co do szczegółów. Chcę od razu zaznaczyć, że nie będę odpowiadała na żadne pytania dotyczące kwestii intymnych, seksualnych. Mój pokój był wyposażony we wszystko, czego potrzebowałam, i stał się moim domem. Moje życie codzienne było starannie uregulowane. Zwykle zaczynało się od wspólnego śniadania. Były obowiązki gospodarskie, czytanie, telewizja, rozmowy, gotowanie. Nigdy nie zwróciłam się do porywacza »panie«, choć tego ode mnie wymagał. Życzył sobie być tak nazywany, ale według mnie tak naprawdę wcale nie o to mu chodziło. Czasem obdarzał mnie wsparciem, a czasem kopniakiem. Ale nie był moim panem. Byłam równie silna jak on. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że wybrał do swoich celów niewłaściwą osobę”.

\*

Wolfgang Priklopil figurował już wśród podejrzanych podczas

śledztwa. Tropem była jego biała furgonetka, którą rozpoznała przyjaciółka porwanej. Funkcjonariusze namierzili i skontrolowali samochód, przeglądali też posesję, gdzie była więziona Natascha, ale tylko pobieżnie. Ani auta, ani domu, w którego piwnicach siedziała dziewczynka, nie przeszukano dokładnie. Priklopil nie został też ani razu wezwany na komendę, jakby policjanci, czy to z powodu nieuwagi, czy zwykłego lenistwa, chcieli jak najszybciej dać sobie spokój z kolejnym podejrzanym. Nie zainteresowano się nawet tym, że zmyślił swoje alibi. Jednym z odpowiedzialnych był obecny komendant wiedeńskiej policji, Karl Mahrer.

„Tymczasem rzetelna praca śledczych zaoszczędziłaby dziewczynie trwającej lata męki” – napisano w 2008 roku w austriackim dzienniku „Heute”.

Samodzielny, drobiazgowy, uzdolniony manualnie, pedantyczny, nigdy nie pił ani nie palił, nie uprawiał hazardu i z całą pewnością nie uganiał się za kobietami. Podobnie jak w przypadku Fryderyka Clegga – Kolekcjonera, tytułowego bohatera wspomnianej wcześniej powieści Johna Fowlesa, w Wolfgangu Priklopilu nie było nic, przynajmniej na pozór, co mogłoby zasygnalizować, że jego duszą zawładnęły dziwaczne demony. Do pewnego stopnia sprawiał wrażenie maminsynka o nijakiej osobowości, który swe marzenia i fantazje zachowuje wyłącznie dla siebie. Ale podobnie jak Clegg, tak i Priklopil był emocjonalnym wykołajeńcem, ogarniętym destrukcyjną obsesją.

W pewnym momencie ten samotnik, dzielący życie z kotami, hołubiący własną matkę, dla którego szczytem szaleństwa było spędzenie nocy na czytaniu magazynów poświęconych elektronice i fachowych pism o nowych technologiach, przekroczył Rubikon, dzielący krainę fantazji od realnego świata. Bariere, która oddziela normalnego – chociaż nieco zdziwaczałego – obywatela od bandyty. Niewykluczone, że zainspirował się nagłośnionym przez media w 1996 roku porwaniem w Belgii 12-letniej Sabine Dardenne przez pedofila Marca Dutroux. Priklopil podobnie jak Dutroux wciągnął swoją ofiarę do samochodu, gdy szła rano do szkoły. Dardenne tak-

że była trzymana w piwnicy...

Urodził się 14 maja 1962 roku w tej samej zapuszczonej i mrocznej dzielnicy, gdzie dwadzieścia sześć lat później przyszła na świat dziewczynka, o której losie zdecydował. Jego ojciec, Karl, pracował jako lokalny przedstawiciel niemieckiego koncernu alkoholowego „Scharlachberg”, trzeciego co do wielkości wytwórcy brandy w kraju. Matka, Waltraud, była gospodynią domową, dorabiającą na pół etatu jako ekspedientka w sklepie.

Wolfgang był jedynakiem i zapewne nikt nie znał go naprawdę. Opisywano go w rozmaity sposób. W oczach matki był po prostu „miłym chłopcem”. Człowiek, z którym prowadził wspólną firmę, określił Priklopila jako „solidnego współnika w interesach”. Koledzy z pracy, którzy nigdy nie mieli okazji poznać go bliżej, mówili o nim: „zramolały”, „wybredny” czy „dziwny”. Sąsiedzi nazywali go między sobą „Bachener”, co w sposób potoczny i obraźliwy określa homoseksualistę. Nikt nigdy nie powiedział o nim, że dał się lubić. I być może takie właśnie epitafium powinno znaleźć się na jego beziemiennym grobie: „Tu spoczywa facet, który nie dał się lubić”.

Najbliższym znajomym Priklopila był niejaki Karl Heinz Ehler, austriacki Żyd, urodzony w Wiedniu w 1939 roku. Pierwszych sześć lat życia spędził w piwnicy, ukrywając się przed poszukującymi go nazistami.

„Kiedy zobaczyłem w telewizji zdjęcia Wolfganga, wyglądał zupełnie jak jego ojciec dwadzieścia lat wcześniej – wyznał dziennikarzem Ehler. – Byli niemal identyczni. Gdy jednak usłyszałem, czego się dopuścił, poczułem, jak w żyłach zastyga mi krew. Było w tym coś niepokojącego. Dobrze pamiętam, jak jego ojca, Karla Priklopila, zafascynowała moja opowieść o życiu w piwnicy. Któregoś razu wyznał mi: »Wczorajszego wieczoru opowiedziałem Wolfiemu historię twojego życia. Był tym zauroczony. Daję słowo!«.

W szkole Wolfgang zaliczał się do przeciętnych uczniów. Oceny otrzymywał raczej słabe, jedynie noty w rubryce *Betragen* (sprawowanie) były najwyższe. O takich właśnie grzecznych chłopców modlą się nauczyciele. A tego, że ten „grzeczny” chłopak ma w rzeczy-

wistości diabła za skórą, nikt przecież nie wiedział. Na szkolnej fotografii, wykonanej w roku 1976, widać poważnego chłopca o ciemnych oczach i gęstych włosach, zaczesanych z przedziałkiem na bok. Z tej twarzy nie bardzo można odczytać, co dzieje się w głowie chłopca, pod przybraną maską niewinności.

Przez cztery lata, do ukończenia czternastego roku życia uczęszczał do Hauptschule przy Afritshgasse w Wiedniu. W austriackim systemie szkolnictwa Hauptschulle stanowi etap pośredni między szkołą podstawową a średnią. Jako piętnastolatek rozpoczął praktykę u „Siemensa”, niemieckiego kolosa branży elektronicznej. Po roku nauki, za namową ojca rzucił Technikum Mechaniczne, do którego uczęszczał. W miarę, jak dorastał, pojawiły się niepokojące sygnały, takie, które często badają później biegli sądowi, kiedy przyjdzie im rozstrzygać, czy podsądny jest psychopata, czy też nie.

Czternastoletni Wolfgang, wielce uzdolniony technicznie, otrzymujący w szkole wysokie noty za prace w metalu, zrobił sobie wiatrówkę, z której z lubością strzelał do wróbli i gołębi. Strzelał też do bezpańskich psów, oszczędzając jednak koty, które szanował za ich samotny i drapieżniczy tryb życia. Często też ranił ptaki wyłącznie po to, żeby delektując się upieczonym przez matkę placikiem ze śliwkami, przyglądać się, jak kot bawi się rannym stworzeniem, a potem w końcu je zabija.

Mimo tego, nic w jego zachowaniu czy w sposobie postępowania nie budziło nawet w najmniejszym stopniu podejrzeń o dziwną obsesję, która opanowała jego duszę – aby porwać małą dziewczynkę i trzymać ją w niewoli. Kiedy jednak inni chłopcy chodzili na tańce i umawiali się z dziewczynami, albo przynajmniej marzyli o randkach, w wypaczonej psychice Wolfganga formowały się zwichrowane poglądy na temat płci przeciwnej.

– Wszystkie dziewczyny to kurwy – wyznał pewnego dnia szkolnemu koledze. – One mnie zupełnie nie interesują.

– Jesteś pewien, że nie chciałbyś mieć dziewczyny? – zapytał zdumiony kolega.

– No... może i chciałbym – odparł Wolfgang po chwili zastano-



wienia. – Ale tylko taką, która zrozumie, kiedy pragnę być sam. Taką, która dobrze gotuje i będzie szczęśliwa z samego faktu bycia moją żoną. Taką, która będzie się efektownie prezentować, lecz dla której uroda nie będzie się przesadnie liczyć. Pragnę być z kobietą, która po prostu będzie mnie wspierać we wszystkim, czego się podejmę.

Miał dwadzieścia cztery lata, kiedy na raka jelit zmarł jego ojciec. Od tego czasu coraz bardziej zacieśniał się kontakt Wolfganga z matką, która wspomagała go przez lata finansowo. Na początku lat dziewięćdziesiątych Ernst Holzapfel, kolega Priklopila z czasów pracy w „Siemensie” zaproponował bezrobotnemu w tym momencie „Wolfiemu” – jak go nazywał – udział w prowadzonej przez siebie firmie budowlano-remontowej „Resan”. We dwóch zajęli się odnawianiem starych posesji, potem zainteresowali się branżą rozrywkową. Organizowali ślubne i urodzinowe przyjęcia w krzykliwie udekorowanym magazynie opuszczonego wiedeńskiego zakładu przemysłowego. Zarabiali niezłe pieniądze i Wolfgang mógł wreszcie zaspokoić swoją fascynację samochodami, kupując luksusowy pojazd marki BMW.

„W przypadku Wolfganga Priklopila wybór małej dziewczynki niewzbudzającej w nim poczucia zagrożenia, a także jego jawna wrogość wobec kobiet, wyrażana w rozmowach z kolegami z pracy, w jednoznaczny sposób wskazują na problemy, które miewał z matką albo też na jego całkowitą zależność od niej – powiedział w wywiadzie udzielonym na potrzeby książki A. Halla i M. Leidig *Dziewczyna z piwnicy* (Sonia Draga, Katowice 2007), wiedeński psychoterapeuta Kurt Kletzer. – Poczucie własnej wartości budziło się w nim jedynie w rezultacie jej czułego i kochającego podejścia, czemu dawała wyraz na co dzień. Z drugiej strony równie prawdopodobną przyczyną mogła być impotencja.

Zdolność czerpania radości z pożycia seksualnego i na tej bazie budowanie szczęśliwej więzi uczuciowej stanowi jeden z podstawowych atrybutów ludzkiej egzystencji. Być może Priklopil czuł się odgradzony od życia w rezultacie impotencji i w następstwie tego

odrzucony przez społeczność. Taka sytuacja z pewnością skutkowałaby ogromną presją, którą musiał znieść.

Jestem przekonany, że z jakiegoś powodu cierpiał, to spowodowało go do wyrządzenia krzywdy komuś innemu.

Czego doświadczał Priklopil, co sprawiło, że czuł się ofiarą, i od czego pragnął uciec, przeistaczając się w prześladowcę i kata? Kwestia trudna do rozstrzygnięcia, aczkolwiek w najczęstszych przypadkach osoba bita i poniewierana w dzieciństwie później sama staje się oprawcą.

Bez względu na rodzaj presji wywieranej na Wolfganga Priklopila, z pewnością przestępstwo, którego się dopuścił, musiało być dla niego ogromnym wyzwaniem. Świat jego fantazji najwidoczniej zdominował wszystko. Zapewne spędzał mnóstwo czasu na przygotowaniach do swego makabrycznego czynu i rozmyślaniach jak z ofiary, bez przyjaciół i dziewczyny, stać się prześladowcą i odwrócić niekorzystny dla siebie bieg życia. W jego psychice świat wyobraźni, w którym pojął i formował wedle swego wyobrażenia idealną kobietę, zlał się w jedno ze światem realnym do tego stopnia, że nie był już w stanie dostrzegać różnicy. Przygotowania poczynione przezeń w piwnicy potwierdzają siłę obsesji, która nim zawładnęła.

Jak na ironię, to, co postrzegał jako wybawienie, od samego początku było skazane na porażkę. Z chwilą uprowadzenia Nataschy dokonał wyboru, który miał stanowić kres jego samotności. Z biegiem lat, stopniowo i powoli uczył się rozumieć uczucia; z małą dziewczynką, całkowicie zdaną na jego łaskę, połączyła go silna więź. Od niej właśnie nauczył się być lepszym człowiekiem, ponieważ musiał myśleć o jej potrzebach, a nie wyłącznie o swoich. Wyglądało to tak, jakby właśnie ona pozwoliła mu się sobą opiekować; rozpoczął się wówczas proces gojenia ran, a jego los został przypieczętowany. Ze względu na drogę, którą wybrał, aby uciec od gnębiących go problemów, inne życie stało się dla niego niemożliwe. To, czego się dopuścił, nie dawało żadnej szansy na powrót do normalności”.

Natascha Kampusch pisze o dwóch twarzach Priklopila. Jedna to silne dążenie do władzy i ucisku innych, druga charakteryzowała się według niej niezrealizowaną potrzebą miłości i uznania ze strony kogoś innego niż matka. Potwór potrafił dbać o swoją ofiarę. Zaopatrywał ją w książki, filmy na kasetach wideo, farby, kosmetyki, słodczyce, ale zarazem terroryzował. Pozostawiał ją na długi czas bez światła albo kazał spać przy zapalonym. W późniejszym okresie mogła opuszczać schron i spędzać większość czasu z nim na gorze. Jednocześnie jednak zaczął ją bić, upokarzać, zmuszać do ciężkiej pracy i głodzić.

Relacje między obojgiem były niezwykle skomplikowane. Na początku Natascha była więziona fizycznie, potem stała się więzieniem psychicznym, a pod sam koniec ich więź nabrała cech emocjonalnych. W jej oczach on odgrywał liczne role: był ojcem, bratem, przyjacielem i – najprawdopodobniej – kochankiem.

Dom, w którym przetrzymywał dziewczynkę, zbudowali jego ojciec, Karl, i dziadek, Oscar. A ponieważ był to okres zimnej wojny, zbudowali też schron przeciwatomowy pod garażem. Być może z powodu posiadania dostatecznie dużej ilości pieniędzy lub dlatego, że nie cierpiał zmagarów z wyciskającą z człowieka ostatnie soki biurokracją, dziadek nie złożył podania o przydział państwowych funduszy na budowę pomieszczenia. Co więcej, nie złożył nawet wniosku o zezwolenie na opracowanie planu, kiedy przystąpił do budowania tego „sanktuarium sądnego dnia”. Nie było więc żadnego pozwolenia, żadnych dokumentów, oficjalnie podziemne lokum nigdy nie istniało. Wraz z odziedziczeniem domu Wolfgang Priklopil uzyskał wymarzoną kryjówkę do zrealizowania swych obłąkańczych planów.

Niezbędne materiały, konieczne do przebudowy pomieszczenia, kupował w pobliskich sklepach budowlanych, zawsze płacąc gotówką. Wkrótce przekształcił schron w niedającą się wykryć, dźwiękoszczelną, pozbawioną okien czeluść, świeże powietrze mogło docierać do wnętrza jedynie za pomocą przemysłowego systemu wentylacyjnego, sterowanego przez niego z góry. Kupił także biur-

ko, zainstalował niewielką umywalkę i muszlę klozetową, podłączył jedno i drugie do głównych rur. Aby pomieszczenie było w pełni dźwiękoszczelne, użył materiału izolacyjnego, jaki często stosują inżynierowie dźwięku w studiach nagraniowych. Pozostało jeszcze tylko wybrać odpowiednią ofiarę...

\*

Natascha obiecała sobie, że jeśli dożyje pełnoletności, ucieknie z tej pułapki. Przestała wierzyć w to, że ktoś ją odnajdzie i miała rację, musiała liczyć tylko na siebie. Policja w tej sprawie wykazała się wyjątkową nieudolnością.

Tej obietnicy dotrzymała 23 sierpnia 2006 roku, wykorzystując moment nieuwagi porywacza. Oboje przebywali tego dnia w ogrodzie, potwór zlecił jej odkurzenie swego czerwonego bmw. W pewnym momencie zadzwoniła komórka Priklopila. Mężczyzna odruchowo oddalił się, bo hałas uniemożliwiał rozmowę. Gdy tylko straciła go z oczu, dziewczyna zostawiła pracujący odkurzacz i podbiegła do furtki, która na szczęście okazała się otwarta. Przebiegła kilkaset metrów i zapukała do jednego z domów w okolicy...

Priklopil, widząc, że jego ofiara uciekła, wpadł w panikę. Wsiadł do swojego samochodu i zbiegł. Policja zaczęła poszukiwania, ktoś zgłosił, że zanotował numery czerwonego bmw, pędzącego po ulicach tak spokojnego dotychczas Strasshof. Auto znaleziono porzucone na parkingu wiedeńskiego Donaucentrum, ale nadal ścigano jego właściciela. Około godziny 21.00 rzucił się pod pociąg na torach tuż przy stołecznym Dworcu Północnym. Dopełnił tym samym obietnicy, jaką złożył więzionej Nataschy – jeśli ona ucieknie, on popełni samobójstwo.

Co zrozumiałe, dopiero po jakimś czasie Natascha Kampusch była w stanie podzielić się wrażeniami z odzyskanej wolności. Na początek, 6 września wystąpiła w austriackiej telewizji publicznej ORF, udzielając pierwszego wywiadu telewizyjnego. Nie dostała honorarium, natomiast przekazano jej wpływy ze sprzedaży wy-

wiadu do innych stacji. Kupiły go telewizje ze 120 krajów, płacąc 290 euro za minutę, co dało w sumie kilkaset tysięcy euro. Część pieniędzy przeznaczyła na cele dobroczynne.

– Byłam incognito na lodach – powiedziała uśmiechnięta Natascha dziennikarzowi ORF.

Poszła na lody w towarzystwie opiekującego się nią psychiatry, w chustce na głowie i okularach przeciwsłonecznych, żeby jej nie rozpoznano. Dziewczyna powiedziała w telewizji, że czuje się dobrze, „biorąc pod uwagę okoliczności”, a czas spędza, „wypoczywając po trudach ucieczki”.

Świat zewnętrzny nie przyjął Nataschy z otwartymi ramionami. Ta wówczas 18-letnia dziewczyna znalazła się na czołówkach tabloidów szukających drugiego dna w jej historii. A drugim dnem okazała się rzeczywistość, z jaką zderzyła się już na wolności. Spotkanie z bliskimi okazało się rozczarowaniem. Zaginięcie dziecka nie zjednoczyło rodziny, problemy pozostały; nadal nie było miłości, tylko wzajemne oskarżenia...

Przez blisko połowę jej życia telewizja była jedynym sposobem kontaktowania się ze światem zewnętrznym. Po niecałych dwóch latach po wyjściu na wolność, zaczęła uczyć się drugiej strony mediów, prowadząc program *Natascha Kampusch rozmawia z...*, emitowany na antenie prywatnej telewizji austriackiej Plus 4. Rozmowy miały dotyczyć niezwykłych osiągnięć ludzi. Pierwszym gościem był Nikki Lauda, były austriacki kierowca wyścigowy, trzykrotny mistrz świata Formuły 1. Pięćdziesięciodziewięcioletni mistrz kierownicy opowiedział o swoim dzieciństwie, o poważnym wypadku podczas Grand Prix Niemiec w 1976 roku, w którym omal nie zginął, oraz swym późniejszym życiu w roli przedsiębiorcy. Po programie przyznał, że podczas jego nagrywania Natascha zadawała wnikliwe pytania, „których wcześniej nie słyszał” i „wyciągnęła” z niego wiele rzeczy.

O jej porwaniu, ucieczce i ośmiu latach spędzonych w zamknięciu napisano już wiele. Dotąd jednak tajemnicą pozostało, co tak naprawdę łączyło ofiarę i jej dręczyciela.

Przykład Nataschy Kampusch pokazuje, jak łatwo wywołać u ofiary porwania tak zwany syndrom sztokholmski. Pojęcie to weszło do języka psychologii w 1973 roku po napadzie na Kreditbanken w Sztokholmie. Przestępcy przez sześć dni przetrzymywali w banku kilkoro pracowników jako zakładników, a ci, kiedy wreszcie zostali uwolnieni przez policję, nieoczekiwanie wykazywali większą solidarność z terrorystami niż ze swoimi oswobodzicielami.

Specjaliści nazywają to syndromem sztokholmskim, jednak w tym przypadku szybko ukuto nowy termin – „syndrom Nataschy Kampusch”. Oba te stany psychiczne cechują się emocjonalnym stosunkiem do oprawcy, co w przypadku Nataschy było jawne.

W wydanej w 2010 roku swej autobiografii *3096 dni* Natascha Kampusch kategorycznie nie zgodziła się na przypisywanie jej syndromu sztokholmskiego. Zwróciła uwagę, że w momencie porwania była zaledwie dziesięcioletką i że dzieci mają naturalną skłonność do przywiązywania się do osób, które się nimi opiekują, nawet jeśli ta opieka nie jest dobra. Opowiedziała o samotności, psychicznym i fizycznym terrorze, próbach samobójczych, przyznała jednak, że w miarę dojrzewania stosowała strategię wybaczenia oprawcy i próbowała stworzyć wokół swojej egzystencji kokon normalności, co było naturalną obroną psychiki przed kumulowaniem w sobie wyniszczającej wściekłości i frustracji. Tłumaczyła sobie, że Priklopil jest chory.

\*

Po prawie trzech latach od ucieczki o przerażającej historii Nataschy zrobiło się znowu głośno, za sprawą odkrycia nowych faktów. Zamknięte już śledztwo w sprawie jednego z najbardziej wstrząsających porwań w Austrii zostało wznowione. „Natasha Kampusch – dziewczynka, która zniknęła na osiem lat – nie była, jak powszechnie uważano, przetrzymywana w piwnicy przez cały okres swojego uwięzienia” – ogłosił wielkimi literami na pierwszej stronie jeden z najbardziej poczytnych wiedeńskich dzienników.

Pojawiło się mnóstwo kontrowersji, sprawiając, że wielu ludzi na nowo zaczęło zadawać sobie pytanie: Kim tak naprawdę jest Natascha Kampusch i co jej się przydarzyło?

Były prezes sądu najwyższego, a obecny doradca prezydenta Austrii, profesor Ludwig Adamovich – szef specjalnej komisji mającej ustalić, czy w śledztwie nie tuszowano faktów, poprosił ministra sprawiedliwości o wznowienie zamkniętego w 2007 roku śledztwa, które określił jako „celowo bierne”.

W wywiadzie dla „The Sunday Times” Adamovich powiedział, że z informacji w aktach wynika, iż dziewczynka „nigdy nie została we właściwy sposób przesłuchana”. Podziemny bunkier, w którym ją przetrzymywano, został zbudowany dopiero po jej porwaniu, a nie w ramach przygotowań do niego, jak pierwotnie twierdziła policja. Okazało się też, że Natascha dużo czasu spędziła poza domem Priklopila.

Adamovich po raz pierwszy potwierdził również, że bezpośrednio po stwierdzeniu ucieczki, Priklopil pognął, by usunąć jakiś „dowód” ze swego domu i lochu wykopanego pod nim. „Otwarte pozostaje pytanie, co chciał zniszczyć i dlaczego – powiedział profesor. – Kampusch stała się medialną gwiazdą i dziś prowadzi program rozrywkowy w telewizji. Jeżeli nie złożyła pełnego zeznania, nie musi to oznaczać, że celowo nie mówiła prawdy. Może po prostu nie być świadoma, że Priklopil miał współników, albo bała się konsekwencji swoich zeznań. Teoria, że Priklopil działał sam, jest mało prawdopodobna, a jego samobójstwo mogło zostać sfingowane. (...) Minęło osiem godzin od momentu, kiedy Priklopil odkrył, że Kampusch uciekła, do chwili, gdy podłożył głowę pod nadjeżdżający pociąg. (...) Dlaczego ani razu nie przesłuchano dróżnika, który znalazł na torach zwłoki porywacza, oraz dlaczego nie przeprowadzono autopsji zwłok Priklopila przed poddaniem ich kremacji. W śledztwie popełniono karygodne błędy”.

Koronnym dowodem na potwierdzenie tej tezy mają być zdjęcia z sekcji zwłok psychopaty. Ciało Priklopila jest na nich niemalże nienaruszone. „Po zderzeniu z pociągiem, pod który miał się rzucić,

powinno być całkowicie zdeformowane. Zwłoki znaleziono bez głowy, ale ślady na szyi wskazują na to, że została ona odcięta, zanim mężczyznę wyrzucono na tory” – przekonują śledczy. Nieścisłości w dokumentach rodzą pytania czy faktycznie mężczyzna sam rzucił się pod pociąg? A może ktoś położył nieprzytomnego albo odurzonego porywacza na torach jeszcze przed wyhamowaniem pociągu? Ale to niejedyne wątpliwości członków komisji...

Ma je również Johann Rzeszut, były prezes Sądu Najwyższego i członek komisji. Przytacza on szereg argumentów, które – jego zdaniem – podważają tezę o samobójstwie Priklopila. Sędzia zarzuca śledczym niewłaściwe działanie. Nie może zrozumieć, dlaczego między innymi nikt nie zbadał temperatury ciała denata i nie pobrał próbek krwi do analizy, co jest rutynową procedurą w takich wypadkach. Wszyscy członkowie komisji zapewniają, że nie wierzą w „teorie spiskowe” i nie chcą na siłę doszukiwać się faktów, tam gdzie ich nie ma. Podkreślają jednak, że sprawa jest zbyt poważna, by podczas jej wyjaśniania dopuszczać się tak rażących błędów.

Podważana jest także autentyczność listu pożegnalnego, który miał zostawić zboczeniec. Z analiz grafologów wynika, że charakter pisma pasuje do tego, którym posługuje się Ernst Holzapfel. Były wspólnik Priklopila w firmie budowlano-remontowej „Resan” jest też ostatnią osobą, która widziała go żywego. Obaj panowie mieli się spotkać w jednym z wiedeńskich centrów handlowych po południu w dniu, w którym Nataschy udało się uciec.

Przesłuchiwany przez policję po znalezieniu zwłok wspólnika Holzapfel zeznał, że Priklopil był wtedy „bardzo podekscytowany i w kółko opowiadał mu o tym, jak dziewięć lat wcześniej porwał pewną dziewczynkę oraz że on sam nigdy już nie zobaczy swojej matki”. Co jeszcze ciekawsze, przyznał również, że spotykał czasem Nataszę podczas jej wieloletniego więzienia, ale nigdy nie próbował dowiedzieć się, kim na dobrą sprawę jest i co robi w domu Priklopila: „Wolfgang raz powiedział mi, że to jakaś jego znajoma, ale nigdy nie wspomniał jej imienia” – zeznał podczas przesłuchania. Sama Natascha zaprzeczyła, by kiedykolwiek spotkała Holzapfela



w domu swego oprawcy.

Dlaczego jednak Holzapfelowi pozwolono wejść do domu Priklopila – uznanego oficjalnie za miejsce przestępstwa – kilka godzin po ucieczce Nataschy, aby zabrać stamtąd jakieś narzędzia? Dlaczego mężczyzna nigdy nie przyznał, że on i Priklopil się przyjaźnili? Dlaczego podczas przesłuchania wykrztusił pytanie: „Zabił ją?”. Dlaczego nie powiedział policjantom, że jego kumpel lubił dziecięcą pornografię?

Zdaniem Ludwiga Kocha, Holzapfel jest kluczem do rozwiązania zagadki. „Chcę, żeby zeznawał w sądzie, pod przysięgą, żeby wyjaśnił wszystko, co wie o tej sprawie” – powiedział ojciec Nataszy.

Luki w śledztwie dotyczą jednak nie tylko policji, ale i zeznań samej Nataschy. Urowadzona jako dziesięcioletnia dziewczynka, w niewoli Priklopila przebywała osiem i pół roku. Jak zeznała na policji i napisała w swojej autobiografii, większość tego czasu spędzała ukryta w piwnicy porywacza. Tymczasem z nowych ustaleń wynika, że jej oprawca często wypuszczał ją do ogrodu, co jakiś czas zabierał na krótkie wyjazdy po zakupy, a nawet weekendy czy wakacje. Nieoficjalnie mówi się, że austriacka policja namierzyła przynajmniej kilka osób, które regularnie widywały bawiącą się lub pracującą w ogrodzie Nataszę.

Gdy znany moderator telewizji ARD, Reinhold Beckmann spytał ją w swym talk-show o „wycieczkę na narty” z Priklopilem, zareagowała chłodno: „W ten sam sposób nazywał to sprawca... To nie była wycieczka, lecz jedno z wielu zdarzeń z pasma udreki. Zresztą gdy w czasie tej wyprawy w toalecie poprosiłam holenderską turystkę o pomoc, ta z uśmiechem obróciła się na pięcie i wyszła, mijając czekającego za drzwiami Priklopila”.

W swojej książce Natascha nazywa Priklopila „przestępcą”, ale po tym, jak mężczyzna popełnił samobójstwo, z płaczem rzuciła się na jego trumnę. Nie chciała rozstać się z jego zdjęciem, kupiła też jego dom i samochód jako elementy łączące ją z przeszłością.

Sama Natascha twierdzi też, że pod koniec lutego lub na począt-

ku marca 2006 roku ona i Priklopil zostali zatrzymani przez patrol policyjny. Dziewczyna zapewnia, że usiłowała nawiązać kontakt wzrokowy z funkcjonariuszem policji, lecz on nie zareagował. Funkcjonariusz przedstawia inną wersję zdarzeń: „Natascha postanowiła siedzieć cicho. To był jej wybór. Podejmując taką decyzję, postanowiła zostać z porywaczem. Dla mnie wszystko jest jasne”.

Wiedeńskie media prześcigają się w spekulacjach, jakoby dziewczynka wcale nie została uprowadzona. Jej matka, której Priklopil był ponoć dobrym kolegą, miała zlecić mu porwanie z powodu ustawicznych kłopotów wychowawczych z dzieckiem. Nie brakuje także pogłosek, jakoby Natascha miała utrzymywać ze swoim oprawcą stosunki seksualne i urodzić mu dziecko. Pisał o tym w grudniu 2011 roku brytyjski „Daily Mail”. Zdaniem śledczych wskazują na to między innymi poradniki o ciąży i wychowywaniu dzieci, znalezione w podziemnym pokoju dziewczyny. Sama Kampusch miała również tuż po swoim uwolnieniu zapytać policyjnego lekarza o to „jak długo po ciąży można sprawdzić, że ktoś był w ciąży”.

Policja, politycy i przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości uważają, że w chwili uprowadzenia Nataschy Priklopilowi ktoś pomagał, choć ofiara zawsze temu zaprzeczała. Twierdzą też, że tym człowiekiem był prawdopodobnie współnik porywacza w interesach, Ernst Holzapfel, mieszkający obecnie w Niemczech, w miejscowości Mistelbach. Dwunastoletnia wówczas Ishtar Akcan, świadek porwania, zeznała jasno: „Wiem, że było tam dwóch mężczyzn. Drugi z nich przez cały czas siedział w samochodzie, na miejscu kierowcy. Oni też mnie widzieli. Wiedzieli, że mieli świadka. Przez te wszystkie lata, zanim Natascha się odnalazła, bałam się, że po mnie wróca”.

W 2008 roku komisja powołana przez szefową austriackiego resortu sprawiedliwości, Marię Berger, stwierdziła wyraźnie, że policja z niewiadomych przyczyn nie poszła śladem zeznań dziewczynki. Zasugerowano wyraźnie, że być może Natascha stała się ofiarą całej siatki pedofilów, a nie jednego samotnego zbrojnika.

Austriacki śledczy, Franz Kroll nie brał udziału w początkowej fazie śledztwa, został w nie zaangażowany dopiero w lutym, kiedy wspomniana komisja rozpoczęła działalność. Kroll badał między innymi związki, jakie łączyły Wenera Pleischla, szefa wiedeńskiej Prokuratury Generalnej, z zespołem prawników reprezentującym finansowe interesy Nataschy i odkrył wiele nieścisłości. Wyglądało na to, że robi w śledztwie postępy, lecz nagle wszystko się skończyło. W czerwcu 2010 roku znaleziono go w jego mieszkaniu w Grazu. Martwego, z pojedynczą raną postrzałową głowy. Obok niego na podłodze leżała jego służbowa broń. Brat Krolla, Karl, uważa, że został on zamordowany z powodu dochodzenia, które prowadził. „Mój brat wyznał mi, że natrafił na trop czegoś poważnego, lecz kilka dni później już nie żył – mówi. – Jestem przekonany, że ktoś postanowił go zlikwidować, bo za dużo wiedział”.

Dziewczyna spędziła osiem i pół roku tylko w towarzystwie porywacza. Osiem i pół roku w bunkrze o powierzchni trzy na cztery metry i wysokości prawie półtora metra. By uczynić życie łatwiejszym, zaczęła traktować Priklopila jak osobę bliską. Czy była dla niego cały czas ofiarą? A może stała się już kochanką? To i inne niedomówienia badają dziennikarze. A robią to poprzez przeprowadzanie wywiadów z różnymi ludźmi – począwszy od rodziców dziewczyny, aż do przyjaciół Priklopila. Każde z nich opowiada o swoim stosunku do sprawy, opisuje swoje podejrzenia, wspomnienia. Wypowiadają się również psychologowie, dawni nauczyciele. Wszyscy starają się, łącząc swoje myśli, zrozumieć to, co się stało.

Zrozumieć jest jednak niesamowicie trudno. Bo dlaczego Natascha, zamiast poznać prawdziwe życie, wchodzi w świat mediów? Nie jest łatwo osądzić jej zachowania. Społeczeństwo austriackie podzieliło się. Z jednej strony wszyscy obwiniają Priklopila. Z drugiej – zaczyna się nagonka na Nataschę. Im głębiej się wchodzi w tę sprawę, tym trudniej o sprawiedliwy osąd. Bo Natascha jest niewątpliwie ofiarą. Ale sama twierdzi, że to ona miała przewagę nad Wolfgangiem. To ona zaczęła narzucać zasady gry. I ona płakała na wieść o śmierci swojego oprawcy...

Bohaterka tej historii bynajmniej nie była zachwycona wznowieniem śledztwa.

„Oczekujemy, że komisja wytyczy granicę pomiędzy potrzebą chronienia ofiary i sferą interesu publicznego” – powiedział jej rzecznik. Sąd przyznał Nataschy w charakterze odszkodowania prawo własności do domu, w którym była przetrzymywana, oraz czerwonego BMW jej porywacza. Podobno spędza w wartym 200 000 dolarów domu większość weekendów... Nie jest jeszcze zdecydowana, co z nim zrobi.

„Cieszę się, że mam nad nim kontrolę, dzięki temu dom nie stanie się celem pielgrzymek turystów. Jeżeli go sprzedam, to na pewno najpierw każe zamurować schron” – powiedziała w jednym z wywiadów.

Jej autobiografia – *3096 dni*, napisana przy pomocy dwóch *ghost writerek*, wyszła już w dziesięciu krajach. Jak mówi główna autorka: „Tą opowieścią chcę wyrzucić z siebie całą historię, a za dochód zbudować normalne życie”.

Natascha jak nikt inny przekonała się, że otoczenie pełne jest wariatów, którzy wyglądają jak inni, ale żyją we własnym, chorym świecie. Jest odważna; wie, że współczucie dla ofiary często zamienia się w niezdrową ciekawość, czasem złość. Zaznacza: „Ludzie chcieli zobaczyć we mnie załamane go człowieka, który nigdy już się nie podniesie. Zawsze będzie skazany na pomoc innych. To jest rola, którą odrzuciłam i której nie wezmę na siebie także w przyszłości”.

Po ucieczce ludzie zasypywali ją listami. Po latach niewolnictwa u chorego psychicznie dewianta dostawała od zwykłych austriackich obywateli oferty pracy. Miała im usługiwać za darmo, za wikt i opierunek, bo przecież „jest do tego przyzwyczajona”. Uważali po prostu, że po porwaniu do niczego innego już się nie nadaje.

Dzisiaj nie zgadza się na to, żeby o porwaniu mówiono jako o „sprawie Kampusch”. Uważa, że to „sprawa Priklopila”, ale porywacz zginął, więc nikt już się nim nie interesuje. A przecież odpowiedź na pytanie, jak i dlaczego człowiek staje się porywaczem,

może wpłynąć na powstrzymanie takich osób, jak potwór z Amstetten, Jozef Fritzl, który więził córkę w lochu pod domem, czy Belg Marc Dutroux, w którego domu znaleziono kryjówkę z ciałami czterech dziewczynek. Albo Wolfgang Priklopil ze Strasshof pod Wiedniem.

W 2008 roku oskarżyła śledczych i kryminologów o karygodne niedopatrzenia i zaniedbania w jej sprawie, żądając odszkodowania i zarzucając mundurowym, że kilka tygodni po jej zniknięciu zakończyli poszukiwania i zamknęli sprawę, zakładając, że ją zamordowano. Wiedeńska prokuratura odrzuciła pozew. W uzasadnieniu, z którym zapoznał dziennikarzy adwokat uprowadzonej, Gerald Ganzger, stwierdzono, że „policja nie popełniła błędów podczas prowadzenia śledztwa”. Między innymi dlatego właśnie komisja parlamentarna domaga się teraz nowego, kompleksowego dochodzenia, które ostatecznie wyjaśniłoby jedną z najbardziej mrocznych spraw kryminalnych Austrii.

Mimo że od heroicznej ucieczki z willi potwora minęło już ponad sześć lat, to historia Nataschy i Wolfganga wciąż kryje wiele niejasności. Wydaje się więc, że medialna sensacja wokół tej sprawy długo jeszcze nie ucichnie. Pozostało wiele niewyjaśnionych kwestii tej sprawy, które przedstawić może tylko porwana. Jednak Natascha nie chce mówić o wszystkim. Zabroniła nawet fotografowania swojej celi, twierdząc, że to był jej pokój i podkreślając, że urządziła go wspólnie z porywaczem. Już teraz wiadomo, że wiele pytań pozostanie bez odpowiedzi, nawet po wyjaśnieniach Nataschy. A ona będzie chciała jak najszybciej zapomnieć o minionych latach, zdać maturę, iść na studia, po prostu nadrobić stracony czas.

Dzisiaj mieszka sama, prawie nie widuje matki i ojca. Świat, z którego ją wyrwano i do którego tak tęskniła, przytłoczył ją. Ale trzeba jej wierzyć, gdy pisze: „Powoli i ostrożnie, krok po kroku uczę się, jak znowu zaufać”.



**GESUCHT**



**NATASCHA KAMPUSCH**

Jeanskleid, roter Anorak, schwarze Halbschuhe,  
türkis-grün-blauer Schultasche

AP



Porwana w 1988 r. Natascha Kampusch przez osiem lat była przetrzymywana przez Wolfganga Priklopila.



# Śmierć za 300 tysięcy euro.

## KRZYSZTOF OLEWNIK

(2001)

Przyjęcie skończyło się późną nocą, z dwudziestego szóstego na dwudziesty siódmy października. Odbywało się w okazałej willi w Świerczynku, na przedmieściach Drobin. Drobin to małe miasteczko w województwie mazowieckim, w powiecie płońskim. Trzy tysiące mieszkańców, prostokątny rynek z zapuszczonymi kamieniczkami, późnogotycki kościół. Kilka sklepów, parę zakładów rzemieślniczych. I zapchana szosa łącząca Warszawę z Toruniem, miasto jest bowiem ważnym węzłem drogowym – rozchodzą się tu drogi do Warszawy, Torunia, Płocka, Ciechanowa i Baboszewa. W mieście takim jak Drobin rączka rączkę myje. – Tu zawsze rządziła sitwa. Kto nie był w układzie, ten się nie liczył – mówią jego mieszkańcy.

Ojciec Krzysztofa, organizatora imprezy, Włodzimierz Olewnik, właściciel dwóch ubojni i zakładów mięsnych, zaprosił do domu syna kilku oficerów policji z Płocka, celem załagodzenia drobnego sporu z funkcjonariuszami drogówki.

Było bardzo sympatycznie. Pito głównie wódkę czystą, bo kolorowa plami podobno mundur. Zakąszano kiełbaskami z grilla i wędlinami z zakładów pana Włodzimierza. Na koniec dwudziestopięcioletni Krzysztof, który jako jedyny nie wypił tego wieczoru ani kropli, odwiózł gości do domów swoim srebrnym chryslerem voyagerem. Do siebie wrócił już po północy. Był chłodny, jesienny wieczór. Zaparkował auto na podwórku, wszedł do domu, wyciągnął z lodówki zimne piwo i ułożywszy się wygodnie na skórzanej kana-

pie, włączył telewizor.

Minęło wpół do pierwszej w nocy. Porywacze od kilku godzin siedzieli ukryci w pobliskim polu kukurydzy, obserwując dom. Kiedy pojawił się gospodarz, naciągnęli na głowy kominiarki i założyli rękawiczki. Odczekawszy jeszcze chwilę, mszyli do akcji. Na czele szedł „Gruby”, czyli Wojciech Franiewski, uzbrojony w pistolet maszynowy typu „Skorpion”. Kilka miesięcy wcześniej, w czerwcu 2001 roku został warunkowo zwolniony z Zakładu Karnego w Płocku, gdzie odsiadywał wieloletni wyrok za kradzieże i rozboje. Został zwolniony mimo negatywnej opinii komisji penitencjarnej, dwóch wcześniejszych ucieczek i „niepowrotu” z przepustki. Co ciekawe, wbrew negatywnej opinii wychowawców, „Gruby” cieszył się u sędziów penitencjarnych wyjątkowymi przywilejami. Tylko w ciągu półtora roku, od grudnia 1999 do czerwca 2001 roku, otrzymywał przepustki aż 37 razy!

„Analizując ilość ucieczek z więzień, ilość przepustek i wyjątkowe zabiegi związane z jego przedterminowym wyjściem na wolność, nie sposób dojść do wniosku, że Franiewski miał sojuszników wśród ludzi pracujących w wymiarze sprawiedliwości – napisał Robert Socha, autor książki *Nie chodziło o okup. Kulisy porwania Krzysztofa Olewnika* (Nowy Świat, Warszawa 2010). – Komuś bardzo zależało, aby często wychodził na przepustki oraz aby w końcu wyszedł na wolność. Wszystko to świadczy, jak po latach napisze biegły z zakresu więziennictwa w opinii sporządzonej dla sejmowej komisji śledczej, o tym, że »Franiewski zaciągnął w świecie przestępczym swoisty dług, który prędzej czy później musiał spłacić«. Czy tym długiem, przysługą, było porwanie Krzysztofa Olewnika? Czy była to forma odpłaty Franiewskiego ludziom, którzy przez cały czas roztaczali nad nim parasol ochronny i dbali o to, aby w miarę komfortowo mu się siedziało w więzieniu i żeby nadzwyczaj często wychodził na przepustki? Kim byli ci ludzie?».

Kim byli? Jeszcze za czasów PRL, kiedy zdobycie paszportu graniczyło dla przeciętnego człowieka z cudem, Franiewski swobodnie poruszał się po Europie, zarówno wschodniej, jak i zachodniej.

Zastanawiającym jest fakt, że kwiat rodzimej przestępczości zorganizowanej wywodzi się z dawnego środowiska cinkciarskiego, a jak powszechnie wiadomo, co drugi – delikatnie mówiąc – cinkciarz pozostawał na usługach milicji, Służby Bezpieczeństwa, bądź – o czym pisze się mało i niechętnie – Wojskowej Służby Wewnętrznej i Zarządu II Sztabu Generalnego WP, przekształconych w roku 1991 w Wojskowe Służby Informacyjne.

Na przykład trzon tak zwanej „mafii pruszkowskiej” stanowili również byli cinkciarze, dawna „ubecka” agentura. Na początku lat dziewięćdziesiątych byli specjalnie chronieni za obietnicę składania donosów na konkurencję, a szczególnie na bandytów przybywających zza wschodniej granicy. „Pruszków” umiejętnie korzystał z uprzywilejowanego statusu, podzucając co pewien czas policji informacje o nielegalnych rozlewniach alkoholu (w tym czasie banda zarabiała krocie na przemyśle i fałszowaniu wódki).

W czasach PRL cinkciarze, włamywacze i złodzieje dużego kalibru mieli swoich „opiekunów” w SB, którzy na polecenie przełożonych utrzymywali kontakty z informatorami ze świata przestępczego. Ale nie kończyło się tylko na informacjach. Funkcjonariusze bezpieki pobierali od podopiecznych opłaty, dzięki którym przestępcy mogli uprawiać swój proceder. W nowej rzeczywistości ci ludzie nie mieli żadnych szans na pracę w policji, dlatego też przeszli na drugą stronę. To właśnie dzięki protektorom z SB gangi urosły w siłę – byli funkcjonariusze wiedzieli, jak pokierować wielkimi interesami, zapewnili ochronę oraz kontakty wśród „starych” znajomych, którzy nagle stali się osobami z pierwszych stron gazet, piastującymi wysokie stanowiska.

Kiedy kilka lat później, już po aresztowaniu Franiewskiego, prokuratorzy wystąpili do Instytutu Pamięci Narodowej o udostępnienie jego dokumentacji paszportowej, otrzymali odpowiedź, że w archiwach 1PN istnieje wprawdzie adnotacja o przejściu jej do zbiorów, ale samej dokumentacji nie ma. Trudno, aby w tym miejscu nie nasunął się wniosek, że została ona celowo „zgubiona”, zniszczona, bądź ukryta, aby z jakiegoś powodu chronić przeszłość prze-

stępcy, ponieważ sam Franiewski był dla kogoś osobą bardzo cenną, która oddała jakieś bliżej nieokreślone „przysługi”.

Wróćmy jednak do nocy z dwudziestego szóstego na dwudziesty siódmy października 2001 roku. Za Franiewskim podążało trzech jego podkomendnych; „Żaba”, „Rudy” i „Benek”. Prowadząca na posesję brama była otwarta, nie musieli więc forsować płotu. Minęli basen i saunę. Prowadzące z tylnego tarasu oszklone drzwi do salonu, w którym Krzysztof oglądał telewizję, były również otwarte.

– Policja! – zawołał Franiewski, wpadając do środka.

Kompletnie zaskoczony Krzysztof Olewnik nie stawiał oporu. Zresztą gdyby nawet chciał stawiać, niewiele by mu to pomogło. Uderzony kilkakrotnie „Skorpionem” w głowę padł na dywan, zalewając się krwią. Jej ślady na ścianach, dywanie i kanapie, odkryte następnego dnia przez ekipę śledczą, wyglądały tak nierealnie, że jako jedną z wersji przyjęto upozorowanie porwania. Zgodnie z logiką myślenia śledczych, Krzysztof miał jakoby sfignować wszystko w celu wyciągnięcia od ojca pieniędzy. Zmieniające się później ekipy wciąż trzymały się tej właśnie wersji wydarzeń.

Powszechnie wiadomo, że najważniejsze w prowadzonym śledztwie są zawsze pierwsze godziny po dokonaniu czy ujawnieniu przestępstwa. Później giną dowody, zacierają się ślady, świadkowie tracą pamięć, wypala się również energia śledczych. Te właśnie godziny zostały bezpowrotnie stracone przez bandę niekompetentnych matołów dokonujących zabezpieczenia śladów i prowadzących wstępne czynności. Jak się później miało okazać, nie tylko godziny, ale także dni, tygodnie, miesiące, a nawet... lata.

Tymczasem jednak bandyci skuli swoją ofiarę kajdankami i przystąpili do plądrowania domu. Krzysztof wykorzystał ten moment, doczołgał się do telefonu i wybrał numer rodziców. W domu państwa Ewy i Włodzimierza Olewników zabrzczał dzwonek, ale wszyscy już spali i nikt nie zwrócił na ten fakt uwagi. Chwilę później umilkł, gdyż Franiewski wyrwał ze ściany kabel i po raz kolejny zdzielił młodego mężczyznę kolbą pistoletu po głowie.

Jeszcze raz Krzysztofowi udało się zmylić czujność napastników. Skacząc na skutych nogach, wydostał się przed dom i zaczął wołać o pomoc. Usłyszał go jedynie... kolejny bandzior, stojący na czatach. Rezultatem tego były następne uderzenia „Skorpionem” po głowie.

Na polecenie Franiewskiego „Benek” uruchomił zaparkowanego w kukurydzy poloneza. Jadąc na wszelki wypadek bez świateł, nie trafił w bramę i wpadł do rowu, urywając tłumik. W tej sytuacji przywódca bandziorów uruchomił stojące przed domem bmw, podczepił linkę holowniczą do poloneza i wyciągnął go z rowu. Związane i zakrwawione Olewnika porywacze rzucili na podłogę za przednie fotele bmw i odjechali. Chwilę później nad Świerczynkiem znów zapadła cicha noc. Niebo na wschodzie przypominało chorobliwą żółć rozlaną na czarnej przestrzeni, nieco wyżej unosiła się poświata nocnego miasta, nieruchoma i pozbawiona sensu. Powietrze było chłodne, jakby ostatnie westchnienie nocy nadal otulało ziemię. Okoliczne drzewa, które dotąd były jedynie ciemnymi cieniami w pomarańczowej poświacie księżyca, zaczynały nabierać formy i koloru w miarę, jak noc ustępowała dniowi.

\*

Osobą, która jako pierwsza po opisanych wyżej wypadkach weszła do domu Krzysztofa Olewnika, był jego przyjaciel, Jacek Krupiński. Nastął mglisty, sobotni poranek 27 października 2001 roku. Wszedłszy do salonu, zauważył ślady odbytej tu niedawno walki – pozrywane firanki, porozrzucane ubrania, plamy krwi. Krzysztofa nigdzie nie było. Zaniepokojony sięgnął po komórkę i wykręcił numer Włodzimierza Olewnika.

– Panie Włodzimierzu, jestem w domu Krzyśka – powiedział nieco drżącym głosem. – Tu... tu chyba stało się coś złego.

Ojciec porwanego zjawiał się po kilku minutach. Godzinę później na miejscu była już ekipa z Wydziału Kryminalnego Komendy Miejskiej Policji w Płocku. Naczelnik tego wydziału bawił ostatniej

nocy na alkoholowej imprezie w domu Krzysztofa Olewnika. Przy czynnościach obecny był także Wojciech Kęsicki, były komendant komisariatu w Drobinie, a w opisywanym czasie pracownik Wydziału Postępowań Administracyjnych płockiej KMP, kolejny uczestnik wczorajszej libacji. Tak oto ważni świadkowie (a może nawet podejrzani?) zajęli się wyjaśnianiem sprawy. Prowadzący w późniejszym czasie śledztwo inni policjanci odtwarzali przebieg imprezy jeszcze dwa miesiące po porwaniu, bo ich przesłuchiwni koledzy wciąż zmieniali zeznania na temat celu i organizatora spotkania.

W sporządzonej później na potrzeby śledztwa przez biegłych psychologów opinii, opartej na analizie zachowań porywaczy i używanego przez nich słownictwa, którym porozumiewali się z rodziną, znalazło się sformułowanie, że „wśród zamachowców są osoby, które pracują lub pracowały w wymiarze sprawiedliwości lub w policji”...

Wśród policjantów prowadzących śledztwo porywacze niewątpliwie mieli współpracowników, a co najmniej informatorów. Uzyskane wiadomości wykorzystywali później na przykład do zastraszania świadków. Bandyci usiłowali zastraszyć między innymi Iwonę K., która rozpoznała jednego z członków bandy. Któregoś wieczoru została zaatakowana pod własnym domem przez dwóch nieznanym mężczyznom. Iwonie K. udało się uciec i schronić w mieszkaniu tylko dlatego, że ścigający ją napastnik poślizgnął się i upadł na ziemię. Rysopis mężczyzny pasował do Wojciecha Franińskiego. Podczas śledztwa nie zbadano dokładnie tych wydarzeń.

Z ramienia Prokuratury Rejonowej w Sierpcu prowadzone czynności nadzorował Leszek Wawrzyniak. Nigdy wcześniej w swojej pracy nie zetknął się z porwaniem dla okupu, a wszystko od samego początku wskazywało, że z takim właśnie przestępstwem mamy do czynienia. Nie bardzo podobało mu się wprowadzić, że sprawą zajmują się te same osoby, które uczestniczyły w przyjęciu w domu Olewnika, ale zabrakło mu odwagi, żeby zmienić ten stan rzeczy.

Mógł zostać bohaterem, ale wyszło na odwrót.

Spalony wrak bmw znaleziono wkrótce na polu koło Głowna pod Łodzią; zawiadomił o tym maszynista przejeżdżającego obok pociągu. W pobliżu spalonego wraku policjanci odkryli ślady kół innego auta, nikt jednak nie zadbał o to, by je zabezpieczyć, wykonać odlewy czy fotografie!

Porywacze odezwali się po dwóch dniach. Zadzwonili do domu Krzysztofa krótko po północy, w poniedziałek 29 października. Telefon odebrał mąż najstarszej siostry porwanego.

– Cześć, to ja, Krzysiek – rozległ się głos w słuchawce. – Zostałem porwany dla okupu. Chcą trzysta tysięcy dolarów. Powiedzieli, że jak nie dostaną pieniędzy, to nawet w trumnie mnie nie zobaczysz (...) Jestem trochę potłuczony, na samym początku mnie zbili, ale teraz czuję się już w miarę dobrze. Oni nie chcą mnie zabić, chodzi tylko kasę, chociaż nie jestem pewien...

Szwagier próbował podjąć dyskusję z Krzysztofem, ale szybko zorientował się, że słyszy tylko nagranie jego głosu.

Tego samego dnia sprawę przejęła Komenda Mazowiecka Policji w Radomiu i Wydział Śledczy Prokuratury Okręgowej w Warszawie. Komendant Wojewódzki z Radomia polecił swemu zastępcy, inspektorowi Maciejowi Książkiewiczowi, odpowiadającemu za pracę całego pionu operacyjno-śledczego, aby ten osobiście się nią zajął<sup>[23]</sup>. Książkiewicz powołał więc specjalny zespół, na czele którego postawił Remigiusza Mindę, ówczesnego zastępcę naczelnika pionu kryminalnego. Prowadzący sprawę funkcjonariusze cieszyli się podobno opinią najlepszych specjalistów od przestępczości zorganizowanej. Ciekawe, kto im takową opinię wystawiał? A może należałoby raczej zapytać w tym miejscu, skoro wspomniani funkcjonariusze uważani byli za najlepszych, to czego w razie – nie daj Boże – jakichś kłopotów, moglibyśmy się spodziewać od tych gorszych? W każdym razie, dziś już wiemy to z całą pewnością, prowa-

23 Podczas stanu wojennego Maciej Książkiewicz stał na czele oddziału pacyfikującego strajk w ówczesnych Mazowieckich Zakładach Rafineryjnych i Petrochemicznych, poprzedniku obecnego „Orlenu”.

dzący śledztwo brnęli z jednego ślepego zaułka w drugi, lekceważyli sygnały, zacierali dowody i paprali co tylko dało się sparać.

„Gdybym panu powiedział, co się w tej sprawie działo, toby panu włosy na głowie stanęły” – wyznał później autorowi książki *Nie chodziło o okup*, Robertowi Sosze, Remigiusz Minda.

Nie wyjaśnił jednak bliżej, co dokładnie miał na myśli, wypowiadając te słowa. Podkreślił tylko, że wszystkie sprawy porwań, które do tej pory prowadził, zakończyły się sukcesem. Jedynie w sprawie Olewnika „mu nie wyszło”.

\*

Ucieszony Włodzimierz Olewnik sądził, że sprawa zmierza ku szczęśliwemu finałowi. Płaci okup i chłopak wraca. Oczywiście policja spróbuje dorwać sprawców, ale to już później. W tej chwili najważniejsze jest życie jego syna.

Wkrótce okazało się, jak bardzo się mylił. To było zaledwie preludium do koszmaru, który ciągnął się przez lata, znajdując w końcu swój tragiczny finał.

„Człowiek cały czas czekał na sygnał – opowiadał Robertowi Sosze. – Sądziliśmy, że może Krzysiowi uda się uciec, liczyliśmy na jakiś błąd porywaczy. Przez ponad rok spałem w ubraniu. Musiałem być czujny. Może będzie jakiś telefon i ja muszę natychmiast ruszać, jechać, nie tracić czasu na ubieranie. Ciągłe życie w napięciu. Rano się tylko przebierałem, zmieniałem koszulę, goliłem się”.

Pan Włodzimierz chciał mieć pewność, że sprawą porwania jego syna zajmą się najlepsi z najlepszych. Pieniądze nie grały roli. Był najbogatszym mieszkańcem i największym pracodawcą w okolicy. Jego zakłady mięsne produkowały na cały kraj i na eksport. Sama flota samochodów firmy liczyła przeszło pięćdziesiąt ciężarówek. W całej gminie Drobin nie było rodziny, w której ktoś nie pracowałby u Olewnika. Wszystko, co ma, osiągnął własną pracą.

Za takiego najlepszego z najlepszych uznał popularnego głównie dzięki telewizji detektyw Krzysztofa Rutkowskiego. Wkrótce sam



„telewizyjny detektyw” i jego ludzie zjawili się w domu Olewnika. Na telefonach rodziny zamontowali sprzęt nagrywający, czekając na następny ruch porywaczy. Ci w najbliższych dniach dzwonili wielokrotnie, wysyłali też esemesy, potem listy. Strofowali rodzinę za opieszałość w zbieraniu pieniędzy, grozili śmiercią Krzysztofa, przestrzegali przed współpracą z policją.

Rodzina domagała się bezpośredniej rozmowy z porwanym, a po odmownej odpowiedzi gangsterów – „dowodu życia”. Chodziło o pytania, na które odpowiedź znana jest tylko Krzysztofowi: „Jaki prezent przywieźliśmy tacie z wakacji we Włoszech?”, „Kto wykonał meble do kuchni Leszka?”, itp. Krzysztof odpowiadał na tego rodzaju pytania w każdym kolejnym nagraniu przekazywanym jego bliskim. Czasami czytał fragment jakiejś aktualnej gazety.

Policja i prokuratura były wciąż bezradne. Nie miały dowodów, nie miały najmniejszych poszlak, nie miały w ogóle pomysłu na to śledztwo. Wśród przesłuchiwanym osób znalazł się między innymi Robert Pazik, ksywa „Pedro”, lokalny rzezimieszek. Zebrane operacyjnie wiadomości wskazywały, że może on być zamieszany w porwanie. Pazik oświadczył, że noc, w którą porwano Krzysztofa Olewnika, spędził w barze, potem wrócił do domu. Trudno w to uwierzyć, ale nikt nie zadał sobie trudu sprawdzenia wiarygodności jego zeznań. Nikt nie analizował również na bieżąco billingów i połączeń telefonicznych. A bandyci w tym czasie wciąż prowadzili negocjacje z rodziną, dzwonili, esemesowali...

Kilka lat później, konkretnie w roku 2008 Robert Pazik stanął przed sądem jako jeden ze współoskarżonych o udział w grupie przestępczej, która porwała i zamordowała Krzysztofa Olewnika.

Dwa tygodnie po porwaniu, 13 listopada, ustalono, że telefon na kartę, z którego po raz pierwszy porywacze zadzwonili do rodziny Olewników, został zakupiony w supermarkecie „Auchan” w Warszawie przy ulicy Modlińskiej, 28 października. Sprzedawczyni, Urszula F., dobrze zapamiętała kupującego, który był bardzo podobny do jednego ze znanych polskich piosenkarzy. Nabył najdroższy telefon marki „Nokia 3310”. Zapłacił 682 złote, chociaż propo-

nowała mu ten sam aparat za złotówkę, w ramach promocji. No ale wtedy trzeba byłoby podać swoje dane. Mężczyznę zarejestrowały również kamery sklepowego monitoringu, niestety, nie było wyraźnie widać twarzy. Kasetę z nagraniem jeden z policjantów zamknął głęboko na dnie pancерnej szafy. Światło dzienne ujrzała dopiero w 2005 roku... A był na niej sam domniemany szef gangu porywaczy, Wojciech Franiewski.

Mimo że porywacze kontaktowali się kilkadziesiąt razy z rodziną, policjanci ani razu nie sprawdzili, z jakiego numeru dzwoniono.

Zabezpieczający ślady w domu porwanego znaleźli na kanapie włos. Nie można powiedzieć, nie wyrzucili go do śmietnika. Zgodnie z zasadami sztuki, włączyli do akt sprawy, nie przekazali jednak do dalszych badań. Jak okazało się później, dużo później, był to włos jednego ze zbrodniarzy.

Prowadzący postępowanie prokurator wyraźnie sugerował, że sam Krzysztof, być może nawet przy udziale rodziny, sfingował porwanie, żeby zgarnąć pieniądze z polisy na życie.

– Zbliżają się wakacje, więc pewnie wkrótce Krzysiu wróci... – powiedział kiedyś obłudnie do siostry uprowadzonego, Danuty Ciepłińskiej.

Włączył ją nawet do kręgu podejrzanych. Ów wybitny przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości stwierdził mianowicie, iż pani Danuta już po porwaniu utrzymywała kontakt z zaginionym bratem. Włodzimierz ani na chwilę nie zwątpił w lojalność swoich dzieci. Zaczął domagać się dowodów. Prokurator wycofał się z oskarżeń. Przyznał, że popełniono omyłkę.

– To nie był zwykły błąd, lecz celowa manipulacja, aby śledztwo pokierować nie przeciw sprawcom, ale naszej rodzinie – ocenia dziś Włodzimierz Olewnik. – Ta prowokacja bardzo nas zjednoczyła.

Minęły jednak upalne wakacje 2002 roku, a Krzysztof Olewnik ciągle nie wracał do domu. Jesienią, w wyniku nacisków rodziny i jej prawników, sprawa została odebrana prokuratorowi Wawrzyńskowi i przeniesiona do Prokuratury Okręgowej w Warszawie,

gdzie zajęła się nią pani prokurator Elżbieta Gielo, jedyny chyba do tej pory człowiek, któremu chciało się odnaleźć sprawców, a przede wszystkim samego Krzysztofa.

Pani prokurator energicznie zabrała się do pracy. Przede wszystkim stwierdziła, że „umaczana” osobiście w sprawę ekipa z Radomia w żaden sposób nie gwarantuje rzetelności prowadzonego śledztwa. Już w grudniu 2002 roku o przejęcie sprawy poprosiła warszawskich policjantów z Wydziału Terroru Kryminalnego. Spotkała się z odmową. Zdażyła jeszcze odwołać się do komendanta stołecznego, a nawet do ówczesnego komendanta głównego, generała inspektora Antoniego Kowalczyka, lecz nie doczekała się odpowiedzi.

Zamierzała również zająć się analizą połączeń z telefonów, z których korzystali porywacze, kontaktując się z rodziną, co od samego początku uczynić powinien był każdy mający odrobinę oleju w głowie śledczy. Chciała ustalić, czy z danych numerów nie dokonywano innych połączeń i tym samym dojść po nitce do kłębka. Rzeczywiście, jak się potem okazało, przestępcy używali telefonów i kart telefonicznych nie tylko do kontaktów z rodziną Olewników. Dzwonili także w inne miejsca, co w końcu doprowadziło do ich wykrycia. Ale to nastąpiło dużo, dużo później, kiedy Krzysztofa Olewnika dawno już nie było wśród żywych.

Pani prokurator Gięto zamierzała to zrobić, ale nie zrobiła, ponieważ... niespodziewanie została awansowana. Jej szefowie zdecydowali przy tym, że absolutnie nie może zabrać ze sobą żadnej z prowadzonych dotychczas spraw.

Nie zdażyła również zweryfikować anonimowego listu, który dotarł do rodziny w połowie stycznia 2003 roku:

„Panie Olewnik, nie chcę śmierci Krzyśka a wiem że grozi mu niebezpieczeństwo. Dotarła do moich uszu wiadomość że porywacze chcą go zabić, jeżeli pan może w jakiś sposób znaleźć Piotrowskiego boksera on jest kluczem do zagatki. Słyszałem że ukrywa się koło Nowego Dworu i pilnuje Krzyśka kontaktuje się z nim Pazik, bywa też w Drobinie”.

Ci, którzy prowadzili śledztwo później, nie zainteresowali się bliżej ani tym listem, ani wymienionymi w nim osobami, wspomnianym już wcześniej Robertem Pazikiem, ksywa „Pedro”, ani poszukiwanym przez policję Ireneuszem Piotrowskim, pseudonim „Bokser”. Gdyby się zainteresowali, z pewnością trafiliby do pewnego domku letniskowego w Kałuszynie, niedaleko Nowego Dworu Mazowieckiego, w piwnicy którego leżał przykuty do ściany łańcuchem Krzysztof Olewnik, daremnie oczekując pomocy, która ciągle nie nadchodziła. Przetrzymany był w nieludzkich warunkach, bity i zmuszany do przyjmowania leków psychotropowych. Dzień i noc pilnował go ów „Bokser”, a Pazik zaglądał tam bardzo często.

Krzysztof był przykuty do ściany dwoma łańcuchami, takimi, jakich zwykle używa się do pasania krów. Na szyję założoną miał połączoną z łańcuchem metalową obrożę. Drugą, taką samą, na nodze, na wysokości kostki. Oba łańcuchy miały po dwa metry długości i były przytwierdzone do ściany za pomocą metalowych prętów w kształcie litery „U”. Gwintowane końcówki prętów wychodziły przez przewierconą ścianę do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie na oba końce założono metalową sztabę, którą mocno dokręcono śrubami.

Leżał na materacu, do dyspozycji miał radio i małą lampkę. Piwnica, podobnie jak cały dom, nie była ogrzewana. Ciepło zapewniała jedynie niewielka „farelka”. Potrzeby fizjologiczne załatwiał do plastikowego wiaderka stojącego obok materaca. Przez całe miesiące nie był strzyżony, miał długą brodę i przeraźliwie cuchnął.

W rogu piwnicy Franiewski zamontował kamerę. Obraz z niej transmitowany był do salonu na górze, gdzie pilnujący mogli śledzić każdy ruch wprowadzonego.

– Od samego początku dostawaliśmy anonimy, że Pazik i Piotrowski mogą mieć z tym coś wspólnego – stwierdził później załamany Włodzimierz Olewnik. – Mówiliśmy, że to muszą być oni! A policja nic nie robiła, tylko rozkładała ręce.

\*

Wydrwigrosze zlatywali się jak sępy. Pod pozorem pomocy rodzinie w poszukiwaniach, usiłowali uszczknąć dla siebie „parę złotych”. Bez najmniejszych skrupułów wykorzystywali jej rozpacz i przymusową sytuację.

Najpierw ujawnił się niejaki „Gruby”, Andrzej K., gangster z Pomorza, który wystawiał Rutkowskiemu skradzione luksusowe auta. Wysłana przez detektywa ekipa jechała we wskazane miejsce, gdzie rzeczywiście odnajdywała pojazd, kasując przy okazji sowite honorarium za odnalezienie. Skąd Andrzej K. miał taką wiedzę i dlaczego uważał za stosowne dzielić się nią z Rutkowskim, nie wymaga chyba wyjaśnień, przynajmniej dla przeciętnie inteligentnego czytelnika.

„Gruby” pojawił się na stacji benzynowej pod Drobinem, gdzie spotkał się z Krzysztofem Mikołajewskim, mężem kolejnej z sióstr porwanego. Na „dzień dobry” zażądał pięciu tysięcy złotych „za paliwo”. W ciągu kilku następnych tygodni, mając rodzinę pewnymi informacjami – które rzeczywiście były częściowo prawdziwe i które diabli wiedzą skąd miał – wycygał od niej w sumie prawie milion złotych, obiecując odnalezienie Krzysztofa.

Za brak odpowiedniego nadzoru nad informatorem Rutkowski obarczył potem winą jednego ze swych byłych współpracowników, twierdząc publicznie, że zerwał z nim współpracę, co jednak okazało się nieprawdą.

Potem z rodziną skontaktował się Andrzej Ł., pośrednik w handlu nierogacizną. Twierdził, że ma dojścia do mafii pruszkowskiej i jest w stanie załatwić zwolnienie Krzysztofa. Oczywiście nie za darmo. Rezultat: wyłudzone 160 tysięcy złotych. Włodzimierz Olewnik zawiadomił o działalności oszusta policję, sprawa trafiła do prokuratury, gdzie wlokła się jak przysłowiowe flaki z olejem. W końcu, jak to mówią, „ukręcono jej łeb”. Jak wyznał panu Włodzimierzowi w nieoficjalnej rozmowie jeden z prokuratorów: „są problemy, ponieważ w sprawie pojawiają się wątki tajemnicy pań-

stwowej”.

Następnym wydrwigroszem okazał się niejaki „Gienek”, Eugeniusz D., drobny kryminalista. Podobnie jak pozostali, z całego serca chciał pomóc. Na wstępie poprosił o czterdzieści tysięcy złotych na obiad ze swymi informatorami. Zaznaczył też, że gwarantem udanej współpracy z rodziną ma być Grzegorz Korytowski, dobry znajomy pana Włodzimierza, absolwent Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR w Warszawie, szef powiatowego SLD, wicestarosta sierpecki, wcześniej wiceminister infrastruktury, a potem jeden z dyrektorów w PKN Orlen. „Gienek” twierdził, że ma kontakt z porywaczami, więc Włodzimierz Olewnik zaczął mu płacić – w sumie około 160 tysięcy złotych. Rzeczywiście, „Gienek” zawsze doskonale wiedział, kiedy zadzwonią porywacze, a kiedy dostarczyli list pisany ręką Krzysztofa, znał jego treść.

Kolejne kilkadziesiąt tysięcy wziął Paweł K., dziennikarz lokalnej gazety z Płocka, który również twierdził, że ma pewny trop. Opowiadał, że pisząc reportaż, poznał człowieka znającego los Krzysztofa. Dziennikarza polecił rodzinie Grzegorz Korytowski, wspomniany nabab Sojuszu Lewicy, który kiedyś bardzo pragnął objąć posadę dyrektora Olewnikowych zakładów mięsnych i bardzo oburzył się propozycją połowy etatu na stanowisku osoby odpowiedzialnej za ochronę środowiska.

Korytowski to postać szczególna wśród całego szeregu hien osaczających rodzinę Olewników. Poniżej fragment jednego z nagrań, jakich pan Włodzimierz dokonał podczas licznych z nim spotkań:

„Wie pan, bo to trzeba pogodzić środowisko przestępców, żeby nie spalić, i żeby nie narazić się policji. Oprócz tego, że mniej więcej wiem, gdzie jest (Krzysztof), to tego panu nie powiem, dla dobra sprawy. Jeśli pan chce, to panu powiem, ale po co to panu? (...) Są koszty organizacji, oczywiście. Pan nie będzie pytał o sto, dwieście, trzysta złotych, bo nie wszystko mogę panu powiedzieć, że prokurator wziął tyle, komendant tyle, czy ten tyle. Ale to są drobne rzeczy”.

Podobno Korytowski miał plan przejęcia firmy Olewnika, cze-

mu oczywiście stanowczo zaprzecza. Kobieta, która poinformowała o tym wszystkich czołowych polityków Sojuszu, a także prokuraturę, została za to wyrzucona z partii, bo „zdradziła ideały lewicy”. Policyjny wniosek do sądu o zastosowanie podsłuchu wobec Korytowskiego, który zadziwiająco wiele wiedział o kulisach porwania, został anulowany przez Remigiusza Minde, szefa grupy prowadzącej w pierwszym okresie śledztwo, z dopiskiem; „Na polecenie komendanta” (Macieja Książkiewicza).

Włodzimierz Olewnik twierdzi, że inspektor Maciej Książkiewicz, komendant wojewódzki policji w Płocku, pod koniec lat dziewięćdziesiątych proponował mu ułatwienie zakupu prywatyzowanych właśnie w tym mieście zakładów mięsnych. Warunkiem było wprowadzenie do firmy cichego współnika, wskazanego przez komendanta. Biznesmen odrzucił tę propozycję, uważając, że jej celem było w rzeczywistości przejęcie jego zakładów.

Pojawiały się także inne tego typu propozycje. Jedną z nich złożył mazowiecki baron SLD, Andrzej Piłat, „ojciec chrzestny” Grzegorza Korytowskiego. Włodzimierz Olewnik miałby przejąć za grosze państwowe przedsiębiorstwo. Jednak i tym razem odmówił udziału w bardzo „śmierdzącym” interesie.

Wątku ewentualnej zemsty niedoszłych kontrahentów na Włodzimierzu Olewniku nigdy nie zbadano. Sam komendant Książkiewicz zabronił nawet osobiście zastosowania wobec Grzegorza Korytowskiego podsłuchu.

Na wszystkie firmy Olewnika spadła nagle cała lawina kontroli ze strony wszelkich możliwych, powołanych do tego instytucji. Banki wypowiedziały niespodziewanie przyznane już kredyty. Zakłady mięsne ojca porwanego znalazły się na skraju bankructwa. Dosłownie cudem udało się Olewnikowi przetrwać tę nagonkę.

Rodzina do końca wierzyła, że Krzysio wróci żywy. Matka Ewa Olewnik przeżywała jego zniknięcie po matczynemu – płakała i modliła się. Ojciec też płakał, ale tylko wieczorami. Całe dnie poświęcał na prywatne śledztwo, zbierał informacje i próbował zainteresować swoimi ustaleniami policjantów i prokuratorów.

Traktowali go jak uciążliwego petenta.

Obok wielu różnych „szemranych” postaci, pan Włodzimierz zwracał się również o pomoc do znanych polityków. Zznając później przed Komisją Sejmową, żalił się, że nikt z ówczesnego kierownictwa ministerstw spraw wewnętrznych i sprawiedliwości nie udzielił rodzinie żadnej pomocy:

„Prosiliśmy o nią ministra spraw wewnętrznych Ryszarda Kalisza, wiceministra Andrzeja Brachmańskiego, ministrów sprawiedliwości: Grzegorza Kurczuka, Marka Sadowskiego i Andrzeja Kalwasa, ministra-koordynatora służb specjalnych Zbigniewa Siemiątkowskiego, posła Andrzeja Piłata. Żaden nam nie pomógł, ale też nikt nie poniósł odpowiedzialności politycznej. Taka odpowiedzialność w Polsce nie istnieje – mówił przed komisją (...) Mam sentyment do ministra Kalisza, bo on się przyznał do błędu i powiedział, że »w sprawę są umoczeni nasi chłopcy«. (...) Tylko Rapacki i Ziobro w tej sprawie postąpili w porządku.

Zbigniew Siemiątkowski, ówczesny szef Agencji Wywiadu, usprawiedliwiał się potem przed dziennikarzami, że początkowo miał zamiar pomóc, ale kiedy zaczął się rozpytywać szerzej, o co w tej całej „sprawie Olewnika” chodzi, ktoś powiedział mu: „Stary, to są jakieś rozrachunki ruskiej mafii, zostaw to lepiej w spokoju”. No to zostawił. Szef Agencji Wywiadu, słysząc, że w sprawę zamieszana jest „ruska mafia”, zostawia sprawę w spokoju i sam jeszcze do tego się przyznaje!!! Szczytem bezczelności jest podobno n....ć komuś pod drzwiami, zadzwonić i poprosić o papier toaletowy. Jak widać, są jednak dużo większe szczyty.

\*

Na początku grudnia 2001 roku, zgodnie z instrukcją porywaczy, przyjaciel Krzysztofa, Jacek Krupiński, wyruszył samochodem w towarzystwie swojej żony w kierunku Warszawy. Przy desce rozdzielczej leżał telefon komórkowy na kartę, na który mieli dzwonić bandyci. Na tylnym siedzeniu leżała sporej wielkości tor-



ba, wypchana trzystoma tysiącami dolarów – pieniędzmi, które miały stanowić zapłatę za życie Krzysztofa. Ponieważ przez cały czas telefon milczał jak zaklęty, po dojechaniu do Warszawy Jacek z żoną wrócili do domu.

Kolejną wiadomość dla rodziny porywacze zostawili przy świętej figurce, na drodze do Sochaczewa dwa dni później. Krupiński z żoną i forsą mają jechać w kierunku Łodzi. Pojechali. W pewnym momencie odezwała się ich komórka. Usłyszeli nagrany głos Krzysztofa z instrukcją, że mają się kierować w stronę Strykowa i czekać w zajeździe „Pod Rogami”. Po trzech godzinach oczekiwania telefon odezwał się po raz kolejny. Nagrany głos młodego Olewnika poinformował ich, że mają wracać do domu, bo „pieniądze są skse-rowane”. (Rzeczywiście były, ciekawe tylko skąd porywacze o tym wiedzieli?)

Na następny kontakt z nimi przyszło czekać prawie miesiąc. W styczniu 2002 roku kazali Krupińskiemu wsiąść z pieniędzmi do pociągu relacji Warszawa – Berlin i czekać w wagonie restauracyjnym na instrukcje. Mężczyzna dojechał nim aż do granicy w Rzepinie, lecz nikt się nie odezwał. Wrócił do domu taksówką.

Na początku marca 2002 roku przestępcy zadzwonili jeszcze raz i głosem Krzysztofa przekazali wskazówki, tym razem dla Danuty Cieplińskiej. Miała jechać do Warszawy i w bramie kamienicy przy ulicy Kijowskiej odebrać list ukryty pod tablicą ogłoszeń. Zgodnie z zawartymi w nim instrukcjami, miała wsiąść do pociągu relacji Warszawa – Olsztyn, ale nie zdążyła. Wieczorem odebrała telefon od porywaczy, znowu nagrany głos Krzysztofa: „Ponieważ spóźniłaś się na pociąg, nakładamy na was dodatkową karę w wysokości 50 tysięcy dolarów”. Kilka dni później przyszedł list: „Musicie być przygotowani w każdej chwili do przekazania 350 tysięcy dolarów. Wyjazd z domu po naszym telefonie ma nastąpić w ciągu 2 minut (dwie minuty). Jeżeli spóźnicie się choć o sekundę, kończymy sprawę (...) Macie być gotowi do wyjazdu o każdej porze dnia i nocy”.

24 lipca 2003 roku Danuta Cieplińska, będąca wtedy w czwartym miesiącu ciąży, odebrała telefon od porywaczy (znowu nagrany

głos Krzysztofa), że o godzinie 16.00 musi być w Płońsku z trzystoma tysiącami euro. Poinformowała o tym telefonicznie Remigiusza Minde, który przyjął to do wiadomości, uspokajając jednocześnie, że „wszystko jest pod kontrolą”. Policja nie poinstruowała rodziny, jak ma rozmawiać z porywaczami ani jak rejestrować rozmowy telefoniczne. Nie spisała również numerów seryjnych przekazanych porywaczom banknotów.

Do Płońska wyruszyła w towarzystwie swojego męża. Po drodze odbierali od porywaczy telefony, głos Krzysztofa przekazywał im kolejne instrukcje. Pod Warszawą czekali do północy w jakimś obskurnym barze. W końcu kolejny telefon: mają jechać Wisłostradą w kierunku centrum, dokładnie z prędkością stu kilometrów na godzinę. Potem zatrzymać się na moście, w miejscu oznaczonym przymocowanymi do balustrady dwiema czerwonymi lampkami, otworzyć okno od strony kierowcy i worek z pieniędzmi wrzucić w szczelinę pomiędzy jezdniami. Wykonali polecenie i odjechali. Tym sposobem porywacze podjęli w końcu okup.

„Byliśmy na miejscu – zapewniał potem jeden z uczestniczących w obstawie państwa Cieplińskich funkcjonariuszy. – Bandydzi okazali się po prostu sprytniejsi od nas”.

Kiedy było już po wszystkim, policjanci „fachowcy” znów wykazali się wyjątkową kompetencją. Kluczowego świadka, czyli Danutę Cieplińską, przesłuchali oficjalnie na temat zaszłych wypadków dopiero po... trzech tygodniach.

Po tygodniu od przejęcia okupu porywacze poinformowali telefonicznie, że Krzysztof wkrótce wróci do domu. Rodzina odetchnęła. Mijały jednak tygodnie, a porwany nie wracał. Dopiero półtora miesiąca później w domu Olewników ponownie odezwał się telefon z nagraniem głosem Krzysztofa: „Czekaliście dwa lata z okupem, to teraz poczekacie kolejne dwa lata na mój powrót do domu”. To był ostatni telefon od przestępców i ostatnie słowa, które rodzina usłyszała od swego syna i brata.

Minął prawie rok od przekazania okupu. Śledztwo przejął kolejny prokurator, Robert Skawiński z Prokuratury Okręgowej w Warszawie. W czerwcu 2004 roku dwóm policjantom z wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej w Radomiu skradziono w Warszawie samochód marki daewoo nubira, w którym znajdowało się szesnaście tomów akt śledztwa prowadzonego w sprawie porwania Krzysztofa Olewnika. Funkcjonariuszom postawiono zarzut niedopełnienia obowiązków, ale wkrótce prokurator umorzył postępowanie: „kradzież tych materiałów nie spowodowała zaistnienia istotnej szkody wyrażającej się w poważnych przeszkodach w prowadzeniu postępowania przygotowawczego” – napisała w uzasadnieniu umorzenia pani Urszula Mirończuk z Prokuratury Rejonowej Warszawa – Śródmieście. Po aktach wszelki ślad zginął.

Samochód został skradziony przed Dworcem Centralnym, w samym centrum Warszawy, pod okiem wielu kamer i przypadkowych przechodniów, nubiry zaś nie cieszyły się w tym czasie szczególnym powodzeniem u złodziei, co każe przypuszczać, że kradzieży nie dokonano przypadkowo i że to nie samochód był jej celem. Następnego dnia Włodzimierz Olewnik otrzymał zresztą anonimowy list, w który napisano: „Akta miały zniknąć. Dobrze, że w chwili kradzieży nie było przy nich policjantów, bo też musieliby zginąć”. Wszystko wskazuje na to, że źródłem przecieku o transporcie akt była osoba z wąskiego kręgu prokuratorów i policjantów uczestniczących w śledztwie, bowiem nikt inny nie wiedział o tym, że akta pojedą do Warszawy.

Na tym jednak bynajmniej nie zakończyła się seria dziwnych przypadków, które miały miejsce w różnym czasie w opisywanej sprawie. Będzie jeszcze o tym mowa.

We wrześniu 2004 roku znów zmienił się prowadzący prokurator, zmieniła się też ekipa śledcza. Ściganiem porywaczy zajęli się policjanci z Centralnego Biura Śledczego w Warszawie. Coś wreszcie zaczęło się dziać, a mówiąc ściślej, wreszcie coś pozytywnego.

W maju 2004 roku, blisko rok po przekazaniu okupu, policjanci zainteresowali się w końcu bliżej magnetyczną kartą telefoniczną o

numerze 24/122/5465, przy użyciu której bandyci dzwoniли do rodziny Olewników. Tego rodzaju karty można było wówczas kupić w każdym niemal kiosku. Miały nadrukowany pasek magnetyczny z zakodowaną określoną ilością impulsów do wykorzystania w dowolnej budce telefonicznej. Z opracowanej analizy wynikało, że trzy tygodnie przed przekazaniem okupu porywacze dzwoniли do nich z budek telefonicznych w centrum Warszawy, wykorzystując między innymi kartę o podanym wyżej numerze. Ta sama karta wykorzystywana była do połączeń z telefonem stacjonarnym, zarejestrowanym na kobietę o nazwisku Kościuk. Telefonowano także do wypożyczalni przyczep, zarejestrowanej na nazwisko Katarzyna Franiewska, do Piotra Skwarskiego i do komendy policji w Słubicach.

Ustalono, że osobą telefonującą do komendy w Słubicach był niejaki Sławomir Kościuk, tragarz z warszawskiego lotniska, który chciał przesunąć termin przesłuchania w sprawie, w której podejrzany był o paserstwo. To wszystko ustalili jeszcze policjanci z grupy kierowanej przez Remigiusza Mindę! 1 czerwca 2004 roku zapukali do drzwi lokalu zajmowanego przez Sławomira Kościuka.

Przesłuchiwany przez prokuratora Skawińskiego wyznał, że jest chory na depresję i że nie pamięta co robił wczoraj, a co dopiero w październiku 2001 roku. Pamiętał jednak, że wspomnianą kartę znalazł w budce telefonicznej i podejrzewając, że mogą być na niej jeszcze jakieś impulsy do wykorzystania, po prostu zabrał ze sobą.

Prokurator Skawiński czuł, że Kościuk kłamie i miał szczyry zamiar zastosować wobec niego areszt tymczasowy oraz przedstawić zarzut dotyczący udziału w porwaniu Krzysztofa Olewnika. Sprawa była jednak już głośna, więc się „spietrał”. Chcąc się zabezpieczyć, skonsultował ten zamiar ze swoimi szefami.

W naradzie, obok Skawińskiego, udział wzięli: Jolanta Mamej – kierownik referatu, Małgorzata Dukiewicz – naczelnik wydziału śledczego oraz Halina Janczarska – ówczesna szefowa warszawskiej Prokuratury Okręgowej. Po niesamowitej burzy mózgów wymienione trzy wybitne prawniczki zdecydowały, że dowody są

zbyt słabe, w związku z czym żadnych zarzutów stawiać nie należy. Prokurator Skawiński zmienił więc zdanie i puścił Kościuka wolno. Policjanci, którzy go zatrzymywali, dosłownie zgrzytali zębami z wściekłości.

Pięć dni później, 7 czerwca, wraz ze skradzioną w Warszawie policyjną nubirą, zginęły wszystkie akta. A dokładniej prawie wszystkie. Ostatni tom, w którym znajdował się kluczowy dowód w postaci karty magnetycznej o numerze 24/122/5465, zupełnym przypadkiem pozostał w prokuraturze...

Policjanci z CBS wzięli się za kolejną osobę, do kontaktów z którą wykorzystywana była karta, za Piotra Skwarskiego ps. „Skwara”. Początkowo zaprzeczał, że zna Kościuka, twierdził również, że nigdy nie słyszał o żadnym Krzysztofie Olewniku. Naciśnięty jednak ostrzej przyznał, że zna. Wyjawiał również, że poznał kiedyś Kościuka z Wojciechem Franiewskim, którego żona ma wypożyczalnię przyczep w Warszawie.

Po jednym z przesłuchań pod jego dom w Nowym Dworze Mazowieckim zajechało czarne bmw. Wsiadło z niego trzech łysych byków, czwarty siedział za kierownicą. Jeden z osiłków podszedł do „Skwary” i przekazał mu wiadomość:

– Kurwa, zgredzie, jak piśniesz jeszcze słówko w sprawie Sławka (Kościuka), to cię zajebimy!

Piotr Skwarski zaczął mówić jesienią 2005 roku. Mówił dużo i ciekawie. Przede wszystkim na wspomnianym wcześniej nagraniu ze sklepu „Auchan” w Warszawie przy ulicy Modlińskiej rozpoznał Wojciecha Franiewskiego. Po czterech latach od porwania policja i prokuratura zaczęły nareszcie wiązać ze sobą właściwe fakty i osoby. Pod koniec grudnia 2006 roku „Skwara” zmarł na zawał serca. Powiedział dużo, ale prawdopodobnie nie wszystko.

– Mąż zabrał ze sobą do grobu straszliwą tajemnicę – wyjawiała na procesie porywaczy jego żona.

3 listopada 2005 roku, punktualnie o godzinie 6.00 policja puka znów do drzwi mieszkania Sławomira Kościuka. Zatrzymany w areszcie, odmawia zeznań. 11 stycznia 2006 za kratki trafia Wojciech Franiewski. Ten także milczy jak grób. Rozwiązanie sprawy wydaje się jednocześnie bliskie, a zarazem wciąż dalekie. Przede wszystkim odpowiedź na najważniejsze pytanie: Co z Krzysztofem Olewnikiem?

Pan Włodzimierz zażądał, aby postępowanie przekazano do prokuratury w Olsztynie.

– Przeczytałem w „Polityce” artykuł o planie porwań dla okupu w Olsztynie – twierdzi. – O biznesmenach, którzy, aby się bronić, założyli stowarzyszenie, i o młodym prokuratorze Jasińskim, który wyłapał porywaczy.

Jego prośby wciąż pozostawały bez echa. Dopiero kiedy rządy objęło Prawo i Sprawiedliwość, a prokuratorem krajowym został Janusz Kaczmarek, za kulisami programu telewizyjnego „Konfrontacja” (poświęconego sprawie porwania Krzysztofa) obiecał publicznie, że przeanalizuje możliwość przeniesienia śledztwa do Olsztyna. Wiosną 2006 roku podjął taką decyzję. Trafiła tam na biurko prokuratora Piotra Jasińskiego, ochrzczonego przez prasę „pogromcą mafii olsztyńskiej”, która porywała ludzi dla okupu. Jednocześnie pracę nad nią rozpoczęli ludzie z Komendy Wojewódzkiej Policji w Olsztynie i CBS.

Efekty przyszły nadszpodziewanie szybko. Już po kilku miesiącach aresztowano wszystkich członków szajki porywaczy. Po kilku miesiącach za kratkami i odpowiednio ciężkiej pracy nad nim, Sławomir Kościuk zaczął w końcu „pękać”. Przełomowe przesłuchanie rozpoczęło się 27 października 2006 roku o godzinie 12.35:

„W połowie sierpnia 2003 roku, trzy tygodnie po przejściu okupu, ja, „Bokser” (Ireneusz Piotrowski) i „Pedro” (Robert Pazik) przewieźliśmy Krzysztofa Olewnika z piwnicy domu Franiewskiego w Kałuszynie do betonowego szamba na działce w Dzbądzu, niedaleko Różana, którą kupiłem za pieniądze uzyskane z okupu – powiedział między innymi Kościuk. – Ja siedziałem w polonezie, a oni po-

szli po Olewnika. Olewnik na głowie miał kominiarkę i zasłonięte oczy. Ręce miał chyba skute kajdankami, nogi były wolne (...) Odśunęliśmy fotele przednie w polonezie i z tyłu na podłodze położyliśmy Olewnika. Bocznymi drogami dojechaliśmy do Dzbądz (..) Najpierw do szamba zanieśliśmy wszystkie rzeczy, a następnie umieściliśmy w nim Olewnika (...) Nie jestem pewien, ale już chyba były przygotowane łańcuchy, aby przywiązać nimi Olewnika. Następnie chyba wszyscy, a co najmniej dwóch z nas w kominiarkach weszło do szamba, bo trzeba było przywiązać Olewnika (...) Teraz sobie coś przypominam, że Olewnik chyba nie leżał w szambie na materacu, tylko na styropianie. Materac chyba został w Kałuszynie (...)

Decyzję o zabiciu chłopaka podjęli, kiedy na działkę przyjechali policjanci z Różana, szukający Piotrowskiego, którego wcześniej przyłapano na jeździe po pijanemu. Piotrowskiego nie znaleźli, więc odjechali.

Na dworze dawno już zapadły ciemności, a Sławomir Kościuk wciąż kontynuował swoją mrozącą krew w żyłach opowieść:

„Wtedy Franiewski oświadczył, że nie ma innego wyjścia i Olewnika trzeba »położyć«. Słowo »położyć« oznacza w gwarze »zabić«. (...) Tłumaczył to tym, że gdy go wypuścimy, to Olewnik może nas rozpoznać, bo przez dwa lata słyszał nasze głosy, widział sylwetki”.

O godzinie 19.30 w protokole z przesłuchania pojawił się suchy, lakoniczny zapis:

„W tej chwili podejrzany Kościuk oświadcza: powiem w końcu prawdę. Krzysztof Olewnik nie żyje. Jest pochowany niedaleko działki”.

Dalej jest już tylko przerażający opis zbrodni:

„Zamordował Olewnika Pazik w mojej obecności. Nałożył mu na głowę kilka toreb foliowych, takich czarnych jak na śmieci, po to, aby się udusił. Wcześniej skuł mu ręce i nogi. Ręce chyba skuł mu kajdankami, a nogi takim paskiem samozaciskowym albo na

odwrót. Po założeniu toreb foliowych Pazik przytrzymał głowę Olewnikowi tak, żeby nie dochodziło powietrze (...)

Po uduszeniu Krzysztofa Olewnika zwłoki zawińliśmy w siatkę ogrodzeniową, plastikową, koloru zielonego i ponieśliśmy do dołu. Pamiętam, że dół wykopaliśmy na głębokość około dwóch metrów. Był w kształcie prostokąta, taki jak na cmentarzu. Kopaliśmy szpadlami dość długo. Podłoże było łatwe w kopaniu. Zdjęliśmy wierzchnią warstwę, a potem poszło łatwo. Na pewno nie było tam gliny. Przed zakopaniem zwłok zdjęliśmy z (jego) głowy worki i kominiarkę, kajdanki i pasek samozaciskowy. Zwłoki ubrane były w jakieś dresy. Te zdjęte z Olewnika rzeczy wrzuciliśmy do Narwi.

Pytanie: W jaki sposób i jak długo trwało mordowanie Krzysztofa Olewnika i w jaki sposób reagowała ofiara?

Odpowiedź: Trudno mi odpowiedzieć, ile czasu to trwało. Ja byłem w szoku. Ja trzymałem nogi ofiary w ten sposób, że położyłem się w poprzek na jego nogach. Pazik natomiast trzymał go rękoma za głowę i zatykał mu nos, tak aby powietrze nie dochodziło (...) Olewnik leżał na ziemi na wznak. Miał skrępowane nogi i ręce.

Na pytanie prokuratora odpowiadam: Ja czułem skurcze, drgania, czułem jak szarpnął Olewnik nogami, a potem już nic nie czułem (...) Olewnika mordowaliśmy na polance, w odległości około 50 metrów od wykopanego dołu, gdyż tam teren był zalesiony i łatwiej było go zawiązać w siatkę.

Na pytanie prokuratora odpowiadam: (...) Na polankę z szamba, to jest miejsca przetrzymywania, Olewnika przewieźliśmy moim polonezem (...) Miał zawinięte oczy kominiarką, a kominiarka była owinięta taśmą. Wsadziliśmy go do poloneza. On nie stawiał żadnego oporu. Przed wyjazdem na polankę powiedzieliśmy Olewnikowi, że ktoś chce z nim jeszcze porozmawiać, chyba dlatego Olewnik nie stawiał żadnego oporu. On miał do mnie zaufanie, tak mi się przynajmniej wydaje”.

Swoje zeznania Kościuk zakończył krótko po wpół do dziewiątej wieczorem. Prokurator podjął decyzję, aby jeszcze tej samej nocy zabrać go na miejsce dokonania mordu i spróbować odnaleźć ciało.



Na głębokości około pół metra we wskazanym miejscu policjanci natrafili na warstwę metalowej siatki, którą – jak wyjaśnił Kościuk – polecił rozłożyć Franiewski, aby zabezpieczyć zwłoki przed dzikimi zwierzętami. Po jej usunięciu kopali dalej. Wreszcie nad ranem, 28 października 2006 roku, w piątą rocznicę porwania, natrafili na owinięte siatką ciało mężczyzny w daleko posuniętym rozkładzie. Późniejsze badania genetyczne potwierdziły, że są to zwłoki Krzysztofa Olewnika.

Został bestialsko zamordowany 5 września 2003 roku. Następnego dnia Sławomir Kościuk zadzwonił z warszawskiej budki telefonicznej do rodziny Olewników, przystawiając do słuchawki dyktafon z nagraniem głosem Krzysztofa: „Czekaliście dwa lata z okupem, to teraz poczekacie kolejne dwa lata na mój powrót do domu”.

\*

Zaraz po odnalezieniu ciała policjanci z brygady antyterrorystycznej zatrzymali pozostałych członków bandy, w sumie dwunastu uczestników porwania oraz osób pomagających w późniejszym przetrzymywaniu Krzysztofa Olewnika. 31 marca 2008 roku Sąd Okręgowy w Płocku skazał Roberta Kościuka i Sławomira Pazika na kary dożywotniego pozbawienia wolności. Pozostali oskarżeni zostali skazani na kary od jednego roku w zawieszeniu na 3 lata, do 15 lat pozbawienia wolności, a jeden został uniewinniony (żona Franiewskiego).

„Gienek” w ogóle nie wziął właściwie udziału w procesie. Już na pierwszej rozprawie sąd wyodrębnił dotyczący go wątek sprawy i skierował do osobnego rozpoznania przez inny sąd, w Sierpcu. Stało się tak na wniosek prokuratora Jasińskiego uważającego, że dowody świadczące o udziale Eugeniusza D. w gangu, który porwał Krzysztofa, są zbyt słabe. Włodzimierz Olewnik natychmiast zaprotestował przeciwko umorzeniu wątku udziału „Gienka” w porwaniu.

– Prokurator powiedział mi, że w zamian za to umorzenie „Gie-

nek” będzie zeznawał – opowiadał później. – Powie wszystko, co wie i wyjaśni rzeczywistą rolę Grzegorza Korytowskiego. Jednocześnie bardzo nalegał, żebyśmy wycofali oficjalne zażalenie, które złożyliśmy na jego decyzję.

Olewnik uznał, że gra jest warta świeczki. Poprosił swojego adwokata o wycofanie zażalenia na umorzenie. Szybko się jednak rozczarował. Prokurator Jasiński zakończył śledztwo i sporządził akt oskarżenia przeciwko porywaczom. Jednak wbrew złożonej obietnicy, niczego więcej od „Gienka” nie wyciągnął.

W czerwcu 2008 roku, zanim jeszcze wyrok zdążył się uprawomocnić, w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Olsztynie pękła rura kanalizacyjna. Po godzinie 16.00 sprzątaczkі zauważyły, że dół budynku, gdzie mieszczą się magazyny dowodów rzeczowych, zalewa cuchnąca ciecz. Okazało się, że fekalia dostały się do pomieszczenia wypożyczonego przez olsztyński zarząd CBS do przechowywania dowodów rzeczowych zebranych w śledztwie dotyczącym porwania Krzysztofa Olewnika. Nasiąknięte cuchnącą cieczą pudła i worki przeniesiono w inne miejsce, ucierpiało jednak znacznie aż 231 dowodów dotyczących wyżej wymienionej sprawy. Szef olsztyńskiego CBS zawiadomił o zajściu prokuraturę. Trzynastego czerwca Prokuratura Olsztyn-Południe wszczęła śledztwo mające wyjaśnić, czy dowodów nie zalano aby celowo. Miesiąc później sprawę umorzono, nie dopatrując się przestępstwa.

Przywódca grupy, która porwała Krzysztofa Olewnika, Wojciech Franiewski, nigdy nie stanął przed obliczem wysokiego sądu. Trzy miesiące przed rozpoczęciem procesu, w nocy z osiemnastego na dziewiętnastego czerwca 2007 roku został znaleziony martwy w celi olsztyńskiego aresztu...

W wyniku dokonanych przez lekarzy z gdańskiej Akademii Medycznej badań stwierdzono w organizmie denata obecność 0,4 promila alkoholu oraz 0,035 mikrograma amfetaminy. Zgodnie z opinią biegłych, spożycie alkoholu oraz zażycie narkotyku najprawdopodobniej miało miejsce na terenie aresztu. Ustalenia prokuratury nie wykluczyły wersji, według której zabronione środki zostały do-

starczone osadzonemu przez jednego bądź większą liczbę funkcjonariuszy Służby Więziennej. Istnieją okoliczności sugerujące, że Franiewski mógł być poinstruowany, jak popełnić samobójstwo.

„Sposób przeprowadzenia samobójstwa świadczy o świetnej znajomości anatomii człowieka – zanotował w swym raporcie jeden z biegłych. – Pętla posiadała zawiązane dwa supły (praktyka niespotykana) (...) Osadzony w ten sposób uniknął reakcji obronnych, nie szamotał się”.

Nic nie wskazuje na to, by Franiewski miał zamiar odebrać sobie życie. Przygotowywał się spokojnie do czekającego go procesu, czytał akta, robił notatki. Notował sobie nawet pytania, które chciał zadać świadkom i współoskarżonym. Twierdził, że ma „sposób” na proces. Z listów, które pisał do żony, również nie wynika, żeby planował samobójstwo. Mógł się niespodziewanie załamać, to prawda. Ale przecież ostatecznie znaczną część swojego życia spędził za kratkami. To był świat, który bardzo dobrze znał i w którym poruszał się jak ryba w wodzie.

Czwartego kwietnia 2008 roku o godzinie 22.07, dokonujący rutynowego obchodu strażnicy więzienni odkryli w celi aresztu śledczego w Płocku ciało martwego Sławomira Kościuka. Zgon nastąpił w godzinach wieczornych, między 21.18 a 22.00. Mężczyzna powiesił się w kącie sanitarnym na prześcieradle. Pojedyncza cela była monitorowana, z wyjątkiem jednak owego nieszczęsnego kącika, z uwagi na jego specyficzne przeznaczenie. Śledczy wykluczyli udział osób trzecich. We krwi Kościuka znaleziono pewną ilość psychotropów, określoną przez biegłych jako „toksyczną”. Ofiara miała też złamane kilka żeber oraz dziwne otarcia na przedramionach. Według rodziny ofiary to kolejny dowód, że z szajką bandytów ktoś jeszcze współpracował, przekazywał informacje ze śledztwa, a teraz usuwa współników.

W mediach wybuchła dyskusja na temat zaniedbań popełnionych przez policję w sprawie porwania Krzysztofa Olewnika oraz ewentualnych powiązań policji z przestępcami, a także na temat domniemanych przyczyn samobójstwa Kościuka i szefa grupy po-

rywaczy, Wojciecha Franiewskiego. Stacja TVN ujawniła między innymi pisma dyrektora okręgowego aresztu w Barczewie, Krzysztofa Strzyżewskiego, w których pisał on o złym stanie psychicznym skazanego oraz o przyjmowaniu przez niego leków psychotropowych. Strzyżewski zalecał, aby nie umieszczać skazanego w celi pojedynczej, ale jego sugestie zostały zignorowane przez kierownictwo Zakładu Karnego w Płocku.

Po śmierci Kościuka, Robert Pazik został otoczony specjalnym nadzorem z uwagi na podejrzenie, iż on także może chcieć popełnić samobójstwo lub zostać zamordowany. Traktowany był jako więzień niebezpieczny. Jego cela była stale monitorowana, pokarm wydawał mu strażnik oddziałowy (zwykle pokarm wydają inni więźniowie), po spacerunku poruszał się bez towarzystwa innych więźniów, od których był całkowicie odizolowany. Karę odbywał w Zakładzie Karnym w Sztumie. 9 stycznia 2009 roku został przewieziony do Zakładu Karnego w Płocku, ponieważ przed sądem w Sierpcu miał być przesłuchany jako oskarżony w innym procesie, dotyczącym licznych rozbojów i wymuszeń. Według jego bliskich miał wtedy stwierdzić, że to przewiezienie będzie dla niego wyrokiem śmierci. Dziewiętnastego stycznia 2009 około godz. 4.40 nad ranem został znaleziony martwy w celi. Wstępne oględziny dały podstawy do przypuszczeń, iż on także popełnił samobójstwo.

Dzień po znalezieniu ciała Roberta Pazika, 20 stycznia, do dymisji podał się minister sprawiedliwości Zbigniew Cwiakalski. Bezpośrednim powodem tej decyzji był wywiad, jakiego pan minister udzielił w Radiu Tok FM Janinie Paradowskiej w audycji *Poranek dnia*, bagatelizując sprawę wiązania ze sobą samobójstw w więzieniach oraz lekceważąco odnosząc się do politycznych tropów śledztwa.

– To wszystko nieprawda. To wyglądało zupełnie inaczej – krzyknął Robert Pazik, gdy sąd skazywał go na karę dożywocia. Dziś tamte słowa mogą szczególnie zastanawiać...

„W polskim więziennictwie wiele jest tajemniczych samobójstw, do których doszło przez powieszenie w celi aresztu śledcze-

go – napisał Zbigniew Wojtasiński (*Zastrzyk śmierci*, „Wprost” Nr 3/2010). Czy Artur Zirajewski[24], ps. Iwan, były członek klubu płatnych zabójców, jest pierwszym przestępcą, którego »usunięto« farmakologicznie? Dziwnym trafem od kilku lat samobójstwa popełniają przestępcy o kluczowym znaczeniu dla ważnych śledztw. Jeremiasz Barański, ps. Baranina, rezydent mafii pruszkowskiej, w 2003 roku powiesił się na pasku od spodni w celu austriackiego aresztu. W kwietniu 2008 roku w areszcie w Białymstoku powiesił się Andrzej Ł., ps. Gruby, złodziej luksusowych samochodów, który poszedł na współpracę z organami ścigania”.

Wiele lat po porwaniu organa ścigania i aparat wymiaru sprawiedliwości starają się nadrobić stracony czas. Trzynastego lutego 2009 roku Sejm VI kadencji powołał Komisję śledczą do zbadania okoliczności porwania i zabójstwa Krzysztofa Olewnika. Wynikiem jej pracy był raport opublikowany w roku 2011. „Czytając go, można odnieść wrażenie, że gdy zniknął młody Olewnik, w policji pracowali harcerze, a w prokuraturze relegowani studenci prawa – stwierdził w zamieszczonym w „Newsweeku” (29 listopada 2011) artykule *Prawda ojca* Igor Ryciak. – Symbolem dyletanctwa była operacja przekazania okupu, której mimo współpracy rodziny nie zabezpieczała policja”.

Niestety, to wszystko dzieje się za późno. Owszem, można opi-

---

24 Z ustaleń prokuratury wynika, że bezpośrednią przyczyną zgonu Artura Zirajewskiego, głównego świadka dla prokuratorów badających zabójstwo szefa policji, gen. Marka Papały, był zator tętnicy płucnej. „Iwan” zmarł nagle 3 stycznia 2010 r. na oddziale szpitalnym gdańskiego aresztu śledczego, gdzie trafił 31 grudnia 2009 r. Wcześniej przez trzy dni przebywał w gdańskim szpitalu MSWiA, do którego przewieziono go z objawami nadużycia leków nasennych, w tym estazolamu. Według prokuratury prawdopodobne jest, że zażył leki nasenne, by wydostać się z więzienia i uciec. Wersję, że u Zirajewskiego celowo wywołano lekami zator tętnicy płucnej, zasugerowała prof. Monika Płatek, kierownik Zakładu Kryminologii Uniwersytetu Warszawskiego. Przed kamerami telewizji stwierdziła, że o takiej możliwości wie każdy student pierwszego roku farmacji.

sywać wstrząsające szczegóły zbrodni, dramatyczne starania ojca, matki i siostry Krzysztofa u ministrów resortów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo w państwie o zwiększenie wysiłków zmierzających do wykrycia sprawców porwania. Ale nigdy już zapewne nie poznamy zadowolających odpowiedzi na wiele ważnych pytań związanych ze sprawą, w tym na jedno najważniejsze: Czy można było uratować życie Olewnikowi? A jeśli tak, to kto zawinił?

Padają wzajemne oskarżenia. Policjanci obciążają prokuratorów i innych policjantów, a nawet rodzinę Olewników. Prokuratorzy – policjantów. Upływ czasu, „opór materii” oraz fakt, że w ukryciu bulwersującej prawdy zainteresowanych jest zbyt wiele ważnych osób, nie pozwala i nie pozwoli ustalić z całą pewnością wielu ważnych kwestii.

Włodzimierz Olewnik jest przekonany, że śmierć jego syna była dokładnie i szczegółowo zaplanowana. Twierdzi, że ze sprawcami ukaranymi przez sąd ktoś jeszcze współpracował. Podejrzewa, że cichym współnikiem bandytów był jeden z płockich policjantów.

– Nie spocznę, póki do niego albo do nich nie dotrę – obiecuje.

„Ława oskarżonych jest zdecydowanie za krótka – stwierdził jeszcze podczas procesu. – Brakuje ludzi, którzy wydawali polecenia, kierowali, ochraniali bandytów, a być może zlecili porwanie”.

Według ojca Krzysztofa za porwaniem stał ktoś, kto miał wielką władzę, być może politycy i wysoko postawieni policjanci.

Cała rodzina Olewników wciąż walczy o prawdę.

# **Piekło kobiet.**

## **MICHELLE KNIGHT, AMANDA BERRY, GINA DEJESUS**

**(2013)**

Cleveland to spore miasto w Ohio, położone nad jeziorem Erie, liczące sobie prawie 400 tysięcy mieszkańców – potężny ośrodek przemysłowy (słynie głównie z hutnictwa żelaza, przemysłu metalowego, maszynowego i chemicznego). Jest również prężnym centrum finansowym (od 1870 roku siedzibą Standard Oil Company), handlowym, usługowym i kulturalnym. Mieszczą się tu trzy uniwersytety, centrum badań kosmicznych oraz słynna Cleveland Orchestra. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku Cleveland upodobał sobie hipisi. Była to epoka, której wizerunek ukształtowały protesty przeciwko wietnamskiej wojnie, Czarne Pantery, Woodstock, wolna miłość, rock, „kwasy”, „rodzina” Mansona, walka o prawa mniejszości i afera Watergate.

Z dorocznego rankingu przeprowadzanego przez magazyn „Forbes” wynika, że Cleveland jest „najbardziej przygnębiającym miastem USA” – głównie z powodu takich zjawisk, jak duże bezrobocie, wysokie podatki i jeszcze wyższa korupcja. Tym niemniej aż do 6 maja 2013 roku, kiedy to zaczyna się poniższa historia, największe emocje budziły tu występy profesjonalnego klubu koszykarskiego NBA, Cleveland Cavaliers...

\*

Tego właśnie dnia na posterunku miejscowej policji rozległ się dźwięk telefonu. Dzwoniący facet powiedział, że nazywa się Charles Ramsey i podał swój adres.

– Bracie, ktoś chce uciec z tego cholernego domu – zameldował dyspozytorowi.

– Z jakiego znów „cholernego domu”? – zdziwił się funkcjonariusz.

– Z domu naprzeciwko mnie – padła odpowiedź. – Tego, gdzie mieszka ten cholerny Portorykaniec. Tam od dawna dzieją się jakieś dziwne rzeczy...

– Jaki to adres?

– 2207 Seymour Avenue.

– To twój adres?

– Nie, do cholery! To adres tego domu, gdzie macie przyjechać. Przestań, bracie, wypytywać mnie o różne duperele, tylko ruszaj tyłek i wsiadaj migiem w radiowóz!

– Uspokój się, człowieku! – warknął dyspozytor. – Wiem, co mam robić.

W tym momencie otrzymał drugi telefon. Jakaś wyraźnie przeżona kobieta domagała się przyjazdu policji pod ten sam adres.

– Nazywam się Amanda Berry! – krzyczała kobieta. – Przyjeżdżajcie natychmiast. On w każdej chwili może wrócić!

– Nie mogę rozmawiać jednocześnie z dwiema osobami, człowieku – powiedział do Ramseya. – Czy możesz zostawić swoje nazwisko i numer, z którego dzwonisz?

– To ona – wyjaśnił rozmówca. – Dzwoni z drugiego telefonu, który jej podałem.

– Czy ta kobieta potrzebuje karetki? – zapytał przytomnie.

– Bracie, ona potrzebuje wszystkiego – usłyszał w odpowiedzi. – Jest spanikowana, mówi, że była porwana!

„To zapewne kolejny fałszywy alarm” – pomyślał odbierający zgłoszenie funkcjonariusz. Tym niemniej skierował we wskazane miejsce jeden z radiowozów.



Policjanci żadną miarą nie mogli uwierzyć, że informacja pochodzi od kobiety nazwiskiem Amanda Berry, która w 2003 roku, w przededniu swoich siedemnastych urodzin, wracając do domu z pracy w Burger Kingu, po prostu rozplynęła się w powietrzu. Długi czas jej zdjęcia były rozwieszane na plakatach, przyklejonych na każdym niemal rogu miasta. Lokalna społeczność organizowała pochody protestacyjne, aby zwrócić uwagę na los zaginionej dziewczyny. Bez najmniejszych efektów. Amanda przepadła jak kamień w wodę. Poza tym to wszystko miało miejsce dziesięć lat wcześniej! Od tego czasu policja dawno już zdążyła o niej zapomnieć. Była tylko jednym z ośmiuset tysięcy przypadków zaginięcia nieletnich odnotowywanych w Stanach Zjednoczonych każdego roku.

Ponury, rozpadający się „bliźniak” z drzwiami obitymi plastikową folią, w latynoskiej dzielnicy Cleveland, sprawiał wrażenie opustoszałego. Na pukanie do drzwi nikt nie odpowiedział. Dowódca patrolu podjął decyzję o wejściu bez nakazu. W środku domu oprócz Amandy policjanci znaleźli uwięzione tam jeszcze dwie inne kobiety oraz małą dziewczynkę...

Pierwszą z kobiet była 23-letnia Georgina DeJesus, zwana Giną. Zniknęła przed dziewięciu laty, dokładnie 2 kwietnia 2004 roku, wracając do domu ze szkoły. Drugą – 32-letnia Michelle Knight. Wszelki słuch o niej zaginął w sierpniu 2002 roku. Sześcioletnia dziewczynka, urodzona w Boże Narodzenie 2006 roku, okazała się córką gwałconej wielokrotnie w niewoli Amandy Berry, jedynym dzieckiem urodzonym w domu grozy w Ohio, które przeżyło.

Wycieńczone kobiety zawieziono do szpitala Metro Health Medical Center, skąd po poddaniu ich szczegółowym badaniom i stwierdzeniu „ogólnie dobrego” stanu zdrowia, trafiły w ramiona niewidzianych od dekady rodzin. Podobno pierwsze zdanie, które wygłosiła na widok swego taty Giną DeJesus, brzmiało: „Tato, czy rzuciłeś wreszcie palenie?”.

Wkrótce zatrzymano właściciela posesji, Ariela Castro oraz jego dwóch braci: Pedra i Onila – obydwu dobrze znanych miejscowej

policji. Bracia zostali jednak szybko wypuszczeni na wolność, uznano bowiem, że nie mieli nic wspólnego z porwaniem i przetrzymywaniem przez wiele lat wspomnianych kobiet. Tak przynajmniej wynika z przesłuchania wszystkich trzech ofiar, które zgodnie oświadczyły, że ani Pedro, ani Onil w żadnej mierze nie współdziałali ze sprawcą i najprawdopodobniej nic nie wiedzieli o przestępstwie. Ktoś przypomniał sobie wprawdzie, że jeden z aresztowanych braci, 54-letni Pedro Castro, „był na tyle cyniczny i pewny siebie, że jeszcze latem ubiegłego roku mówił dziennikarzom, że szukanie Amandy Berry to tylko marnowanie pieniędzy”, ale przecież takie oświadczenie nie stanowi jeszcze samo w sobie dowodu na współudział w porwaniach.

W areszcie pozostał tylko 52-letni Ariel. Kilka dni później oficjalnie przedstawiono mu zarzuty. Przyjął je spokojnie, z pochyłą głową, nie odrywając wzroku od podłogi, unikając kontaktu wzrokowego z otoczeniem. Wyglądał na zmęczonego i zaniedbanego. Zaraz po zatrzymaniu nie skorzystał z przysługującego mu prawa do odmowy zeznań, zrezygnował również z możliwości udziału adwokata podczas wstępnego przesłuchania. Chętnie i wyczerpująco odpowiadał na wszystkie zadawane mu przez prowadzących śledztwo pytania.

Podczas wstępnej rozprawy, trwającej niewiele ponad minutę, asystent prokuratora hrabstwa Cuyahoga, Brian Murphy powiedział do sędziny, pani Lauren Moore: „Przez wiele lat dom Castro był więzieniem dla trzech kobiet i dziecka. Dzisiaj sytuacja odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. To Ariel Castro staje przed obliczem sprawiedliwości jako więzień, z rękoma skutymi kajdankami”. Sędzia Moore wyznaczyła kaucję w wysokości ośmiu milionów dolarów – po dwie „bańki” za każdy zarzut porwania (czwarty dotyczył córki Amandy Berry, Jocelyn, która urodziła się w niewoli). Tak ogromna kaucja dawała pewność, że do momentu rozprawy głównej (i ewentualnego wyroku) Ariel Castro pozostanie za kratkami.

Występująca jako obrońca z urzędu Kathleen de Metz aż chwy-

ciła się za głowę.

– Wysoki sędzie, ten człowiek nie ma nawet złamanego centa – jęknęła. – Od dawna jest bezrobotny.

Castro umieszczono w specjalnej celi, monitorowanej przez całą dobę, ponieważ władze obawiały się, że może próbować popełnić samobójstwo. Kiedy otrzymał w końcu adwokata, dosyć diametralnie zmienił swoje początkowe zachowanie, twierdząc, że jest całkowicie niewinny, że nie ma żadnych wyrzutów sumienia i zamierza przed sądem udowodnić, że nie zrobił nic złego. Opinię swego klienta potwierdził zresztą w całej rozciągłości mecenas Craig Weintraub, zarzucając przy okazji mediom, że to one właśnie, nikt inny, zrobiły z Ariela Castro „potwora”. „Rozmawiałem z nim trzy godziny i nie odniosłem wrażenia, że jest potworem” – powiedział prawnik w lokalnej telewizji WKYC.

Podczas przeszukania domu, przez ostatnich dziesięć lat stanowiącego miejsce uwięzienia trzech kobiet oraz córki jednej z nich, odnaleziono spisane jeszcze w 2004 roku wyznanie, w którym Castro przyznał się do popełnionych czynów, przy okazji określając siebie jako „seksualnego drapieżnika”. Detektywi pobrali również od zatrzymanego próbki DNA, w celu przeprowadzenia badań mających ustalić, czy jest ojcem urodzonej w niewoli sześciolatniej dziewczynki. Badania miały również wyjaśnić nierozwiązaną od sześciu lat zagadkę zaginięcia w tym samym rejonie miasta czternastoletniej wówczas Ashley Summers. „Ciągłe szukamy nowych tropów, pytamy o Ashley – potwierdziła reporterowi gazety «Toronto Star» rzecznik zajmującego się sprawą Federalnego Biura Śledczego, pani Vicki Anderson. – Bez przerwy otrzymujemy telefony dotyczące tego zaginięcia”.

Zanim 9 lipca 2007 roku zaginął wszelki ślad po Ashley, dziewczynka mieszkała w Cleveland ze swoim wujem. Tego dnia pokłóciła się z opiekunem, spakowała wszystkie ubrania, wyszła z domu, i tyle ją widziano. Po miesiącu zadzwoniła do matki, twierdząc, że wszystko z nią w porządku, i prosząc, żeby się o nią nie niepokoić. To był ostatni znak życia, jaki dała. W październiku tego samego

roku ciocia zaginionej poinformowała, że widziała Ashley w Cleveland, jadącą z kimś w samochodzie. Dziewczynka zmieniła swój image, ścięła włosy i przefarbowała je na blond. Samochód wiozący Ashley odjechał jednak, zanim krewna zdążyła zawrócić swój wóz bądź zanotować numer rejestracyjny tamtego pojazdu.

„Federalni” mają nadzieję, że więcej wskazówek dotyczących dziewczyny uda im się odnaleźć podczas dokładnych oględzin domu Ariela Castro. Ponadto śledczy bardzo liczą na zeznania trzech uwolnionych kobiet. To jednak może potrwać. Nie wiadomo, jaki jest ich stan psychiczny po dziesięciu lat niewoli i niewyobrażalnych cierpień. FBI poinformowało jedynie, że przesłuchują je specjaliści, którzy na co dzień zajmują się dziećmi.

Nadzorujący prowadzone przeciwko Arielowi Castro śledztwo prokurator hrabstwa Cuyahoga, Timothy McGinthy zapowiedział na konferencji prasowej, że postawi zwyrodnialcowi „setki, a nawet tysiące dodatkowych zarzutów, w tym zarzut zabójstwa pierwszego stopnia za kilkakrotne doprowadzenie do poronienia przez przynajmniej jedną z ofiar”. Za taki czyn w stanie Ohio grozi śmiertelny zastrzyk trucizny.

To dopiero początek całego postępowania, zapewne wiele przerażających faktów wyjdzie jeszcze na jaw. Z konieczności więc cała historia została przez autora potraktowana w sposób bardzo skrótowny. Z materiałów śledztwa, do których udało się dotrzeć mediom, już wyłonił się straszliwy obraz wieloletniego dręczenia uprowadzonych dziewczyn. „To, co się tam działo, przekracza wszelkie ludzkie wyobrażenia!” – zdradził prasie jeden z prowadzących śledztwo funkcjonariuszy.

Wszystkie trzy dziewczyny były krępowane łańcuchami, których końce umocowano do sufitu piwnicznego lochu. Szalencie krępował je też taśmą i wiązał sznurami, systematycznie bił je i głodził. Wiadomo już, że od tego katowania Michelle Knight straciła w znacznym stopniu słuch, ma także zdeformowane kości twarzy. Przede wszystkim jednak wszystkie były wielokrotnie gwałcone oraz torturowane. Każda z trzech kobiet wielokrotnie zachodziła w

ciążę. Jedna z nich miała trzy poronienia, prawdopodobnie wynikające z niedożywienia i bicia. W sumie urodziły sześcioro dzieci.

Michelle Knight – najstarsza z uprowadzonych – powiedziała, że przynajmniej pięć razy w wyniku zgwałcenia jej przez Ariela Castro zaszła w ciążę. Za każdym razem zboczeniec bił ją po brzuchu, wywołując poronienie. Zmusił ją również do odebrania porodu Amandy Berry. Poród odbył się w nadmuchiwanym baseniku dla dzieci, aby – jak wyraził się porywacz – „łatwiej było po nim posprzątać”. Zwyródnialec stał nad nimi i wszystkiemu się przyglądał. W pewnym momencie dziecko przestało oddychać. Wybuchła panika. Krzyczały obie kobiety, rodząca i przyjmująca poród, ale najgłośniej darł się sam Castro, grożąc, że zamorduje obie, jeśli noworodek nie przeżyje. Zdenerwowana Michelle zrobiła dziecku sztuczne oddychanie i dziewczynka została uratowana.

Castro upokarzał porwane także w inny sposób. Nocami wyprowadzał je nagie do ogrodu. Kazał im chodzić na czworakach. Na szyjach miały obroże, by gwałciciel mógł trzymać kobiety na smyczach jak psy.

Prowadzone śledztwo wyjaśni zapewne, jakim cudem mała Jocelyn uniknęła tragicznej śmierci swoich poprzedniczek. Policja szuka obecnie szczątków innych dzieci, które miały przyjść na świat w ciągu kilku lat w tym domu grozy, gdy trzy kobiety były przemocą trzymane i regularnie gwałcone. Zwyródnialec przetrzymywał też najprawdopodobniej czwartą dziewczynę, o czym wspominała zaraz po uwolnieniu Michelle Knight. Istnieją przesłanki, że ta nastolatka mogła umrzeć w lochu. Kobiety rzadko miały okazję widywać się nawzajem, trzymane były w osobnych pomieszczeniach – w garażu, na poddaszu i w piwnicy. Oprawca zostawiał czasami otwarte drzwi do pomieszczeń, w których dziewczyny były więzione, lecz był to raczej rodzaj prowokacji, czy też „próby lojalności”, bowiem gdy tylko próbowały opuścić swoje cele, natychmiast chwycił je i spuszczał im tęgie lanie. Nagrodą za „dobre zachowanie” była możliwość udania się do toalety czy wzięcia prysznic. Każdorazowo w rocznicę uprowadzenia na stole pojawiał się

tort orzechowy – tak zmuszane były świętować swoje nowe narodzenie.

Dom, w którym spędziły wiele lat, był stary, zmurszały, postawiono go jeszcze w 1890 roku. Miał 130 metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej, ale tylko jedną toaletę. Nie wyposażono go w tak popularną w Ameryce klimatyzację i przebywanie w nim, zwłaszcza w trakcie upalnego lata, jakie często zdarzają się nad jeziorem Erie, stanowiło prawdziwą torturę. Nie trzeba dodawać, iż ze zrozumiałych względów otwieranie okien i wietrzenie nie należało w stanowiącym więzienie budynku do praktykowanych zwyczajów. Największy pokój miał 10 metrów kwadratowych powierzchni. Właściciel trzymał tam swoją kolekcję gitar basowych, a jego „niewolnice” nie miały do niego prawa wstępu. Castro wprowadził się tam w 1992 roku, płacąc za nieruchomość niewiele, bo 12 tysięcy dolarów. Poczynione na remonty nakłady miały za zadanie uczynić z domu raczej niedostępną twierdzę niż polepszyć jego stan. Castro zalegał zresztą z należnymi opłatami i podatkami na sumę prawie trzech tysięcy dolarów. Dziwne, że fakt ten nie zwrócił uwagi zawsze niezwykle skrupulatnych w takich sprawach lokalnych władz.

Odnalezienie trójki kobiet przypomniało amerykańskiej opinii publicznej o innych przypadkach uprowadzeń. Wśród nich o tragicznym przypadku Jaycee Dugard, którą porwano z domu jej rodziców w Kalifornii, gdy miała 11 lat. Sprawcą był przestępca seksualny Phillip Garrido. Trzymał porwaną w ukryciu przez 18 lat! Ofiarę uwolniono w 2009 roku. W ciągu tego okresu sprawca wielokrotnie ją gwałcił. Dugard urodziła mu dwie córki.

Elizabeth Smart miała 14 lat, gdy porwano ją z jej sypialni w domu rodziców, w czerwcu 2002 roku. Przez dziewięć miesięcy więził ją i gwałcił samozwańczy prorok Brian David Mitchell. Dziewczynkę uwolniono w marcu 2003 roku. Przebywała w miejscu oddalonym od rodzinnego domu tylko o 30 kilometrów. W 2011 roku porywacza skazano na dożywotnie więzienie.

Radości z odnalezienia żywych Michelle, Amandy i Giny, tortu-

rowanych i gwałconych okrutnie przez zwyrodnialca, towarzyszy jednak wiele niepokojących pytań, a przede wszystkim dwa podstawowe: Dlaczego ani rodzina zbrojnego, ani sąsiedzi, a przede wszystkim policja przez dziesięć lat nie zwracali uwagi na to, co dzieje się w ponurym domu w portorykańskiej dzielnicy Cleveland? Czemu również nikt nie reagował na podejrzaną zachowanie Ariela Castro? Sąsiedzi uważali go za „normalnego faceta”. Uczestniczył w organizowanych w okolicy imprezach, grał na gitarze basowej w kilku latynoskich kapelach, słuchał salsy i piekł na grillu żeberka. Często robił zakupy w pobliskim sklepie spożywczym, stanowiącym towarzyskie centrum dzielnicy. Sklepek prowadził kolejni członek rodziny Castro, stryj Ariela, Julio Cesar.

Porywacz wydawał się sympatycznym kierowcą szkolnego autobusu, ale gdy wracał do domu, jego uśmiech zniknął. Znęcał się wtedy nad trzema dziewczynami, które porwał i więził w swoim domu. Kobiety były bite, gwałcone, rodziły mu dzieci. Amerykanie są w szoku, dowiadując się o coraz to nowych, mrocznych tajemnicach Ariela Castro. „Wcześniej nie było w nim nic podejrzanego – twierdzą – Nic specjalnego. Aż do dzisiaj...”. „Nie mogę uwierzyć, po prostu nie jestem w stanie przyjąć do wiadomości, że te dziewczyny tak długo siedziały zamknięte na tyłach naszego własnego podwórza” – zwierzył się mediom jeden z sąsiadów potwora, Charlie Czorb.

Podobny wizerunek „równego faceta”, dbającego o swoją kolekcję gitar i swój motocykl, zbrojeniec pielęgnował na swoim profilu założonym na Facebooku. Ariel Castro – sympatyczny gość, kochający ojciec trójki dzieci. Ostatnio widywano go w miejscowym parku w towarzystwie małej dziewczynki, którą jednym przedstawiał jako swoją wnuczkę, innym zaś mówił, że to córka jego dziewczyny. Tej dziewczyny jednak nikt nigdy nie widział... Tą „wnuczką” była przecież – jak zresztą łatwo się domyślić – sześćioletnia córka, którą urodziła mu więziona Amanda Berry. Czasami przyprowadzał dziecko do baru bądź zabierał na lody...

Przynajmniej raz Ariel Castro wziął udział w pochodzie, który

organizowano co roku w celu przypomnienia władzom o zaginionych bez wieści Amandzie Berry i Ginie DeJesus. Swoistej „pikantarii” temu zachowaniu porywacza dodaje fakt, że jego córka, Arlene Castro była bliską przyjaciółką Giny DeJesus – dziewczynki chodziły do tej samej klasy.

Od 1991 roku Ariel Castro pracował jako kierowca szkolnego autobusu. Oficjalnie cieszył się opinią solidnego i godnego zaufania pracownika, chociaż teraz, kiedy jego prawdziwa tożsamość wyszła na jaw, pracodawcy „przypomnieli” sobie o kilku zdarzeniach rzucających cień na nieposzlakowany wizerunek „pana kierowcy”.

Pierwszy raz podpadł w 1995 roku, kiedy autobusem pełnym dzieci zawrócił! gwałtownie w niedozwolony sposób na skrzyżowaniu. W sumie w latach 1995–2008 sześciokrotnie został zatrzymany za łamanie przepisów drogowych (ostatnio w czerwcu 2008 roku), ale wszystko uchodziło mu na sucho.

– Mogę pana za to aresztować. Tego pan chce? – usłyszał Castro od mundurowego.

– Nie, nie chcę – odpowiedział szczerze.

Stróż prawa zatrzymał go, ponieważ miał źle zamontowane numery rejestracyjne, nie miał kasku ani uprawnień do prowadzenia motocykla. Za te przewinienia nie trafił jednak do aresztu, otrzymał jedynie mandat, gdyż powiedział, że jest kierowcą szkolnego autobusu.

W 2004 roku zostawił w autobusie niepełnosprawnego ucznia, a sam poszedł coś przekąsić.

– Siedz cicho, mały skurwysynie! – ostrzegł próbującego protestować chłopczyka.

Tym razem incydent nie zakończył się na ustnym upomnieniu. Dyrekcja szkoły zawiesiła Castro w obowiązkach na okres sześćdziesięciu dni i ostrzegła, że w razie powtórzenia się podobnego wykroczenia zostanie wywalony z roboty. Na posesji porywacza pojawili się nawet funkcjonariusze policji, chcąc zadać mu kilka pytań, ale ponieważ mężczyzny nie było w domu (bądź nie raczył



im otworzyć), więc wrócili z niczym i dali sobie spokój z dalszymi dociekaniem.

Mimo kolejnych wykroczeń, polegających między innymi na wykorzystywaniu szkolnego autobusu do prywatnych celów (jeździł nim po zakupy), Castro stracił pracę dopiero jesienią 2012 roku. Zostawił wtedy pojazd z otwartymi drzwiami przed budynkiem szkoły i po prostu poszedł sobie do domu.

– Byłem zmęczony – wyjaśnił krótko swoje zachowanie.

Naruszanie przepisów drogowych i łamanie dyscypliny pracy nie było jednak ani pierwszym, ani najpoważniejszym sygnałem tego, że „sympatyczny wujek Ariel” niekoniecznie jest takim miłym facetem, jakim starał się być w oczach innych...

Już w 2005 roku była żona Castro, Grimilda Figueroa – matka jego trójki dzieci, wytoczyła przeciwko niemu oskarżenie o brutalne pobicie. Ariel Castro złamał jej nos, wybił przedni ząb i połamał zębra. Mimo dostarczenia dowodu w postaci obdukcji lekarskiej sąd umorzył postępowanie, ponieważ... pani Figueroa nie stawiała się na przesłuchanie. Cóż, zgłoszenie dokonane przez nieszczęsną kobietę było tylko jednym z dwóch tysięcy aktów przemocy domowej rejestrowanych każdego roku na terenie Cleveland. Grimilda skarżyła się też siostrze, że Castro wepchnął ją kiedyś do starego kufra i zamknął w środku, mówiąc: „Wyjdiesz, jeśli ja ci na to pozwolę”. Kobieta wielokrotnie miała złamania i liczne urazy spowodowane przez małżonka.

O tym, jak ojciec katował matkę, wspomina 32-letni obecnie syn Ariela, Anthony Castro, opowiadając, jak w 1993 roku lekarze uratowali jej w ostatniej chwili życie, gdy po mężowskim biciu przeszła ciężką operację mózgu. Według syna Ariel był bardzo złym człowiekiem i porywczym wariatem. Grimilda wyprowadziła się z domu potwora razem z trzema siostrami Anthony’ego trzy lata później, w roku 1996, kiedy Ariel po raz kolejny dopuścił się przemocy. Zmarła w 2012, w wieku zaledwie 48 lat.

Syn zbrojnia przyznaje również, że dopiero teraz zwrócił uwagę na słowa ojca, które ten wypowiedział trzy tygodnie przed aresz-

towaniem, że policja jest na tropie zaginionej Amandy Berry. „Odwiedziłem wówczas ojca, ale nie zostałem zaproszony do środka, rozmawialiśmy tylko chwilę przez furtkę. (...). On zabrał jej [Amandzie] i tym dwóm innym życie. To horror, a mój ojciec to potwór. Jak bardzo musiały cierpieć te kobiety” – mówi Anthony, dodając: „Ariel nie zasługuje na to, by chodzić po tym świecie, a jego miejsce jest do końca życia za kratami”. Twierdzi również: „Bogu dziękuję, że razem z matką i jej siostrami wynieśliśmy się od niego, dlatego żyjemy. (...) Dom Ariela był zawsze pod kluczem, a szczególnie piwnica – wspomina młody Castro. – Ale mimo to do policji dochodziły sygnały, że tam się dzieje coś niedobrego. Jedna z sąsiadek alarmowała, iż na podwórku widziała nagą kobietę taplającą się w błocie. Inna dodawała, że widziała w oknie tego domu białą kobietę. Policja jednak to zignorowała”.

Anthony zastanawia się publicznie, jaką rolę w tym wszystkim odegrali bracia jego ojca. Upiera się, że jego wuj, pięćdziesięcioletni Onil, który też ma swój dom i mieszka samotnie, mógł być w ten proceder zamieszany. Kilka lat temu Onil Castro rozszedł się z żoną, z którą ma dwóch synów w wieku 10 i 20 lat. Według Anthony’ego to jego ojciec był z tej trójki najsilniejszy, bracia się go chyba bali, na dodatek zniszczył ich alkohol. Wszyscy zresztą byli jego zdaniem alkoholikami. Drugi wuj, Pedro, który mieszka z matką, jest już tak zniszczony alkoholem, że nie można z nim normalnie rozmawiać.

Anthony Castro pracuje obecnie w jednym z banków w Columbus, stolicy stanu Ohio.

Atmosfera terroru, jaką zwyrodnialec stworzył w swojej rodzinie, nie pozostała zapewne bez wpływu na poczynania jego drugiego dziecka, córki Emily, odsiadującej obecnie wyrok 25 lat pozbawienia wolności za próbę zamordowania w 2007 roku własnej córki.

Przed kamerami telewizji NBC News pojawiła się też matka potwora, Lillian Rodriguez, oferując ofiarom i ich rodzinom swoje przeprosiny za to, co zrobił jej syn: „Naprawdę cierpię jako matka i

proszę inne matki, żeby mi wybaczyły. O to samo proszę również te biedne dziewczyny. Mój syn jest chory, bardzo chory. Nie mam nic wspólnego z tym, czego on się dopuścił”.

Wraz z pojawianiem się kolejnych makabrycznych wiadomości dotyczących tego, co działo się za płotem posesji tego „normalnego faceta”, sąsiedzi „przypominają sobie” w rozmowach z dziennikarzami o różnych innych, „dziwnych zdarzeniach”, mających miejsce w owym białym domku na ich ulicy. Opowiadają, że „mieli podejrzenia”, że „słyszeli czasami krzyki” i że „dziwiły ich potężne kłódki i liczne zamki”. Ktoś widział, jak Castro kopie nagą kobietę czołgającą się w psiej obroży w jego ogródku. Ktoś inny, jak wyprowadza na smyczach trzy nagie kobiety i spaceruje z nimi jak z psami wokół domu...

Sąsiad Ariela nazwiskiem Israel Lugo oświadczył, że kilka lat temu słyszał, jak ktoś wali w drzwi domu Latynosa. Widział także, że okna domu były zaklejone plastikowymi torbami. Zaintrygowany wezwał policję. Patrol przybył wprawdzie na miejsce, ale ponieważ nikt im nie otworzył, funkcjonariusze ograniczyli się do obejścia domu naokoło, po czym spokojnie odjechali. Siostra pana Lugo widziała kobietę pukającą w szybę okna domu Castro. W drugim zobaczyła inną kobietę z dzieckiem. Zadzwoiła po policję, ale została zignorowana. Z kolei matka Lugo zauważyła, że Castro wraca często do domu obładowany torbami z jedzeniem z McDonalda. Wydało jej się to bardzo podejrzane, więc i ona wezwała policję. I tym razem funkcjonariusze przyjechali, ale po raz kolejny nie weszli do domu Castro.

„To potwór – twierdzą teraz zgodnie wszyscy sąsiedzi. – Już dawno powinien gnić za kratkami!”. Ktoś – podobno – dzwonił nawet w tej sprawie na policję, informując o porwaniach, ale ta zdecydowanie zaprzecza, aby kiedykolwiek otrzymała podobny meldunek. Jak na razie nie znaleziono żadnych dowodów, że telefony takie miały miejsce. Jakimś dziwnym trafem wspomniane wyżej sygnały „obywatelskiej czujności” doszły jednak do porywacza, który szybko uszczelnił ogrodzenie deskami, aby wścibscy sąsiedzi

nie widzieli, co tam się dzieje.

Podwórko domu Ariela Castro na pierwszy rzut oka wyglądało całkiem zwyczajnie i niewinnie. Jednak jeden z jego sąsiadów przesłał telewizji CNN zdjęcia, na których widać wiele budzących podejrzania przedmiotów. Można na nich zobaczyć zwoje drutu kolczastego, łańcuchy oraz sprzęty wskazujące jasno, że mężczyzna nie mieszkał tam samotnie. Przed domem nowy rowerek dla dziewczynek, marki Barbie.

Tym niemniej to właśnie jeden z sąsiadów, wspomniany już wcześniej Charles Ramsey, pomógł uwolnić więzione kobiety, dzwoniąc w odpowiednim momencie na alarmowy numer 911 (Chociaż w miarę upływu czasu, pojawiają się wciąż nowi świadkowie twierdzący, że to oni zawiadomili policję). Pytany przez dziennikarza, czy czuje się bohaterem, odpowiedział: „Nie, bracie. Nie czuję się żadnym cholernym bohaterem. Ale na tym świecie trzeba mieć po prostu jaja, i ja je miałem. Pokonałem wtedy własny strach, gdy zobaczyłem szamocąca się przy aluminiowych drzwiach dziewczynę”. Mężczyzna usłyszał przeraźliwe krzyki kobiety dobiegające z domu swojego sąsiada. „Pomóżcie mi się wydostać! Jestem tu od dawna! – wołała nieznana mu wcześniej kobieta. Drzwi były zamknięte, więc wyważył je kopniakiem...

Tak czy inaczej, gdyby nie opieszałość policji, dramat trzech kobiet więzionych w Cleveland nie trwałby całą dekadę. Miejscowi nie mają wątpliwości, iż stróżom prawa po prostu nie chciało się zajrzeć do tej zamieszkannej głównie przez Latynosów okolicy. Policjanci, zdaniem sąsiadów, wykazali się nie tylko niekompetencją (przecież na jednym z portretów pamięciowych podejrzanego o porwania był osobnik podobny do Ariela), ale też wrogością wobec tamtejszej społeczności.





W 2013 r. policja uwolniła trzy kobiety – Michelle Knight, Amandę Berry, Ginę DeJesus – więzione w portorykańskiej dzielnicy Cleveland przez Ariela Castro.

# Literatura

- Aiuto Russell, *The Lindbergh Kidnaping*, <http://www.trutv.com>
- Annussek Greg, *Jak Hitler uratował Mussoliniego*, Amber, Warszawa 2007.
- Arendt Hannah, *Eichmann w Jerozolimie*, Znak, Kraków 1998.
- Ariel Castro, *Cleveland Kidnap Suspect, May Face Death Penalty*, <http://www.absnews.go.com>
- Aust Stefan, *Baader-Meinhof. The Inside Story of the R.A.F.*, Oxford University Press, New York 2009.
- Bagiński Zdzisław, *Oberdywersant*, KAW, Warszawa 1980.
- Baker Marilyn, Brompton Sally, *Exclusive! The Inside Story of Patricia Hearst and the SLA*, Macmillan, New York 1974.
- Baliszewski Dariusz, *Wielka tajemnica Wallenberga*, „Wprost” Nr 34/2007.
- Bascomb Neal, *Wytropić Eichmanna. Pościg za największym zbrodniarzem w historii*, Znak, Kraków 2009.
- Berg L., Scott A., *Lindbergh*, G.P. Putnam's Sons, New York 1998.
- Bierman John, *Saga o Raoulu Wallenbergu*, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1987.
- Borucki Marek, *Mussolini*, Książka i Wiedza, Warszawa 1986.
- Boulton David, *The Making of Tania Hearst*, New English Library, London 1975.
- Bourgoin S.M., Beyers P.K., *Encyclopedia of World Biography. Second edition*, Detroit, New York, Toronto, London 1998.
- Bukowski Jacek, *Patty czy Tania?*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1977.
- Bullock Alan, *Hitler, studium tyranii*, Czytelnik, Warszawa 1975.
- Castleden Rodney, *Wcielenia zła*, Bellona, Warszawa 2008.
- Cesarani David, *Adolf Eichmann. His life and crimes*, William

- Heinemann, London 2004.
- Collins Max Allen, *Stolen Away: A Novel of the Lindbergh Kidnapping*, Bantam 1991.
- Colvin Sarah, *Ulrike Meinhof and West German Terrorism: Language, Violence, and Identity*, <http://books.google.pl>
- Cywiński Piotr, *3096 dni piekła*, „Wprost” Nr 39 (1442) 2010.
- Dowgiałło Joanna, *Ten człowiek jest tym człowiekiem. Proces Eichman-  
na*, w: *Procesy wszech czasów*, Gazeta Prawna, Warszawa, bez daty  
wydania.
- Dudek Antoni, *Nie ujawnić prawdy*, niniwa2.cba.pl
- Dudek Antoni, *Ślady PeeReLu: ludzie, wydarzenia, mechanizmy*,  
Arcana, Kraków 2000.
- Dudek Antoni, Pytel Grzegorz, *Bolesław Piasecki. Próba biografii poli-  
tycznej*,  
[http://niniwa2.cba.pl/boleslaw\\_piasecki\\_biografia.htm](http://niniwa2.cba.pl/boleslaw_piasecki_biografia.htm)
- Dutch Andrew K., *Hysteria: The Lindbergh Kidnap Case*, Dorrance,  
1975.
- Dżon Beata, *3096 dni Nataschy Kampusch*, „Przegląd” Nr 37/2010.
- Encyklopedia terroryzmu*, Bellona, Warszawa 2004.
- Engelgard Jan, *Wielka gra Bolesława Piaseckiego*, Wydawnictwo Pra-  
sy Lokalnej, Warszawa 2008.
- Engelhardt Michał, *Mord polityczny w Polsce. Zabójstwo 15-letniego  
Bohdana Piaseckiego*, wiaclomosci.gazeta.pl
- Fiejtek Ryszard Z., *Bezpośrednie spotkania*, Wydawnictwo Białowię-  
ża, Białystok 1991.
- Frister Roman, *Za plecami sędziów. Tajemnica procesu Adolfa Eichman-  
na*, „Polityka” z 3 stycznia 2012.
- Gilbert Martin, *Atlas historii Żydów*, Platan, Kraków 1998.
- Gołota Małgorzata, *Natascha Kampusch opowiada o piekle życia w  
domu porwacza*, <http://www.polskatimes.pl>
- Graebner William, *Patty's Got a Gun: Patricia Hearst in 1970s Ameri-  
ca*, University of Chicago Press, Chicago 2008.
- Griinberg Karol, *SS – czarna gwardia Hitlera*, Książka i Wiedza, War-



szawa 1985.

Hagmajer Jerzy, *Sprawa Bohdana Piaseckiego*, „Słowo Powszechne” 3.05.1857.

Hall Allan, Leidig Michael, *Dziewczyna z piwnicy. Szokująca historia Nataschy Kampusch*, Sonia Draga, Katowice 2007.

Hartwig Hanna, *Zawód: terrorysta*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1970.

Hearst Patricia Campbell (with Alvin Moscow), *Patty Hearst: Her Own Story*, Avon, New York 1988.

Honigmann Georg, *William Randolph Hearst, czyli dzieje pewnego skandalisty*, Książka i Wiedza, Warszawa 1976.

Hoobler Dorothy & Thomas, *Zaginięcia: fakty czy fikcja*, Limbus, Bydgoszcz 1993.

Jachowicz Jerzy, *Najgłośniejsze afery, które pozostaną tajemnicą*, <http://www.wiadomosci.dziennik.pl> Kampusch Natascha, *3096 dni*, Sonia Draga, Katowice 20011.

Kapla Grzegorz, *Żony Lindbergha*, <http://www.pressmart.pl> Kershaw Alex, *Misja Wallenberga. Pojedynek z Eichmannem o życie 100 000 Żydów*, Znak Literanova, Kraków 2011.

Knapp Radek, *CSC-9. Superjednostka antyterrorystyczna*, Agencja Rtv, Warszawa 1991.

*Komu służył Pax?*, red. Bober Sabina, Pax, Warszawa 2008.

Kushner Harvey W., *Encyclopedia of terrorism*, <http://books.google.pl>

Kuzak Rafał, *Szwedzki dyplomata zamordowany z powodu wiedzy o Katyniu?*, „Ciekawostki Historyczne” z 25 sierpnia 2011.

Latkowski Sylwester, Pytlakowski Piotr, *Biuro Tajnych Spraw, kulisy Centralnego Biura Śledczego*, Czarna Owca, Warszawa 2012.

Laurysens Stan, *Dziennik nazisty. Wyznania Eichmanna*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2008.

Lazarus Richard, *Bardziej niż nieprawdopodobne, niemożliwe, niewiarygodne*, Amber, Warszawa 1996.

Lindbergh Charles A., *Autobiography of Values*, Harcourt Brace Jovanovich, New York 1977.

- Makarenko Vadim, *Magnaci Mediów*, „Gazeta Wyborcza” (Duży Format), z 22 sierpnia 2002.
- Malkin Peter Z., Stein Harry, *Schwytałem Eichmanna*, Studio Emka, Warszawa 2004.
- Materiały utajnione przez Stalina. Teczka Hitlera*, red. Henrik Eberle i Mathias Uhl, Świat Książki, Warszawa 2005.
- Matys Łukasz, *Morderstwo Bohdana Piaseckiego*, <http://www.prawokarne.wieszjak.pl>
- McLellan Vin, Avery Paul, *The Voices of Guns: The Definitive and Dramatic Story of the Twenty-two-month Career of the Symbionese Liberation Army, One of the Most Bizarre Chapters in the History of the American Left*, Putnam, New York 1977.
- Miklós Horthy, *Niedoceniany bohater*, <http://www.wykop.pl>
- Monelli Paolo, *Mussolini*, Czytelnik, Warszawa 1973.
- Mosley Leonard, *Lindbergh: A Biography*, Doubleday and Company, New York 1976.
- Moszczeński Janusz, Wągrowska Maria, *50 dni grozy*, KAW, Warszawa 1978.
- Nowacka-Isaksson Anna, *Czy Wallenberga zgubiło złoto?*, „Rzeczpospolita” z 28 maja 2012 r.
- Nowakowski Jerzy, *Kronika terroru, AX*, Warszawa 1981. *Operacja „Eiche” (Dąb), 12 września 1943 rok*, [www.dws-xip.pl](http://www.dws-xip.pl)
- Ohio suspect Ariel Castro held on \$8m bond for rape and kidnapping charges*, <http://www.guardian.co.uk>
- Pająk Jan, *Urowadzenia ludzi do UFO*, <http://www.uprowadzenia.cba.pl>
- Passent Daniel, *Ziarno prawdy. Polowanie na Adolfa Eichmanna*, „Polityka” z 18 grudnia 2009.
- Paxton Robert, *Anatomia faszystwu*, Rebis, Poznań 2005.
- Piątkowska Anna, *Dziewczyna z piwnicy*, <http://www.kobieta.interia.pl>
- Pirogowicz Krystyna, *Co się stało z Raoulem Wallenbergiem ? Losy zaginionego dyplomaty w świetle najnowszych badań*, „Zapiski Histo-

- ryczne”, t. LXXII1 (2008), z. 1.
- Poll Andrzej, *Horror w samolocie*, „Detektyw” Nr 3/2013.
- Poszukiwany Adolf Eichmann, <http://www.konflikty.pl>
- Poszukiwany: Raoul Wallenberg, w: *Wielkie zagadki przeszłości*, Przegład Reader’s Digest, Warszawa 1996.
- Przetakiewicz Zygmunt, *Od ONR-u do PAX-u*, Wydawnictwo Książka Polska, Warszawa 1994.
- Pytlakowski Piotr, *Piekło Olewników*, „Polityka” z 8 kwietnia 2008.
- Pytlakowski Piotr, Latkowski Sylwester, *Olewnik, Śmierć za 300 tysięcy*, Świat Książki, Warszawa 2009.
- Rachela, *Sądowe morderstwo, porwanie Karolka Lindbergh*, interia360.pl
- Raina Peter, *Sprawa zabójstwa Bohdana Piaseckiego*, PAX, Warszawa 1989.
- Ramsland Katherine, *Hearst, Soliah and the S.L.A.*, <http://www.trutv.com>
- Raviv Dan, Melman Yossi, *A każdy szpieg to książę. Pełna historia wywiadu izraelskiego*, Książka i Wiedza, Warszawa 1993.
- Ross Walter, *The Last Hero: Charles A. Lindbergh*. Harper and Row, 1976.
- Rybińska Aleksandra, *Maddie i Natascha, nowe ikony mediów*. „Rzeczpospolita” Nr 192 (7789) z 8–19 sierpnia 2007 r.
- Ryciak Igor, *Prawda ojca*, „Newsweek” z 29 listopada 2011.
- Sargeant Jack, *Guns, Death, Terror: An Illustrated History of International Terrorism*, Creation Books (May 15, 2003).
- Schone Mark, *Long before he was charged, Ariel Castro was accuser in sexual assault case*, <http://www.openchannel.nbcnews.com>
- Schreiber Penny, *The Wallenberg Story*, <http://www.wallenberg.umich.edu>
- Sierpowski Stanisław, *Faszizm we Włoszech 1919–1926*, Ossolineum, Wrocław 1973.
- Sifakis Carl, *The Encyclopedia of Crime*, New York: Facts on File, Inc., 2001.

- Sirny-Kampusch Brigitta, *Verzweifelte Jahre: Mein Leben ohne Natascha*, Ueberreuter, Auflage: 1 (August 2007).
- Siwińska Oliwia, *Natascha Kampusch, ofiara czy manipulantka?*, <http://infotuba.pl>
- Skotnicki Mariusz, *Uwolnić Duce! Gran Sasso 12 września 1943 r.*, „Technika Wojskowa Historia” Nr 5/2011.
- Smith Denis Mack, *Mussolini*, Wydawnictwo Michał Urbański, Warszawa 1994.
- Smith J., Moncourt A., *The Red Army Army Faction: a documentary history. Projectiles for the people*, <http://books.google.pl>
- Socha Robert, *Nie chodziło o okup. Kulisy porwania Krzysztofa Olewnika*, Nowy Świat, Warszawa 2010.
- Staszak Alfred, *Porwania w celu wymuszenia okupu. Studium kryminalistyczne*, Prometeusz, Poznań 2010.
- Surmiak-Domańska Katarzyna, *Czysta Dziewczynka*, „Gazeta Wyborcza” (Duży Format) 2011.02.06.
- Surmiak-Domańska Katarzyna, *Natascha, porywacz i jego matka*, „Gazeta Wyborcza” (Duży Format) 2011.02.04.
- Swanberg William A., *Citizen Hearst*, New York 1961.
- Tomasiewicz Jarosław, *Terroryzm na tle przemocy politycznej (Zarys encyklopedyczny)*, Apis, Katowice 2000.
- Trye Rex, *Żołnierze Mussoliniego*, Bellona, Warszawa 2000.
- Upiorna odyseja*, <http://www.samoloty.pl>
- Uwolnienie Benito Mussoliniego przez niemieckich komandosów*, [www.sww.w.szu.pl](http://www.sww.w.szu.pl)
- Waller George, *Kidnap: The Story of the Lindbergh Case*. Dial Press, New York 1961.
- Watson Nigel, *Seks z obcymi istotami*, „UFO”, Nr 2 (46) 2001.
- Weed Steven, Swanton Scott, *My Search for Patty Hearst*, Crow, New York 1977.
- Whiting Charles, *Skorzeny. Najbardziej niebezpieczny człowiek w Europie*, L&L, Gdańsk 1999.
- Wilczur Jacek, *Zagłada oliwkowych mundurów*, MON, Warszawa

1964.

- Wildstein Bronisław, *Dramatyczny wybór admirała*, „Uważam Rze, (Historia)”, Nr 5, sierpień 2012.
- Winnicka Ewa, *Bez litości*, „Polityka”, 13 maja 2006.
- Witkowski Igor, *Nieznane operacje służb specjalnych III Rzeszy*, VIS-2, Warszawa 2007.
- Witkowski Tomasz, *Pranie mózgu*, „Niebieska Linia” Nr 5/2004.
- Wojtasiński Zbigniew, *Zastrzyk śmierci*, „Wprost” Nr 3/2010.
- Wołoszański Bogusław, *Jak Niemcy odbili Mussoliniego*, <http://facet.interia.pl>
- Wołoszański Bogusław, *Straceńcy*, Colori, 1998.
- Wójcik Marcin, *Najbardziej szokująca zbrodnia dekady*, <http://facet.interia.pl>
- Wysocki Adam Witold, *Duce, aresztuję pana!*, MON, Warszawa 1962.
- Zachurski Tadeusz, *Dom okrucieństwa*, „Do Rzeczy” Nr 16/2013.
- Zajązkowska Joanna, *Sprawa Nataschy Kampusch*, <http://www.natropie.onet.pl>
- Ziemkiewicz Rafał A., *Kto tu wpuścił ONR?*, „Uważam Rze” Nr 44/2011.
- Zychowicz Piotr, *Jak zginął Sprawiedliwy*, „Rzeczpospolita” z 6.02.2012.
- Zychowicz Piotr, *Mordercy Bohdana uchodzą*, „Rzeczpospolita” z 11.12.2007.
- Zychowicz Piotr, *Wallenberga, ofiara NKWD*, „Uważam Rze” Nr 21 (68)/2012.